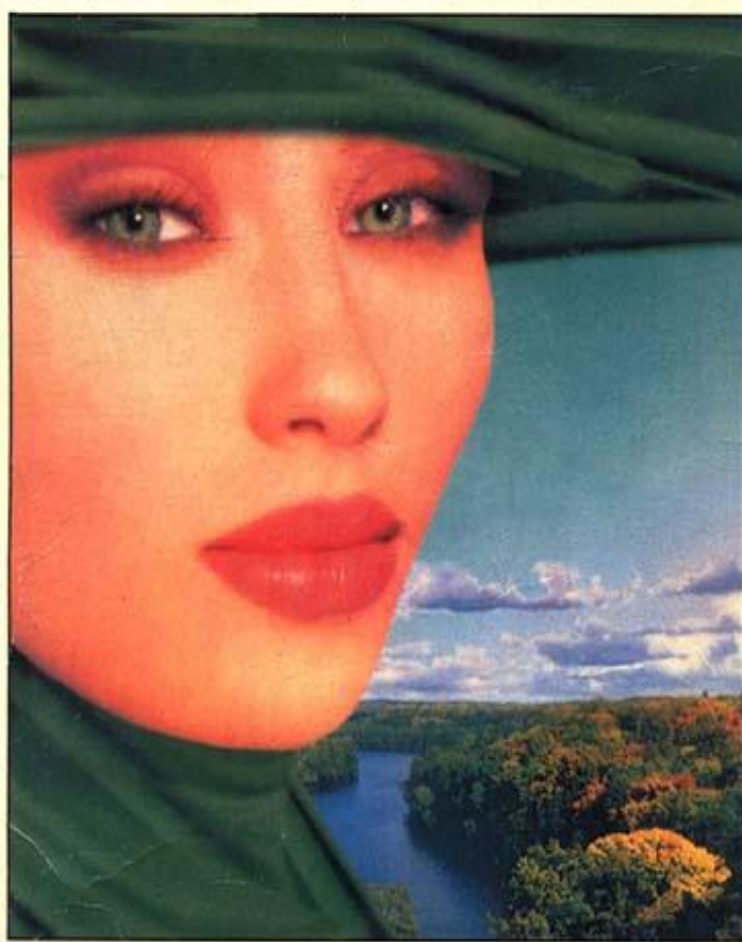


# CATHERINE COOKSON

KONKURS



PTAK BEZ SKRZYDEŁ

**CATHERINE COOKSON**

**PTAK BEZ SKRZYDEŁ**

przełożyła Danuta Pytlak

Tytuł oryginału *The Wingless Bird*  
*Przyjaźń to miłość bez skrzydeł.*

Byron

## *Część pierwsza*

### *Sklep*

## Boże Narodzenie, 1913

- Doskonale się spisałaś z tą witryną, moje dziecko. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wyglądała tak okazale. Jest tylko pewien problem... przez cały dzień będzie oblepiona chmarą dzieciaków.

- Cóż, ta wystawa przeznaczona jest dla nich na Boże Narodzenie. Dorośli przecież rzadko przystają, żeby się jej przyjrzeć.

- Rzeczywiście, masz rację. Która to godzina?

Arthur Conway wyjął z kieszeni okazały zegarek w srebrnej kopercie, odchylił wieczko, zerknął i rzekł:

- Lepiej idź na górę i przekaż coś, zanim zacznie się ruch. Jeszcze jedno. Dasz sobie radę dziś wieczór ze wszystkim? Mógłbym zostać, gdybyś...

- Ojcie, to, że któregoś wieczoru mógłbyś nie pójść do klubu, jest tak nieprawdopodobne, jak pożar w sklepach, i to w obydwu naraz. - Znacząco spojrzała na przeciwległą ścianę.

- Przecież dziś sytuacja jest inna. Nan poprosiła, by ją wcześniej zwolnić, bo mówi, że jej matka źle się czuje. Wiesz, starszej pani Henderson nigdy nie brakowało przebiegłości. Mogę się założyć, że to ona rządzi całą rodziną.

- Ojcie, wiesz doskonale, że nieczęsto się to zdarza. Z jej matką nie jest najlepiej. Nie doszła jeszcze do siebie po tym, jak utopili jej chłopaka.

- To było całe sześć lat temu, Aggie. Smutek nie trwa aż tak długo.

- Tak? - Agnes uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Dobrze, już dobrze. Oszczędź sobie powtarzania przykładów. Przede wszystkim niechętnie zostawiam cię tutaj samą.

- Trudno powiedzieć, że zostanę sama. Będzie tu przecież pan Arthur Peeble, zarządzający „Składem Tytoniu” - zaśmiała się kpiąco,

patrzając ponownie na przeciwległą ścianę. - Mam po dziurki w nosie dokładności tego faceta. Sądząc po tonie głosu, jakim zwraca się do klientów, można by myśleć, że na co dzień obcuje z burmistrzem lub księciem. Mówi tak nawet wtedy, kiedy sprzedaje paczkę Woodbinesów - tu zmieniła głos i próbowała naśladować wyraz jego twarzy - „Należą się dokładnie dwa pensy” ...a nie: „dwa pensy, dziękuję” lub „dziękuję bardzo” ... jak powiedziałyby Nan.

- Nan nie ma w tych sprawach do czynienia z mężczyznami i dżentelmenami.

- Gdyby tak było, miałyby więcej rozsądku i potrafiłyby odróżnić nadętą kukłę od prawdziwego mężczyzny.

- A ty sama potrafisz? - wyciągnął ku niej szyję i wyszczerzył zęby w przesadnym uśmiechu.

Skinęła głową w odpowiedzi, a uśmiech zniknął z jej twarzy: - Tak, potrafię. Na kilometr.

- No, cóż - uśmiechnął się do niej pobłaźliwie - jesteś bystrą dziewczyną. Zawsze taka byłaś.

Ciągle z poważną miną, dodała: - Na kilometr wyczuwam nieszczerego pochlebcę, ojcie. I wcale nie jestem bystrą dziewczyną, lecz, jak to nazywasz, diabelnym głuptasem.

Kiedy chciała przejść koło niego, chwycił ją za rękę i zapytał: - Dlaczego... dlaczego tak sądzisz, dziewczyno?

- O! - buńczucznie potrząsnęła głową - mam wiele powodów!

- Sądziłem, że zajmowanie się sklepami sprawia ci przyjemność - jego dłoń drgnęła.

- Tak, tak, ale... ale przecież to nie może wypełnić życia, musi być jeszcze coś.

Cofnął rękę. Jego oczy zwęziły się w badawczym spojrzeniu, gdy rzekł: - Chcesz wyjść za mąż?

- O, nie! - Potrząsnęła przecząco głową i wykrzyknęła: - A ty chcesz, żebym znalazła męża?

- No cóż - ściągnął usta - sądzę, że powinnaś o tym pomyśleć dla swojego własnego dobra. Wiesz, że masz dwie możliwości i wybór należy do ciebie.

- Och, ojcie! Henry Stalwort ma blisko czterdzieści pięć lat i

dwie córki. Jedna jest prawie rówieśniczką naszej Jessie. Ale, oczywiście  
- tutaj zrobiła kpiącą minę

- zajmuje się sprzedażą hurtową, nieprawdaż? Może sprzedawałby  
nam tygrysie oczka po niższej cenie?

- Przekorna z ciebie bestia. Tygrysie oczka taniej! Doprawdy?  
Wiesz, że nie na miejscu jest sugerowanie takich pobudek, gdy mówimy  
o twoich planach małżeńskich. Mówiąc między nami, sam nie mogę  
znieść tego człowieka. Jeśli chcesz wiedzieć, to właśnie dlatego od  
jakiegoś roku pozwoliłem ci samej zamawiać towar. Ale Pete,  
posłuchaj... Pete Chambers... obrotny z niego gość.

- Tak, tak, jest obrotny. Co więcej, jak podkreśla matka, ma  
udziały w parowcu frachtowym. Ale ty widziałeś ten statek i ja go  
widziałam, prawda, tato? To stara, dziurawa węglarka. Nigdy nie  
wysłano jej dalej niż do Londynu. Jednak wiesz, że nie miałoby to dla  
mnie znaczenia. Nie przeszkadzałoby mi, jeśli Pete byłby palaczem na  
tej barce, gdybym się nim interesowała. W każdym razie, ojciec, wiem,  
że Pete nie będzie rozpaczał, jak mu odmówię. Pójdzie do pierwszego  
pubu, jaki napotka, upije się w sztok i zacznie śpiewać. Wiem, co robi,  
gdy jest rozczarowany. Pamiętasz, co się stało w zeszłym roku, gdy oni  
troje byli bliscy bankructwa? Przyszli tu obok i kupili najdroższe cygara,  
nie meksykańskie, nie amerykańskie, ale - kubańskie! Nie znali nawet  
żadnej marki, ale chcieli najlepsze - zaczęła się śmiać. - I sprzedalam im  
najlepsze. Pamiętasz? Miałeś te pięć tylko na próbę. Sin Iguales. Były na  
samym końcu listy zamówień, kosztowały cztery szylingi i osiem  
pensów. Chciałeś je sprzedać po szylingu i dwa pensy, a ja wyceniłam je  
na sześć szylingów. Wyobraź sobie, że opuścili sklep, dymiąc jak  
kominy. Potem pijanego do nieprzytomności Teddy'ego Moulesa zabrali  
policjanci, czyż nie tak? Nie mam pojęcia, jak Pete'owi udało się uciec.

- Ani ja. - Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała łagodnym  
uśmiechem temu wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie o siwych włosach  
i brązowych, tak podobnych do jej, oczach. Jego włosy były kiedyś też  
kasztanowate, a nie srebrzyste jak teraz. Wciąż pamiętała tego  
przystojnego mężczyznę z początków swego dwudziestodwuletniego  
życia. Zaraz jednak przypomniała sobie to, co powiedział ledwie parę  
minut temu. Smutek mija.

Arthur Conway był już raz żonaty, zanim spotkał jej matkę. Gdy miał osiemnaście lat, ożenił się z piękną siedemnastoletnią dziewczyną, która zmarła osiem lat później. Pozostawał w żałobie przez dziesięć lat. Dowiedziała się o tym dopiero trzy lata temu, gdy pewnej nocy zbyt dużo oddał się piciu trunków. Siedział w magazynie za sklepem i wyznał jej, że ktoś w klubie zaśpiewał piosenkę, która przypomniła mu jego Nelly. Z matką Agnes ożenił się, gdy miał trzydzieści sześć lat. Agnes zaś przyszła na świat trzy lata później. I oto stał się mężczyzną po sześćdziesiątce, ciągle trzymającym się prosto, ale już nie przystojnym i wesołym, jak kiedyś. Pamiętała, jak dokazywał z nią i Jessie, gdy były małe, jak chodził z nimi na czworakach po podłodze. Była o cztery lata starsza od Jessie, ale traktował je tak samo. Na myśl, że było tak aż do chwili, gdy przed dwoma laty Jessie opuściła pensję, raptownie powróciła do rzeczywistości. Wtedy jeszcze sądziła, że Jessie będzie zajmowała się sklepem, że ojciec przyuczy ją do tego, podobnie jak wcześniej ją samą. Nie myślała tylko o sklepie ze słodyczami i trafice, ale także o fabryce za podwórkiem, gdzie produkują większość słodyczy, także toffi. Jednak myliła się - Jessie miała być kimś innym; Jessie musiała iść do szkoły dla sekretarek, by jej ręce nie kleiły się od rąbania kawałów toffi wyjętych z podłużnych form, by nie musiała ważyć setek i tysięcy porcji cukierków za pół pensa ani cukrowego tytoniu za pensa. Nawet jeśli chodzi o ważenie prawdziwego tytoniu lub innych rodzajów machorki, czy sprzedawanie najlepszych cygar - o nie, nie! Ojciec nie pozwoliłby Jessie tego robić.

Co było zastanawiające, Agnes nie zazdrościła Jessie ani odrobinę tej możliwości poprawy losu, może dlatego, że jej siostra wcale nie chciała iść do szkoły dla sekretarek, podobnie jak nie pragnęła tego jej matka. Nie. Matka była zdania, że jeśli Jessie nie chciałaby obsługiwać klientów w sklepie, mogłaby równie dobrze pomagać w domu, nauczyć się gotować i przez to zaoszczędziliby połowę wynoszącej sześć szylingów i trzy pensy zapłaty dla Maggie Rice, która była u nich, jak to nazywała matka, na półdniówkach od ósmej do pierwszej.

Agnes często rozmyślała o różnicach w zarobkach. Ona dostawała tygodniowo piętnaście szylingów\*, Arthur Peeble - tylko funta, a przecież, choć był młodym człowiekiem, miał na utrzymaniu

rodzinę. [*szyling - według dawnego systemu monetarnego Wielkiej Brytanii, 120 część funta, równowartość 12 pensów - przyp.*

*tłum.*] Natomiast Nan Henderson ojciec traktował wyjątkowo skąpo i płacił jej osiem szylingów i sześć pensów tygodniowo za pracę przez całe dnie. Nan w przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia lat i będzie się kwalifikowała do podwyżki, więc Agnes miała nadzieję, że ojciec zrobi ustępstwo i da jej dziesięć szylingów, gdyż bez względu na to, co mówił ojciec, jest dobrą ekspedientką. Oczywiście miał rację, jeżeli chodzi o kwestię rządzenia w domu, bo urodziwa Nan ma nieco pstro w głowie. Nie chciał jednak przyznać, że to właśnie dzięki niej zapewniony jest ruch podczas weekendów, szczególnie wtedy, gdy stoi w porcie jakiś statek. Niektórzy z marynarzy kierują się od razu z nabrzeża do sklepu i nie żałują pieniędzy na czekoladę i toffi dla swoich dziewczyn - oczywiście tylko ci, którzy nie idą prosto do pubu.

Właśnie znajdowała się w drzwiach prowadzących do magazynu za sklepem, gdy ojciec pospieszył z uwagą:

- Pamiętaj Aggie, zamknij punktualnie o dziewiątej. Nie ma po co zwlekać. Kto ma zamiar coś kupić, zrobi to na pewno o odpowiedniej porze.

Pozostawiwszy te rady bez odpowiedzi, zniknęła w magazynie, gdzie na ścianach zamocowane były półki ze szklanymi słojami pełnymi słodyczy i z przeróżnej wielkości pudłami. Dotarła do kolejnych drzwi, skąd tylko cztery kroki korytarzem w prawo dzieliły ją od magazynu trafiki. Te drzwi były zawsze dokładnie zamykane, by mocny zapach tytoniu, papierosów, cygar i wyrobów ze skóry nie przenikał do sklepiku ze słodyczami. Trzy metry w przeciwną stronę, przy krańcowej ścianie, wyrastały strome schody. Po pokonaniu kilku stopni znalazła się na półpiętrze, a potem na piętrze, gdzie otworzył się przed nią następny korytarz, przypominający ten na parterze, lecz dwukrotnie dłuższy.

Nad dwoma sklepami, na piętrze domu, znajdowała się przestronna część mieszkalna, która była nadszpodziewanie wygodna i gustownie umeblowana. Szczególnymi zaletami matki Agnes, Alice Conway, były jej umiejętności kulinarne i nieomylny zmysł pani domu, przynajmniej w kwestiach materialnych. Mimo to nie była niestety w stanie zaprowadzić w domu harmonii, gdyż sama często ulegała zmiennym nastrojom.



Co zastanawiające, te zmiany w usposobieniu matki, które Agnes obserwowała od dawna, szczególnie uwydatniały się wieczorami. Za dnia jej matka niekiedy sprawiała wrażenie szczęśliwej, zwłaszcza gdy przesadnie często zmieniała firany, szydełkowała nowe serwetki na oparcia foteli lub piekła ciasta, próbując nowe przepisy. Zdarzało się też, że wieczorem opadała ją znużenie i udawała się na spoczynek do łóżka, nierzadko jeszcze przed zamknięciem sklepów. Jej sypialnia usytuowana była w skrajnej części domu, nad składem słodyczy. Znajdowała się tam, oprócz dużego łóżka rodziców, wypoczynkowa kanapka, wielki, wygodny fotel i mahoniowa szafa z toaletką i obudowaną umywalką. Do tego pomieszczenia przylegał drugi, mniejszy pokój, lecz nikt go teraz nie używał. Mieścił on łóżko dla jednej osoby, a także kołyskę, w której Agnes i jej siostra sypiały wiele lat temu. Po drugiej stronie korytarza, przy małej sypialni, umieszczono nowoczesny wynalazek - domową ubikację. Już nie musieli w nocy schodzić tylnymi schodami do ustępów usytuowanych w drugim końcu podwórza. Pierwszy przeznaczony był dla Conwayów, drugi dla rodziny Toma Granta. Tommy zarządzał od lat małą fabryką słodyczy. Nad fabryką znajdowało się jego mieszkanie. Był on nieprzejednanym przeciwnikiem jakichkolwiek zmian w swoim utartym stylu życia, bo jak mawiał, nie miał się czego wstydzić; warto tu pomyśleć, jaki ta zachowawczość miała wpływ na wyroby i na dobór składników. Z trzeciego ustępu korzystali mieszkańcy wąskiego parterowego domku, wciśniętego w kąt podwórza, z trzech stron otoczonego murami. Był to umeblowany dom, który co jakiś czas wynajmowano podróżnym, pierwszym oficerom, kapitanom lub komukolwiek, kto wolał zatrzymać się w domu, a nie w gospodzie czy w hotelu. Wielu mężczyzn powracających z długich rejsów spotykało się tutaj z żonami.

Domek, nazywany tak skromnie na co dzień, był dochodową małą firmą i zajmowanie się nim, sprzątanie go z pomocą Maggie Rice i dopilnowywanie prania należało do obowiązków Agnes, odkąd sześć lat temu ukończyła szkołę.

W gruncie rzeczy sprawowanie pieczy nad małym domkiem dawało Agnes dużo przyjemności. Chociaż znajdował się bardzo blisko fabryki, stanowił jednak coś odrębnego, wyróżniał się z otoczenia, bo

praca w nim miała inny charakter. W nawale zajęć wyczekiwała wyjazdu gości z domku, gdyż wtedy siadywała w nim przy oknie w sypialni z widokiem na ulicę, biegnącą bystro w dół aż do głównej arterii, którą wyznaczał kościół św. Dominika i znajdujący się za nim kościół św. Anny. Jej wzrok wędrował ponad kominami, by uchwycić przelotnie błysk rzeki przebijający spomiędzy rojących się na niej barek, statków i łodzi.

Były to dla Agnes jedyne chwile wytchnienia od zajmowania się sklepem i umieszczonym nad nim domem. Tutaj zwykła rozmyślać i ciągle zagłębiać się w sobie, by dociec, cóż to przyszłość chowa dla niej w zanadrzu. Miała dwadzieścia dwa lata. Wszystkie jej koleżanki ze szkoły wyszły już za mąż. Czy ona kiedykolwiek znajdzie męża? Powątpiewała w to. Z pewnością nie będzie to nikt taki jak Pete lub Henry. O, nie, nigdy nie wybrałaby Henry'ego Stalworta, chyba że nie miałyby już naprawdę za co żyć. No więc, jak skończy? Czy będzie taka jak panny Cardings, trzy stare panny, które mają za trafiką sklep z kapeluszami? Albo jak Christine Hardy, która pracuje w znajdującej się przy końcu ulicy eleganckiej piekarni swego ojca? Christine była już po trzydziestce i często się śmiała. Według Agnes, za często. Miało to prawdopodobnie związek z Emmanuelem Steenem, szewcem, który ma zakład pomiędzy sklepem panien Cardings a piekarnią. Skończył już dawno czterdziestkę, ale najwyraźniej nie potrzebował kobiety, gdyż sam wykonywał wszystkie prace w domu nad zakładem i jadał większość posiłków poza domem. Po okolicy krążyła plotka, że Christine uganiała się za nim dopóty, aż on sam zaczął się nią interesować. Czynił to jednak w sposób odbiegający od jej oczekiwań.

Mieszkali przy krótkiej ulicy biegnącej pod górę. Po jej prawej stronie znajdowały się cztery sklepy, a po przeciwnej - jednolita tylna ściana składu towarów. Stamtąd prowadziła droga do kolejnej ruchliwej ulicy, przy której piętrzył się wysoki mur z cegły zaopatrzony w dwie żelazne bramy, mniej więcej na początku ulicy Wiosennej. Oddzielały ją one od alei wiodącej do okazałego domu, również z czerwonej cegły.

Słyszając uwagi matki Agnes na temat tego domu i jego mieszkańców, ojciec zwykł mawiać: - Kto by się przejmował tymi ludźmi? Trzymaj się swojej klasy i społeczności, w której się

wychowałaś. I czyż można znaleźć lepszych ludzi jak na Wiosennej? - dodawał. - W sklepie spożywczym i dwóch innych, znajdziesz wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia. - I miał na myśli właśnie swoje sklepy, które, jak sądził, służyły tak bogatym, jak i biednym.

Gdy Agnes kiedyś zażartowała: - A kto dostarcza mięso i całą resztę garderoby, poza kapeluszami i butami? - ojciec skwitował jej uwagi w typowy dla niego sposób: - Masz cięty język. Uważaj, kiedyś się skaleczysz!

Po chwili dodał: - W każdym razie, my wszyscy na Wiosennej zarabiamy wystarczająco dobrze, by pójść gdzieś indziej i kupić sobie mięso i ubranie. - I tu sięgał po dobrze znany Agnes argument: - Czyż nie ubierałem i żywiłem was dobrze przez całe lata?

Tego Agnes nie negowała. Ostatnio coraz częściej zastanawiała się, rozmyślając przy oknie w sypialni i spoglądając na rzekę, czy rzeczywiście tylko mięsa i ubrania potrzeba człowiekowi do życia. Czy ciężka codzienna praca służy tylko temu? Z pewnością - nie. Czego jednak więcej pragnęła? Czego oczekiwała?

Denerwowała się nieraz, że nie potrafiła lub nie chciała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Czasami wydawało jej się, że najbardziej potrzebuje czasu - czasu dla siebie, by pomyśleć, poczytać, poznać życie innych ludzi, dowiedzieć się, jak radzą sobie z problemami, jak zachowują się w obliczu tragedii, a także jak walczą o środki do życia i... jak radzą sobie z miłością. Tak, miłość była częstym tematem jej rozmyślań. Z lektur wyniosła przeświadczenie, że wielkie namiętności mężczyzn i kobiet, ekstaza miłości, kończy się często tragicznie. Była prawie pewna, że wielka miłość zawsze musi być okupiona wielką ofiarą. Być może jej błąd polegał na tym, że czytała nieodpowiednie książki. Może, jak jej matka, powinna czytać gazety dla kobiet, chociażby takie jak „Kobiety Świat”, tygodnik „Kobieta” lub „Kobiety Dziennik”. Wtedy, zapewne, byłaby spokojna, że wszelkie przeciwności losu kończą się z chwilą ślubu i wtedy kochający się mężczyzna i kobieta żyją długo i szczęśliwie. Tak myślała mając szesnaście lat, po skończeniu pensji, ale później, dojrzała, wkroczyła w domowe życie i uświadomiła sobie, że małżeństwo to jedno wielkie pasmo jednostajności i nudy, w którym dwoje ludzi wiezie razem na

pozór szczęśliwe życie, choć naprawdę nie mają oni ze sobą wiele wspólnego, czego ewidentnym przykładem byli jej rodzice. Oni nigdy się nie zgadzali, choć nigdy też się nie kłócili, nie bawiły ich te same rzeczy, także wydarzenia w okolicy i w kraju nie wywierały na nich podobnego wrażenia. Często zastanawiała się, co dzieje się w ich sypialni w nocy. Czy było w nich jeszcze uczucie i ciepło? Próbowwała nawet odmalować w myślach obraz ich wspólnej nocy, ale potrafiła sobie jedynie wyobrazić dwie zastygłe mumie, leżące obok siebie, nie trzymające się nawet za ręce, zasypiające nie wypowiedziawszy nawet grzecznościowej formułki „dobranoc”.

- Czemu tak wystajesz przy oknie?

Agnes, trochę przestraszona niespodziewanym pytaniem, pospieszyła do matki stojącej w drzwiach kuchni.

- Ja... ja tylko tak sobie myślałam...

- Myślałaś? Czy ostatnio nie za często ci się to zdarza? Jakim cudem udaje ci się pogodzić to z pracą na dole?

O czym to myślałaś z takim napięciem?

Alice Conway prawie wpadła z powrotem do kuchni, gdy jej córka odwróciła się na pięcie i krzyknęła do niej:

- Pewnie cię to zdziwi, ale myślałam właśnie o tobie, ojcu, o tym domu i o sklepie. I o życiu, zastanawiając się, czy jest sens zajmować się tym wszystkim.

Widziała, jak matka przygląda dłońią włosy, bierze głęboki oddech. - No proszę, co za napad złego humoru! Ciekawa jestem, z jakiego powodu.

- Nie, to nie są żadne humory, jak to nazywasz, i nie ma także żadnych nagłych powodów. Od dłuższego już czasu nachodzą mnie takie myśli, ale nikt tego nie zauważał.

- No, cóż - Alice poszła otworzyć piekarnik, schyliła się, by wyjąć brytfannę i postawić ją na stole. W końcu powiedziała: - Jeżeli tak jest naprawdę, sądzę, że czas, byś wydała się za męża.

- Tak, wiedziałam, że to powiesz. Przypuszczam, że myślisz o panu Stalworcie...

- Szukaj dłużej, a może być dużo gorzej.

- No i tak zrobię, ale nie może być już dużo gorzej.

- Nie wiesz, dziewczyno, co mówisz! Czego ty oczekujesz? Masz dwadzieścia dwa lata i...

- No, powiedz to, mamó, powiedz! Nie jestem pięknócią i nie mam zalet Jessie.

- Sama to powiedziałaś! Nie możesz wybierać i przebierać. To nie to, że jesteś pospolitą dziewczyną, ale twoją wadą jest twój stosunek do mężczyzn - odwróciła się gwałtownie do Agnes i wykrzyknęła: - Czego oczekujesz? Trzeba brać, co się da i korzystać z tego! Henry Stalwort jest bogaty, ma dziesięć razy więcej niż twój ojciec! Nie jest jedynie właścicielem składu towarów, lecz wielu innych obiektów rozsianych po całym mieście. Jego dwie córki wkrótce opuszczą dom. Mężczyznę w jego wieku łatwo jest pokierować, jeśli ma się choć odrobinę rozsądku. Gdyby tak było w twoim przypadku, dawno już byś była jego żoną i mieszkała w Jesmond. Na co ty czekasz? Potrafisz mi na to odpowiedzieć?

Agnes wpatrywała się w matkę. Czowała, że opuściły ją siły, nie targały nią już namiętności. Ogarniała ją tylko chęć pustego śmiechu, i prawie roześmiała się matce w oczy, mówiąc: - O, tak. Wiem, czego chcę w tej chwili. Zjeść coś i pójść na dół, bo wiesz, że ojciec dzisiaj idzie do klubu.

Alice wzięła łyżkę wazową, by nalać gulaszu na talerz, lecz zawahała się przez moment, patrząc na córkę ostrym wzrokiem i mówiąc: - Nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? Niech Bóg ci dopomoże, kiedy się dowiesz!

Dokończyła nalewania i pchnęła po stole do Agnes talerz z gulaszem z baraniny i kluskami i już miała zanurzyć łyżkę ponownie w naczyniu, gdy Agnes odezwała się bezceremonialnie: - Jaka to szkoda, mamó, że nie jesteś wdową. Mogłabyś wtedy sama wyjść za drogiego Henry'ego.

Łyżka wpadła w gulasz tak gwałtownie, że sos znalazł się na białym obrusie. Alice, zupełnie zbita z tropu, prawie jękając się, wykrzyknęła: - Co ty mówisz! Co za straszne rzeczy!

Rzuciła łyżkę na stół, co było niesłychane, i wybiegła z pokoju. Agnes patrzyła na zatrzaśnięte ze złością drzwi i myślała, że to, co powiedziała, musiało mieć w jakiś sposób związek z sytuacją w domu.

Ale o co tu chodziło?

Wpatrywała się w dymiący talerz. Nie miała wcale ochoty jeść, ale wiedziała, że musi; jeśli straci choć jeden kilogram, upodobni się do kija od szczotki. Zastanawiała się, dlaczego nie ma obfitego biustu ani krągłych bioder, jak inne dwudziestodwuletnie dziewczęta czy kobiety. Wystarczyło tylko spojrzeć na osiemnastoletnią Jessie, by się przekonać, że jej tego wszystkiego nie brakuje.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich jej siostra, jakby sprowadzona przez myśli Agnes.

- Mama jest rozgniewana. Co się stało?

- Nic. Tylko rozmawiałyśmy.

- Tak? Sprzecząc się lub kłócąc. Jest w salonie, znowu szydełko poszło w ruch. Zawsze tak się zachowuje, gdy jest zdenerwowana. Dziwne, prawda?

O mój Boże! - spojrzała na naczynie - Gulasz barani i kluski! Trzy gorące posiłki na dzień. Przytyję!

- Jak tam w szkole?

- O, nie pytaj! Nigdy nie będę prawdziwą sekretarką, Aggie. Mam chyba kapustę zamiast głowy!

- Nie wygłupiaj się!

- Mówię serio. Po prostu nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić. Masz pojęcie, co to jest stenografia? Nie wyobrażam sobie życia przy maszynie do pisania i wystukiwania: „Szanowny Panie! Zgodnie z zamówieniem, przesyłam do buduaru pańskiej żony dwadzieścia beczek solonych śledzi. Prosimy o zwrot umytych beczek”.

Agnes odłożyła widelec i nóż, po czym, odwróciwszy od stołu głowę, zaczęła się śmiać. Jessie także zanosila się śmiechem.

- Nie masz pojęcia, jakie listy potrafią niektóre z dziewczyn ułożyć, czasem całkiem nieprzyzwoite! Jakby ojciec je usłyszał, wyrwałby mnie z tej szkoły szybciej niż mnie w niej umieścił, mówię ci... - Jej śmiech zgasł i powiedziała: - Wiele bym dała, by opuścić to miejsce na dobre, Aggie. I to szybko!

- I co byś zrobiła? Wróciła do sklepu?

- Nie, na pewno nie. Wyszłabym za męża.

Na te słowa Agnes powtórnie przerwała jedzenie.

- Jessie, posłuchaj - powiedziała - Posłuchaj mnie uważnie. Czy ciągle spotykasz tego Robbiego Feltona?

- Nie otrzymawszy odpowiedzi, mówiła dalej, lecz słowa zaczynały jej się plątać. - Oszalałaś! Nie wolno ci tego robić! Ojciec nigdy go nie zaakceptuje. Wpadnie w szal! Znasz Feltonów. To najbardziej podejrzana i nieokrzesana rodzina w okolicy. Jeden z nich właśnie wyszedł z więzienia. Kobiety w tej rodzinie są takie same!

- Robbie jest inny. Zresztą oni wszyscy nie są aż tak źli. Nawet całkiem w porządku; zyskują przy bliższym poznaniu.

- Czy bywałaś u nich, u jego rodziny?

- Nie, tylko...poznałam jego dwóch braci. Rozmawiałam z nimi i byli całkiem mili. Mówią z silnym akcentem, ale są mili. Byli też przyzwoicie ubrani.

- Nie bądź naiwna! Oczywiście, że nie są niedbale ubrani, a to po to, by robić najróżniejsze interesy, nie zawsze czyste. Czy często się z nim widzisz?

- O tak! Kiedy tylko mogę. Nie patrz tak na mnie! Aggie, ja... ja go lubię. Nawet więcej, kocham go. I on też mnie kocha, wiem to. Kocha, kocha!

- Boże! - Agnes ukryła twarz w dłoniach i powiedziała oschle: - Powiedział ci to?

- No... niezupełnie... Ale ja to wiem. I zawsze czeka na mnie.

- Czeka na ciebie?! Kiedy? Kiedy on może czekać na ciebie? Przecież ojciec prawie zawsze przyprowadza cię ze szkoły.

- Robbie spotyka się ze mną, gdy mamy przerwę na obiad. Och, Aggie, on jest inny... Gdybyś go tylko poznała i... on mógł porozmawiać z tobą... Nie jest wcale nieokrzesany. Jest... jest silny i ma poczucie humoru.

- Poczucie humoru? Dziewczyno! Jak można mówić o poczuciu humoru Feltonów! Oni zawsze muszą się z kimś bić. Gdzie się nie udasz, wszędzie jest o nich głośno. Nielegalne walki psów, rękoczynny, kradzieże, hazard. Och, Jessie! Czy ze wszystkich ludzi na świecie nie mogłaś sobie wybrać kogoś lepszego niż ten Felton? Mówię ci, ojciec tego nie ścierpi! Zabije go!

Jessie wstała od stołu, ale nie odeszła od niego, tylko oparła ręce i

pochyliła się nad Agnes. Wyszeptała:

- Ojciec musi wreszcie zrozumieć, że sama chcę kierować swoim losem. Nie jestem lalką z porcelany i nikt nie będzie mnie niańczył!

Przez moment Agnes wpatrywała się w zamyśleniu w urodziwą twarz siostry, później pokiwała głową, mówiąc: - To go bardzo zaskoczy. Nie chciałabym być przy tym, jak wyjawisz mu swoje poglądy, jeśli w ogóle się na to zdobędziesz...

Jessie wyprostowała się. Odpowiedziała: - Być może, że będę zmuszona, a jak już to zrobię, po prostu odejdę.

Agnes, stojąc po drugiej stronie stołu, przerażona położyła ręce na ramionach siostry i krzyknęła do niej:

- Nie rób tego, Jessie! Nigdy! Słyszysz mnie? Ojciec nie będzie w stanie nad sobą zapanować! Nie uciekniesz przed nim! Dopadnie cię wszędzie i słono za to zapłacisz! Tak, jakbyś go nie znała i nie wiedziała, co kryje się za jego wesołym obliczem. Spędzam z nim więcej czasu niż ktokolwiek inny, a naprawdę go nie znam. Wiem tylko jedno: jedyną osobą, na której mu zależy, jesteś ty. - Agnes odwróciła się od siostry i dodała smutnym głosem: - Ja liczę się tylko dlatego, że dużo mu pomagam, i to wszystko. Nie wiem też, jakimi uczuciami darzy matkę - szybko się odwróciła do Jessie. - ale wiem naprawdę, co czuje do ciebie. Tak więc, błagam cię, Jessie, nie postępuj pochopnie. Wiesz, że z twoim wdziękiem możesz zdobyć każdego mężczyznę, ale ty uparłaś się na tego Feltona! Mogę tylko dodać, że modlę się, aby był to tylko twój kaprys i aby ci to przeszło. W każdym razie - zerknęła na swój nie skończony posiłek i zmarszczyła nos - muszę zejść jeszcze na dół, a ty posprzątaj jak zjesz, idź do matki i zobacz, czy da się przyglądzić jej nastroszone piórka. Wiesz, z nią też nie poszłoby łatwo. Umarłaby ze wstydu, gdyby się dowiedziała, że spojrziałaś na któregoś z Feltonów. Nie mówiąc o okazywaniu mu uczuć. Ojej! - machnęła ręką, opuściła kuchnię i gdy znalazła się na półpiętrze, znowu się zatrzymała, ale tylko na chwilę, by spojrzeć na pusty, podobnie jak jej myśli, sufit. - Dobry Boże! Nie pozwól, żeby coś z tego wyszło.



Ojciec już wyszedł do klubu. Matka skończyła szydełkowanie,



siedziała w salonie i studiowała katalog z firanami, chcąc po raz kolejny zmienić wygląd okien. Była zdecydowanie przeciwko jakiegokolwiek wzorowi przypominającemu koronkę z Nottingham. Tym razem spodobały się jej draperie z palemkami, jak Jessie wyjawiała Agnes przed chwilą na zapleczu.

W ciągu ostatnich kilku godzin dzwonek u drzwi sklepu pobrzękiwał co chwilę; większość klientów miała do załatwienia drobne sprawunki. Niektórzy stali teraz przed wystawą i zachwycali się wyeksponowanymi na niej świątecznymi towarami, spowitymi barwnymi serpentynami i oświetlonymi umieszczonymi na bocznej ścianie sklepu dwiema gazowymi latarenkami, które połyskiwały ślicznymi różowymi szklanymi kloszami i rozpraszały ciepłe światło do wewnątrz i na twarze zgromadzonych na zewnątrz.

Znowu zadźwięczał dzwonek; drzwi cicho trzasnęły. Weszło dwoje klientów, jedno w wieku lat sześciu, drugie

- około czterech.

- O, dzień dobry, Bobbie. Dzień dobry, Mary Ann. Co to będzie dzisiaj? Tygrysie oczka?

- Nie. Dzisiaj oboje mamy pieniążki!

- Tak? Od mamy? - zapytała ze zdziwieniem.

- Nie, od naszego lokatora... mamy teraz lokatora.

- O... - Agnes pokiwała głową i pomyślała, że lepiej, by ich ojciec go nie zastał, gdy wróci do domu z podróży. Jakoś ich matka nie może się nauczyć, biedactwo...

Przeszła za główną ladą do uchylnej klapy, tworzącej przejście do sklepu, oparła się o nią na łokciach i popatrzyła na tych klientów pojawiających się co tydzień. Zapytała: - Cóż więc to ma być?

- Jeszcze nie wiemy.

- Chcecie się trochę rozejrzeć?

- Aha. Kokosowe kostki są po dwa pensy, tak?

- Tak, ale nie sądzę, żeby było dobrze wydać na nie całe pieniądze. Są przecież chrupki kokosowe. Możecie kupić ich trochę za pensa.

Chłopiec obrócił do Agnes umorusaną buzię i powiedział bez emocji: - Za pół pensa.

- Już się robi - odpowiedziała Agnes, unosząc brwi.

Znowu przeszła kilka kroków za ladą, wzięła pudełko cukrowanych karmelków i już miała nabrać odpowiednią ilość, gdy znowu odezwał się dzwonek. Na widok dwojga nowych klientów jej ręka zawisała na moment w powietrzu z małą mosiężną miarką, gotową do wsypania na wagę mikroskopijnej ilości kokosowych chrupek. Po stroju mężczyzny i kobiety rozpoznała natychmiast, że byli nie tylko obcy w tych stronach, ale także pochodzili z wyższej sfery. Jeśli nie wyczytałaby tego z ich wyglądu, zdradziłby ich ton głosu, gdy powiedzieli jedno po drugim „dobry wieczór”.

- Dobry wieczór - potrząsnęła miarką i słodczyce powędrowały na wagę i, choć wskazówka wykazała dużo więcej niż żadaną ilość, wzięła papierową torebkę, dmuchnęła w nią i wsypała do niej wszystko. - Już podchodzę

- powiedziała do nowych klientów.

- Nie ma pośpiechu - odparł mężczyzna.

- Ona chce czekoladowych toffi.

- No cóż... - zerknęła na swoich stałych klientów i na nowych, którzy sprawiali wrażenie zainteresowanych rozwojem sytuacji. - No cóż, nie będzie to wiele czekoladowych toffi za pół pensa. Twoja siostra zawsze lubiła tygrysie oczka...

- Chcesz tygrysie oczka?

Widząc skinienie małej główki, Agnes zapytała chłopca: - Za pensa, czy za pół?

- Za pół.

Powiedział to w taki sposób i obdarzył ją takim spojrzeniem, że poczuła się, jakby nie miała pojęcia o swojej pracy, bo przecież nigdy nie kupowali tygrysich oczek za pensa.

Pospiesznie odważyła tygrysie oczka i spojrzawszy na nowych klientów, powiedziała: - Przepraszam.

- Nie ma za co, doprawdy. - Tym razem odpowiedziała młoda kobieta dźwięcznym głosem, jakby miała się za chwilę roześmiać

Agnes zajęła się ponownie swoimi małymi klientami:

- No, wydaliście pensa. Czego jeszcze sobie życzycie? Możecie dostać dwie mordoklejki za pensa. Często je kupujecie. Ona lubi też

serduszka, są także ciągnące paluszki. - Chłopiec nie zwrócił na jej zabiegi najmniejszej uwagi, lecz skierował wzrok na spoczywające na półkach słoje. Powiedział: - Kwaskowe dropsy.

Tym razem Agnes nie popełniła błędu i nie zapytała klienta o kwotę, jaką zamierza wydać na dropsy. Sięgnęła po słoje, potrząsnęła nim, wsypała trochę cukierków na wagę, nałożyła szklaną przykrywkę, odstawiła naczynie na miejsce, znowu dmuchnęła w torebkę i zgarnęła do niej słodycze. Spojrzawszy po raz kolejny na chłopca, powiedziała energicznie: - No już, zdecyduj się, Bobbie. Wiem, że masz dzisiaj do zrealizowania poważne zamówienie, ale ci państwo czekają na obsłużenie.

- Owocowe toffi.

Agnes pomyślała dokładnie to samo. Okrążyła znowu ladę i znalazła się przy wsuniętym pod nią wąskim stoliczku z tacami i ukruszyła mosiężnym młotkiem rozek bloku toffi. Zapakowała cztery kawałki w gazetę, także wziętą z tacy; nie zapomniała też o okruchach. Wytarła ręce w wilgotny ręcznik, który odłożyła z powrotem na tacę.

Gdy położyła paczuszkę przy pozostałych trzech torebkach, napotkała poważny wzrok chłopca, który powiedział oskarżającym głosem: - Pani tego nie zważyła.

- Tak, Bobbie. Ale gdybym zważyła, nie dostałbyś nawet połowy tego, co tam jest. No, a teraz zabieraj swoje zakupy i uciekaj.

Zgarnęła torebki i pchnęła je do chłopca. Ten wręczając jej z ociąganiem dwa pensy, powiedział uprzejmie:

- Dziękuję pani bardzo. Do zobaczenia za tydzień, mam nadzieję.

Mężczyzna pospiesznie otworzył drzwi dwojgu mocno obładowanym małym klientom. Potem, rozbawiony, spojrzał na Agnes i rzekł: - To była ciekawa scenka. Zupełnie jak w teatrze.

- Mnie bardziej przypomina to pantomimę, proszę pana. Odgrywana jest co tydzień, przeważnie w piątki, kiedy dostają kieszonkowe. A czym państwu mogę służyć?

Odezwała się teraz młoda dama: - Z pewnością pani nie pamięta, ja sama ledwo... Wiele lat temu mój dziadek przyprowadził mnie do tego sklepu. I było to też w Boże Narodzenie. Miał zamiar kupić sobie cygara w sklepie obok, ale gdy zobaczyłam te cukrowe myszki w oknie, nie

chciałam odejść, aż nie dostanę kilku. Pamiętam, że kupił mi dwanaście. Przypominam sobie też, że nie zjadłam ani jednej, wszystkie powiesiłam na choince. Na wystawie był także kot z cukru i czekolady, taki jak ten teraz; oczywiście, nie ten sam - zaśmiała się. - Było mnóstwo różnych zwierząt, był i pies.

- O tak, pies! - Agnes roześmiała się promiennie.

- Nasza foremka połamała się i później nie mogliśmy ich robić.

Nie było też specjalnego zainteresowania tymi psami, koty także nie są często kupowane. Najbardziej wszystkim, to znaczy dzieciom, podobają się myszki.

- Mam teraz troje dzieci i pomyślałam, że ucieszyłyby je myszki na choince i czekoladowy kot.

- Ile pani sobie życzy?

Agnes dyskretnie przyglądała się pulchnej, statecznej pani, która zerknęła na młodego pana, sądząc z wyglądu mniej więcej w tym samym wieku co żona.

- Powiedziałabym, dwa tuziny. Ta moja zgraja nie je, a pożera. Dorośli też nie odmówią sobie od czasu do czasu cukrowej myszki. Ale czy nie zepsuję pani wystawy?

- Nie, nie, absolutnie. Mamy ich jeszcze dużo, ale kotów... niezbyt wiele. Ile chciałaby pani kotów?

- Może sześć? - Zerknęła na swego towarzysza, który odpowiedział: - Tak, sześć.

- Proszę chwilkę poczekać. - Agnes udała się śpiesznie na zaplecze, włożyła dwa tuziny cukrowych myszek do eleganckiego pudełka i sześć czekoladowych kotów do drugiego. Kiedy pojawiła się znowu w sklepie, oboje westchnęli z zachwytu, a młoda kobieta powiedziała:

- Jakie ładne pudełka, Charles! Naprawdę urocze. Czyż nie, Charles?

- Tak, jak najbardziej - uśmiechnął się do Agnes.

- Czy możemy prosić jeszcze trochę toffi?

- Naturalnie. Jakie? Mam orzech włoski, melasę, z polewą czekoladową, i oczywiście, jabłecznik - tutaj wszyscy się zaśmiali, a kobieta powiedziała: - Wiem, Charles, że weźmiesz orzechowe.

- Tak, proszę orzechowe. Ja też wiem, jakie ty wybierzesz... czekoladowe - znowu się roześmiali.

- Ile państwo sobie życzą? Pakujemy je w pudełka po ćwierć i po pół kilograma.

- Może obu po ćwierć kilo.

- Nie wystarczy to na długo, gdy Reg i Henry się do nich dobiorą. Lepiej kupmy od razu po pół kilo.

- Faktycznie, zupełnie o nich zapomniałem - spoglądali sobie w oczy i śmiali się. Zupełnie jakby byli sami, pomyślała Agnes. Wyglądali na takich szczęśliwych. Czy Reg i Henry to ich dzieci?

W tym sklepie wyglądali, jakby byli z zupełnie innego świata. Agnes zwróciła uwagę na strój kobiety. Miała na sobie płaszcz z doskonałej tkaniny, z ogromnym futrzanym kołnierzem i kapturem. Jej rękawiczki też były przyozdobione futrem. Długie, błyszczące brązowe kozaki, nie pantofle - jak zauważyła - wyglądały na wygodne i często używane.

Pudełka były już wypełnione toffi i przewiązane czerwonym sznurkiem. Agnes sprawdziła na głos rachunek:

- Dwa tuziny myszek po pensie, dwa szylingi, proszę pana. Sześć kotów po trzy pensy, to szyling i sześć pensów. Pół kilo orzechowych toffi, osiem pensów, i pół kilo czekoladowych, to szyling. - Podniosła głowę dodając: - czekoladowe są droższe. Razem pięć szylingów i dwa pensy, proszę.

Mężczyzna położył monety na ladzie i dodał:

- Otrzymaliśmy coś więcej, nie same słodycze. Zakupy w pani sklepie były dla nas prawdziwą przyjemnością. Za nic nie odmówiłbym sobie bycia świadkiem tej scenki z pani młodymi klientami. Z pewnością ich też pani zadowolila. Ten kawaler sprawiał wrażenie, jakby się znał na rzeczy. Sądzę, że nie będzie miał trudności w życiu.

- Życzę mu tego - odpowiedziała Agnes, nie okazując swoich wątpliwości, wynikających ze znajomości rodziny Bobbiego Wilmore'a. Niczym nie różniła się ona od innych zamieszkujących przy ulicy, dochodzącej u stóp wzgórza do głównej arterii miasta. Stamtąd pochodziła większość klienteli tego ich sklepu.

- Do widzenia. Wesołych świąt!

- Wzajemnie - uprzejmie podziękowała spojrzeniem obojgu.

Mężczyzna otworzył drzwi i poczekał, aż żona pierwsza opuści sklep. Wychodząc, skinął w progu głową i uśmiechnął się do miłej sprzedawczynie, a Agnes odpowiedziała uśmiechem.

Jaka to była sympatyczna para... Doprawdy, zupełnie jakby z innego świata - szczęśliwego i beztroskiego... Sposób, w jaki zwracali się do siebie, jeszcze bardziej to uwidaczniał. Mieli troje dzieci. Ona nie mogła być wiele starsza od Agnes; miała ze dwadzieścia pięć lat? A on? Mniej więcej tyle samo, może trochę więcej? Oboje tak dobrze się prezentowali, on szczególnie. Jego żona miała lekkie tendencje do tycia, ale nie wyglądała źle, a wręcz było jej z tym do twarzy; sprawiała wrażenie promiennej, szczęśliwej osoby. Tak, to słowo powracało uporczywie, gdy o nich myślała. Czego ona sama pragnie? Czy właśnie takiego szczęścia? Ale gdzie ma go szukać? Jednego była pewna: nie na Wiosennej.

Jej ojciec stwierdził kiedyś, wypowiadając się na temat klas społecznych, że nawet gdyby wszyscy chodzili nago, z łatwością można by odróżnić arystokratę od prostego człowieka po jego rozkazującym głosie i wyniosłości. Jeśli chodzi o tę parę, Agnes nie zauważyła żadnej z tych cech, choć dobrze wiedziała, że ojciec się nie mylił. Była przekonana, że nie spotka już tych ludzi, że będzie obracać się wśród takich, jak Bobbie Wilmore; malców, dorosłych, starszych, ich żon i matek. Miała dziś do czynienia z pokaźną liczbą kobiet z tej sfery. Zastanawiały się i wybierały tanie drobiazgi na święta, a o ich powściągliwości w podejmowaniu decyzji świadczył pełen magazyn i nie naruszona wystawa; żelazną zasadą ojca było, by nie ruszać jej aż do dnia poprzedzającego Wigilię.

Za dziesięć dziewiąta postanowiła zamknąć sklep. Arthur Peeble, ze sklepu obok, miał w zwyczaju zaciągać żaluzje punktualnie o dziewiątej. Przynajmniej od piętnastu minut żaden klient nie pojawił się w sklepie ze słodyczami, zniknęły też dzieci sprzed okna wystawowego. Agnes wyszła więc na zewnątrz i gdy ciągnęła żaluzje, usłyszała: - A co ty robisz?

Wstrząsnął nią nagły dreszcz, gdy spojrzała na ojca.

- Aleś mnie przestraszył! Co się stało? Dlaczego wróciłeś tak

wcześnie? Jeszcze nie ma dziewiątej.

- Wiem, a ty zamykasz wcześniej, tak? Daj, sam to zrobię. - Zamocował kłódkę, przekręcił klucz i rzekł:

- Idź do środka. Można tu przemarznąć na kość. Powie człowiek słowo, a para zamarza mu w ustach.

W sklepie, gdy drzwi były już zamknięte i żaluzje zaciągnięte, Agnes spytała znowu: - Co sprowadza cię tak wcześniej? Jeszcze nigdy nie wróciłeś przed dziesiątą. Wyciągnęli cię siłą z klubu, czy co?

- Nie, moja droga. Po prostu znudził mi się ten gwar. Poza tym, pomyślałem, że może przydam się tutaj. Miałem też ochotę napić się czegoś gorącego, zachciało mi się jeść. Chyba za mało zjadłem przed wyjściem. A jak szedł interes?

- O, jak zwykle... Ale zajrzała dzisiaj nie znana mi para, wiesz... ziemianie - zmarszczyła brwi. - Wydali aż pięć szylingów i dwa pensy.

- Naprawdę? Nie tak mało...

- To więcej niż jednodniowy utarg.

- Tak tylko żartowałem, to rzeczywiście dużo. Jeszcze jedno, czy zrobiłaś listę zamówień na jutro?

- Tak, leży tam - wskazała na kasę.

Poszedł i zerknął na listę. - Dlaczego znowu chcesz ciągnące paluszki? - spytał.

- Zostało już tylko jedno pudełko, a one przecież zawsze dobrze sprzedają się w zimie. Jak wszystko z lukrecją.

- Trzy tuziny różnych cukierków! Mam nadzieję, że uda ci się to wszystko sprzedać... Masz przecież jeszcze dwa pudełka. Ja bym nie ryzykował. Sorbetowe kostki, serduszka, galaretki. O tak, galaretki pójdą. Setki i tysiące... O! Pastyłki z prawoślazu. Pamiętasz, że w zeszłym roku w ogóle nie szły?

- Ale w końcu je sprzedaliśmy.

- Karmelkowe laski. A co z cukierkami? Nie sądzę, by można je było długo przechowywać. Także kostki sor-betowe, na pewno nie zimą... W każdym razie, nie aż tyle, nie trzy pudełka!

- Mogłeś sam zrobić tę listę, jeżeli wszystko ci się nie podoba.

- O, tak się nie mówi do ojca. Co cię ugryzło?

- To raczej ciebie coś ugryzło. Zawsze robiłam listę i nigdy nie

miałeś tylu zastrzeżeń. Poza tym, ja spędzam tutaj więcej czasu i wiem doskonale, co idzie, a co nie. To, co mówię, powinno ci wystarczyć, a jeśli nie, znajdź sobie kogoś lepszego.

Odwróciła się do wyjścia, lecz on nie dawał za wygraną. - Czekaj, czekaj! Co to ma znaczyć?

- Nic, ojcie. Ale co jest z tobą? O co tobie chodzi? Gdybym miała być dociekliwa, powiedziałabym, że coś cię gryzie. Dlaczego wróciłeś tak wcześnie? Nigdy ci się to nie zdarzało, przynajmniej od dłuższego czasu. Nauczyłam się jednak nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, więc nie będę nalegać...

- Czyżby? Jeśli już mówimy o popadaniu w nastroje, ty sama byłaś w ciągu ostatnich miesięcy rekordzistką... Rozmawialiśmy o twoich planach małżeńskich. Powiedz mi, jeśli nie chcesz wyjść za męża, co masz zamiar robić? - Niespodziewanie przymknął oczy i zaciśnięte pięści oparł o ladę - Na litość boską, Aggie! Nie mam pojęcia, o czym myślisz, ale nie odchodź! Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Mam tyle rzeczy na głowie, ale jestem spokojny, bo mam ciebie i wiem, że mogę na ciebie liczyć. Wiem, że wszystko jest w porządku. Pamiętaj, ten sklep to nasz chleb powszedni, on nas żywi. Więc nie odchodź! Poza tym - spojrzał jej głęboko w oczy - co byś sama zrobiła? Gdzie byś poszła, jeśli nie masz zamiaru szukać schronienia u jakiegoś mężczyzny?

Nie spieszyła się z odpowiedzią. Popatrzyła na niego spokojnie przez chwilę, zanim rzekła: - A... to dlatego... Myślisz, że zostanę tu na zawsze, prawda, tato? Ale mylisz się. Nie miałabym problemu ze znalezieniem sobie odpowiedniego miejsca. Pamiętasz, panna Carter dawała mi posadę nauczycielki. Ciągle nie jest na to za późno. Mam tylko dwadzieścia dwa lata. Mogłabym też zarządzać czymś sklepem; doświadczenia mi nie brakuje. Och, tato - zacisnęła usta - powtarzanie, że nie poradziłbyś sobie beze mnie, niczego nie rozwiązuje. Dobranoc.

Odeszła spiesznym krokiem na zaplecze, on podążył za nią. Już miało dojść do kolejnej konfrontacji, ale oto drzwi prowadzące na podwórze otworzyły się i ukazała się w nich Jessie, widoczna dzięki oświetleniu gazowej latarni.

Ujrzawszy ojca, była równie zaskoczona jak on sam na jej widok. Był zaskoczony, widząc ją wracającą o tej porze i tylnymi drzwiami do



domu.

- Gdzie byłaś?

Weszła do środka, zamknęła drzwi na zasuwę, oparła się o nie i stała przez chwilę, patrząc na nich, lecz nic nie mówiąc. Potem zerknęła na siostrę i odparła: - Aggie poprosiła mnie, bym zaniósła do domku ręczniki dla nowych gości.

- O tej porze! Chyba zabrakło ci rozsądku! - wrzasnęła na Agnes. - Wiesz, ilu tędy w nocy przechodzi pijaków?! Stawiają tam aż do świtu swoje wózki z piwem. Poza tym, chyba zobowiązałaś się sama zajmować domkiem? A ty, moja panno, uciekaj na górę i nigdy więcej nie waż się wychodzić z domu po zmroku! Słyszysz?

- Tak, ojczy - Jessie prześlizgnęła się koło półek do korytarzyka, potem na schody. Jeszcze nie zniknęła z zasięgu ich wzroku, gdy Arthur Conway ze złością w głosie, zwrócił się do Agnes: - Co się z tobą dzieje? Wiesz dobrze, jak tam jest po zmroku! Nasze podwórze nie jest ogrodzone. Każdy może tam wejść, wszystkie typy spod ciemnej gwiazdy... Mogło jej się coś stać!

- O, skończ z tym!

Jego gotowa do wymierzenia policzka ręka nie zdążyła dotknąć jej twarzy. Odskoczyła, krzyząc: - No, zrób to! Zrób to jeszcze raz, a nie ujrysz mnie więcej w tym domu! Nie żartuję! Obiecuję ci! Słyszysz? Raz jeszcze zamierzysz się na mnie i koniec!

Ręka opadła mu bezradnie, zwiesił głowę, wziął głębszy oddech. Wymamrotał: - Na Boga! Co się z nami stało...

Nie zwróciwszy na jego słowa uwagi, Agnes bez wahania pokonała schody, przeszła przez kuchnię i korytarz. Nie pukając, wpadła do pokoju Jessie.

Jednak siostra uprzedziła jej wybuch gniewu. - Przepraszam, Aggie, przepraszam! Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie przypuszczałam, że wróci tak wcześnie...

Agnes podeszła do siostry i krzyknęła: - Ja też nie przypuszczałabym, że byłaś poza domem, z tym Feltonem! Wyobraź sobie tylko, co by było, gdyby się dowiedział!

- Och, Aggie! Dlatego... dlatego właśnie musiałam to powiedzieć... Byłam przerażona!

- Jeszcze niedawno byłaś taka nieustraszona, miałaś pokierować swoim życiem! Więc kieruj, ale miej odwagę działać otwarcie lub zapomnij o tym chłopaku! A dla waszego wspólnego dobra radzę ci, wybierz to drugie. I to szybko!

- Jak to powiedzieć... Nie mogę, Aggie. Nie mogę. A w końcu, nic takiego nie powiedziałam... To, że zniosłam te ręczniki...?

- Nie, nic, tylko chciał mnie uderzyć...

Jessie aż się cofnęła, jej oczy się gwałtownie rozszerzyły i w najwyższym zaskoczeniu jęknęła: - Nie, to niemożliwe.

- A jednak. Nie zrobił tego, bo przestraszył się mojej groźby, że odejdę. Gdyby mnie choć dotknął, nie zawahałabym się. Nie musiałabym długo się zastanawiać, co ze sobą zrobić, bo panny Cardings, tu obok, na pewno pozwoliłyby mi się u siebie na jakiś czas zatrzymać. Powinnaś wiedzieć, że nie po raz pierwszy pomyślałam o wyniesieniu się stąd - odwróciła głowę, jakby miała zamiar już teraz zrealizować swój zamysł, i przeszła do swojego pokoju. Tu rzuciła się w ubraniu na łóżko.

Szczęście. Szczęście... Znowu przypomniała sobie ową parę młodych ludzi i pomyślała: Na pewno można żyć inaczej. Na pewno. Mam chyba rozum, więc dlaczego mam go nie spożytkować dla dobra swego i innych ludzi? Tak, pragnę tylko zadowolenia z życia.

Po chwili usiadła i zaczęła powoli się rozbierać aż do stanika i halek i podkręciwszy gaz w lampie podeszła do umywalki i nalała do niej trochę wody z dzbanka.

Choć woda była lodowata, umyła dokładnie ręce aż do pach, potem twarz, szyję, dekolt i kark, po czym pozbyła się reszty bielizny i założyła muślinową koszulę nocną. Gdy znalazła się w łóżku, była już dobrze przemarznięta.

Zostawiła włączone światło, usiadła oparta na poduszkach i, okryta pościelą po samą brodę, wpatrywała się w zamyśleniu w przeciwległą ścianę. Mieszkała w tym pokoju odkąd skończyła sześć lat, lecz nie można było znaleźć tu niczego, co by do niej należało, miało dla niej jakieś specjalne znaczenie. Meble w odcieniu ciemnego orzecha wybrała jej matka. Była tu szafa, zabudowana marmurowa umywalka i łóżko z drewnianym wezgłowie. Firany, podobnie jak narzuta na łóżku i

dywan, także odpowiadały gustom matki. Pamiętała, że kiedyś wydawało jej się, że to taki ładny pokój, i cieszyła się, że ma dywan na podłodze, a nie tylko linoleum. Nie potrafiła jednak określić, kiedy zaczął ją drażnić ten pokój, meble, kolor dywanu, firany... ciągle zmieniające się firany.

Przez chwilę owładnęło nią uczucie niepokoju i powtarzała w myślach: muszę się stąd wydostać. Muszę, bo później już się nie uwolnię. Nie mogę już tego znieść. Jeśli odejdę, będzie musiał sprowadzić do sklepu Jessie. Czemu by nie? A co z matką? Tak, co z nią? Nie mogłaby zejść na dół i powiedzieć jej, co myśli? O nie, to byłoby poniżej jej godności. Zawsze sobie powtarzała, że nie jest jedynie dziewczyną ze sklepu i teraz też nie miała zamiaru nią zostać. Ale jej matce wcale nie przeszkadzało to, że jej starsza córka jest tylko sprzedawczynią.

Usłyszała, jak ktoś zamyka drzwi kuchni. Ojciec był już na górze i szedł do łóżka. Nie zdziwiła się nie usłyszawszy: „Dobranoc, Aggie; dobranoc, Jessie”. Zastanawiała się, czy powie matce, co się stało. Wątpiła. Zapewne już śpi. Musiała dość wcześnie udać się na spoczynek, skoro Jessie zdołała się wymknąć.

Zrobiło jej się niedobrze. Musiała napić się wody. Niechętnie wyszła z łóżka, szcękając zębami okryła się szlafrokiem. Otuliła starannie szyję kołnierzem, zapaliła świecę zdjętą ze świecznika przy nocnej szafce i wyszła cicho z pokoju, udając się przez kuchnię do pomieszczenia, gdzie zmywane były naczynia i gdzie znajdował się kran i płytki zlew z kamionki. Napelniwszy szklankę wodą usiadła i zaczęła wolno popijać. Niestety, przykre dolegliwości się nasilały. Poczowała skurcze w żołądku.

Wstała szepcząc: - Ojej, ojej! - Wiedziała, że będzie musiała pójść do łazienki w drugim końcu domu.

Była już u drzwi, gdy dobiegł ją głos ojca. Nie był jednak na tyle głośny, by mogła cokolwiek zrozumieć, ale przez cały jej pobyt w łazience rozbrzmiewał jednostajnie, wyjąwszy przerwy, kiedy, jak sądziła, mówiła matka. Po chwili, gdy poczuła się już lepiej, otworzyła drzwi, by po cichu się oddalić, lecz usłyszała głos ojca. Mimo woli stanęła, by posłuchać. - Te moje wieczory w klubie... Czyja to wina,

powiedz mi - mówił, a oczy Agnes rozszerzyły się ze zdziwienia. -  
Posłuchaj! Nie mam zamiaru dłużej spać na tym diabelnym wąskim  
łóżku. I jeśli chcesz, by łóżko wyglądało rano naturalnie, możesz sama  
wstać i je rozścielić. Jeśli jutro wieczorem nie będziesz chciała wpuścić  
mnie do tego łóżka, sama skończysz w pokoju obok!

Teraz dał się słyszeć wysoki, świdrujący głos matki:

- Zaczynaj swoje sztuczki, mój drogi, a pożałujesz. Obie dowiedzą  
się, kim naprawdę jest ich ojciec. Dowiedzą się o tym twoim  
kocmołuchu i o tym twoim „klubie”! Och, spróbuj jeszcze raz mi grozić,  
a nie pozbierasz się! Wiem, że jest ktoś, kto by tego nie wytrzymał.  
Odeszłyby! I co wtedy byś zrobił? Przecież to właśnie ona prowadzi  
interes, a nie ty! Chyba nie ma rozumu, że nie wychodzi za Stalworta.  
Rozłożyłaby cię na łopatki! Tak więc ostrzegam cię! Zbliź się, a robi  
się takie zamieszanie, że się nie połapiesz! Mogę cię zapewnić, że szok,  
jaki przeszłam, gdy po raz kolejny dowiedziałam się o tobie, będzie  
niczym, w porównaniu z ich reakcją!

Nastąpiła chwila ciszy. Agnes wyobrażała sobie, jak przeszywają  
się nawzajem wzrokiem pełnym wściekłości. Ojciec znowu zaczął: -  
Wiesz, kim jesteś, Alice? Jesteś suką! Próżną, głupią suką! Niczego  
dobrego nie da się o tobie powiedzieć. A już ponad wszystko jesteś  
złośliwa i chciwa! Szantażowałaś mnie przez te ostatnie sześć lat, a ja  
wydawałem na ciebie pieniądze! Ale to już koniec! Ja też mam coś w  
zanadrzu. Dobrze, wyjaw im wszystko, stań na głowie, by to zrobić! Ale  
powiem ci coś. Masz mnie z głowy. Nic do ciebie nie czuję i jest tak od  
wielu lat. Nie mam ochoty nawet cię tknąć. Nie zainteresowałabyś nawet  
wyposzczonego marynarza. Już w młodości byłaś zerem. Zapamiętaj  
sobie; nie jesteś godna stanąć przy tej kobiecie! Wiedz, że wróciłem dziś  
tak wcześnie dlatego, że ona jest w szpitalu. Dotrzymam jednak słowa;  
jutro będę spał w moim łóżku, a ty wyniesiesz się z tego pokoju! Jeśli  
nie, sam im powiem. Nie dam ci okazji zdradzić tajemnicy. Powiem im  
też, dlaczego musiałem znaleźć sobie inną kobietę i to, że ona jest dla  
mnie dobra. Tak jest, na Boga!

Matka wykrzyczała w odpowiedzi: - Dla ciebie, tak jak i dla kilku  
innych! To dziwka! Chciałabym, żebyś już dawno nie żył, Arthurze  
Conway! Ale w końcu, to już niedługo. Od dłuższego czasu masz te bóle

pod żebrem. Ale nie opuszczę cię aż do końca; wszystko, co zostawisz, będzie moje, co do pensa!

Zapanowała cisza. Agnes złapała się futryny i przycisnęła brodę mocno do piersi, lecz tylko na chwilę, bo znowu posłyszała, tym razem cichy, lecz zdecydowany, głos ojca. - To był twój błąd, Alice. Nie powinnaś była tego mówić. Nie powinnaś.

Usłyszawszy kroki blisko za drzwiami, uciekła korytarzem. Przechodząc koło kuchni, zgasła świecę. Powłokła się do swojego pokoju.

Gdy już się tam znalazła, niemal cisnęła świecę na nocną szafkę przy łóżku i opadła na kolana, chowając głowę w ramionach. Wybuch płaczu wstrząsnął jej ciałem. W jej uczuciach nie było jednak potępienia dla żadnego z rodziców, tylko głęboki, wszechogarniający smutek. Choć wiedziała, że oboje postępowali źle, nie potrafiła żadnemu przypisać winy. W żaden sposób. Była wtedy pewna tylko jednego; to, co usłyszała, związało ją z domem i sklepem tak jak dożywotni wyrok

## 2

Była Wigilia. Agnes prześladowała uporczywa myśl, że może w nocy, gdy szła do łazienki, mylił ją słuch. Rankiem ojciec pojawił się w kuchni w pogodnym nastroju i rzekł:

- Mam być w mieście około jedenastej, więc nie wiem, czy będę mógł przyjść do sklepu na przerwę obiadową. Dasz sobie radę? - Gdy w odpowiedzi obdarzyła go jedynie spojrzeniem, szybko dodał: - To było głupie pytanie, zawsze przecież dajesz sobie radę. Na razie będę w fabryce, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Praca w fabryce zaczyna przerastać naszego Tommy'ego. Betty Fowler powiedziała mi, że wczoraj mało co nie zrzucił na siebie formy z karmelem. Boję się, że będę musiał znaleźć kogoś innego.

Normalnie zaprotestowałyby, spytałaby rzeczowo: A gdzie on pójdzie? Jest już dobrze po siedemdziesiątce. Pracował tu przez całe życie, jeszcze z twoim ojcem. Masz zamiar dać mu emeryturę?

Dzisiaj jednak nic nie powiedziała. Z jego twarzy wyczytała, że ten brak reakcji z jej strony przypisuje ich wczorajszej kłótni na zapleczu.

I oto znowu dziś rano miał jakieś spotkanie w interesach, lecz najwyraźniej w jakiś sposób odmienne, bo przywdział swój najlepszy garnitur i melonik oraz czarny płaszcz. Jeszcze raz zapytał: - Dasz sobie radę podczas przerwy obiadowej?

Arthur Peeble ma czterdzieści pięć minut przerwy, Nan Henderson tylko pół godziny. Jeśli Agnes chciała coś zjeść, mogła się wymknąć na górę około dwunastej, by Nan mogła wyjść o wpół do pierwszej. Później, o pierwszej, zaczynała się przerwa Arthura Peeble'a i trwała do za piętnaście druga. Dzisiaj jednak poprosił o dodatkowe piętnaście minut. Ojciec obiecał, że wróci na czas i wtedy ją zastąpi.

Dzisiaj rano także Agnes poprosiła ojca: - Chciałabym mieć wolne dziś po południu. Chcę iść na zakupy.

Ojciec zgodził się i powiedział, że wróci o pierwszej.

- A co z podwyżką dla Nan? - dodała - Czy mam jej powiedzieć, że dostanie dziesięć szylingów więcej?

- Dziewięć i sześć pensów.

- Ja powiem jej dziesięć.

Zmierzyli się wzrokiem, a po chwili Agnes powiedziała: - Nan zasługuje na wyprawkę świąteczną za pięć pensów - ale wywołało to ostry sprzeciw ojca.

- Nie, na Boga! Nie będziemy znowu tego zaczynać! Dostanie jak zwykle za dwa i pół.

- Wobec tego dopłacę resztę z mojej pensji.

- Ani się waż!

- Wydaje mi się, że mogę robić z moimi pieniędzmi, co chcę...

- Jesteś dzisiaj w buntowniczym nastroju, nie sądzisz? To musi się skończyć, tak dłużej być nie może. Źle postąpiłem wczoraj wieczór, przepraszam. Ale dziwi mnie twoja postawa w stosunku do mnie - z tymi słowami odszedł.

Dopiero dziesięć po dwunastej Agnes znalazła się na górze. W

kuchni pachniały świąteczne potrawy i wypieki. Wielka taca wypełniona była mięsnymi pasztecikami, na stole leżało duże ciasto z nadzieniem z jajek i bekonu.

Matka, zajęta przy piecu, nie odwróciła się, by zobaczyć, kto wszedł, tylko powiedziała: - Muszę to podsmażyć. Możesz zjeść wątróbki z bekonem albo kawałek pasztetu z jajek i bekonu. Co chcesz.

- Zjem pasztet, dziękuję mamo.

Gdy usiadła przy stole, usłyszała: - Nie żałuj sobie, masz ręce pełne roboty.

Po tych słowach Agnes ukroiła mały kawałek z brzegu, a gdy jej matka odwróciła się i spojrzała na talerz, stwierdziła: - Nie pożywisz się tym specjalnie. Tak w ogóle, co się z tobą dzieje? W tym tygodniu prawie przestałaś jeść. Co więcej, prawie się już nie odzywasz. Dolega ci coś?

- Możliwe. I niewykluczone, że to z przepracowania. Jak ojciec wróci, mam wolne do wieczora.

- Tak? Czy masz zamiar zająć się wreszcie swoimi sprawami?

- Tak, mamo, ale jak przyjdzie na to czas.

- No tak, znowu...

Agnes przyjrzała się uważnie matce, kobiecie ukrywającej się wiecznie za maską pozorów. Kobiecie, która wygnała męża ze swojej sypialni i była winna tego, że musiał znaleźć sobie kochankę. Gdy usłyszała ich rozmowę, było jej ich żal. Ale teraz - ani odrobinę. Byli oboje samolubni i zapatrzeni siebie. Teraz wiedziała, że są siebie warci. Nie traktowała ich już jak swoich rodziców, lecz jak dwoje nienawidzących się nawzajem egoistów, prowadzących w ukryciu osobistą wojnę. Ale z nich dwojga to ojciec wydawał się mieć przewagę w odgrywaniu swojej roli, bo potrafił udawać wesołego, miłego człowieka, troskliwego męża i ojca. I był troskliwym ojcem... ale tylko dla jednej z córek...

Pomyślawszy tak, Agnes spytała: - Gdzie Jessie? - na co usłyszała odpowiedź: - Przyszła Mabel Aintree i razem wybrały się na zakupy. A i ja ją prosiłam, żeby kupiła parę rzeczy. Napijesz się herbaty czy kakao?

Zjadłszy pasztet i popiwszy herbatą, Agnes poszła do swojego pokoju i pozbyła się sklepowego stroju, składającego się z czarnej

sukienki z alpaki i białego fartuszka. Włożyła szarą dżersejową sukienkę i zeszła na dół.

Było dwadzieścia pięć po dwunastej. Powiedziała do Nan: - Już możesz iść. Zobacz, to twoja wypłata. Ojciec dołożył ci szylinga i sześć pensów.

- Och! Dziękuję, panno Conway. O, jak to dobrze! Jeszcze raz dziękuję.

- A to twój prezent na święta. - Wręczyła jej oddzielnie dwie monety po dwa i pół szylinga. - Jedna od mojego ojca, druga ode mnie.

Na ślicznej twarzy Nan zagościło wzruszenie, a do oczu napłynęły łzy: - O! Dziękuję panienko, dziękuję! To duża różnica. Panienska taka dla mnie dobra!

- O nie, sama na to zapracowałaś. Wiem, że twoja matka lubi maślane karmelki, daj jej to. - Podała jej małą paczkę, po czym wręczyła następną. - Wiem, że masz słabość do kokosowych kostek i pastylek z prawoślazu.

- Och, nie wiem, jak dziękować! Mama tak się ucieszy. Och! Brat i jego dwa brzdące przyjeżdżają jutro i naprawdę będzie miło. Zawsze przywozi jakąś butelczynę, wypijemy za panienskę. Tak, tak, musimy wznieść toast za panienskę.

- Dziękuję, Nan, ale teraz już uciekaj i wracaj na czas, jeśli nie chcesz zostać dziś wieczorem dłużej. Ja będę musiała iść do trafiki i zastąpić Arthura, jeśli ojciec się spóźni.

- Niech się panienska nie boi. Będę punktualnie. Jeszcze raz dziękuję. O tak, szczególnie za podwyżkę. To wielka różnica!

Widząc radość wybiegającej ze sklepu dziewczyny, Agnes pomyślała: szyling i sześć pensów na tydzień, taka różnica... Dlaczego Nan miała tylko pół godziny wychodnego na obiad, a ten obok - czterdzieści pięć minut? Drażniło ją to i nie mogła się z tym pogodzić, podobnie jak z dysproporcjami w zarobkach mężczyzn i kobiet. Przypuszczała jednak, że dzieje się tak na całym świecie. Na szczęście nie miała zbytnio czasu myśleć o tych rzeczach, bo wtedy może rozżłościłoby ją to na tyle, by przyłączyć się do sufrażystek. Gdyby tylko miała okazję, ze swoimi poglądami stałaby się na pewno jedną z nich.

O Boże! Dlaczego tak się smuci? Ale czy powinna chcieć znać



powód? Tak, czy rzeczywiście powinna?



Ojciec Agnes nie pojawił się o umówionej porze. Arthur Peeble wszedł do sklepu ze słodyczami przez drzwi łączące oba sklepy i powiedział delikatnie: - Panno Conway, już pierwsza... muszę iść.

- Przyjdę za chwileczkę, jak tylko wróci Nan. Nie mogę zostawić sklepu.

Nie odpowiedział, tylko wycofał się do trafiki, a Agnes znowu zajęła się klientem. Nan wpadła w pośpiechu, zdejmując płaszcz i kapelusz, roześmiana spojrzała na zegar i powiedziała: - Prawie co do minuty.

Agnes kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Gdy Nan była już za ladą, szepnęła do niej: - Jego Lordowska Mość już przypomniał mi, która jest godzina. Muszę teraz iść i zastąpić go, aż przyjdzie ojciec.

- Och, nie przystoi przecież, by Jego Wysokość czekał - zaśmiała się Nan.

Agnes umyła ręce w stojącej na ławce misce, wytarła je, przygładziła włosy i poprawiła kokardę z tyłu sukni. Poszła na zaplecze.

Arthur Peeble stał już w płaszczu, z kapeluszem w ręku. Przeszła przez magazyn do trafiki. Arthur nie omieszkał powiedzieć: - Zapewne nie będzie dużego ruchu do mojego powrotu, z uwagi na porę obiadu. Ale wie panna, gdzie co jest.

- Mam nadzieję, że tak. Jeśli nie, i tak sobie poradzę.

Obdarzył ją lodowatym spojrzeniem, włożył kapelusz i opuścił sklep. Pomyślała przez chwilę, jak ten człowiek działa jej na nerwy. Była ciekawa, jakim tonem mówi do żony i dzieci. Najprawdopodobniej tak samo rzeczowo i oschle. Innego nie potrafiła go sobie wyobrazić.

Wnętrze trafiki było dobrze przemyślane i zaplanowane. Puste pudełka po cygarach, pogrupowane pod napisami: „Hawana”, „angielskie”, „amerykańskie”, wypełniały witrynę. Były tam też pudełka egipskich, tureckich, a nawet amerykańskich papierosów. Czy te droższe gatunki są faktycznie do kupienia, pewności nie było. Ale wystawa mówiła co innego...

W sklepie znajdowała się przeszklona gablotka z najróżniejszymi

fajkami, cygarniczkami, skórzanymi woreczkami na tytoń i innymi rekwizytami niezbędnymi dla palacza. Na poczesnym miejscu, na stojaczku, spoczywała aksamitna czapeczka z pomponikiem. Były też różne gatunki tytoniu - Wirginia ciemny, Wirginia jasny, Złoty Śnieg, Miodowa Rosa. Ten ostatni cieszył się dużym powodzeniem, a sklep miał go sporo na składzie w opakowaniach różnej wielkości. Były także mieszanki po ćwierć kilo i mniej, nazywane Kawaleria Extra Special, Lekkość i Aromat. Oczywiście, jedynie kapitanowie czy poważni ludzie interesu mogli sobie pozwolić na mieszankę za sześć szylingów i sześć pensów na Wiosennej. Natomiast klientela szlacheckiego pochodzenia zaopatrywała się w innych trafikach w mieście, w tych z tradycjami, chociaż tytoń przez nie oferowany nie był inny niż ten tutaj, bo ojciec Agnes również sprowadzał towar ze składów Harrodsa w Londynie. Współpraca z tą firmą była nader korzystna, bo kluby, kasyna i sklepikarze otrzymywali towar po najniższej cenie. Oczywiście, najwyżej cenili sobie klientów podpisujących kontrakty na duże sumy, ale ojciec zapewne już dawno temu wypracował sobie dobrą pozycję, bo choć zamawiał niewielkie ilości, robił to systematycznie. W każdym razie, otrzymywał zawsze korzystne warunki.

Pierwszym klientem, który pojawił się po wyjściu Arthura Peeble'a, był młody mężczyzna.

- Dwie paczki Woodbinesów, proszę.

Agnes dała mu dwie paczki po pięć papierosów, przyjęła cztery pensy, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dziękuję bardzo.

- Dziękuję. Wesołych świąt.

- Nawzajem.

Następnie przyszedł klient, najwyraźniej stały, bo zaczął od słów: - Nieczęsto widuję pannę tutaj.

Agnes odrzekła: - Rzeczywiście. Dziś zastępuję ojca. Sądzę, że wróci lada chwila. Czym mogę służyć?

- O, to, co zwykle. Dwie uncje Złotych Płatków na wagę.

- Dwie uncje Złotych Płatków na wagę - powtórzyła.

Po chwili wahania odwróciła się i spojrzała na rząd wąskich szufladek. Znalazła odpowiednią etykietkę i odważyła dwie uncje

tytoniu.

- Mam ochotę sprawić sobie coś jeszcze na święta. Czy jest Pawie Oczko? - odezwał się klient.

- Tak, sądzę, że tak. Ile pan sobie życzy?

- Tyle samo, tyle samo, dwie uncje. O ile się nie mylę, będzie pół pensa tańszy.

- Tak, ma pan rację. Pawie Oczko kosztuje tylko siedem pensów. Płatki - siedem i pół.

- Tak myślałem.

Tytoń był już odważony i nasypany do dwóch metalowych pudełek, które Agnes podała przez ladę. - Należy się szyling i dwa i pół pensa, prawda, moja panno?

- Tak, proszę pana - odparła - szyling, dwa pensy i pół.

Wziął swoje pudełka i nachyliwszy się do Agnes, powiedział: - Miło być obsłużonym przez taką ładną osóbkę. Ten gość, który tu pracuje, jest dosyć sztywny. Ten młody, nie ten, który wygląda na zarządcę.

- On jest właścicielem, a nie zarządcą. To mój ojciec.

- O, tak, tak. Miłego dnia i wesołych świąt.

- Nawzajem, proszę pana.

Po jego wyjściu przez jakiś czas nikt się nie pojawił. W końcu otworzyły się drzwi i wszedł młody mężczyzna, który wczoraj kupił myszki i toffi. Miał ze sobą skórzaną walizkę. Podszedł prosto do lady, przyjrzał się Agnes uważnie i powiedział: - Może... Może się mylę... Czy ma pani siostrę bliźniaczkę?

Uśmiechnęła się szczerze, potrząsając głową. - Nie, nie myli się pan. Ale nie mam siostry bliźniaczki. Tak się składa, że to ja miałam wczoraj przyjemność obsłużyć pana i żonę w sklepie ze słodyczami.

- O, czy to właśnie pani?

- Tak. Oba sklepy należą do nas.

- Tak? No proszę! Przyszedłem kupić jeszcze trochę tych myszek. Moja siostra popełniła błąd i pokazała je dzieciom. Po chwili już ich nie było. Jako że wybierałem się do miasta, poprosiła mnie, bym wstąpił i kupił jeszcze trochę. Więc - wskazał na walizkę - kupiłem tu obok tuzin.

Nie powiedziawszy nic, zerknęła na niego. Powiedział: siostra. Nie są więc małżeństwem...

Mężczyzna znowu uśmiechnął się do Agnes, powtarzając: - Myślałem, że to przywidzenie, że dwoi mi się w oczach lub, jak powiedziałem, że pracują tu bliźniaczki.

Kiedy przerwał, zapytała: - A czym teraz mogę służyć, spośród papierosów, tytoniu? - Obrócił się i spojrział na okno. - Przechodząc zauważyłem pudełko ha-wańskich cygar... Exceptionales. Pomyślałem, że przydałoby mi się kilka.

- O - Agnes zagryzła usta - prawie wszystkie pudełka na wystawie są puste i nie wiem, niestety, czy w tej chwili mamy na składzie cygara tego gatunku. Widzi pan, przeważnie mój ojciec zajmuje się trafiką. Mam nadzieję, że wróci lada chwila. Niemniej jednak, poszukam. - Zajrzała do szafki wypełnionej pudełkami i po chwili odpowiedziała:

- Nie, niestety nie - przerwała - niezupełnie te, ale mamy inne o tej nazwie, ze słowem Chicas, Exceptionales Chicas. Są tańsze.

Odeszła od szafki i zerknęła na listę cen, umieszczoną tak nisko za wystawową gablotką, aby klienci jej nie widzieli. Szybko spojrzawszy, wiedziała, że pudełko mieszczące sto tych cygar kosztuje trzydzieści sześć szylingów i sześć pensów. Ich doskonalszy rodzaj, o który pytał klient, kosztował pięćdziesiąt cztery szylingi i sześć pensów. Paczka na próbę z pięcioma cygarami tej marki kosztowała trzy szylingi i sześć pensów, a tych tańszych, tylko szylinga i dziesięć pensów. Ale były to ceny obowiązujące w Londynie i nie mogła ich egzekwować tutaj. Zwykle pojedyncze cygaro kosztowało u nich trzy i pół, cztery pensy.

Agnes usłyszała głos klienta: - Wezmę, co jest. Kupuję je dla ojca, nie dla siebie, a zmiana na pewno zaostry jego apetyt - ale mówiąc to, wątpił, czy Exceptionales Chicas, czy nawet droższe Exceptionales można porównać z jego ulubionymi Albeans, czy Invincibles.

Agnes odwróciła znowu do niego głowę i powiedziała wysokim głosem: - Mamy też kilka Dominicoes. - Nie wspomniała, że to także tylko próbka. - Może miałby pan ochotę spróbować?

- Nie, dziękuję. Chyba pozostanę przy tej pierwszej propozycji. Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu.

- Och, nic podobnego. Ale, rozumie pan... Mój ojciec jest lepiej obeznany z cygarami niż ja. Czy mogę czymś jeszcze panu służyć?

- Tak, chciałbym jeszcze kupić papierosy. Czy ma pani przypadkiem trochę Złotych Strzał?

- O tak, proszę pana. Mamy. Doskonalej jakości, długie.

- O, to dobrze. Ulubione mojego brata. - Przerwał na chwilę i uśmiechnął się. - To zadziwiające, jak różne ludzie mają gusta, jeśli chodzi o tytoń.

- Tak, jeśli by o tym pomyśleć, to tak. Ile pan by chciał?

- Jeżeli pani ma, paczkę z setką papierosów.

O! Ściągnęła usta. Sto naraz. Odwróciła się znowu i rzuciła okiem na pudełka. - Obawiam się, że z długich mam tylko pudełka po pięćdziesiąt, proszę pana. Ale są krótsze po sto.

- Wezmę więc te krótsze. A czy ma pani jakieś damskie papierosy?

- Damskie - przełknęła, zanim potrząsnęła głową.

- Niestety, nie.

Uśmiechnęła się w duchu, powstrzymując się od uwagi, że damy, które tu przychodzą, proszą przeważnie o machorkę do fajki.

- Uśmiechnęła się pani. Czy pomyślała pani o czymś zabawnym?

Zaśmiała się i odpowiedziała: - Pan chyba umie czytać w myślach. Tak, pomyślałam o czymś. Cóż, prosił pan o damskie papierosy... Widzi pan, niektóre damy lub kobiety palą, ale zazwyczaj proszą o Woodbinesy, nieliczne o Złoty Śnieg, ale zdecydowana większość kupuje machorkę do fajki.

Śmiał się teraz razem z Agnes. - Naprawdę?

- Tak, proszę pana. Starsze kobiety często jeszcze palą fajkę, przynajmniej kobiety z niższej klasy. Mówią mi, że to je uspokaja.

- A czy pani próbowała?

- Nie. Mam jeszcze czas.

Zaśmiali się znowu, gdy powiedział: - Jednak nie wezmę machorki. Na święta przyjeżdża, a raczej przylatuje do nas niezwykle ekscentryczna ciotka. Ona chyba przez całe życie lata od kraju do kraju, ale Boże Narodzenie zawsze spędza z nami. I dużo pali.

- Przykro mi, że nie mogę służyć panu papierosami dla niej. Nie

sądzę, iż odpowiadałby jej pośledni gatunek.

- Zawsze przywozi ze sobą odpowiednią ilość i, o ile się znam, jej papierosy są raczej eleganckie.

Teraz padło zaskakujące pytanie: - Czy pani zawsze pracowała w tych sklepach?

- Tak, cały czas od ukończenia szkoły, gdy miałam szesnaście lat.

- A czy sprawia to pani przyjemność?

Co za dziwne pytanie... Jej twarz spoważniała i powiedziała mu prawdę: - Z początku lubiłam to zajęcie, bo traktowałam je jak odmianę po szkole, ale ostatnio jest inaczej.

Dlaczego wobec obcego człowieka zdobyła się na taką szczerłość? Następane pytanie, które jej zadał, brzmiało:

- A czy jest coś innego, co chciałaby pani robić?

- Chyba tak.

- Ale nie jest pani pewna?

- Nie, nie. Jedno tylko wiem. Chciałabym wydostać się stąd, uwolnić, zobaczyć trochę świata. Jest tyle ciekawych rzeczy, o których nie mamy pojęcia...

- Tak, ma pani rację. Ale, bez względu na to, jak daleko i często podróżujemy, sądzę, że tak naprawdę nie wiemy nic o ludziach, których spotykamy, ani o ich krajach. Nie wiemy tyle, ile chcielibyśmy. To może być wielkie rozczarowanie.

Jego twarz była także poważna, gdy Agnes spojrzała na niego i odpowiedziała: - Tak, to możliwe. - I dodała:

- Czy... czy pan dużo podróżuje?

- Ciągle nie tyle, ile bym chciał.

Agnes odwróciła się słysząc, że zbliża się ktoś z zaplecza. Ojciec stanął koło niej.

- O, dobrze, że przyszedłeś. Może będziesz bardziej pomocny niż ja. Pan życzy sobie dobrych cygar.

- Czy chodzi panu o cygara? - Arthur Conway zapytał krzepkim głosem.

- Tak, ale sądzę, że ta młoda dama doskonale mnie obsłużyła.

- Co panu proponowała?

Arthur Conway uważnie patrzył na córkę, gdy ta opowiadała mu, co sprzedała klientowi. Gdy skończyła, rzekł równi krzepko: - No cóż, możemy panu zaproponować markę lub dwie w niczym nie ustępujące Exceptionales, przynajmniej według mnie. Muszę powiedzieć, sądząc po pańskim wyborze, że zna się pan na cygarach.

- Zbliżył się do mężczyzny i powiedział ściszym głosem, jakby zdradzając sekret: - Czy wie pan, że to jedno z najlepszych cygar sprzedawanych u Harrodsa w Londynie?

Zmiana w głosie młodego mężczyzny, gdy zwrócił się do jej ojca, wprawiła Agnes w zadziwienie. - O, naturalnie. Zazwyczaj udajemy się tam po zakupy, gdy jesteśmy w Londynie. Ich dom towarowy na parterze jest wprost niedościgniony.

Ojciec wyprostował się i po chwili wahania odparł:

- O tak, proszę pana. I na pewno rozpozna pan dobre cygaro, gdy je spróbuje.

- Nie palę cygar. To nałóg mojego ojca.

- Och, jest wiele gorszych nałogów, proszę pana, dużo gorszych.

Ojciec zaczynał popadać w zły nastrój, podobnie Agnes. Woląta, by przestał już mówić, ale on ciągnął:

- Współpracuję z Harrodsem od lat. O, tak, od lat. A wcześniej mój ojciec. Widzi pan, ten dom towarowy to cała historia. Sto lat albo więcej. Ja urodziłem się w tym domu, nad sklepem.

- To nadzwyczaj interesujące, nadzwyczaj.

Młody mężczyzna wpatrywał się w jej ojca. Wydawało się teraz Agnes, że to zupełnie inny człowiek niż ten sprzed kilku minut. Nie podobał jej się sposób, w jaki odnosił się do ojca, choć ten niepotrzebnie się przechwalał. Czyż mogło obchodzić tego człowieka, gdzie urodził się jej ojciec? W każdym razie, nie powiedział, że jej pradziadek otworzył sklep dzięki swojej niewolniczej pracy przy paleniu cukru na karmel i wyrobie domowych toffi w maleńkiej kuchni. Popyt na słodczyce sprawił, że jej pradziadek mógł kupić trafikę. Ludzie raczej nie chełpią się początkami, tylko osiągnięciami, i nigdy nie wspominają, że są one okupione czyimś wysiłkiem. W sumie, życie jej ojca było dzięki temu całkiem łatwe. Może za łatwe? Co gorsza, ojciec znowu pił; świadczył o tym jego oddech. Nie uszło to zapewne uwagi klienta.

Agnes powiedziała: - Proszę wybaczyć, ale muszę iść.

Spojrzała na mężczyznę, a on odwzajemnił spojrzenie, pochylił głowę i rzekł: - Dziękuję pani za pomoc.

Nie odpowiedział, wyszła ze sklepu prosto na górę do swego pokoju. Kipiała złością - nie tylko na ojca za przechwalanie się na temat sklepu, ale i na zachowanie tego młodego człowieka. Jeszcze nie spotkała nikogo o tak zmiennym sposobie bycia.

Umyła twarz i ręce, potem zwróciła uwagę na swe odbicie w lustrze na toaletce. Ujrzawszy swoją bladą twarz, zaczęła szczypać się w policzki, by je trochę zaróżowić. Potem założyła gruby płaszcz i mały brązowy kapelusz z filcu, wzięła torebkę i listę sprawunków. Zeszła na dół. Jeszcze nie widziała się z matką. Przez sklep ze słodyczami wyszła na ulicę, skinieniem głowy pożegnawszy obsługującą klientów Nan.

Mocny wiatr przygnał śnieg z deszczem. Wtuliła głowę w ramiona i przytrzymała kapelusz. Mijając dom panien Cardings, usłyszała głośnie pukanie we drzwi. Potem drzwi się otworzyły i Agnes ujrzała pannę Belle Cardings zapraszającą ją do środka. - Wejdz na chwilę, moja droga. Na momencik.

Gdy drzwi już zamknęły się za Agnes, pannie Belle niemal zabrakło tchu, by powiedzieć: - Wyglądałyśmy ciebie. Nie chciałam natknąć się na twojego ojca, bo powiedziałby, że znając twoją słabość, znowu chcemy sprzedać ci jakiś kapelusz.

Przeszła przez sklep pełen stojaków z najróżniejszymi kapeluszami. Przy ladzie stały: wysoka, szczupła panna Rene i filigranowa panna Florence. Figurę panny Belle można było uznać za nieco krągłą, więc choć były wszystkie po prostu chude, panna Belle miała powody, by ścisnąć się mocno gorsetem.

- Witamy, Agnes! - panna Florence zniżyła głos do szeptu. - Poczekaj tylko; zobaczysz coś niesamowitego.

- Cicho! Florence, Belle! Na nią może to nie pasować...

- Och, z pewnością będzie! - Belle roześmiała się szczerze, a Agnes, spoglądając to na jedną, to na drugą, powiedziała: - Więc nie jest to kapelusz?

- Kapelusz? Nie! Oczywiście, że nie - panna Rene machnęła ręką, jakby odsyłając na bok wszystkie kapelusze.



- Chodź, Agnes, chodź - odwróciła się i poprowadziła ją na tyły sklepu, do pracowni.

Było to pomieszczenie podobnej wielkości co magazyn sąsiadującego z pracownią kapeluszy sklepu ze słodyczami. Jednak, w przeciwieństwie do tamtego miejsca, nigdy nie gościł tu porządek. Kotłowały się tu jeszcze nie przyozdobione, nagie kształty kapeluszy rzeźbione z klejonki, pasma słomy, kawałki filcu, berety, sztuczne kwiaty, kłębki jedwabnych i aksamitnych wstążek w różnych barwach i szerokościach. Przy jednej ścianie znajdowała się przeszklona witryna, przy drugiej - ogromna mahoniowa trzydrzwiowa szafa, na drzwiach której umieszczone były lustra. To właśnie do tej szafy podeszła panna Rene, otworzyła drzwi i wydobyla z niej wieszak z suknią i płaszczem. Trzymając wieszak wysoko, drugą dłonią udrapowała suknię i płaszcz na wyciągniętej ręce, mówiąc: - Tylko popatrz, tylko na to popatrz, Agnes!

Agnes spojrzała na płaszcz i sukienkę w kolorze soczystej zieleni. Jej uwagę przyciągnął najpierw ten zadziwiający kolor. Panna Belle wykrzyknęła podekscytowana: - No, Rene, zdejmij płaszcz z wieszaka! Niech weźmie go w rękę. Niech mu się przyjrzy.

Agnes przykładała teraz płaszcz do siebie. Materiał wyglądał na ciężki, gruby jedwab. Był podszyty inną tkaniną, nieznacznie grubszą, w odcieniu głębokiego różu. Kolory te tworzyły uderzający kontrast. Niczego podobnego jeszcze nie widziała. I oto teraz trzymała suknię. Była zrobiona z tego samego materiału co płaszcz. Miała kwadratowe wycięcie na plecach i również kwadratowy dekolt, ozdobiony dużym kołnierzem z tkaniny, którym podszyty był płaszcz. Stanik sukni był prosty, karbowany do talii, gdzie na dwu szlufkach zwiisał piękny szkarłatny pasek z zamszu. Spódnica była prosta, poza delikatnym zmarszczeniem na dole.

- Jak ci się podoba? Co o tym sądzisz, Agnes?

Zerknęła na pannę Florence i potrząsnęła głową.

- Nigdy nie widziałam czegoś... takiego.

Kiedy przyglądała się siostrze, próbując dociec, dla której ten strój był uszyty, panna Rene zwróciła się do niej: - No, zdejmuj płaszcz i resztę i przymierzaj!

- Ja?! - głos niepomiernie zdziwionej Agnes przybrał wysoki ton,

a siostry spojrzały po sobie i zaśmiały się, każda we właściwy sobie sposób. Powtórzyły chórem: „Ja?”. Belle, spoglądając na Rene i Florence, powiedziała:

- A jak myślisz, kto to będzie nosił? Jedna z nas?
- Znowu zabrzmiał śmiech na trzy głosy.
- Ale... ale ja nie będę miała przecież okazji, by się w to kiedykolwiek ubrać...
- Może idąc do miasta?
- Co? - teraz Agnes szczerze się roześmiała. - Nie opędziłabym się od psów.

- O, tak! I od mężczyzn... Rozbieraj się!

Siostry Cardings zabrały się do dzieła, zdejmując Agnes kapelusz, płaszcz, odpinając na plecach sukienkę. Agnes, ciągle parskając śmiechem, powiedziała: - Dobrze, że wczoraj zmieniłam bieliznę.

- Największą zaletą tego stroju jest to, że w żaden sposób nie będziesz mogła włożyć pod tę suknię trzech halek.
- Nigdy nie zakładam trzech, tylko dwie.

Panna Rene natychmiast odpowiedziała: - Nawet dwóch! Jedna, i to cienka, wystarczy. I te twoje pantalony!

- Och, Rene! - wykrzyknęły siostry.

Kilka minut później, zasypana pochwałami i zachwytnymi trzech siostr, Agnes stanęła przed lustrem. Nie mogła wprost uwierzyć, że ta obca postać, to ona. Nigdy nie wyobrażała sobie siebie w takim stroju. Nie przypuszczała, jak może ją to zmienić.

Kupnem ubrań zawsze zajmowała się jej matka, a przynajmniej asystowała Agnes. Jej letnie sukienki były szare, niebieskie lub niebieskie w drobną kratkę; matka bardzo lubiła ten wzorek. Zimowe płaszcze były granatowe lub szare. W jej strojach nie pojawiały się tak piękne, delikatne, pulsujące życiem kolory, jak te - soczysta zieleń, głęboki róż i ten szkarłat paska...

Nagle wydało się Agnes, że w jednej chwili wszystko w pokoju zamarło. Gdy odwróciła się od lustra i stanęła przed podstarzałymi pannami, zobaczyła w ich oczach łzy. Oczy Agnes też zwilgotniały. Łamiącym się głosem powiedziała: - Piękne, naprawdę piękne... Ale gdzie ja bym to nosiła? Powiedzcie mi, gdzie?

- O, na pewno nadarzy się jakaś okazja - panna Rene spojrzała Agnes w oczy. - Masz piękne rysy, cudowne włosy, ale nie dbasz o siebie. To - musnęła kłapy płaszcza

- w końcu wydobyło na światło dzienne urodę, która w tobie drzemie. - Odwróciła się do sióstr. - A nie mówiłam? Powtarzałam setki razy. Jessie jest śliczna jak laleczka, ale jej urody nie da się porównać do Agnes. Już to dawno zauważyłam, prawda?

- Tak, prawda, kochanie. - Obie kiwnęły głową i po chwili panna Florence przemówiła: - Cicho! Od razu, jak tylko trafiło to w nasze ręce, moje droga, powiedziałam: „Wiem, komu w tym będzie dobrze. Ona ma taką samą figurę jak pani Bretton-Fawcett”. Prawda, Rene? Tak powiedziałam.

- Tak, prawda. Przyznaję, tak powiedziałaś. Ale co do figury, nie sądzę, by pani Bretton-Fawcett miała jakąkolwiek figurę, czy ona, czy Agnes. Obie są jak kije od szczotki.

- Och, Rene! Rene! - obie siostry próbowały wyglądać na zaszokowane w najwyższym stopniu, ale ich oczy podejrzenie połyskiwały. Panna Belle dodała: - Ona rzeczywiście ma rację, Agnes. Może nie masz najmodniejszej figury, za to dobrze wyglądasz. Jak ja to nazywam, masz odpowiedni sposób noszenia się. Wiesz, co mam na myśli?

- Wiem, co panna Belle chciałaby powiedzieć, ale panna Rene ma absolutną rację. Jestem chuda jak kij od szczotki.

- Masz doskonałą talię, kochanie. I niezłe ramiona. Co by nie mówić... kupiłabyś to?

- Czy kupiłabym? To pewnie kosztuje majątek! Ja...

Siostry spojrzęły po sobie ukradkiem i panna Florence, oglądając się na najstarszą z nich, rzekła: - Wytłumaczę jej wszystko, Rene. - Ale panna Rene, skarciwszy siostrę wzrokiem, spieszenie dodała: - Najpierw niech przymierzy ten brązowy flauszowy kapelusz i ten popielaty ze słomki. Możesz je przynieść, Florence?

Panna Florence wprost pofrunęła do magazynku i w mgnieniu oka powróciła, niosąc dostojnie dwa kapelusze. - Najpierw przymierz ten wełniany. To bardzo delikatny filc. Można go nosić wiosną i jesienią.

Agnes stała nieruchomo, gdy panna Rene nakładała jej kapelusz.

Ułożyła go lekko na bok i cofnąwszy się krok do tyłu, powiedziała: - Doskonale! Po prostu doskonale. Ale potrzebna jest jeszcze udrapowana taśma z zielonego jedwabiu, takiego jak to ubranie. Przymierzmy słomkowy!

Jak na ten rodzaj kapelusza, nie był zbyt duży. Ozdobiony był brązową aksamitką.

- O, tak jest ładnie! Lepiej. Nie sądzisz, Rene? Z tą aksamitką opadającą z tyłu po rondzie. Pamiętasz, Rene, obiecałaś, że nie pójdziesz na wystawę. Nigdy bym się nie zgodziła.

- I nie poszedł, czyż nie, siostró? I może wcale nie pójdzie. Zależy to teraz od Agnes i od tego, czy kupi ten kapelusz i całą resztę.

Agnes odwróciła się i znowu spojrzała w lustro. Naprawdę nie wierzyła własnym oczom. Jednak, im dłużej się sobie przypatrywała, tym bardziej była przekonana, że kupi ten kapelusz, może oba, i ten cudowny, cudowny strój.

Określiła się lekko i powiedziała śpiwnie: - Ale... ale ile to by kosztowało?

- Na pewno mniej niż jest wart. Przynajmniej suknia i płaszcz... Bo widzisz, to jest tak... Pani Bretton-Fawcett jest klientką, która szczególnie sobie nas ceni, bo zawsze potrafimy jej dogodzić. Kiedy latem wybiera się do Londynu, zamawia nawet cztery czy pięć kapeluszy. Szczególnie, gdy wybiera się na wyścigi. Może cię to zaskoczy, ale często arystokraci nie są takimi ludźmi, na jakich wyglądają. Mam na myśli pieniądze.

- Biedni jak myszy kościelne. Przynajmniej niektórzy

- Florence z przekonaniem kiwała głową.

- A już najtrudniej przychodzi im płacenie. Szczególnie tym najbardziej majątnym - zauważyła panna Belle.

- Już chyba tak musi być. - W głosie panny Rene pobrzmiwała lekka przestroga. - Zawsze mówię, że bogaci robią, co uważają, ale nie uważają, co robią, i my tu nie mamy nic do powiedzenia.

- A ja zawsze mówię, siostruniu, że powinnyśmy coś zrobić, jak nie chcą bulić za kapelusze.

Panna Rene zignorowała uwagę panny Belle i zwróciła się do Agnes: - Tak się złożyło, że pani Bretton-Fawcett miała do uregulowania

po prostu kosmiczne rachunki, a potrzebowała jeszcze wtedy jeden, czy dwa kapelusze tak dla siebie, jak i dla córki. Wybierała się na kilka tygodni do Londynu. Mają wysoko postawionych znajomych, wiesz, a najstarsza panna Bretton-Fawcett będzie wprowadzona do towarzystwa w przyszłym roku. W każdym razie, zapytała, czy nie przyjęłybyśmy części zapłaty w postaci garderoby. Zapewniała nas, że te rzeczy były noszone tylko kilka razy. Rozumiesz, ludziom z ich sfery nie wypada wiele razy pokazywać się w tym samym stroju, prawda Agnes?

Agnes nic nie odpowiedziała. Zamyśliła się. Ta kobieta nie powinna kupować rzeczy, na które nie może sobie pozwolić, szczególnie jeżeli to są kapelusze, które mają zapewnić ciężko pracującym siostrom Cardings utrzymanie.

Ale panna Rene ciągnęła: - I oto przyniosła nam ten strój - dotknęła rękawa - na próbę. Oczywiście, jest on o wiele mniej wart niż te wszystkie kapelusze, czy jej dług u nas. Ale powiedziała, że jeżeli uda się nam znaleźć kupca na takie rzeczy, wtedy mogłaby spłacić część długu...

- A nie dostałyśmy od niej ani pensa od dwóch lat, a może dłużej. Och, dłużej...

- Cicho, Belle!

- Jak tylko zobaczyłyśmy ten strój - kontynuowała panna Rene - byłyśmy pewne, że jest w najlepszym gatunku. Na pewno nie uda ci się w tym mieście znaleźć niczego równie doskonałego. Uszyty był w Londynie i jest to niepowtarzalny wzór. Z tyłu sukienki jest specjalna metka. Zobaczysz, jak zdejmiesz.

- Ile? - Agnes zapytała wprost. - Ile? - Już wiedziała, że kupi to bez względu na cenę. Że musi mieć ten strój. Może nigdy nie odważy się go założyć, chyba że w swoim pokoju, ale była zdecydowana go kupić.

- No, więc - Siostry spojrzały po sobie. Panna Belle i Florence kiwnęły głowami, patrząc na najstarszą siostrę, której zawsze oddawały głos. Panna Rene zwróciła się do Agnes: - Pani Bretton-Fawcett powiedziała, że na pewno dostaniemy pięć funtów, ale my wiemy, że nie możemy żądać tyle od kogoś stąd. Wyceniłyśmy ją na trzy.

Trzy funty... Musiałyby pracować na to przez okrągły miesiąc. Jej zimowy płaszcz, buty i kapelusz razem wzięte nie kosztowały tyle. Ale

jeśli miałyby to pochłonąć nawet jej dwumiesięczne wynagrodzenie, jej decyzja byłaby taka sama.

- Biorę to.

Siostry były nieco rozbawione. - Wiedziałyśmy, że temu się nie oprzesz. Wiedziałyśmy! - Florence aż nie mogła ustać w miejscu, pomagając Agnes zdjąć płaszcz. Jednak panna Belle zapytała trzeźwo: - A co z kapeluszami?

- Tak, co z kapeluszami? - Agnes udzieliła się wesołość sióstr - Biorę oba, ale musicie policzyć mniej, bo kupuję dwa naraz.

Beztrouski śmiech tętnił w pokoju, wypełniał sklep i nawet przenikał do trafiki, gdzie Arthur Peeble zachodził w głowę, czy te starsze dzierlatki powariowały, czy dobrały się do butelki o tak wczesnej porze, bo krążyły słuchy, że siostry Cardings przy obiedzie popijają wino. Ile w tym było prawdy, nie wiedział.

Wesołość powoli zgasła. Panie zajęły się składaniem sukni i płaszcza i już miały ułożyć je w pudełku wyściełanym bibułą, gdy Agnes spytała: - Jaki ona ma rozmiar butów? Nie mogę przecież włożyć do tego butów od łyżew.

Panna Belle i Florence nachyliły się do siebie, a panna Rene, próbując przyhamować ich wesołość, upomniała siostry: - Przestańcie parskać śmiechem! Zniszczycie ubranie.

Agnes była już rozbawiona do łez. Otarła oczy i powiedziała: - Muszę jeszcze wstąpić do kilku sklepów. Potem przyjdę po swój niecodzienny nabytek.

Założywszy płaszcz i kapelusz, zerknęła w lustro. Podniosła głowę i wskazała na swoje odbicie.

- To nie ja! Od tej chwili to nie jestem ja! - Odwracając się do sióstr, wykrzyknęła: - Nie powiedziałyście mi jeszcze, ile mam zapłacić za kapelusze.

- Och, piętnaście szylingów za oba. Ale musimy jeszcze je przyozdobić, by pasowały do reszty.

- O nie, nie, nie! Tak nie może być! Ten flauszowy kapelusz widziałam w zeszłym tygodniu na wystawie za dwanaście szylingów i sześć pensów, a... a słomkowe zawsze były drogie. I jeszcze do tego te całe metry wstążek!

- Bierzesz czy nie bierzesz? - panna Rene wyszła z magazynku, a dwie siostry powtarzały jak papużki:

- Bierzesz czy nie bierzesz? Bierzesz czy nie bierzesz?

U drzwi sklepu siostry otoczyły Agnes wianuszkami, a ona powiedziała poważnie: - Ogromnie wam dziękuję. Wiecie, kiedy wyszłam stamtąd - tu wskazała kciukiem sąsiedni sklep - nie więcej jak pół godziny temu, byłam bardzo przygnębiona. Życie wydawało mi się nic niewarte. Nie miałam żadnych perspektyw, pozostawała tylko monotonia szarych, nudnych dni. Ale wy, trzy kochane istoty, potrafiłyście to odmienić. Z tą piękną suknią i płaszczem wnieśliście coś nowego w moje życie. Nigdy wam jeszcze tego nie mówiłam, ale myślałam o tym wiele razy. Zawsze byliście dla mnie takie dobre. Jak byłam mała, przybiegałam do was, gdy było mi smutno i panna Belle przytulała mnie, panna Florence zabierała mnie na górę i dawała mleka i drożdżówkę, a panna Rene

- przerwała na chwilę i wskazała najstarszą z sióstr - panna Rene podarowała mi moją pierwszą książkę, zbiorek wierszy.

*Mała sierotka Andzia będzie mieszkać w naszym domu,  
Wszystkie prace robi i nie poskarży się nikomu.*

Ogarnięta nagłym wzruszeniem, Agnes ucałowała je. Potem otworzyła drzwi i spiesznie wyszła, a siostry Cardings stały nieruchomo. Spoważniały. Z ich twarzy znikł uśmiech, opadły je wspomnienia i refleksje. Myślały, jak by to było, gdyby same miały dziecko, takie jak mała Agnes, taką dorosłą córkę, jaką ona jest teraz.

Przemierzając ulicę, Agnes uświadomiła sobie, że postąpiła nietaktownie mówiąc, że nie ma przed nią przyszłości, bo przecież na co one mogły liczyć? Czy ich życie nie było też monotonne? Jednak nigdy tak o nich nie myślała. Zawsze pamiętała je uśmiechnięte i wesołe. Było ogólnie wiadomo, że dobrze jadały, wspierały teatr i koncerty w ratuszu w Newcastle. Dwie z nich razem miały każdego tygodnia wolny dzień, nie licząc niedziel. Albo panna Rene i panna Belle, albo panna Belle i

panna Florence, albo panna Florence i panna Rene, na zmiany. Wtedy zwiedzały muzea, robiły sobie wycieczki do Durham albo płynęły stateczkiem do Shields. Nie, ich życie z pewnością nie było nudne. I jakoś potrafiły, w mgnieniu oka, wygnać z niej tę nudę.

Wciąż jednak gnębiło ją jedno pytanie: kiedy ubierze się w ten precudowny komplet? Czy kiedykolwiek nadarzy się okazja do założenia go razem z kapeluszem ze słomki lub flauszu i z nowymi butami, które postanowiła kupić sama.

Czy choć jeden raz? Wątpiła. Trudno, nic przecież nie stało na przeszkodzie, by patrzyła na te rzeczy, dotykała ich i marzyła.



## *Część druga*

### *Rezydencja*

Pokój tonął w strugach światła, które wylewały się z dwóch niezwykle misternej roboty żelaznych ośmioramiennych żyrandoli na gaz. Jaśniały także cztery kandelabry, stojące na stole wokół srebrnej patery.

Przy długim stole siedziało siedem osób. Honorowe miejsce zajmował Hugh George Bellingham Farrier, pułkownik w stanie spoczynku z powodu ran odniesionych na wojnie. W drugim końcu siedziała Grace May Farrier, jego szacowna, wysoka, jasnowłosa małżonka. Miejsce po jej prawej stronie zajmował najstarszy syn, Reginald John Hugh Farrier, żywy portret ojca w młodości - ciemnowłosa, ciemnooki przystojny żołnierz. Choć miał dwadzieścia dziewięć lat, wyglądał na starszego. Z lewej strony siedział drugi syn, Henry George Farrier, zaledwie o rok młodszy od brata, świeżo upieczony pastor kościoła anglikańskiego. Nie dorównywał bratu wzrostem, a cerę odziedziczył po matce; podobnie jak jasne włosy i szare oczy. Z jego oczu i okrągłej twarzy biła wesołość i radość.

W końcu stołu zajmowanym przez pułkownika, po jego prawicy, siedziała córka Elaine; zupełne przeciwieństwo wyglądu matki - niska i pulchna. Nosiła nazwisko Dawson-Porter i była matką trójki dzieci.

Po lewej stronie ojca siedział najmłodszy syn, dwudziestopięcioletni Charles William Bellingham Farrier. Można o nim było powiedzieć, że jest średniego wzrostu lub nieco wyższy. Jego śniada cera i ciemnobrązowe oczy czyniły go na pierwszy rzut oka podobnym do najstarszego brata, jednakże o Reginaldzie można było powiedzieć, że jest przystojny, o Charlesie - że ma dobrą prezencję.

Pośrodku stołu, nie mając nikogo naprzeciw, siedziała starsza dama. Nikt z całej rodziny nie wiedział dokładnie, ile ma lat, a każdą próbę podania jej wieku przyjmowała z kamienną twarzą i nie przyznawała się do żadnej z proponowanych dat urodzin.

Esther Forester była przyrodnią siostrą pułkownika, zwaną w

rodzinie Nessay. Nikt też od lat nie widział jej prawdziwej twarzy, bo stale była mocno upudrowana i pokryta różem od czoła do miejsca, gdzie jej pomarszczona skóra zniknęła w staniku ognistoczerwonej wieczorowej sukni z aksamitu. Teraz właśnie groziła Charlesowi kościstą ręką, trzymając widelec z kawałkiem mięsa, i mówiła: - Dzieciak z ciebie. Nie masz najmniejszego pojęcia o kobietach, mój drogi Charlesie. Od wieków odgrywały ważną rolę za kulisami, a teraz wychodzą wreszcie na scenę. Zapamiętaj moje słowa, zapamiętaj.

Kiedy mięso z widelca spadło nagle na stół, wszyscy wybuchnęli śmiechem, a pułkownik powiedział: - Nessay! Co to za zachowanie!

- Cicho, Hughie! Od lat Grace miała władzę na tyłach. Jak byłeś z dala od domu z tymi ołowianymi żołnierzami, nikt inny, tylko ona miała pieczę nad tym domem i majątkiem. I kobiety w całym kraju robią to samo. Ba! Na całym świecie.

Wycelowwała teraz widelec w Elaine, mówiąc: - Spójrz na to dziecko, stworzone do produkowania dziecka co rok, jak maciora, choć z niej samej jeszcze dziecko...

- O, tak, tak, ciociu Nessay. Masz rację, najzupełniej. Ale, jak myślisz, co ja z tym mogę zrobić?

- Postaw się, dziewczyno. Postaw sprawę jasno! Daj mu warunek. Powiedz: nie, bo w przeciwnym razie...

Wypowiedź ciotki przerwał cichy, lecz zdecydowany głos Grace Farrier: - Nessay!

Ponownie dał się słyszeć śmiech, gdy starsza pani, innym już głosem, powiedziała: - No, już dobrze. Będę grzeczna, ale nie dlatego, że ty mi tak każesz, a dlatego, że nasz kochany Henry za chwilę spadnie z krzesła.

- Nic podobnego, ciociu Nessay - odezwał się młody pastor. - Chyba zapomniałaś, że słucham twoich spowiedzi...

- O rety! Tak, Kościół! Dlaczego, na Boga, nie pojechałeś do Rzymu?

- Może i w końcu pojedę. Nigdy nic nie wiadomo. Mógłbym dalej się kształcić...

- Kształcenie! Tak to nazywacie... Mój Boże, gdybyś tylko wiedział, co się wyprawia tam na górze!

- Skoro nie wiem, nie mów mi, ciociu Nessay. Chciałbym...
- Henry, przestań! Jesteś taki sam jak ona!

Henry spojrzał na matkę i uśmiechnął się. - Tak, mam?

- Im szybciej wrócisz do Paryża, Nessay, tym lepiej dla nas wszystkich.

Pułkownik kiwał głową, patrząc na swoją przyrodnią siostrę. Odpowiedziała: - Dobrze, już dobrze, sztyw-niaki. Wracam jutro.

- Nie zrobisz tego! - Taka była nagła i równoczesna reakcja z różnych części stołu, a Charles kontynuował:

- Nie sądzisz, że już dosyć najeździłaś się po świecie? Może to już czas się osiedlić. Może tutaj?

- Co? W Anglii? Nie zamieszkałabym tu, nawet gdybym dostała połowę pałacu. Teraz, kiedy wrócę do Paryża, nie opuszczę go do śmierci, bo... daj mi wytłumaczyć - najpierw pogroziła palcem pułkownikowi, potem Reginaldowi - nadchodzi dzień, kiedy zniknie Francja i bardzo mało pozostanie z Anglii, jak i z reszty świata.

- O czym mówisz, Nessay? - To pytanie padło z ust Reginalda, a ona, przysuwając się do stołu, spojrzała na niego i powiedziała: - Dzieją się dziwne rzeczy. W Paryżu bywam w wielu domach i spotykam wielu ludzi, i mówię wam! Pod maską eleganckiej dyplomacji wije się wartki, ciemny strumień. Cesarz Wilhelm jest ambitny, a na angielskim tronie było już kilku głupków, którzy nie widzieli niczego oprócz czubka swojego nosa. Sprzedają swoje córki za granicę. A po co? By były królewskimi niewolnicami. Wiem, zaprzeczycie, ale taka jest prawda. Brakuje wam zaradności i fantazji. Tak! Każdemu z was. Wy też nie widzicie niczego poza czubkiem własnego nosa. Nie macie zamiaru zabrać się wreszcie z tego przeklętego kraju. Kiedy ostatni raz byliście za granicą?

- spoglądała na Grace.

- Byłam w Rzymie zeszłego roku, Nessay.

- Jak długo? Trzy tygodnie w hotelu, w którym roi się od niemieckich kelnerów. Połowa z nich to szpiedzy.

- Och, przestań, ciociu Nessay! - zdenerwował się Reginald. - Chyba naczytałaś się za dużo tych francuskich powieści sensacyjnych. Pełno jest książek o wywiadzie, szpiegach, zabójcach i rebeliantach.

Na moment zapadła cisza. Starsza pani znowu przemówiła: - Już zapomnieliście o wojnie Burów, chociaż Hughie ciągle nosi po niej pamiątkę w nodze. A jak myślicie, po co są tacy ludzie jak Reggie? - Wymierzyła w niego palec. - Nie po to, by bawili się w wojsko albo w orkiestrę w parku w niedzielne popołudnia. Szykują cię na wojnę. I ona niechybnie nadejdzie. O tak, nadejdzie. Chciwość musi przecież zostać zaspokojona. Turcję już poszarпали. Włochy nie krępują się żywić jej strzęgami. Tak, strzępy. Wzięli już Trypolis i wyspy. Dopiero co, w listopadzie, Grecy anektowali Kretę. Każdy ogląda się na cudze ziemie. Odnosi się to też do narodów i jednostek. Pamiętasz naszego dziadka, Hughie? Zabrał ludziom ziemię, która należała do nich od lat, wykupił farmę Hoopera i przyłatał ją do tych posiadłości. To ziemia, na której mieszkasz.

- To przeszłość, ciociu Nesy - odpowiedział Charles.
- Nasz rząd tworzą liberałowie. Ludziom jest dobrze jak nigdy dotąd. Zmiany widać z dnia na dzień.
- Liberalny rząd! - głos starszej pani brzmiał sarkastycznie. - Mięczaki! Mięczaki!
- Czy wolałabyś konserwatystów?
- Nie, z pewnością nie. To inne dranie. Sprzeciwiają się jakimkolwiek zmianom, bo za dużo by stracili. Tak jak Lansdowne z jego posiadłościami w Irlandii. Zrobił się prawdziwy kocioł i tylko czekajcie, aż wybuchnie. Konserwatyści żądni są władzy i, na Boga, dzięki ludziom z tej klasy, dojdą do niej, i to niedługo. Nad nimi samymi ktoś powinien zapanować, bo są jedynie bandą zdrajców. A ten Churchill, który był jednym z nich. Co on teraz robi? Przystąpił do liberałów i jest bardzo ważnym... pionkiem w gabinecie premiera. Pracuje pod nowym szyldem, między innymi filantropa. Jego ostatnim osiągnięciem są ulepszenia w więzieniach - odchyliła głowę i zaśmiała się. - Forsuje wprowadzenie ciężkich wyroków za kazirodztwo.
- Nesy! Nesy! Posłuchaj mnie choć przez chwilę!
- powiedziała Grace surowo. - To kolacja wigilijna. Nie zapominasz się? Nie jesteś w Hyde Parku ani na francuskim bulwarze czy w mansardzie pośród wygłodniałych paryskich artystów.
- A co ty o nich wiesz?

- Więcej, niż ci się wydaje, Nessy. Może zapomniałaś, ale spędziłam tam trzy lata mojej młodości.

- O, tak, tak - kiwała głową starsza pani, spoglądając po zgromadzonych przy stole. - W butach z krokodylowej skóry wędrująca ze szkoły do kościoła, ze szkoły do domu przez drzwi otwierane przez portiera, z... - przerwała, by dodać ze złośliwym uśmieszkiem - ale nigdy ze szkoły do Folies-Bergere, tak, Grace?

- Jeśli o to chodzi, też byś się zdziwiła, Nessy.

Starsza pani odchyliła się na bok, a przełożony służby,

George Banks, wziął jej talerz i podał go Patrickowi McCannowi, stojącemu tuż za nim. Potem położył przed nią wzięty z podręcznego stoliczka czysty talerz. Ona, zaś, spojrzawszy na talerz, powiedziała: - Mrożony pudding, Banks? Och, to mój ulubiony. Pamiętałeś.

Banks zaś taktownie odpowiedział: - Pani pamiętała, proszę pani.

- Potrafisz zatroszczyć się o innych, Grace - skinęła głową, oddając honor szwagierce. - I wypiję jeszcze kieliszek wina, Hughie - teraz zwróciła się do pułkownika.

- Wypiłaś już trzy.

- Czyżbyś racjonował wino?

- Nie, ale znając ciebie, jeżeli wypijesz za dużo, będziemy musieli cię zwięzać i zanieść do łóżka.

- Nikt mnie jeszcze nie musiał nieść do łóżka. O, nie, skłamałam. Niesiono mnie wiele razy.

Zachichotała, a Charles, ożywiony, zapytał: - Kto był twoim ostatnim towarzyszem, ciociu Nessy? To znaczy, jakiej był narodowości?

- Niech pomyślę - starsza pani zatopiła łyżkę w lodowym deserze, uniosła do ust i rozkoszowała się przez chwilę wybornym smakiem, po czym przełknęła i powiedziała: - Był Niemcem. Tak - w zamyśleniu muskała palcem brwi. - Tak, oczywiście. To był Niemiec. Niemcom jako kochankom brakuje fantazji. Nie trwało to długo.

Być może słysząc wysiłki służby przy powstrzymywaniu śmiechu, czy Charlesa i Reginalda dławiących się lub widząc Henry'ego ze spuszczoną głową, pułkownik czuł się zmuszony powiedzieć: - Jeśli nie potrafisz się zachować, odejdiesz od stołu, Nessy!

- Jeżeli zmusisz mnie do tego, Hughie, pójdę prosto do kuchni. Zawsze znajduję w kuchni kompana do rozmowy, a tam, wiem z doświadczenia, będę mile widziana. Czyż nie tak, Banks, McCann? - Odwróciła swoją wypacykowaną twarz i spojrzała na stojących z boku dwóch mężczyzn.

Odpowiedź George'a Banksa była bardzo znamienna dla jego charakteru i ogłady: - Wydaje mi się, że pani będzie zawsze mile widziana w każdym towarzystwie.

- No proszę, Hughie. Masz szczęście, że twój szef służby jest prawdziwym dyplomatą. Nikt nie potrafiłby dać takiej odpowiedzi - przeniosła wzrok na Charlesa.

- Kończąc odpowiedź: ze wszystkich narodowości i typów mężczyzn, jakich spotkałam, wszyscy mieli jakieś wady. Najbardziej przypadli mi do gustu Francuzi, bo tacy doskonali z nich kłamcy. Potrafią przekonać kobietę, że to właśnie ona jest jedyną wybranką ich serca. Tylko Francuz, ze wszystkich mężczyzn, których znałam, potrafił patrząc mi w oczy mówić, że jestem piękna. A czegoż więcej może pragnąć kobieta?

To nie wywołało śmiechu, którego oczekiwała.

Charles powiedział cicho: - Ja, jako Anglik, uważam, że ciocia jest nie tylko piękną kobietą, ale jest także inteligentna i ma doskonałe poczucie humoru. Jeżeli wybierałbym sobie towarzyszkę na całe życie, szukałbym kogoś podobnego do cioci.

Starsza pani milczała przez moment. Przełknęła ślinę, poruszyły się zmarszczki na jej dekolcie. Potem odpowiedziała powściągliwie: - Dziękuję, Charlesie.

Zapadła chwila ciszy, aż starsza pani, już normalnym głosem, zwróciła się do Grace: - Teraz posłuchaj, Grace. Kiedy kolacja się skończy, nie przyjmuję do wiadomości tych banialuk, że damy wychodzą, bo panowie chcą sami rozkoszować się cygarami i kieliszkiem porto. Ja zostaję, bo nie mogę się doczekać, kiedy zapalę papierosa. A znając wszystkie zasady panujące w tym domu, wiem, że nie pozwolisz mi palić w salonie. Tak więc, wybacz mi, ale dołączę do was później.

- My - odezwała się teraz Elaine - lepiej pójdziemy na górę i

pomożemy niani w zagnaniu do łóżek tej małej hordy. Na pewno aż rozsadza ich dzisiaj energia.

Gdy Grace Farrier wstała, natychmiast podnieśli się mężczyźni. Kilka minut później znalazła się w salonie, gdzie opadła z głębokim westchnieniem na fotel, zachodząc w głowę, jak długo tym razem ciocia Nessay zamierzała zostać. Zwykle były to dwa tygodnie, do Nowego Roku. Miała cichą nadzieję, że nie dłużej. Może nawet krócej, bo choć ciocia Nessay była taka kochana, to zawsze wносиła do ich spokojnego, ułożonego domu zmiany i wrażenie niepokoju. Zawsze też po jej odjeździe powrót do zwykłych, poczciwych obyczajów zajmował trochę czasu. Do starych, dobrych zwyczajów...



Pod wieczór pułkownik z żoną udali się do swoich pokoi, a Reginald i Henry grali w bilard. Charles i Elaine usiedli w salonie na dywanie przy kominku. Zwyczajowi temu hołdowali od dzieciństwa. Elaine siedziała jak mała dziewczynka, na zgiętych nogach. Charles obejmował rękami kolana, wsparłszy o nie brodę. Dla większej wygody oboje oparli się o fotel. Elaine wsparła głowę na łokciu i powiedziała: - Mówisz, że nie chcesz się ożenić. A co z Isobel Pickering? Z tego, co mama mówiła...

- To był jej pomysł. W każdym razie, wychowaliśmy się w jednej kołysce. Jak jednak niedawno wyjaśniłem mamie, Isobel, jeżeli miałyby wybierać między mną a koniem, wybrałaby konia.

- Tak, masz rację. Najlepiej jest tak, jak jest. Jesteś panem siebie, a ja jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ciebie jako męża. Masz szansę skończyć jak męski odpowiednik cioci Nessay. Ha! - Zaśmiała się - Interesująca z niej postać. Ciekawa jestem, ilu ona miała mężczyzn. Szkoda, że dwóch mężów zostawiło jej taką fortunę i nie musiała martwić się o pieniądze. Musiałaby się przełamać i zacząć pisać, tak, jak ty próbujesz..

- Dzięki, za to... próbowanie.

- No, wiesz, o czym mówię. Ale w każdym razie, z jej głową, przypuszczam, że jednak kiedyś faktycznie pisała. Zrobiłaby duże



wrażenie na tym i owym.

- Sądę, że wywarła duże wrażenie na wielu osobach. Reggie trochę jeździ, wiesz, i mówi, że zadziwiające, jak wielu ona ma przyjaciół, nie tylko w Paryżu, ale i w Londynie. Jej postać znana jest w kręgach dyplomatycznych. Ma całkowitą rację w tym, co powiedziała przy kolacji, chociaż spierałem się z nią. Zastanawiająco wiele krąży pogłosek o wojnie. A jak mówi Reg, ona wcale nie jest taka zwariowana, na jaką wygląda. Oczywiście, zawsze ją podziwiałem i nigdy nie myślałem o niej w ten sposób. Sam chciałbym mieć trochę jej szarych komórek.

- O, wystarczy ci własnych. W końcu osiągniesz to, do czego zmierzasz. Elaine odwróciła się, wyciągnęła nogi na dywan i powiedziała - Kiedy ostatnio tak siedzieliśmy, Charlesie?

Odrzucił do tyłu głowę, zastanawiając się. - Jeszcze przed twoim ślubem.

Nachyliła się po szczapę i wycelowała nią w sam środek rozżarzonego popiołu. Iskry strzeliły w górę, ale Charles nie zareagował, mówiąc, na przykład: „Uważaj, zajmie się dywan”, lecz, najzupełniej nieoczekiwanie zapytał: - Jesteś nieszczęśliwa, Elaine?

Przez chwilę milczała, potem, podparwszy się na łokciach wspartych o krawędź siedzenia fotela, powiedziała:

- Odpowiedź brzmi: i tak, i nie.  
- Czy to z powodu Dawsona?  
- Znowu można powiedzieć: i tak, i nie. Przypuszczam, że jest taki, jak inni mężowie, ale Charlesie  
- przysunęła się i wyszeptała - jestem mężatką od pięciu lat i pięć razy byłam w ciąży. Dawson to byk zarodowy, a ja jestem jego samicą.

- Och, nie, Elaine. Nie mów tak.  
- Taka jest prawda. - Ściągnęła usta i poważnie powiedziała: - Chodź, moja dziewczyno po złotych schodach, zatopmy się w sianie. - Jej głos stał się znowu smutny, zmęczony, gdy dodała: - Wiesz, że miałam dwadzieścia lat, kiedy wyszłam za mąż. O ile pamiętasz, byłam młodą, głupią dwudziestolatką. Nie potrafiłam nawet poflirtować. Byłam naiwna. Ciągle wierzyłam w to, co się opowiadało w sypialni na pensji; byłam tam do osiemnastego roku życia. Małżeństwo miało być jedną

wielką zabawą, mężowie - cudownymi istotami. Miałam także ojca za wzór; on uwielbia mamę, a ona jego. Patrząc na nich dwoje myślę, że po jego stronie jest więcej uczucia. Mama ma tendencje do chłodnego zachowania. Tak więc, gdy Dawson pojawił się na horyzoncie, zwałił mnie z nóg i, jak to się mówi, wpadłam mu w ramiona. Był duży i silny, a wiadomo jacy oni są delikatni. Nie to, żeby był brutalny, ale on jest po prostu nieczuły. To zwalisty ignorant; oszalały na punkcie koni farmer. Nawet teraz nie mógł zostawić stajni i jechać z nami na święta. Nigdy nie mógł, prawda? O, tylko raz, jeden raz. Ale nie wyszło to na dobre, pamiętasz Charles? Nie wiem, czy choć raz w życiu miał w ręku książkę. Może zmusili go w szkole, ale potem już nie. A co więcej, jest starszy ode mnie o trzynaście lat. Och, nie smuć się tak, Charlesie. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać.

- A mama?

- Nie, jakoś... nie mogłabym z nią w ten sposób rozmawiać.

Wiesz co? Kiedy poroniłam dwa razy... nie wiedziałeś o tym, co, Charlesie?

- Nie. Chciałem cię zapytać, bo powiedziałaś pięć razy...

- Powiedziała, że byłam pięć razy w ciąży, bo jedno straciłam, jak miało cztery miesiące, drugie - sześć. Mama powiedziała na to jedynie: „Nie zamartwiaj się tym. Następnym razem będzie wszystko w porządku.” A Dawson prawie nie zwrócił na to uwagi, podobnie jak przez jakiś czas i na mnie samą. Dla niego to był nieprawidłowy rozród.

- Och, przesadzasz, kochanie.

- O, nie, Charlesie. Nie przesadzam. I wiesz o tym, bo nigdy nie lubiłeś Dawsona, prawda?

- Cóż - odwrócił głowę - uważałem, że jest za stary dla ciebie.

Widzisz, miałem tylko dziewiętnaście lat, a ty jesteś moją jedyną siostrą. Zawsze byliśmy dobrymi kumplami. Masz rację, nigdy nie darzyłem go sympatią. Muszę ci to powiedzieć: jeśli tak się czujesz, jak będzie dalej? Dlaczego go nie zostawisz? Mogłabyś zamieszkać w domu.

- Nie żartuj. Przecież wiesz, jak to jest z kobietą, która odchodzi od męża. Zawsze to ona jest winna. I czy myślisz, że pozwoliliby mi zatrzymać dzieci? John jeździ konno co dzień, a ma tylko cztery lata. Grace też ma swojego kuczka. Dawson nie interesuje się zbytnio

Arthurem, bo cały czas płacze. Uważa, że to wina Thompson. Mówi, że jest za młoda do takiej pracy. Ma dwadzieścia trzy lata i opiekuje się dziećmi od czternastego roku życia. Powiedziałam mu, że jeżeli ona nie może nic na to poradzić, nikt tu nie pomoże.

- Ale nie słyszałem, żeby płakał tutaj.
- Tak, to dziwne. Przez cały tydzień ani razu nie zapłakał w nocy. Thompson też to zauważyła. Oczywiście, może to być z powodu zmiany mleka. - Odwróciła głowę na bok. - Popsułam ci humor.
- Z pewnością nie rozweseliłaś mnie.
- Cóż, zapomnijmy o tym. Dokąd wybierasz się latem?
- Jeszcze o tym nie myślałem.
- Znowu do Florencji?
- Być może.
- Powinieneś napisać o tym książkę. Miałaś osiemnaście lat, gdy tam pierwszy raz pojechałeś, prawda? I wracałeś tam każdego roku. Czy to właśnie dzięki tym podróżom zacząłeś pisać o domach?
- Możliwe. Ale już dużo wcześniej interesowały mnie stare domy.
- Nie znajdziesz tutaj nic równego willi Medyceuszy w Cafaggiolo. A domków myśliwskich, które tak uwielbiasz...
- Chyba nie, ale przecież nie zajmuję się historią. Wystarczającą trudność sprawiają mi opisy teraźniejszości. Ale zdziwiłabyś się, ile tu na północy jest zamków, dworów i rezydencji. Northumberland jest nimi wprost naszpikowana. Nawet w Fellburn, zaledwie cztery mile stąd, można znaleźć wspaniałe osiemnastowieczne domy, niepozornie przycupnięte przy ulicy.

Przerwał, gdyż otworzyły się drzwi salonu i weszli ich bracia. Reginald zdjął już swój oficerski mundur, w który był ubrany przy kolacji, i założył ciemne spodnie i aksamitną granatową marynarkę. Ale Henry ciągle ubrany był w strój duchownego. Gdy wszedł, oblizując palce, Charles zapytał go: - Jeszcze nie skończyłeś jedzenia, bracie?

- Już dawno po kolacji; zbliża się dwunasta... i wpadła mi w ręce jedna z tych małych myszek...
- Chyba nie zdjęłaś jej z choinki?
- Wisiała z tyłu, i tak nikt jej nie widział.

- Jesteś nieznośny, Henry.
- Nie, Elaine. Jestem niedożywionym pomocnikiem mojego pastora.
- Jak zostaniesz pastorem, wtedy dopiero będziesz głodował... - powiedział Reginald. - Ale do rzeczy. Chciałem cię zapytać, jak wykombinowałeś ten urlop.
- Mówiłem ci. Miałem operację wyrostka; nagłą i błyskawiczną. Jestem tutaj, a za chwilę prawie w niebie.
- Ale to było trzy tygodnie temu, o ile wiem.
- Tak, ale widzisz, Wielebny ma dalekiego krewnego, którego chce przyjąć na moje miejsce. Dał mi więc urlop na święta, by jego ukochany Jonathan mógł przyjechać i pomagać mu przy świątecznych nabożeństwach. Bardzo lubię świąteczne msze, ale nie kłóciłem się, bo wiem, że i tak chce się mnie pozbyć. Cały kłopot, że nie zgadzamy się w wielu sprawach lub raczej różnie myślimy. Niezły z niego snob. Najchętniej pobierałby opłatę za miejsce w ławce w kościele, chyba że byłoby za filarem. Nie, żebym był przeciwko opłatom dla tych, którzy mogą sobie na to pozwolić, ale z umiarem. Nie podobają mu się moje pytania. Na przykład spytałem go, czy wierzy, że wrota niebios można otworzyć jedynie złotym lub srebrnym kluczem i czy myśli, że tam, w górze, siedzi jakiś urzędnik i pyta o pochodzenie.

Wszyscy roześmiali się na słowa Charlesa. - Chyba nie zapytałeś go o to?...

- Och, pewnie, że zapytałem. Tylko w taki sposób można do niego przemówić. On jest jednym z tych łagodnych typów, którzy nie mają w zwyczaju się kłócić.
- I jaką odpowiedź usłyszałeś? Satysfakcjonującą?
- spytał Reginald.

Henry polizał palec i wytarł go w spodnie. Było to tak dziecinne, że znowu wszyscy się zaśmiali, a on odpowiedział, przybrawszy odpowiednią pozę: - „Musi się pan jeszcze dużo nauczyć, panie Farrier” - roześmiał się

- ale nie powiedział: „A najlepiej panu wyjdzie jeżdżenie od parafii do parafii i to właśnie wkrótce będzie pan robił, a ja o to się postaram.” Tak więc, przy odrobinie szczęścia, wyjadę ze środkowej

Anglii i wróć do zapuszczonego Gateshead czy Sunderland, dzięki Bogu.

- Och, Henry! Wiesz, kim ty naprawdę jesteś?  
- Elaine spoglądała na niego, a jej twarz rozpromieniła się uśmiechem.

Henry, spojrzawszy na siostrę, odparł: - Tak, Elaine. Wiem. Jednym z głupców naszego Boga.

- A w ogóle, co u licha spowodowało, że przywdziałeś habit? - Reginald ukucnął przy Elaine.

Rodzeństwo spojrzało na ubranego na ciemno brata, który właśnie przechylił do tyłu głowę, zapatrzony w ogromny obraz na potężnej kamiennej ścianie kominka, przedstawiający bydło na górskim pastwisku. Odpowiedział: - Nie wiem, Reggie. Nie wiem. Wiele razy sam próbowałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Mógłbym powiedzieć, że jakoś mnie to wciągnęło, ale to nieprawda. Wydaje mi się, że stało się to z dnia na dzień i jakby poza mną samym, jakby mnie to w ogóle nie dotyczyło. Wepchnięto mnie lub zwabiono, jak wolicie. Och - potrząsnął głową - nie ma się czym przejmować. Stało się i już - uśmiechnął się, spojrzął na Elaine i Charlesa i dodał - Wiecie, wy dwoje zawsze lubicie przesiadywać tutaj, jeśli tylko macie okazję. O czym wtedy rozmawiacie?

Charles odparł cicho: - O dawnych czasach, kiedy byliśmy młodzi i głupi, a w czasie Bożego Narodzenia o tym, co dostaniemy pod choinkę. I czy ojciec będzie zdziwiony, gdy zobaczy swoje pudełko cygar, a mama perfumy. Zawsze to samo co roku.

Rozejrzał się wokół, jakby szukając poparcia. Wszyscy pokiwali głowami. Elaine powiedziała: - Pamiętacie, jak chodziliśmy z mamą kupić ojcu cygara, a potem z ojcem po perfumy dla mamy do Newcastle? Przypomniało nam się to z zeszłym tygodniu, gdy wracaliśmy z mola. Przechodziliśmy obok sklepu ze słodyczami i były tam na wystawie myszki i kot z cukru, dlatego weszliśmy i kupiliśmy trochę.

- Och, miałem ci powiedzieć - zwrócił się do niej Charles. - Pamiętasz, była tam obok trafika. Wszedłem do niej dziś i zastałem tę młodą kobietę. Tę, co sprzedawała nam wtedy myszki. Była taka uprzejma i

sympatyczna. Myślałem, że to jej siostra bliźniaczka. Była inaczej ubrana, ale twarz ta sama, włosy te same i także bardzo miła. Zapytałem, czy nie jest jedną z bliźniaczek. Odpowiedziała, że nie. W sumie dowiedziałem się, że oba sklepy należą do jej ojca... przypuszczam, że są z tyłu połączone... i że zastępuje ojca. Dziwne, prawda?

- Tak - Elaine potaknęła. - Dziwne. Czy znała się na cygarach tak dobrze, jak na słodyczach?

- Tak, całkiem nieźle, ale potem przyszedł jej ojciec i on, o... wiele o nich wiedział, i nie omieszkął się tym pochwalić. Gdyby był zupełnie trzeźwy, pewnie tyle by nie mówił.

- Był podпиты?

Charles spojrział na Reginalda. - I to nieźle. Było od niego czuć i zupełnie rozwiązał mu się język. Próbował zrobić na mnie wrażenie.

- Czy jest ładna?

- Mówisz o tej dziewczynie... młodej kobiecie? - Charles zagryzł usta i odwrócił wzrok, jakby tam właśnie widniała odpowiedź. Potem potrząsnął głową, mówiąc:

- Wiesz, trudno powiedzieć.

- Czyli nie. - Trzech braci skierowało wzrok na siostrę, a ona ciągnęła: - Jej twarz była interesująca, można by nawet powiedzieć, że ma pewien urok, ale na pewno nie jest ładna, czy urodziwa. Wyglądała świeżo i niekrzykliwie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, Elaine, że zwróciłaś na nią większą uwagę niż on? - Henry wskazał Charlesa. - Czy on tylko tak mówi? Założę się, że pomyślałeś, iż jest piękna - teraz mówił do Charlesa, który odrzekł:

- Jeśli tak mówisz, to pewnie tak było... Ale o ile pamiętam, najgłębsze wrażenie wywarł na mnie jej sposób bycia.

- To też jakiś początek...

- Och, nie zaczynaj znowu swojej śpiewki, Reg.

- A czemu nie? Nie brakuje niegłupich panien sklepowych.

- Ona nie jest zwykłą panną sklepową. Jak ci powiedziałem, jej ojciec jest właścicielem tych sklepów.

- Ale ona w nich pracuje, więc jest sprzedawczynią.

- Czekaj, Reg. Wiem co ci dolega. Dobrze zapiłeś kolację

winem. Jeśli chcesz się kłócić o dziewczyny pracujące w sklepie, zwróć się do Henry'ego. Musi wiele o nich wiedzieć z doświadczeń w tej przedsiębiorczej parafii. Ja idę do łóżka. A ty, Elaine?

Podniósł się i wyciągnął rękę do Elaine, podobnie jak Reginald. Razem pomogli jej wstać, a ona, spojrzawszy na braci, powiedziała: - Dobranoc i wesołych świąt.

- Nawzajem, siostrzyczko. - Wszyscy trzech bracia ucałowali Elaine w policzek, a ona ujęła Charlesa za rękę i tak wyszli z pokoju.

Jak tylko drzwi zamknęły się za nimi, Henry spojrzał na Reginalda i stwierdził: - Nie jest już szczęśliwa.

- Dlaczego tak sądzisz?

- To chyba kwestia praktyki. Obserwuję ludzi, rozmawiam.

Reginald zbliżył się do brata, objął go ramieniem.

- Zabawny jesteś. Zachowujesz się jak wapniak, jak zawsze.

- Nie pouczaj mnie, panie Reginaldzie Farrier. Wcale tak się nie zachowuję. Posłuchaj, ty nadęty typie. Walczy się nie tylko z karabinem w rękę. I jeszcze coś: na twoim miejscu delikatniej obchodziłbym się z kobietami. Słyszę to i owo... Odwiedziłem wczoraj Combesów i byli u nich akurat Hammowanie. Sarah nie jest specjalnie tobą zachwycona. Wzięłaś sobie jej Josepha na jedną z twoich hulanek. A co z Frances Combes? Dlaczego przeniosła swoje zainteresowanie na Davida Pickeringa? Jej rodzice próbowali mnie wybadać, ale ja przecież nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Uważam, mój drogi, że im szybciej znajdziesz się znowu w jednostce, tym lepiej.

- Idź do diabła! - Reginald nie najdelikatniej popchnął Henry'ego. - Lubisz wtykać nos w nie swoje sprawy, tak?

Reginald pozostał jeszcze przez chwilę w pokoju, wpatrując się nieruchomo w drzwi. Odwrócił się, spojrzał na kominek i opierając się łokciem o obramowanie, obserwował jak z wolna bledną rozżarzone szczapy. Henry powiedział, by postępował ostrożniej z kobietami, ale raczej powinien był powiedzieć: „Każ kobietom trzymać się od ciebie z daleka”. Tak. Dałoby to mu szansę znalezienia tej jedynej, właściwej, która by nim tak zawładnęła, że nie mógłby już bez niej żyć. Pragnął takiego uczucia, jakiego doświadczył Jim Nesbitt, który ożenił się z dziewczyną z Durham. Według Rega nie wyróżniała się żadnymi

szczególными zaletami. Prostolinijna, szczerza - to fakt. Doskonale przednie zęby. Był nie do zniesienia, dopóki nie została jego żoną. Jim sam przyznał, że był jak bezdomny pies przygarnięty do ciepłego domu. To porównanie wydawało się Reginaldowi dość nie na miejscu, bo Jim przypominał mu nie bezdomnego, a raczej całkiem wesołego psa. A Arnold, Arnold Beaumont. Po utracie żony zupełnie się rozkleił, choć byli małżeństwem sześć lat. Romantyczną miłość powinien mieć już dawno za sobą. Ale nie, był o krok od odejścia z jednostki. Niełatwo było go przekonać, że byłaby to najgorsza rzecz, jaką mógłby zrobić. Sam pułkownik musiał zająć się tą sprawą i oddelegował go do zadań, które wymagały ogromnego zaangażowania i poświęcenia i, zdaje się, była to skuteczna terapia. Ale nie stuprocentowo.

Zastanawiał się, cóż takiego zawładnęło dwoma jego przyjaciółmi, czego on sam nie czuł nigdy w stosunku do żadnej kobiety. Jeśliby się głębiej zastanowić, mogło się okazać, że z trójką braci Farrier było coś nie w porządku. Charles bał się małżeństwa jak ognia, a Henry uciekł się do przybrania habitu, choć duchowni też się żenią. Ale jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Henry'ego w tej roli. Można by pomyśleć, że zwlekają lub unikają podjęcia decyzji w najważniejszej sprawie w życiu. Wystarczyło tylko spojrzeć na ich rodziców; jeżeli w ogóle jest coś takiego jak dobrana para, to ich można było traktować jako doskonały przykład. Ojciec nie potrafił nigdy ukryć

- zachowując jednak tę swoją kamienną twarz - uczuć, jakie żywił do żony. Cóż, bez względu na to, co to było za uczucie, na pewno nie odziedziczył go po nim żaden z trzech synów.

A co z córką? Henry uważa, że nie jest szczęśliwa. Ale ma troje dzieci... to jednak o niczym nie świadczy. Krowy mają swoje cielaki, konie - źrebięta i świnie mają swoje młode. Ludzie pod tym względem nie różnią się wiele od zwierząt. Żeby począć potomstwo, miłość nie jest niezbędna, bo gdyby tak było, z pewnością na ziemi nie byłoby tylu ludzi. Tak, tego właśnie szczególnego uczucia brakowało im wszystkim. Z rozmyślań gwałtownie wyrwał go głos McCanna. - Och, przepraszam, proszę pana. Myślałem, że już wszyscy... udali się na spoczynek.

- Mnie też przykro, McCann, że trzymamy cię tak długo - odszedł od kominka.



- Absolutnie nic nie szkodzi, najzupełniej. To Wigilia i wszyscy mieli ciężki dzień. Ale, proszę pana, czyż choinka nie wygląda imponująco?

- O, tak. Rano dzieci będą zachwycone i na pewno zbudzą nas i wyciągną z łóżek dobrze przed śniadaniem. No cóż, McCann, dobranoc.

- Dobranoc, proszę pana. Wesołych świąt.

- I nawzajem, nawzajem.

McCann pozostał przy ścianie, aż Reginald opuścił pokój, potem przysunął na miejsce krzesła, przetrzepał poduszki na kanapie, poustawiał stoliczki, zgarnął popiół sprzed kominka, przyniósł skromną żelazną kratę i ustawił ją przed paleniskiem. Gdy już wszystko było gotowe, stanął odwrócony plecami do kominka i rozejrzał się po pokoju.

Bardzo lubił ten pokój. Był wykwintnie urządzone, choć nie zbywało mu na przytulności i wygodzie. McCann lubił też swoje zajęcie, lubił rodzinę Farrierów; to ludzie z klasą. Uważał, że miał dużo szczęścia, iż znalazł taką posadę, która wprost postawiła go na nogi. Gdyby tylko jego Jane nie była dla niego taka surowa... Niczego już by mu wtedy nie brakowało do szczęścia. Oczywiście, jest od niej o trzynaście lat starszy. Ona ma tylko dwadzieścia lat, ale przecież powinna wziąć to pod uwagę, że związek z lokajem jest dla niej, pomocy kuchennej, niewątpliwym awansem. Przecież Rose Pratt, która ma już czterdzieści pięć lat, ma zamiar odejść z powodu reumatyzmu i wtedy Jane dostanie lepszą posadę. Nie życzył, oczywiście, Rose źle i wiedział, że nie będzie pozostawiona sama sobie, bo jest żoną Petera, koniuszego, i są nieźle urządzeni w swoim domku.

Och, życie nie jest wcale takie złe. Ale może być jeszcze lepiej i są po temu istotne przesłanki - dotyczące każdego mieszkańca tego domu. Niech Bóg im błogosławi; nie było na świecie lepszego pana i pani. Traktują wszystkich z godnością, a służba bierze z nich przykład. I tak powinno być.

Zagwizdał pod nosem, a pokój pogrążył się w mroku, gdy McCann wygasił gazowe żyrandole.

## *Część trzecia*

*Jessie*

- Nawet tego nie mów. Nie mów tego - Agnes aż przycisnęła rękę do uszu, spoglądając przy tym na Jessie, która przycupnęła przy niej na brzegu łóżka.

Jessie siedziała ze spuszczoną głową, a jej zaciśnięte w pięści dłonie spoczywały bezradnie na kolanach.

- Chyba oszalałaś! Chyba coś cię opętało! - Agnes była o krok od krzyku, ale przykryła usta dłonią i w popłochu spojrzała na drzwi, jakby oczekując, że za chwilę się otworzą i wejdzie matka. Przez moment panowała cisza, przerywana jedynie cichym popłakiwaniem Jessie.

- Wpadną w szal. Nie zniosą tego - Agnes tak ściszyła głos, że sama się ledwo słyszała. Brzmiało to tak, jakby wyrwały się z jej wnętrza myśli, a ich brzmienie było przerażające.

Po następnej chwili namysłu powiedziała: - Kiedy... kiedy to się stało? Wiesz?...

- Jakieś... ponad dwa miesiące temu - Jessie ciągle nie podnosiła głowy, a jej dłonie były wciąż zaciśnięte.

Dobry Boże! - pomyślała w duchu Agnes i uświadomiła sobie, że jej siostra nosi w sobie ten straszliwy sekret od... kiedy? Był koniec czerwca. Czyli od kwietnia. Dlaczego nie zauważyła niczego dziwnego? Dlaczego nie zapytała jej, z jakiej przyczyny rano od razu biegnie do ubikacji? Matka pytała, dlaczego nie ma apetytu. Ojciec dopytywał się, co stało się z dawną wesołością jego ślicznej córki. Matka sama odpowiedziała sobie na swoje pytanie: „W tych czasach dziewczęta same nie wiedzą, czego chcą”. Ojciec zaś zawyrokował, że te sprawdziany szybkości pisania w szkole dla sekretarek czynią ją tak nerwową i im szybciej się skończą, tym lepiej.

Ale w gruncie rzeczy matka nadal żyła w swoim świecie, a ojciec w swoim i nie przysparzało im to większego zmartwienia. Agnes też pochłonięta była swoją wewnętrzną wojną na słowa przeciwko płytkości i nijakości swojej egzystencji, z nadzieją znalezienia jakiegoś wyjścia z

sytuacji. Odmówiła już definitywnie Henry'emu Stalwortowi i przekonała Petera Chambersa, że jego oczekiwanie, aż ona zmieni zdanie, nie ma sensu. A po tym wszystkim? Czowała jedynie, jak wcześniej, pustkę.

Jedyną atrakcją były dla niej ubrania, które pani Bretton-Fawcett zamieniała na kapelusze. Agnes miała już trzy kompletne eleganckie stroje, ale jak dotąd nie zdarzyła się okazja do założenia choćby jednego z nich. Ostatnio do jej kolekcji przybył zimowy płaszcz z ogromnym futrzanym kołnierzem. Wcześniej kupiła koktajlową suknię, jak ją nazywała panna Belle. Ale dlaczego właściwie je kupiła? Nie potrafiła powiedzieć. Być może dlatego, że spodobała jej się niezwykła delikatność tkaniny, a może po prostu te ubrania były dla niej namiastką innego świata... Nie wiedziała...

- Aggie - Jessie wyprostowała się. Łzy ciekły jej po policzkach; zapytała zupełnie jak dziecko: - Co teraz będzie?

Po raz kolejny Agnes z trudem powstrzymała się od podniesienia głosu. - A skąd ja mam to wiedzieć! - Już miała powiedzieć: „Powinnaś pomyśleć o tym wcześniej”; ale wiedziała, że byłaby to głupia odpowiedź, bo gdy człowiekiem targają takie namiętności i nadarza się możliwość ich zaspokojenia, czy stać go wtedy na podjęcie trzeźwej decyzji? Nie. Z pewnością nie.

Powodowana nagłym uczuciem, Agnes przytuliła dziewczynę do siebie, ale gdy jej płacz tylko się nasilił, ostrzegła ją: - Cicho! cicho! Zaraz ją tu ściągniesz albo, co gorsza, ojca. Musimy się zastanowić. Gdzie on teraz jest, ten... ten chłopak, Felton?

Jessie wyszeptała: - Pojechał zarobić trochę pieniędzy, żebyśmy mogli... się pobrać.

Słyszając to, Agnes odepchnęła Jessie. - O mój Boże!

- Och, nie mów tak, Agnes.

- A jak mam na to zareagować? Gdyby tylko tu teraz był, chyba bym go zabiła. Czy on wie?

- Tak. Tak!

- Ach, czyli ta jego podróż może trwać lata. Więcej go nie zobaczysz.

- O, nie! Nie! Nie! - Jessie odskoczyła od Agnes na drugi koniec

łóżka. - On mnie kocha, a ja jego.

- Jessie! Sądzę, że musisz oprzytomnieć i uświadomić sobie, że mężczyzna taki jak on, z takiej rodziny, nie wie, co to jest prawdziwa miłość.

Jessie zupełnie zaskoczyła Agnes, gdy porwała się na równe nogi mówiąc: - W ogóle go nie znasz. On jest inny. On jest inny od wszystkich.

- Cóż, pewnie jest. W zeszłym tygodniu pisali w gazecie, że jeden z nich został odesłany do Durham za wywołanie bójki. A właściwie, jak pisali, za spowodowanie obrażeń cielesnych. A inny właśnie skończył wyrok za włamanie.

- On nie jest taki. Mówię ci. Nie jest taki jak oni!

- piszcząca Jessie. - On chce z tym skończyć, nie mieć z tym nic wspólnego. Naprawdę. Jest nieokrzesany, tak, ale... ale on do czegoś dąży. Gdy będzie miał szansę, może mu się powiedzie. Mówi, że do tej pory nie miał żadnych możliwości. Ma sześcioro rodzeństwa, on jest najmłodszy, mają tylko matkę. Ona nimi rządzi. Ojciec nie żyje. Musisz się z nim spotkać i porozmawiać.

- Na pewno tego nie zrobię. I jeszcze raz mówię: byłabym zdziwiona, gdybyś jeszcze kiedykolwiek chciała się z nim spotkać czy porozmawiać. Ale przestańmy się o niego kłócić. Usiądź tu - wskazała na łóżko - i zastanówmy się, co robić.

Gdy Jessie znowu siedziała i przeszła jej złość, Agnes powiedziała: - Jak... jak to jest zaawansowane?

Jessie spuściła głowę i wyszeptała: - Jakieś trzy miesiące i... już zaczyna być widoczne.

- No cóż, w takiej sytuacji musisz wszystko wyjawić.

- Ja... tak się boję, Aggie. Bardziej ojca niż matki. Ona będzie się jedynie martwić, że stanie się o tym głośno, ale ojciec... boję się nawet pomyśleć.

- Ja też, Jessie. Ja też.

- Powiesz im?

- Któraś z nas będzie i tak musiała to zrobić i sądę, że powinnam to być ja. Ale niech cię nie zaskoczy to, że matka będzie chciała pozbyć się ciebie, umieścić cię gdzieś, jakoś schować przed oczami ciekawskich.

Możesz się spodziewać takiej reakcji. Nie mam jednak pojęcia, jak przygotować cię na reakcję ojca. Najmniejszego pojęcia.

- Może... powiesz mu, że... chcę wyjść za mąż.

- O, nie bądź naiwna, Jessie. Nie licz na to. Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się. Ale jak powiedzieć ojcu, że ty, jego oczko w głowie, według niego urodzona dama, chciałaś związać się z jednym z tych Feltonów z nabrzeża. Najświętszy Boże! Od razu do nich pójdzie, chcąc rozprawić się z nimi wszystkimi. Może nawet kogoś zabić. Przy okazji, kiedy się spodziewasz powrotu tego chłopaka?

- Za dwa tygodnie, czy dzień lub dwa wcześniej; wszystko zależy od pogody.

Agnes westchnęła. W zamyśleniu gryzła wskazujący palec. Ponownie zwróciła się do Jessie. - Uważaj. Jeśli jesteś taka przekonana, że wróci, na razie nic nikomu nie powiemy. Możesz mocno się ścisnąć i przez następne dni udawać, że wszystko jest jak dawniej. Jeżeli on naprawdę chce się z tobą ożenić, radzę ci zrobić to potajemnie. Kiedy już do tego dojdzie, ojciec nie będzie mógł wam stanąć na drodze, zwłaszcza gdy stąd wyjedziecie. O tak. Będziecie musieli wyjechać do innego miasta. Nic innego nie przychodzi mi teraz do głowy. Ale jeśli się już nie pojawi...

- Wróci. Wróci, mówię ci.

- Dobrze już, spokojnie. Umyj twarz zimną wodą i uczesz włosy.

Co najważniejsze, próbuj zachowywać się normalnie. Jeszcze jedno, masz jakieś oszczędności?

- Jakieś... osiem funtów.

- Na wiele ci to nie wystarczy.

- Przecież wiesz, że dostaję tylko pięć szylingów kieszonkowego.

On płaci za wszystko.

- Czy ten chłopak... mężczyzna ma jakieś pieniądze?

- Tylko... tylko to, co zarobi. Ale myślę, że jego matka jest dość zamożna. Jednak jest okropna, krzykliwa...

- Znasz ją osobiście?

- Nie. Ale słyszałam ją. Pewnej niedzieli wybrałam się tam.

Sprzedawała na straganie, mają tam różne rzeczy. Wygląda okropnie, jest ogromna, gruba i ma męski głos.

- Ona też nie będzie zbyt uszczęśliwiona, nie sądzisz?

- Wcale tego nie oczekuję... ani Rob.

Dobiegł je głos z korytarza. - Agnes!

Agnes popchnęła Jessie do umywalki i rozkazała:

- Nie ruszaj się stąd. - Wybiegła nie chcąc, by matka weszła do pokoju i zawołała: - Idę! Już idę!

- Co robisz na górze? Przecież powinnaś być teraz w sklepie, a w domku masz zmienić pościel.

- Mamo - Agnes stanęła wprost przed matką - czy zrobiłoby to różnicę, jeśli zajęłabym się jednym albo drugim?

- Nie mów tak do mnie. To twój obowiązek. Twój ojciec płaci ci za to, i to nieźle. Gdzie dostałabyś piętnaście szylingów, zakwaterowanie i wyżywienie?

- O Boże! Mamo! - Jej ręka mimowolnie uniosła się ku górze. - Już nic nie mów, bo inaczej pójde z powrotem do mojego pokoju, spakuję walizkę i zaraz mnie tu nie będzie. Czy słyszysz?

- Cóż, wcale by mnie to nie zdziwiło. Wiem, że coś planujesz, kupując używane ubrania od tych sfiksowanych starych panien. Na co mogą ci się te fatałaszkę przydać? Przecież nigdy ich nie założysz.

- Nigdy nic nie wiadomo, mammo. Może kiedyś dostąpię społecznego awansu. Czasami zdarzają się najbardziej zaskakujące rzeczy.

- Nie pleć głupot, dziewczyno. Jeszcze raz ci mówię; nie mów do mnie więcej w ten sposób, bo będę musiała porozmawiać z twoim ojcem.

- O, czemu nie, tobie też na pewno coś powie.

Alice Conway odwróciła się i odeszła korytarzem. Jej ręce były rozpostarte, niczym przy ćwiczeniu gimnastycznym. Kiwała głową mówiąc: - O co wszystkim chodzi? Co się dzieje w tym domu?

Agnes, idąc do bielizniarki, odpowiedziała przez ramię: - Dowiesz się, jeśli będziesz miała na tyle odwagi, by stawić temu czoło.

Słyszając to, Alice Conway aż otworzyła usta i oniemiała.

Kilka minut później Agnes biegła podwórzem do domu z naręczem świeżej pościeli. Jakiś przechodzień, gdy ją ujrzał, zatrzymał się, uniósł kapelusz, powitał ją i podszedł do niej.

- Dzień dobry - odpowiedziała mu Agnes na powitanie.

- Od jakiegoś czasu nie widuję pani w sklepie. Czy wszystko w porządku?

- Tak - zamrugała oczami i powtórzyła - tak, ale często bywam w... fabryce - tu wskazała na sąsiednie drzwi i dodała: - To stąd pochodzi większość naszych słodczy.

- O, to ciekawe.

Następnie spojrział na bieliznę, co nie uszło uwagi Agnes, która wskazała drzwi. - To też nasz dom. Wynajmujemy go kapitanom i innym przyjeźdnym.

- Tak? Trzeba przyznać, że prowadzicie dość poważny interes.

- Tak. O, tak - poprawiła zsuwającą się bieliznę.

- Mieliśmy ostatnio cudowną pogodę, nieprawdaż? Ale każdy czeka na deszcz. Nie da się wszystkich zadowolić.

Uśmiechnął się szeroko, a Agnes odwzajemniła jego uśmiech i powiedziała: - Tak, to prawda.

Gdy znowu poprawiła bieliznę, by trochę sobie ulżyć, powiedział: - No cóż, muszę już iść. Było mi bardzo miło znowu panią widzieć i... może znowu spotkam panią w którymś ze sklepów.

- Tak. Tak, Do widzenia.

- Do widzenia.

Odwróciła się pierwsza i gdy oparła rękę o ścianę, by włożyć klucz w zamek, podszedł i mówiąc z zapalem:

- Pani pozwoli - przekręcił klucz i otworzył drzwi. Agnes wyprostowała się i miała już sięgnąć po klucz, lecz on był szybszy. Podał go jej i powiedział roześmiany: - Widzę, że nie chce pani, by ktoś ją tu zamknął.

Nic nie odpowiedziawszy, spojrzała na niego. Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry, a jego ciemnobrązowe oczy śmiały się do niej. Agnes odpowiedziała:

- Dziękuję.

Przekroczyła próg pokoju, on cofnął się na podwórze i unosząc kapelusz, powiedział: - Więc, do widzenia.

- Do widzenia - odparła Agnes.

Gdy zamknęła drzwi, wsparła się o ścianę i przycisnęła do siebie



bieliznę, krzyżując ręce na piersiach. Zauważyła, że ma przyspieszony oddech; bez mała brakowało jej tchu. Minęła chwila, zanim przysła do siebie i pokonawszy mały salon znalazła się na schodach, znajdujących się w rogu pokoju.

Gdy była już w sypialni, zrzuciła bieliznę na krzesło, potem podeszła do okna i, jak miała w zwyczaju, zaczęła przyglądać się płynącej niedaleko rzece. Ale nie widziała ani rzeki, ani kominów, tylko te przepiękne ubrania ze swojej szafy. Zastanawiała się, dlaczego myślała o nich właśnie teraz. Z tymi ubraniami nierozzerwalnie związane było pytanie: kim on jest? Jak się nazywa? Skąd pochodzi? Jak sądziła, z okolicy. Powiedział, że nie widział jej dawno w sklepie, więc musiał do niego wstępować, gdy Ann pracowała w sklepie ze słodyczami, a Arthur Peeble lub zastępujący go ojciec w trafice.

Czy jeszcze przyjdzie? Kiedy?

Och, moja droga! - odwróciła się od okna - Nie masz o czym myśleć? Jessie. O Boże! Tak, Jessie. Na jaki pomysł wpadnie, i tak będą kłopoty, poważne kłopoty, niesamowite kłopoty, przerażające.

## 2

Tommy Grant umieścił na piecu ogromny, żelazny, wewnątrz powleczony miedzią, rondel do topienia cukru. Wyprężył plecy, jak tylko się dało, potem odwrócił się do ławki i wskazał na pięć cynowych foremek, wypełnionych płynnym jeszcze toffi, mówiąc: - To na dobry początek jutro rano, panienko. Chyba że te dwa chochliki nasłane przez samego diabła z miejsca się do nich zabiorą, zamiast tracić czas na trajkotanie.

- Och, Tommy, przecież wiesz, że Betty i Doris nie mają raczej okazji zmarnować zbyt wiele czasu, gdy ty tu jesteś. Tak przy okazji,

pamiętasz, już kiedyś o tym rozmawialiśmy. Ten rondel robi się za ciężki dla ciebie. Nie, nie, nie! Już nic nie mów. Porozmawiam z ojcem. Przydałby ci się jakiś młody osiłek pod ręką, nie tylko do podnoszenia tego rondla, ale i worków z cukrem i innych rzeczy.

- Panienska mnie posłucha. Gdy przyjdzie taki dzień, kiedy nie będę mógł podnieść pięćdziesięciu kilo cukru, czy tego mojego starego rondla, wtedy zabiorę się na górę i to na dobre.

- Więc powinieneś był zrobić to już dawno temu. Najwyższy czas.

- Będę sobie długo, długo odpoczywał, panienko, jak już włożą mnie do mojej skrzyneczki. I wcale tego tak nie pragnę, mówię pannie, bo nie pozwolą mi wziąć rondla ze sobą - roześmiał się.

- Idź już na górę! Muszę tu zamknąć.

- Ale ja naprawdę mogę to zrobić.

- O, już widzę, jak ty tu zamkniesz. Spójrz, teraz jest za kwadrans dziewiąta, a ty będziesz się tu kręcił jeszcze dobrą godzinę. Idź już na górę.

Machnęła ręką, jakby chcąc go wypłoszyć, a staruszek posłuchał jej tym razem i powiedział ze śmiechem:

- Zaczynasz tu rządzić jak twój tata.

Agnes odczekała, aż Tommy zniknie w drzwiach prowadzących na schody. Przykryła foremki ze stygnącą masą, postawiła na podłodze talerzyk z mlekiem dla kota i pogłaskała mruczącego rozkosznie zwierzaka, mówiąc: - No, zabieraj się do pracy, Flotsie, i dzisiaj w nocy pobij swój rekord.

Wyszła i zaryglowała drzwi.

Zmieniła się pogoda. Za dnia padało, teraz wiał silny wiatr.

Przechodząc przez podwórze spuścił głowę, ale gdy usłyszała czyjś głos, natychmiast ją podniosła. - Psst! Psst! Panienko!

Młody mężczyzna wyszedł zza komórki z węglem, gdzie najwyraźniej na nią czekał. Gdy podszedł bliżej, Agnes przestraszyła się, ale on przemówił: - Proszę się nie bać, to ja, Robbie Felton. Chciałbym zamienić tylko kilka słów.

Agnes nie mogła pozbierać myśli. Jessie miała rację; wrócił, ale dużo wcześniej niż się spodziewała. Powiedziała, że za dwa tygodnie, a dopiero minęło dziewięć dni od chwili, gdy wyjawiała jej ten straszny

sekret.

Powiedział: - Wiem, że pani jest jej siostrą. Dużo mi o pani opowiadała. Czy... czy mogę się z nią zobaczyć?

W jego mowie słychać było wyraźny północny, szkocki akcent. Agnes zastanowiła się, jak to się stało, że jej siostra pokochała kogoś takiego. Był nawet przystojny, ale w jego rysach brakowało delikatności; był masywnie zbudowany i wyglądał na agresywnego.

Agnes poczuła, że płacze jej się język. - Nie wstyd panu? Wie pan, co pan zrobił mojej siostrze? Jest... w odmiennym stanie. Będzie miała ogromne kłopoty. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Tak, wiem, proszę pani. Trudno to wytłumaczyć. To dzięki niej zacząłem myśleć inaczej... o osiągnięciu czegoś w życiu, o pracy nad sobą. I... to właśnie dlatego chcę się z nią ożenić. Nie tylko chcę, ale zrobię to.

- A czy pomyślał pan, jak zareaguje na to jej ojciec... jej matka?

- Tak. Myślałem o tym. Wiem, że nie jestem takim kandydatem na męża, o jakim myśleli. Chodzi do tej szkoły... uczy się pisać na maszynie. Ale nikt lepiej ode mnie nią się nie zaopiekuje. Nie ma co o tym gadać. Po prostu ożenię się z nią. Czy mogłaby pani przekazać jej, że już wróciłem? Przycumowaliśmy w Shields. Będę tam na nią czekał.

- O, nie sądzę. Nie dziś.

- Więc, jeśli nie spotkam się z nią potajemnie dziś wieczór, to jutro rano przyjdę do sklepu i porozmawiam otwarcie z jej ojcem.

- Niech pan tego nie robi. Pod żadnym pozorem! Nie wyobrażam sobie, jak by na to zareagował. Mógłby nawet...- spojrzała na niego uważnie, bo miała już powiedzieć: „pobić pana”, ale jakoś nie mogła wyobrazić sobie, by ktoś chciał zacząć awanturę z tym młodzieńcem.

- Nie potrwa to długo, proszę pani. Chcę tylko... jakoś ją pocieszyć, uspokoić, że już jestem i że nie cofnę się, oboje się nie cofniemy. Wiem, co ona czuje do mnie i diabelny ze mnie szczęściarz, że tak jest. Proszę mi wybaczyć, ale podjąłem już decyzję.

Agnes na moment odwróciła wzrok. Jessie zakochała się w tym awanturniku; jedynie tak, przynajmniej sądząc po wyglądzie, mogła go nazwać. Jego wygląd, strój, mowa... Ale nie mogła zignorować tego, że powiedział, iż porozmawia jutro z ojcem.

Szepnęła: - Proszę tutaj poczekać, ale... proszę się nikomu nie pokazywać. Spróbuję ją tu sprowadzić. Ale proszę nie rozmawiać długo.

Odwróciła się, pobiegła do drzwi i pokonawszy tylne schody, znalazła się na korytarzu. Rozejrzała się wokół i ruszyła do pokoju Jessie. Bez pukania energicznie je otworzyła i zobaczyła, że siostry tam nie ma.

Pospieszyła z powrotem korytarzem i tym razem dużo spokojniej otworzyła drzwi salonu, obawiając się, że dziś wyjątkowo będzie tam jeszcze matka. Ale tam też było pusto.

Wpadła do kuchni i ujrzała Jessie stojącą przy stole i wyciskającą cytrynę do szklanki. Wprost odciągnęła ją od stołu do drzwi, mówiąc: - On... tam jest, na dole, na podwórzu. Chodź, ale nie rozmawiaj z nim dłużej niż kilka minut.

- Rob?

- Tak. Któżby inny, dziewczyno? Ale na Boga, uważaj! Ojciec za moment będzie szedł na górę, dochodzi dziewiąta. - Popchnęła ją i szepnęła: - Idź po cichu, matka wszystko słyszy. Pamiętaj, wracaj za kilka minut!

Kręciło jej się w głowie ze zdenerwowania. Gdy usiadła przy stole w kuchni, zegar wybił dziewiątą. Nerwowo rzuciła na niego okiem. Ile mają jeszcze czasu przed powrotem ojca? Arthur na pewno wyjdzie punktualnie o dziewiątej, Nan też, jeśli będzie mogła. Ojciec musi tylko przekręcić klucz w dwóch zamkach, wyjąć pieniądze z kas i to wszystko. Potem pójdzie na górę. Czasami zdarza się, że zostaje na zapleczu i sprawdza dzienny utarg, ale czy można na to liczyć?

Agnes wstała od stołu, naląła sobie szklankę wody i znowu usiadła. Zegar wskazywał pięć po dziewiątej. Zerknęła na drzwi, pragnąc w duchu zobaczyć w nich

Jessie. Było już siedem po, gdy faktycznie się otworzyły, ale zamiast siostry wszedł ojciec.

- Jak tam? A co to z tobą? Pijesz wodę, słabo ci?

- Nie. Nie. Chciało mi się tylko pić. Właśnie wróciłam z fabryki. Bardzo wietrznie na dworze.

- Gdzie Jessie?

- Jest... w swoim pokoju.

Już skierował się w stronę drzwi, ale zatrzymał się i odwrócił się do Agnes. - Przy okazji, Aggie, masz na wszystko oko, wiem o tym aż nadto dobrze. Czy zauważyłaś, że Jessie jest ostatnio jakaś zmieniona?

- Co? - przełknęła. - Nie rozumiem, o jaką zmianę ci chodzi.

- Gdybym wiedział, nie pytałbym, a gdybym jej tak dobrze nie znał, powiedziałbym, że ją coś gnębi.

Gdyby jej tak dobrze nie znał. Agnes zamyśliła się... Po chwili odparła: - Ostatnio jest raczej... upalnie, na wszystkich to działa.

- Ale zazwyczaj nie na młodych. Oni to lubią - jego oczy zwężyły się. Zbliżywszy się do niej i oparłszy ręce na stole, powiedział: - Nie ukrywasz niczego przede mną, prawda? To znaczy, nie wiesz czegoś, o czym ja nie wiem?

- Nic się przecież przed tobą nie ukryje.

- Nie pozwalaj sobie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Agnes usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi, potem znowu jego kroki po korytarzu; szedł do salonu. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i zaraz potem spieszne kroki do jednej z sypialni.

Nie minęła chyba minuta, gdy ojciec pchnął kuchenne drzwi i dopadł do Agnes, łapiąc ją za ramię i wykrzykując:

- Gdzie ona jest? Koniec z tym! Gdzie Jessie?

Wyrwała rękę i zaprotestowała: - Nie próbuj mnie zastraszyć, ojcze. Już chyba wiesz, że to na mnie nie działa. Jak myślisz, gdzie ona może być?

- Nie ma jej w domu i chcę wiedzieć, gdzie poszła.

I z kim.

- Możesz sam ją zapytać, gdy wróci, nie sądzisz?

- Chcesz mnie tylko rozzłościć, prawda, Aggie? Wiesz o wszystkim, co się dzieje za moimi plecami. Wyczuwam to, ale ciągle nie mogę uwierzyć. I na Boga! Dojdę do samego sedna!

Gdy z furią wyszedł z kuchni, Agnes wykrzyknęła za nim: - Bardzo proszę! I życzę powodzenia!

Zatrzymał się w połowie korytarza. Powiedziała, że życzy mu powodzenia. Stał przy małym wychodzącym na podwórze okienku. Było udekorowane podzieloną na połowę muślinową firanką, przymocowaną

po obu stronach okna do mosiężnych klamerek. Z tego okna widać było ubikację i komórkę na węgiel. Widok białego materiału, który łopotał na wietrze koło komórki, szybko zwrócił jego uwagę. Odgarnął firany i przycisnął twarz do szyby, ale choć usilnie się wpatrywał, ciągle widział jedynie powiewający biały materiał. Nie dał jednak za wygraną. W ciągu kilku sekund znalazł się na dole tylnych schodów. Wtedy ich zobaczył. Miał ich jak na dłoni; swą córkę w ramionach, jak mu się zdawało, robotnika.

Z jego gardła wydobył się ryk, który połączył się z krzykiem Jessie, gdy wyciągnął ją z ukrycia, jakie znalazła w ramionach młodzieńca. Jego wrzask słychać było w każdym zakamarku podwórka.

- Ty małe paskudne ladaco! - rzucił się na nią krzycząc. - No już, do domu!

Mało brakowało, by przewrócił ją na plecy, ale młodzieniec zdążył ją złapać. Chłopak przytulił Jessie jedną ręką, a drugą, zaciśniętą w pięść, pogroził Conwayowi i wykrzyczał: - Zrobi pan jej jeszcze raz coś takiego, a będzie to ostatnia rzecz w pana życiu.

Spojrzenie i przekonanie w głosie tego młodzieniaszka na moment ostudziły Arthura Conwaya, ale tylko na moment, i znowu zaczął wrzeszczeć: - Zabieraj ręce od mojej córki! Kim ty u licha jesteś? Ale czy muszę pytać?

- Przyjrzał mu się uważnie. - Panie Boże! Że też ta dziewczyna pozwoliła się dotknąć komuś takiemu! Jesteś jednym z Feltonów! O tak! Szumowiny z nabrzeża. Boże Wszechmogący!

- Jeśli mnie pan nazywa szumowiną, to czym pan jest? Ja przynajmniej, gdy będę miał żonę, zadowolę się nią i nie będę oglądał się za dziwkami. Niech pan słucha

- cofnął się odsuwając Jessie na bok. - Nie chcę bić się z panem, bo jest pan w końcu jej ojcem, ale, na Boga, nie powstrzymam się, jak znowu pan na mnie tak napadnie.

Ale żadne ostrzeżenia nie docierały już do opętanej wściekłości Arthura Conwaya. Jednym susem dopadł chłopaka i ścisnął za gardło tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu. Conway złapał go za ramiona i popchnął na ziemię. Felton upadłby na plecy, gdyby nie oparł się o ścianę komórki. Niestety, ku swojej zgubie, bo Arthur Conway zdołał

wycelować w jego głowę łopata do węgla.

Stało się to w mgnieniu oka; łopata jak bumerang uderzyła chłopaka w głowę, ale nie powróciła jak bumerang. Gdy Jessie zobaczyła, jak jej ukochany osuwa się po ścianie, krzyknęła w rozpacz. Ojciec szybko ją uciszył. Zataczając się, dopadł do niej i zakrył jej usta, wykręcił rękę i popchnął do drzwi i na klatkę schodową. Ale nie mógł zakrywać jej ust, gdy ciągnął ją w górę po schodach, Jessie więc krzyknęła do Agnes i matki, stojących na górze: - Zabił go! Zabił go, Aggie!

- Na Boga, co się dzieje? O co chodzi? Może ktoś mi powie?

Słyszając te słowa, Agnes zwróciła się do matki z krzykiem:

- O tak, powiem ci mamó! Jessie jest w ciąży. Jest w trzecim miesiącu, a ojciec dziecka jest na dole, i jak słyszysz, twój mąż, a nasz kochający ojciec, właśnie go zabił.

Gdy wpatrywała się przez moment w przerażoną twarz matki, przeszło jej przez myśl, że nigdy jej nie lubiła, bo matka jej też nie lubiła. W gruncie rzeczy ona nie lubiła nikogo.

Agnes odwróciła się i zbiegła na dół na podwórze. Przez chwilę stała jak wryta. Była przerażona. Zobaczyła, że chłopak leży na boku, a z głowy nad uchem tryska mu krew.

Podniosła ręce do twarzy... Pobiegnęła do fabryki i załomotała w drzwi, wołając: - Tommy! Tommy!

Gdy otworzyło się okno i Tommy wychylił głowę, zaniósł się krzykiem: - Na pomoc, Tommy! Błagam! Młody człowiek... jest ranny. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Ojciec uderzył go łopata od węgla.

- Cooo?! Co takiego, moje dziecko?

- Zejdź! Proszę, Tommy!

Gdy staruszek był już na podwórzu, Agnes wskazała na komórkę, a Tommy, patrząc na zakrwawioną postać, wyszeptał: - Boże w niebiosach!

- Czy... pomożesz mi go podnieść? Otwórz... drzwi fabryki. Masz klucz?

- Tak, tak, moje dziecko. Pewnie, że do fabryki, nie donieśliśmy go na górę. Będziemy musieli go wciągnąć. Nie podniesiesz go, a i ja już nie mam tyle siły.

- Idź po klucz. Idź po klucz!

Uklękła przy Robbiem Feltonie i, pełna nadziei, wsunęła rękę pod jego grubą niebieską kurtkę z sukna. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła bicie serca.

Tommy Grant wrócił z żoną. Była potężną kobietą, młodszą od niego. Spoglądając na klęczącą nad chłopakiem Agnes, powtarzała: - Och, panienko, panienko! Co za sprawa, co za sprawa! Ale chodźcie, jest nas troje i możemy go dźwignąć. Tommy, łap go za nogi. Panienska i ja weźmiemy go za ręce. Ojej! Krew! Patrzcie, krew!

Niosąc, a czasem ciągnąc bezwładne ciało, dotarli do drzwi fabryki i wślizgnęli się przez nie do środka. Położyli nieprzytomnego Robbiego na podłodze.

- Światło, Tommy! Światło! - zawołała do męża

- może jest tylko zamroczony. Jest dużo krwi, ale wiecie, może nie jest aż tak źle, jak wygląda. Szybciej, Tommy!

Tommy zapalał palniki gazowe, a nad twarzą rannego trzymał świecę. Pani Grant zwróciła się do klęczącej Agnes: - O, niech panienska na to tylko spojrzy. Łopata pewnie tu się wbiła. Całkiem głęboko. To cud, że nie urąbała mu czubka głowy. Myślę, że tu może pomóc tylko lekarz. Wiesz, gdzie mieszka jego rodzina?

- Nie. Nie wiem. Wiem tylko, że to Felton.

- Z doków? - zapytał teraz Tommy i gdy Agnes kiwnęła głową, dodał: - O Boże! To znaczy, że będą kłopoty. Z nimi nie przelewkę. A jak on wszedł na podwórze?

- Wkrótce i tak pewno byś się dowiedział - Agnes zerknęła na niego i jego żonę. - Spotykał się z Jessie

- opuściła głowę. - I Jessie nosi jego dziecko.

Milczeli. Pani Grant westchnęła, a Tommy powiedział: - Ciężka sprawa. Ciężka sprawa.

Jego żona dodała: - Zdarza się. To naturalne. Zdarza się. Ale jego trzeba gdzieś zabrać. Nie chciałabym być tą osobą, która powie to jego rodzinie. Moim zdaniem, najlepiej by było, gdybyśmy zabrali go do szpitala. Nie jest tak daleko. Ale potrzebne są nosze i ambulans, czy coś takiego. Tommy, załóż płaszcz i idź do posterunkowego, on będzie wiedział, co robić.



- Tak, Bella, dobrze mówisz. Dobrze mówisz. Ale, mój Boże, robić to naszemu szefowi...

- Pośpiesz się, Tommy. Chyba nie chcesz, by ten chłopaczek tu wykitował.

Jej słowa przeszły Agnes jak miecz. A gdyby faktycznie umarł? W duszy wołała: Tak, pośpiesz się. Niech ktoś, na Boga, pomoże! Dlaczego musiało tak się stać?

Dwadzieścia minut później przyjechała karetka. Pierwsze pytanie, jakie padło, to: Co się stało? Agnes miała już przygotowaną odpowiedź:

- Poślizgnął się na podwórzu i upadł na łopatę do węgla.

- Poślizgnął się i wbiła mu się w głowę łopata? Jak się nazywa? Agnes zawahała się: - Robert Felton.

- Felton? - Pielęgniarze wymienili szybkie spojrzenia, jeden z nich powtórzył: - Poślizgnął się i wbiła mu się łopata? No, no, zdarzają się czasem dziwne rzeczy. Zabieramy go.

- Czy mogę iść z wami?

- Tak, będą pytali o szczegóły, ktoś musi tam być. Ale

- mężczyzna zastanowił się - czy jest pani krewną?

- Nie.

Gdy wynosili Robbiego na dwór, Agnes pomyślała, że powinna poprosić ich, by poczekali chwilkę, a ona pójdzie na górę, weźmie płaszcz i kapelusz, ale uprzytomniła sobie, że niełatwo byłoby jej się stamtąd wydostać, gdyby ojciec się dowiedział, gdzie się wybiera. Czuliła się nieswojo, idąc do karetki bez płaszcza, czy chociaż kapelusza. Pielęgniarz pomógł jej się wspiać po wysokim stopniu do środka i Agnes usiadła na ławce naprzeciw leżącego Robbiego.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się być w Szpitalu Królowej Wiktorii. Nie sądziła, że to taki moloch. Deprymował ją panujący tu zgiełk i ruch. Podążała za noszami aż na izbę przyjęć i tam zaczęto ją wypytywać o pacjenta. Mogła jedynie powtórzyć to, co powiedziała pielęgniarzowi na miejscu. Gdzie pacjent mieszka? - nie potrafiła powiedzieć. Pielęgniarka zerknęła na Agnes podejrzliwie. Dlaczego więc była z nim tam? - przyszedł do nas, a gdy wychodził, poślizgnął się na podwórku, i tak dalej. Zaproponowano jej, by usiadła. Usiadła. Widziała, jak pielęgniarki wchodzą i wychodzą z pokoiku, do którego zaniecono

Robbiego. Potem pojawił się lekarz i ruch jeszcze się nasilił. Po jakimś czasie wywieziono chłopaka na wózk.

Agnes natychmiast podniosła się i poszła do pokoiku, gdzie pielęgniarka poprawiała łóżko. Zapytała: - Dokąd go wzięli?

- Na salę operacyjną - odpowiedziała bezceremonialnie.

- Czy... czy jest aż tak... źle?

- Cóż - pielęgniarka odwróciła się i spojrzała na Agnes - ma przeciętą głowę. Nie do pozazdroszczenia.

- Jak długo może to potrwać w... sali operacyjnej?

- Nie mam pojęcia. Zależy od tego, co z nim jest

- jej głos złagodniał. - Niech pani lepiej pójdzie do poczekalni. -

Wyszła z pokoiku i wskazała. - To tam. Dam pani znać.

Ławeczki w poczekalni były wyjątkowo niewygodne, Agnes wstała więc i zaczęła chodzić wkoło, z pewnością zwracając uwagę ludzi, którzy potulnie czekali na wiadomości. Usiadła więc znowu, spojrzała na zegar i nie wierząc własnym oczom zobaczyła, że jest dopiero piętnaście po dziesiątej.

Dokładnie o jedenastej pojawiła się pielęgniarka, podeszła do Agnes i powiedziała: - Może pani pójść do niego na chwilkę.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że może pani pójść do niego na moment, już skończyli.

Wcale nie chciała tam iść. Chciała jedynie, by ktoś przyszedł i powiedział jej, że on żyje. Teraz najważniejsze było dla niej pytanie, jak powiedzieć jego rodzinie o tym, co się stało i gdzie Robbie aktualnie się znajduje.

Odpowiedziała pielęgniarce: - Wolałabym tam nie iść. Chcę jedynie wiedzieć, czy nic mu nie grozi.

- Nie. Przypuszczam, że nie. Ale miał niesamowite szczęście. Rana od tego narzędzia była bardzo długa, ale nie nazbyt głęboka.

- Czyli będzie... żył?

Pielęgniarka roześmiała się lekko i powiedziała: - Tak, dopóki nie przyjdzie czas na niego, a nie sądzę, by to było już teraz. Ale przypuszczam, że będzie go przez pewien czas bolała głowa.

Po tych słowach Agnes zrobiła coś, co nawet jej samej wydawało

się nie na miejscu. Powiedziała: - Nazywam się Agnes Conway. Mój ojciec ma fabrykę słodyczy i sklepy na Wiosennej. Wybiegłam z domu bez pieniędzy i zanim tam wrócę, muszę poinformować rodzinę pana Feltona o tym, co się stało. Jak pani sądzi, czy nie mógłby mi ktoś pożyczyć... powiedzmy... szylinga na powóz?

Pielęgniarka spojrzała na Agnes, jak na osobę, która bredzi. Przychodzi dziewczyna, młoda kobieta, i prosi o pożyczenie szylinga na powóz. Już proszono ją o różne dziwne rzeczy, ale jeszcze o nic tak oburzającego. Ale jednak ta dziewczyna nie wygląda na naciągaczkę. - Jak to daleko? - spytała pielęgniarka.

- Nie wiem.

- Więc jak ma pani zamiar tam się dostać?

- Wiem, że mieszkają gdzieś na nabrzeżu. Woźnica powinien wiedzieć. Oni są dobrze znani w okolicy. O tak, dobrze znani.

- Ale ja nie mam przy sobie szylinga. Chyba nie sądzi pani, że noszę w fartuchu pieniądze. Może pani spytać ludzi zbierających datki. Och - zniecierpliwiona zaczęła miętosić fartuch - już ich teraz nie będzie.

- Czy chce panienka pożyczkę?

Mężczyzna siedzący na drewnianej ławce podniósł się i wyciągając rękę, powiedział: - Proszę! Pani weźmie. Jeśli będzie pani chciała oddać, proszę wrzucić do tej skrzynki na datki, o której mówiła siostra - skinął głową, patrząc na pielęgniarkę.

- Och, bardzo panu dziękuję, ale wolałabym raczej oddać panu. Jak pan się nazywa? Jak mogę się skontaktować?

- Codziennie na rynku. Nazywam się Bill Stoddart, ale to naprawdę drobiazg. Jak nazywa się pani chory znajomy?

- On nie jest... - zamknęła na chwilę oczy. - Nazywa się Felton.

- Felton? Jeden z tych z doków?

- Tak, tak sądzę.

- Ha! - Zaśmiał się. - I wylądował w szpitalu! Zwykle to oni wysyłają ludzi do szpitala, moja droga. Tych, którzy natkną się na pięść Feltona. Ciekaw jestem, jak się to skończy - zaśmiał się znowu. - I chciała panienka powiedzieć, że on nie jest jej znajomym; wyczytałem to z pani twarzy. W każdym razie, życzę pani powodzenia, bo nie wiem, jak im pani powie, że jeden z ich bandy wylądował w szpitalu z

rozwaloną głową. Gdyby nie był tak zakrwawiony, rozpoznałbym go. Który to?

- Nazywa się... Robert, jak sędzę.

- Ach, tak. Robert. Robbie, najmłodszy. No, tak. Jeśli pani chce złapać powóz, niech idzie na postój na Haymarket, wzdłuż ulicy, po drugiej stronie. Na pewno do północy ktoś tam będzie i każdy zabierze panią tam, dokąd się panienka wybiera.

- Dziękuję. Dziękuję. I bezzwłocznie oddam pieniądze... do skarbonki.

- Niech panienka tak uczyni. I ja też dziękuję, bo rozweseliła mnie pani wieścią, że jeden z Feltonów został w końcu pobity.

- Do widzenia i dziękuję raz jeszcze - skinęła głową jemu i pielęgniarce i spiesznie opuściła szpital.

Zatrzymała się za progiem i rozejrzała po labiryncie budynków. W głowie zaś miała jedno pytanie i nie brzmiało ono: „Jak się w to wplątałam?”, ale „Jak z tego wybrnąć?”

Wiatr zelżał, ale czuło się wyraźny nocny chłód. Wiedziała, że będzie jej trudno znaleźć powóz. Nie знаła tej części miasta, nigdy nie była w szpitalu. Gdy doszła do głównej ulicy, nie wiedziała, dokąd dalej iść, ale zobaczywszy dwóch mężczyzn z dwoma kobietami, podeszła do nich i zapytała: - Czy mogliby państwo powiedzieć mi, którędy do postoju powozów?

- Postój powozów? Po drugiej stronie ulicy pierwsza uliczka w prawo i już tam pani jest.

Podziękowała im i zaczęła biec.

Przy krawężniku stały dwa powozy. Podeszła do pierwszego z brzegu i powiedziała do woźnicy, ćmiącego papierosa w drzwiach: - Jak sędzę, wie pan gdzie mieszkają Feltonowie. Pracują w dokach.

Woźnica szybko wyjął papierosa z ust i włożył niedopałek do kieszeni marynarki. Potem, przyglądając się Agnes uważnie, powiedział: - Jest kilku Feltonów, ale mówi pani, ci z doków? Czy aby na pewno?

- Tak, na pewno. Jest to dość liczna rodzina.

- O tak. Jeśli to o tych pani chodzi, to liczna. Ale niech pani wsiada. Po pierwsze: nie wtrącać się w niczyje sprawy, tak mawiam.

- Ile to będzie kosztowało?

- Co? Ile? To tylko kawałek. Za dnia doszłaby pani w pięć minut albo szybciej. Ale słońko nie tak prędko znowu wszędzie. Szylinga.

- Tyle akurat mam.

Znowu uważniej jej się przyjrzał, po czym ujmując za łokieć pomógł jej wejść.

- Musiała pani wychodzić w ogromnym pośpiechu, bo nie wzięła pani palta. Przemarznie pani.

Zatrzasnął drzwi. Agnes usłyszała: „Wio!” i powóz potoczył się po bruku.

Jeśli pieszo było to tylko pięć minut, powóz powinien dotrzeć tam szybciej, ale jakoś czas jej się dłużył. W końcu powóz stanął, a woźnica otworzył drzwi, mówiąc:

- Jesteśmy na miejscu.

- Dziękuję.

- To tam - wskazał. - Jeszcze nie śpią. Świeci się na dole i na górze.

Był to jeden ze zbudowanych szeregowo domów. Nie rudera, jak oczekiwała. O ile widziała dobrze przy świetle księżycy, stała przed porządnym robotniczym domem z małym kwadratowym ogródkiem. Jak pozostałe w rzędzie i ten otoczony był żelaznym ogrodzeniem.

Podziękowała woźnicy, nacisnęła klamkę żelaznej furtki i zrobiwszy cztery kroki, znalazła się przed frontowymi drzwiami. Po chwili wahania Agnes ujęła czarną kołatkę.

Za drzwiami usłyszała głosy. Gdy już się otworzyły, ujrzała wysokiego, krzepkiego mężczyznę.

- Tak? - powiedział. Potem zbliżywszy się do niej, zapytał: - Kim pani może być? I czego chce?

- Jestem... panna Agnes Conway. Przychodzę z wiadomością o pańskim bracie.

- O kim? - Odwrócił się i spojrzał w głąb pokoju, na, jak zdołała niewyraźnie zobaczyć, kilka osób tam zgromadzonych, a potem znów odwrócił się do Agnes i powiedział: - Musi pani chodzić o naszego Robbiego.

- Tak...

- Jeśli chce się pani spotkać z naszym Robbiem, to nie ten adres i będzie pani musiała sobie trochę popływać, bo jest teraz chyba w

Holandii. Niech pani nic nie mówi. Jeśli ma pani coś do naszego Robbiego, to sprawa między nim a panią. Więc...

- Pana brat jest w szpitalu. Czy mogę wejść do środka? - powiedziała głośno i zdecydowanie.

Ktoś stanął koło mężczyzny. - Co się dzieje?

- Mnie się pytasz? Coś chce od naszego Robbiego.

- Niczego nie chcę od Robbiego. Mam tylko o nim wiadomość. Jest w szpitalu.

- Wprowadź ją do środka. Nie jest żadną z tych panienek; z pewnością nie w typie naszego Robbiego.

Mężczyzna odsunął się na bok i Agnes przecisnęła się między nimi. Znalazła się w dużym pokoju, pośrodku którego stał długi stół nakryty ceratą. Na końcu stołu zobaczyła butelkę z wódką i dwa kieliszki, a bliżej stały dwa piwa i dwa kubki. Na całym stole porozkładane były karty. Pokój był całkiem dobrze oświetlony przez dwa mosiężne kinkiety przymocowane po obu stronach połyskującego pieca. Na wiszącej nad nim półce zgromadzone były mosiężne ozdoby, jak sądziła, świeczniki. W pokoju było ciepło i pachniało stęchlizną. Był to dziwny zapach, nie przypominał jej zapachu alkoholu, piwa, czy mężczyzny. Powodował, że było jej jeszcze słabiej i miała wrażenie, że zemdleje. Mężczyzna, który otworzył drzwi, spojrzał na pozostałych dwóch, siedzących przy stole i powiedział: - Ta dama mówi, że wie coś o naszym Robbie. Mówi, że jest w szpitalu. Jak myślicie? Przecież teraz ma właśnie dopływać do Holandii.

Mężczyźni wstali, a wyglądający na najstarszego podszedł do Agnes. Stanął całkiem blisko i powiedział:

- Nie wiem, kim pani jest i pierwszy raz w życiu panią widzę, ale po wyglądzie i po mowie sądzę, że nie spodobałaby się pani naszemu Robbiemu. No już, czego pani chce?

- Pozwoli pan, że usiądę?

- Nie, nie pozwolę, jak to pani mówi, aż nie powie pani, o co chodzi.

- Arthurze - odezwał się drugi mężczyzna cichym głosem. - Jakiś czas temu powiedziałem ci, że widziałem naszego młodego z jakąś panią. Stali przed tą szkołą, szkołą dla panienek piszących na

maszynie, wiesz. Mówiłem ci.

- To była ta, Willie? - wskazał ręką na Agnes, a mężczyzna nazwany Willie podszedł bliżej i powiedział:

- Nie. Tamta była młodsza i bardzo urodziwa.

- To... to... - Jeszcze raz Agnes usłyszała siebie samą mówiącą: „to” i w końcu zdołała wykszusić - to była moja siostra - ale natychmiast ogarnęło ją dziwne, rozmiękczające uczucie i poczuła, że osuwa się na podłogę. Miała wrażenie, że spada do jakiegoś dołu. Opadając złapała kogoś za rękę, ale ręka zmieniła się w nogę, a ta noga ją kopnęła.

Ale Mike Felton nie kopnął Agnes, tylko usunął się szybko z drogi, złapał ją, gdy upadała i ocalił od uderzenia głową w mosiężny kosz na węgiel.

- O Boże! Zemdlała! Idź na górę i sprowadź mamuszkę. No już, jazda!

Jeden z mężczyzn wybiegł do przedpokoju i na schody, krzycząc: - Hej! Mamuska!

- Wiesz, że śpi jak zabita. Idź i zdrowo nią potrząśnij.

W kuchni panowało najwyższe zamieszanie. Dwóch mężczyzn poszturchiwało się bezustannie pięściami, co najwyraźniej zwykli byli robić już od dzieciństwa, a teraz czuli się zupełnie bezradni, bo z pewnością jeszcze nigdy nie mieli do czynienia z omdlałą kobietą. Po chwili wkroczyła do kuchni zwalista, otyła matrona z niesamowitym biustem, krzycząc: - O co, u licha, wam chodzi? Co tu się wyprawia? - Widząc Agnes leżącą na podłodze, zawołała równie donośnie: - Chyba do reszty zgłupieście, że ją tu wpuściliście.

- Mamuska, posłuchaj. Posłuchaj tylko - mówił teraz największy z nich, ten, który otworzył Agnes drzwi. - To panienska z lepszego domu, przyszła z wiadomościami o naszym Robbiem. Mówi, że jest w szpitalu.

- I dałeś się na to nabrać? Jesteś głupszy niż myślałam, Mike.

- Może i jestem, ale potrafię rozpoznać kobietkę z klasą od razu, jak na nią spojrzę. Albo powącham. A ta tutaj na pewno nie jest w typie naszego Robbiego ani żadnego z nas. Jak zemdlała, mówiła coś o naszym Robbiem i jej siostrze.

- Ale jego statek jeszcze nie zawinął. Wróci dopiero za kilka dni.

- Mówi, że jest w szpitalu.

Opasła kobieta pochyliła się nad Agnes i pomacała jej sukienkę z dobrego irlandzkiego płótna. Potem zagięła brzeg spódnicy i dotknęła halki.

- Przynieście kubek zimnej wody. No, jazda! Niech się któryś ruszy i przestanie gapić!

Gdy dostała kubek, umoczyła palce w wodzie i zaczęła spryskiwać twarz Agnes zimną wodą. Widząc, że niespecjalnie to pomaga, uderzyła ją kilka razy w blade policzki. Gdy Agnes wciągnęła głębiej powietrze, kobieta zawołała do niej: - Już dobrze! - Odwróciła się do jednego z synów. - Nalej jej kapkę whisky.

Po krótkim zamieszaniu przy stole kobieta otrzymała kieliszek, wsunęła rękę pod głowę Agnes, podniosła ją, przycisnęła kieliszek do jej ust i rozkazała: - Wypij to! No już, połykaj! Połykaj!

Usłyszawszy głos kobiety, Agnes przełknęła alkohol, ale natychmiast zakrztusiła się i whisky rozprysnęła się po pokoju.

- Pomogło! Pomoże nawet nieboszczykowi. Podnieście ją i posadźcie na krześle.

Dwóch mężczyzn pomogło jej wstać, a gdy już siedziała, powoli otworzyła oczy i pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była szeroka twarz Betty Felton. Miała wrażenie, że kobieta wypełnia sobą dokładnie cały pokój, a mężczyźni giną w jej obecności. Jeszcze nie widziała tak grubej kobiety. Rozpustnica - to słowo błąkało jej się po głowie.

- Przepraszam... przepraszam. Chyba zemdlałam - wyszeptała.

- O tak. A jeżeli nie, to dobrze udawałaś. Jak się nazywasz?

Agnes nabrała powietrza. - Jestem panna Agnes Conway.

- Tak. Panna Agnes Conway. A skąd?

- Mieszkam na Wiosennej. Mamy... trafikę i sklep z cukierkami - czuła, że mówi bardzo wolno, słowo po słowie, tak jakby dopiero uczyła się mówić.

Betty Felton odwróciła się do synów i spoglądała na nich. - Tak... Cukierki i machorka. Dawno tam nie byłam. I nazywa się Conway. Ale co, u diabła, ona tu robi?

- Dlaczego mamuśka jej nie zapyta? Mówi, że zna naszego Robbiego.



- Albo jej siostra - dodał jeden z mężczyzn.

Głos Betty Felton odrobinę złagodniał: - No, dziewczyno, mów, co cię tu sprowadza.

Agnes wyprostowała się, spojrzała na szeroką twarz kobiety i powiedziała: - Pani syn widywał się potajemnie z moją siostrą.

- Co?

Dał się słyszeć głos z tyłu: - Chce powiedzieć, że po cichu.

- Wiem, co chce powiedzieć, mądralo. No, mów dalej

- niezbyt czystym palcem stuknęła Agnes w ramię.

Dopiero po chwili Agnes mówiła dalej. Jej głos był szorstki. - I pani syn dał jej... - Nie wiedziała, jak to powiedzieć, czy powinna użyć słowa „dziecko”, czy lepiej powiedzieć, że jest w odmiennym stanie, czy że spodziewa się dziecka? Wszystko brzmiało nie tak, trąciło Biblią. Poprzestała więc na najprostszym i powiedziała

- Dał jej dziecko - ale szybko dodała: - Chce jednak ożenić się z nią, a ona się zgadza.

- Najśłodszy Boże!

Ogromna kobieta opadła bezsilnie na krzesło i potoczyła wzrokiem po milczących synach. Powiedziała:

- Słyszeliście? Ten wyrostek ładnie narozrabiał. Niezła robota! Jeśli mu się to udało, to zrobił coś ważniejszego, niż wy, nieudaczniki, w całym swoim życiu. Tylko moje dwie dziewczyny dają mi wnuki. Myślałam, że wydałam na świat bandę wiecznie nieprzytomnych łobuzów, co nie potrafią ruszyć głową ani niczym innym, chyba że do bójki. No, proszę! No, no! To mojemu Robbiemu się poszczęściło. Ale co z tym szpitalem?

Przysunęła się do Agnes, a najstarszy syn zapytał:

- Tak, co z tym szpitalem? Mówiła pani, że jest w szpitalu.

- Jest - spojrzała na niego - Najwyraźniej przyplłynął wcześniej. Zaczumowali w Shields. Przyszedł do nas z nadzieją zobaczenia się z moją siostrą. Zobaczył się. Mój ojciec widział ich razem... zaczęli się bić. Muszę wam powiedzieć, że pani syn mógł zranić mojego ojca, ale nie zrobił tego. Mój ojciec był nieprzytomny z wściekłości i...

- spuściła głowę - Wziął łopatę do węgla i rzucił nią. Ostrze wbiło się pani synowi w... głowę. Zrobiłam wszystko, co mogłam... Zaniósł

go do fabryki i wezwaliśmy karetkę... i zabrałam go do Szpitala Królowej Wiktorii.

Zapadła cisza, aż ktoś w końcu powiedział: - Mówi prawdę.

Kobieta odwróciła się i rzuciła niedowierzające spojrzenie.

Odwróciła się ponownie do Agnes i spytała: - Czy jest z nim bardzo źle?

- Z tego, co powiedziała mi pielęgniarka, wnioskuję, że nie jest tak źle, jak sądzili na początku. Jest to duża rana, ale nie na tyle głęboka, by zaistniały jakieś nieodwracalne skutki. Przynajmniej tak rozumiałam. Ale myślę, że... dowiedcie się więcej, jak sami tam pójdziecie.

Potężna kobieta wstała i spoglądając na najstarszego z synów, powiedziała: - Idę na górę pomyśleć, co robić

- i zwróciła się do Agnes: - Masz powóz, moja droga?

- Nie... wysłałam zupełnie bez pieniędzy, musiałam pożyczyć, by tu dojechać.

- O, więc chłopaki odprowadzą cię do domu. Willie, pójdiesz z tą młodą panienką. O nie, nie idź raczej sam.

Arthurze, pójdiesz z Williem, bo Pritchardowie chyba nigdy nie śpią, wiesz... tak czy inaczej, dopadną was po tym ostatnim wybryku. Mike i Jimmy, chodźcie ze mną.

- Mamuśka, czy wezwać powóz?

- Nie. A może jeszcze chciałbyś wezwać kogoś z gazety i opowiedzieć, co się stało?

- Nie, mamu, ja tylko chciałem...

- Wiem, co chciałeś. Powinieneś wiedzieć, że w tym mieście ściany mają uszy, lepsze jak którykolwiek dziennikarz z nie wiem jakiej gazety. Tak więc rusz głową. A ty, dziewczyno - zbliżyła się teraz do Agnes - jeśli z moim chłopakiem będzie coś poważnego, twojemu ojcu nie ujdzie na sucho. Na Boga! Nie ujdzie! Ale jeśli o ciebie chodzi... Musiałaś działać przeciwko jego woli, ratując Robbiego. Za to jestem ci wdzięczna.

Tutaj odwróciła się, a Agnes wstała i dopiero wtedy ogarnęło ją zmęczenie.

Dwóch mężczyzn, jeden nazwany Williem, drugi Arthurem, stało już w czapkach na głowie. Gdy Agnes do nich podeszła, Mike, ten zwalisty, powiedział do niej:

- Przepraszam, że byłem taki niegrzeczny dla pani.

Spojrzała na niego, nic nie odpowiedział. Wyszła w eskorcie dwóch mężczyzn, ona pośrodku. Szli w milczeniu, nawet nie patrząc na siebie, aż do głównej ulicy. Nagle, jak spod ziemi, pojawił się policjant.

Spoglądając to na jednego, to na drugiego, powiedział:

- Kogo tu mamy? Dobry wieczór.

Potem, przechylając się do przodu, nieomal czubkiem nosa dotknął twarzy Agnes, pytając: - Czy wszystko w porządku, panienko?

- Tak, panie posterunkowy. W porządku.

- Na pewno?

- Tak, najzupełniej w porządku. Dziękuję panu.

- Tak, na pewno, panie posterunkowy. - Ostatnie słowo było silnie zaakcentowane, można nawet powiedzieć, warknięte. - Tak się składa, że ta pani odwiedziła nas i mama wysłała nas jako jej obstawę w drodze do domu. Chce nam pan towarzyszyć, czy co?

- Tak, mógłbym tak zrobić.

- Nie ma najmniejszej potrzeby, panie posterunkowy

- twarz Agnes nabrała łagodnego wyrazu. - Musiałam pójść do tych... - tu prawie powiedziała: „młodych dżentelmenów” - do pani Felton z wiadomością o jej najmłodszym synu, który jest w szpitalu.

- Och, w szpitalu? Nie dziwi mnie to; od dłuższego czasu mu się na to zbierało. I co wy, chłopaki, na to? He?

- My na to, panie posterunkowy - odpowiedział Arthur - że jest coś takiego jak napaść. Tak mi powiedzieli, jak miałem tę sprawkę z tym staruchem. Napaść... każdego można za to sądzić. I mamy tu świadka... tę pannę tutaj. Ona jest prawdziwą damą i na pewno powie prawdę.

- Już się zabierajcie - policjant przesunął się na bok i odeszli, znowu milcząc.

Gdy w końcu doszli do początku Wiosennej, Agnes zatrzymała się i spoglądając na nich, powiedziała: - To tutaj mieszkam. Dojdę sama. I... dziękuję za... towarzyszenie mi.

- Zrobiliśmy to z przyjemnością, proszę pani, z przyjemnością.

Przypomniała sobie, że powiedział to ten, który tłumaczył matce, co znaczy słowo „potajemnie” i on także powoływał się na prawo w rozmowie z policjantem. Sprawiał wrażenie, jakby się znał na prawie,

przynajmniej na jego złej stronie. Jednakże nie mogła powiedzieć, by czuła odrazę do niego lub do tego drugiego.

- Dobranoc, proszę pani.
- Dobranoc, proszę pani.
- Dobranoc, i dziękuję raz jeszcze.

Odwrócili się, a Agnes odeszła ulicą, minęła piekarnię, warsztat szewski, sklep z kapeluszymi i zadzwoniła do drzwi sklepu z cukierkami. Dźwięk dzwonka rozległ się na korytarzu. Zadzwoniła drugi raz, czwarty, ale nikt nie odpowiadał.

Pobiegła za róg, na podwórze, i zapukała do tylnych drzwi. Gdy pukała trzeci raz, zapaliło się światło w pokoju Jessie i usłyszała przytłumione głosy. Światło zgasło, ale na dole nikt się nie pojawił.

Nie mógł tak przecież myśleć naprawdę. Nie mógł planować, że jej nie wpuści do domu.

Rozejrzała się po podwórzu. Nie mogła się dostać do małego domku, bo klucze były na górze. Gdyby poszła do Tommy'ego i go obudziła, i tak nie miałyby gdzie spać. Mają tylko dwa pokoje. Nie mogła też spać w fabryce na podłodze, bo wokoło buszowały myszy i chrząszcze. Nie pozostawało jej nic innego, tylko stać i płakać.

Po chwili namysłu wybiegła z podwórza na ulicę i dotarła do przyjaznego jej domu panien robiących kapelusze. Przy drzwiach sklepu był także dzwonek do znajdującego się na górze mieszkania panien Cardings.

Przyciskała go długo, jakby ogarnięta paniką, aż w końcu przez okienko w drzwiach ujrzała zbliżający się płomyk świecy. Padło pytanie:  
- Kto tam?

Gdy Agnes usłyszała głos panny Rene, wykrzyknęła zrozpaczona: - Nie mogę wejść! Nie chce mnie wpuścić!

Drzwi się otworzyły. - O kochanie! Cała drżysz. Gdzie byłaś? Jest środek nocy. Wejdz. Wejdz. Florence - odwróciła się do sióstr czających się z tyłu - idź na górę i włącz gaz. I dołóż do ognia. Jeszcze nie zgasł, więc podmuchaj. A ty, Belle, postaw na piecu czajnik. Musi napić się czegoś ciepłego. Drzy jak osika.

Gdy znalazły się na górze, otuliła Agnes szalem, mówiąc: - No, już dobrze, kochanie. Usiądź. Za chwilę dostaniesz coś do picia.

To wszystko rozczyliło Agnes do tego stopnia, że zaczęła płakać. Najpierw cicho, potem głośniej, aż w końcu wpadła prawie w histerię, wyrzucając z siebie bezładne słowa. Trzy siostry wpatrywały się w nią badawczo, nie mogąc dociec, co zaszło od chwili, gdy widziały ją niosącą bieliznę do domku. Agnes powiedziała im o tym sympatycznym młodym mężczyźnie, który wspomniał, że nie widział jej od dawna w sklepie. Wszystko im opowiedziała, aż tu nagle ci cieszący się złą sławą bracia Feltonowie przyprowadzają ją do domu, lecz za chwilę okazuje się, że nie ma już dla niej domu.

Znowu zaserwowano jej whisky, ale tym razem dodaną do gorącej wody z karmelem. Siostry zaprowadziły ją potem do salonu, gdzie czekała już na nią kanapa, chwilowo przekształcona w łóżko. Gdy została sama, zapadła w niespokojny sen. Śniło się jej, że ojciec zainstalował na podwórzu gilotynę, a jednym z mężczyzn, którzy pod nią trafili, był ten młody mężczyzna, którego imienia jeszcze nie знаła i nie wiedziała nawet skąd pochodził. We śnie znalazła się w szpitalu, a tam leżał ten mężczyzna. Miał obandażowaną głowę, a ona trzymała go za rękę. Ten sen jednak trochę ją uspokoił po burzliwych wydarzeniach ostatniej nocy. Nocy, która potem okazała się punktem zwrotnym w jej życiu.

### 3

Minął już tydzień, a Agnes ciągle nie wiedziała, czy wytrzyma obecną sytuację jeszcze choć jeden dzień. Następnego dnia, po nocy spędzonej u gościnnych sióstr, gdy ojciec wpadł do sklepu z kapeluszami i kategorycznie zażądał jej powrotu do domu, Agnes odparła: - Co? Po tym, jak nie chciałeś mnie w nocy wpuścić do domu?

Próbowała mu uświadomić, co mogłoby się z nią stać, gdyby nie

jej drogie przyjaciółki, które dały jej schronienie. Próbując znaleźć wymówkę, powiedział, że był przecież zdenerwowany. Przypomniała mu, że również w nerwach nieomal zabił człowieka i ma niesamowite szczęście, że nie siedzi teraz w więzieniu oskarżony o zabójstwo. Nie okazał żadnej skruchy, lecz odrzekł, że szkoda, że go nie zabił i jeżeli jeszcze raz ten typ wpadnie mu w ręce, na pewno tego dokona.

Agnes zakomunikowała mu, że nie ma najmniejszego zamiaru wrócić i pracować u niego, że jest zdecydowana zostać u panien Cardings i poszukać jakiejś pracy. Ojciec stał się najzwyczajniej żalony; błagał ją, by nie odchodziła, bo nie da sobie bez niej rady. Jej matka, mówił, znajduje się w strasznym stanie. A co do córki, poza którą - jak to określił - świata nie widział, to zamknął ją teraz w pokoju i nie wypuści, póki dziewczyna nie zmądrzeje...

Informacja o losie Jessie spowodowała, że Agnes rzeczywiście wróciła do domu, bo mogła wtedy się z nią spotykać. W stanie, w jakim się teraz znajdowała Agnes, mogło jej pomóc jedynie działanie i zaangażowanie się w sprawę Jessie.

Tego dnia pod wieczór Agnes wróciła do domu. Matka była już w łóżku, wykończona robieniem wyrzutów Jessie, która ją tak zhańbiła. Przez cały wieczór Agnes tuliła Jessie w ramionach, pocieszając ją, że jej Robbie wyzdrowieje, choć sama, sądząc jedynie po ułamkach informacji, jakie zasłyszała od pielęgniarki, nie była tego do końca pewna.

Gdy trzeciego dnia ojciec odmówił wypuszczenia Jessie z pokoju, Agnes wystąpiła z decyzją, mówiąc, że nie może uwięzić jej na zawsze. Postawiła go przed wyborem: albo wypuści Jessie, albo ona odejdzie na zawsze. Nie pozostało mu już nic innego, jak zmusić Jessie do złożenia przysięgi na Biblię, że jeśli ją uwolni, nie ucieknie z domu. Jessie przysięgła, a on odszedł, zostawiwszy otwarte drzwi. Ale gdy tylko ojciec zostawił je same, Jessie powiedziała:

- Biblia, nie Biblia, ale i tak skorzystam z pierwszej okazji, jaka się nadarzy, by stąd uciec.

- Posłuchaj teraz mnie - usiadły na łóżku. - Ten chłopak jest jeszcze w szpitalu. Nie wiem, w jakim jest stanie. Wiem jedynie, że upłynie trochę czasu, zanim wyzdrowieje na tyle, by móc gdzieś z tobą

wyjechać, a co więcej, pracować. Tak więc, na razie nie myśl o ucieczce. Nie możesz mieszkać u jego rodziny. Byłam tam; widziałam ich. Jego matka jest wielka, tłusta i odpychająca. Ma czterech synów osiłków. Są tak nieprzyjemni jak ich matka, a policja zna ich aż nadto dobrze. Nawet w nocy posterunkowy od razu rozpoznał tych, co odprowadzali mnie do domu. Jeden z nich, sądząc z jego rozmowy z policjantem, umie się wysławiać, ale, jak mi się wydaje, dzięki praktyce na sali rozpraw. Poza tym, ich dom jest nieduży; gdzie więc mogłabyś pójść? Pozostaje ci jedynie przebiegłość. Nie działaj pochopnie. Jutro spróbuję dotrzeć do szpitala i dowiedzieć się, co z Robbiem. Zdążyłam się przekonać, że bardzo mu na tobie zależy. Jeśli i tobie na nim zależy, musicie się pobrać i trzeba to dokładnie przemyśleć. Po ślubie będziecie musieli wyjechać stąd i to daleko, bo ojciec sam powiedział, że drugim razem nie chybi. A wiesz, co ostatnio odkryłam? On ma broń. Może miał ją od dawna, nie wiem, ale natknęłam się na nią w szufladzie w małej sypialni, gdy chowałam bieliznę. Pistolet w futerale. Czy teraz uzmysławiasz sobie, że to poważna sprawa? Zostań tu. Nie wychodź z domu. Nie próbuj zejść nawet do sklepu. Całe szczęście, że Nan przez te dwa tygodnie miała wolne z powodu bólu nogi.

Jessie zapytała niepewnie: - Jak sądzisz, czy Mabel pomogłaby mi? Jej rodzina...

- Mabel Aintree? Nie wygłupiaj się, Jessie. W twoim stanie wzbudziłabyś w nich tylko pogardę i lekceważenie. To, co Mabel może myśleć, nie ma znaczenia, ale liczy się to, co powiedzieliby jej rodzice. Jeszcze się o tym nie przekonałaś? - Agnes wyszła zniecierpliwiona.

Chwilę później podeszła do niej matka i zadziwiając Agnes, miło zagadnęła: - Agnes... chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

Agnes, zaskoczona, podążyła za nią do salonu. Alice Conway usiadła na kanapie i wskazała Agnes miejsce obok siebie. Zaczęła: - Agnes, tak dalej nie może być. Sama widzisz, że to jest nie do zniesienia.

- A masz pomysł, jak to zmienić?

Matka odwróciła wzrok i spojrzała w okno. - Musi odejść.

- Odejść? Dokąd? Na ulicę? Przecież obiecała ojcu, że zostanie. Nie pamiętasz? Więc o co ci chodzi? Gdzie ona pójdzie?

Matka spojrzała na Agnes. - Ja... my nie możemy tu z nią...

mieszkać. Zaczyna już być widać... cała ulica wkrótce będzie o tym mówiła.

- Jeżeli już nie mówi. Nan nie urodziła się wczoraj, pan Peeble też nie i z pewnością jest przyzwyczajony do ciężarnych kobiet. Na pewno już wcześniej się czegoś domyślał, a rozmowy w ciągu ostatnich kilku dni tylko go w tym utwierdziły. Tak więc, gdzie chciałabyś ją wysłać?

- Do kuzynki Mary w Durham.

- Kuzynka Mary? - Agnes skrzywiła się i dodała:

- Do tej kuzynki Mary, z którą nie widziałas się od dwunastu lat, jeśli nie dłużej, albo raczej, która z tobą się nie widziała, odkąd wyszła za mąż za pana Bostona, podobno człowieka zamożnego i cieszącego się dobrą pozycją społeczną? Do tej, która potem wstydziła się swojej rodziny? I do niej masz zamiar wysłać swoją córkę, spodziewającą się dziecka? No, no! - oparła się. - Ciekawa jestem, jak to rozegrasz, mammo.

- Proszę, Agnes, proszę, tylko nie traktuj tego w ten sposób. Próbuję zachować spokój i... działać dla dobra nas wszystkich.

- Mnie możesz tu nie brać pod uwagę, mammo. Sądzę, że trochę nie w porę próbujesz pomóc i być spokojna. Bardzo żałuję, że od razu nie przyjęłaś takiego stanowiska. Gdy wróciłam od panien Cardings, ciągle suszyłaś Jessie głowę twoją wizją życia z nieślubnym dzieckiem.

O ile pamiętam, wytykałaś jej, że nigdy żaden mężczyzna na nią nie spojrzy, bo takie kobiety nie mogą w życiu na nic liczyć, tylko na to, że będą wykorzystywane. Czy dobrze mówię?

- Agnes! Proszę! Proszę, przestań. Nie widzisz, że tak się denerwuję, że chyba się rozchoruję. Co gorsze - ściszyła głos i przysunęła się do córki - boję się twojego ojca, to jest, boję się, że twój ojciec coś zrobi temu... chłopakowi, jak go jeszcze raz zobaczy.

- Już mu coś złego zrobił, mammo.

- Tak, ale może być jeszcze gorzej. A wtedy, co będzie z nami?

No tak, o to jej chodziło, „co się stanie z nami?” Tak naprawdę bała się, co stanie się z nią, jeśli jej mąż popełni jakieś przestępstwo i będzie musiała radzić sobie sama. Oczywiście nie zostałyby sama, bo przecież miałyby Agnes. O tak, Agnes by została. Ale jeszcze ten cały skandal. O, zbyt dobrze знаła swoją matkę.

Agnes spytała: - Kiedy chciałabyś ją odwiedzić?



- Ja osobiście tego nie mogę zrobić. Ona... jak wiesz, nie widziałyśmy się od lat. Obraca się w innych sferach, pośród elity Durham. On udziela się w kościele, w katedrze.

Agnes znowu się skrzywiła. - I myślisz, że przygarnie Jessie?

- Cóż, może i jej nie przygarnie, ale zawsze zajmowała się działalnością pożyteczną dla innych. Na przykład, gdy poznała pana Bostona. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że wtedy robiła wszystko, by zrobić na nim wrażenie, bo nigdy przedtem przecież nie była większą filantropką niż ja. Nigdy... nigdy tego nie ukrywałam.

Tak, jej matka nigdy nie ukrywała braku zainteresowania tymi sprawami.

- No więc, co masz zamiar zrobić? Napisać do niej?

- Nie, to nie ma sensu. Myślałam, że od razu pojdziesz, o co mi chodzi; jesteś przecież bystra. Myślałam, że może pojedziesz do niej i poprosisz o pomoc. A może wie, gdzie można by...

- Nie, mamó. W żadnym wypadku nie pojedę do państwa Bostonów.

Obie wstały.

- No, to powiedz mi - rzekła matka już normalniejszym głosem - co z nią będzie?

- Może wyjść za mąż. Pominąwszy to, jaki jest ten młody człowiek, zależy mu na Jessie, tak jak i jej na nim.

- Czy chcesz morderstwa w rodzinie? To byłoby nieuniknione. Nie zdajesz sobie sprawy, że przez całe lata twój ojciec nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Tylko Jessie to, Jessie tamto... Chciał nawet kształcić ją dalej, gdy miała szesnaście lat i skończyła szkołę, ale jakoś go przekonała i stąd ta szkoła dla sekretarek. To był kompromis, bo on chciał dać jej gruntowne wykształcenie. Myślał nawet o studiach na uniwersytecie. Nic nie wiedziałaś o tych planach dotyczących jego ukochanej córki i teraz opowiadasz mi, że Jessie miałaby wyjść za mężczyznę z najgorszej rodziny marginesu Newcastle... Gdyby był to ktoś inny, może jeszcze byłaby jakaś nadzieja. Ale nie Felton! Dobry Boże!

- Podniosła błagalny wzrok do sufitu. - Feltonowie. Taka opinia... Ojciec zmarł po walce na gołe pięści. Ma się takie wrażenie, że ludzie

kupują gazety tylko po to, by dowiedzieć się o nowych wybrykach Feltonów. Jeden z nich właśnie wyszedł z więzienia po dwuletnim wyroku za spowodowanie obrażeń cielesnych. I ty chcesz, by Jessie weszła w taką rodzinę! Wprost własnym uszom nie wierzę.

- Czyli wolisz, by to dziecko było nieślubne? Wiesz, jak nazywa się takie dziecko. Nigdy nie uwolni się od przydomka „bękart”.

- Tak, wiem.

- I czy będziesz chciała wychować to dziecko tu, w tym domu?

Matka wzięła głębszy oddech, zanim odpowiedziała:

- Nie próbuj być bardziej przekorna niż zwykle. Są miejsca, są sposoby radzenia sobie z takimi sytuacjami. Można oddać dziecko do adopcji. W każdym razie - jej głos znowu się zmienił, złagodniał - zrób to dla mnie. Nieczęsto proszę cię o coś dla siebie, prawda?

Tak, nieczęsto. Nigdy nie miały ze sobą wspólnego języka, nigdy, jak tylko Agnes sięgała pamięcią. Ale pójść do obcej kobiety i prosić ją... o coś takiego? Pytać, gdzie można by umieścić Jessie? To było dla Agnes nie do pomyślenia. Albo żeby wzięła Jessie pod swój dach? To było jeszcze bardziej absurdalne. Agnes była przekonana, że właśnie o tym myślała matka, która miała na uwadze to, że jej kuzynka jest bezdzietna. Ale jedna rzecz w tym pomyśle matki była dobra. Jessie mogła zamieszkać w Durham i co jakiś czas spotykać się z Robbiem Feltonem. Może pobraliby się i dokądś wyjechali. I to gdzieś daleko, by ojciec nie mógł ich dopaść.

Ze zdziwieniem zauważyła, iż myśl, że jej siostra może poślubić jednego z Feltonów, nie napawa już jej odrazą. Było to na pewno lepsze rozwiązanie, niż wydanie na świat nie chcianego dziecka, przeznaczonego do adopcji.

Rozważania Agnes przerwał głos matki, jakby mamiący ją, ale zaprawiony łatwo wyczuwalną kpiną: - Miałabyś okazję założyć jedno z tych ubrań, na które ostatnio wydałaś tyle pieniędzy.

O, tak. Z pewnością. Ale Agnes nie przyznała tego na głos, choć natychmiast wyobraziła sobie, jak by wyglądała w tej soczystozielonej sukni i płaszczu z różową podszewką. Ileż to razy przymierzała go w swym pokoju i za każdym razem widziała siebie w nim inaczej, szczególnie, gdy założyła ten słomkowy kapelusz. Dziewczęta, jak w

myślach nazywała panny Cardings, ozdobiły go aksamitną wstążką o nasyconej zielonej barwie i pośrodku kokardy przypięły dwa maleńkie jedwabne pączki róż.

- No, jak? Pojedziesz?

- Pomyślę o tym.

- Nie myśl za długo, moja droga, bo nie zniosę dłużej atmosfery, jaka panuje w tym domu.

- A jak sądzisz, co ojciec powie na twój pomysł?

- Przyzna mi rację.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ - powiedziała mocno akcentując - on sam nie chce najeść się wstydu, podobnie i ja.

- A jeśli kuzynka nie zgodzi się na tę propozycję?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem. Wiem jedynie, że musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by stąd zniknęła... gdziekolwiek.

- Tak, masz rację; gdziekolwiek.

Zbliżała się noc. Nan już wyszła, a Agnes zamknęła drzwi, zaciągnęła żaluzje i już miała wyłączyć gaz, gdy w drzwiach pojawił się ojciec. Przez tydzień prawie wcale ze sobą nie rozmawiali i Agnes wyraźnie widziała, że rozpoczęcie rozmowy sprawiło mu dużą trudność. Powiedział: - Matka przedstawiła mi swój pomysł. Zgadzam się. Kiedy masz zamiar tam jechać?

- Jutro.

- Pojadę z tobą.

- O, nie. To delikatna sprawa - dodała spieszenie.

- Chcesz jechać sama do Durham?

- Nie jadę przecież do Ameryki czy do Timbaktu, ojciec. Mogę jechać do Durham, czy gdziekolwiek indziej, sama, kiedy zechcę.

- Ty znowu swoje...

- I nie mam zamiaru zmienić zdania, pamiętaj. Sama sobie jestem panią i mogę stąd wynieść się w każdej chwili. Pamiętaj.

Ojciec przeciągnął ręką po twarzy, rozciągając obwisłą skórę pod oczami. - O Boże! Wierzyć mi się nie chce, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

Mówiąc to, odwrócił się i zniknął w magazynku. Agnes została

rozdygotana, ale wcale nie z powodu śmiałości swoich słów. Nie wiedziała, czy to po rozmowie w sypialni matki, którą podsłuchiwała tamtej nocy, czy po tym, jak rzucił łopatą w tego chłopaka, który mógł go powalić jednym ciosem, straciła cały dla niego szacunek. W dodatku nie mogła zrozumieć, dlaczego do takiej wściekłości doprowadza go fakt, że jego córka popełniła, tak zwany „grzech”, gdy on sam, z własnej nieprzymuszonej woli, spotyka się potajemnie z jakąś kobietą.

Wszystko wokół wydawało się Agnes takie odrażające. Zmarszczyła czoło na myśl o tym i poszła na górę do pokoju Jessie.

Siostra była już w łóżku, ale jeszcze nie spała. Agnes usiadła na brzegu łóżka i wyszeptwała: - Posłuchaj...

Jessie wysłuchiwała uważnie, co Agnes miała do powiedzenia i odpowiedziała: - Przecież to zupełnie obca osoba. W ogóle jej nie pamiętam. Jak mogłabym tam zamieszkać?

- A czy wolałabyś zostać tutaj, w tym więzieniu? Rusz głową, dziewczyno. Gdy się stąd wydostaniesz, będziesz miała szansę widywać się z Robbiem.

- Gdyby ojciec się o tym dowiedział, zabiłby go. Następne ich spotkanie może się skończyć gorzej. Nie chcę, by Robbiemu coś się stało...

- Więc - Agnes zbliżyła twarz do ślicznej twarzyczki siostry - czy chcesz urodzić nieślubne dziecko?

- Nie mam raczej wyjścia - powiedziała Jessie bezradnie. - Już o tym myślałam. Już tak musi być.

- Nie bądź głupia, dziewczyno! Ta matka... kuzynka Mary, bez względu na to, co o niej się mówi, może być wrażliwą kobietą i okazać ci współczucie. Chyba nie ma dzieci. Ale... jeśli nie pozwoli ci u siebie zamieszkać, matka będzie próbowała załatwić jakieś inne miejsce. Na pewno będzie to sporo kosztowało, a nie sądzę, by ojciec chciał dać pieniądze na ten cel. O, nie, nie. W stanie, w jakim się teraz znajduje, raczej wolałby umieścić cię zakładzie, w którym byś pracowała w zamian za utrzymanie. Na pewno nie dołoży ani grosza, byś wydała na świat dziecko Feltona. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, będzie cię tu trzymał. A jakie wtedy miałabyś życie? Jednego jestem pewna; nie zostanę tu, by łagodzić konflikty między nim a tobą. Jak już to się rozstrzygnie tak czy

inaczej, zabieram się stąd.

- Och, Agnes, chyba nie opuścisz mnie?... - dziewczyna przytuliła się do Agnes. - Mam tylko ciebie. Nikt mi nie pozostał, nikt na całym świecie.

- Musisz więc wziąć się w garść. Nie wiem, gdzie się podziejemy, ale pewnego dnia już nas tu nie będzie. W każdym razie, jutro jadę do Durham i, jak matka powiedziała - zagryzła usta - będę miała w końcu okazję, by założyć te ubrania, na które ostatnio wydawałam pieniądze. A tak przy okazji, Jessie, czy kochasz matkę?

- Naszą matkę? - Jessie wyciągnęła szyję.

- Tak, naszą matkę - powiedziała Agnes. - A czyją, jak myślisz?

- Nie. Nie, nie kocham jej. Nawet jej nie lubię. I... wiem to już od dawna.

- Dziwne - Agnes podniosła się z łóżka. - Obie tak czujemy. Smutne, prawda? - odwróciła się i wyszła z pokoju.

#### 4

Tego dnia panował niespotykany w tej części kraju upał. Temperatura przekraczała trzydzieści stopni, a kto miał tendencje do przesadzania, mówił, że było ponad czterdzieści stopni. Agnes nie zapięła płaszcza, pokazując w ten sposób suknię i szkarłatny pasek. Efekt był niesamowity. Kapelusz założyła z fantazją, lekko na bok. Miała na sobie popielate pantofle, zapinane na paseczek ze sprzączką i rękawiczki w tym samym kolorze, które teraz trzymała w ręku, razem ze skórzaną popielatą torebką.

Już kupiła bilet i czekała na peronie na pociąg do Durham, podobnie jak całkiem spora grupa innych podróżnych. Choć Agnes stała z boku, jej postać rzucała się w oczy. Była zdenerwowana, i to z kilku

powodów. Po pierwsze, ten strój bardzo absorbował jej uwagę. Gdyby była teraz ubrana zwyczajnie, nie czułaby tego. Nie mogła odżałować, że założyła ten komplet. Było to według niej głupie i próżne, ale ani za grosz szalone.

Za jej plecami przeszedł dwukrotnie mężczyzna w letnim popielatym garniturze i modnym filcowym kapeluszu. Zwróciła na niego uwagę, gdy przechodził drugi raz, bo, choć nie odwróciła się i nie spojrzała na niego, czuła na sobie jego wzrok.

Na peron wtoczył się pociąg. Wsiadło kilka osób i Agnes wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwi wagonu, ale ktoś inny był szybszy. Gdy obejrzała się, zobaczyła pogodnie roześmianego mężczyznę. Powiedział: - Tak myślałem, że to pani, ale... nie mogłem... rozumie pani... O, wsiadajmy! - zaśmiał się.

Wsiadła i zajęła miejsce. Mężczyzna usiadł naprzeciwko. Usłyszała wyważony głos: - Myślałem, że to pani, ale jednak nie byłem pewien.

Odwzajemniła uśmiech i powiedziała ze szczerością:

- Nie można się panu dziwić, bo nieczęsto jestem tak ubrana.

- O! - podniósł ze zdziwieniem brwi. - To piękny komplet... suknia... płaszcz. Zupełnie niespotykany, inny. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego Angielki wolą takie ponure kolory, przynajmniej kobiety z tych stron. To chyba z powodu klimatu, jak pani sądzi?

- Albo z powodu braku pieniędzy, by móc pozwolić sobie na taki strój.

- Och, nie - przecząco machnął ręką - ludzie tutaj mają mnóstwo pieniędzy i kobiety wydają je naprawdę szczodłą ręką. Ale, mimo to, w moim odczuciu nie mają najlepszego gustu.

- Może porównuje nas pan z kobietami z południa?

- Nie, raczej nie.

- Albo z zagranicy?

- Nie. Greczynki ubierają się przeważnie na czarno,

Włoszki podobnie, z wyjątkiem świąt, ważnych okazji, ślubów i przeważnie zakładają wtedy strój narodowy.

Szarpnęło wagonem, lokomotywa zasapała i pociąg ruszył.

Mężczyzna wyjrzał przez okno i spytał: - Czy daleko się pani wybiera?

- O, tylko do Durham.

- Tak jak ja. Co za przypadek. Ma pani znajomych w Durham?

Zawahała się przez moment, lecz odpowiedziała: - Mam odwiedzić kuzynkę matki, którą ostatni raz widziałam, gdy miałam dwanaście lat. Nie wiem, czy ją poznam, a ona mnie.

- Jestem pewien, że przyjmie panią z przyjemnością.

- Chciałabym też mieć taką pewność.

Agnes oparła głowę na czarnym, wykładanym skórą zagłówek, on zrobił to samo, a gdy zaczął jej się przyglądać z lekkim uśmiechem, odwróciła głowę do okna. Przez kilka minut milczeli, potem on przerwał ciszę.

- To raczej zastanawiające, że spotkałem tu dziś panią, bo właśnie tego ranka myślałem o pani. Dostałem list od siostry: tej, co była wtedy ze mną w sklepie.

- O, tak. Tak.

- Właśnie urodziła następne dziecko. To już czwarte. Napisała zabawnie: „Jeszcze jeden amator cukrowych myszek”. Widzi pani, spędziliśmy wtedy miły dzień w Newcastle, a zakończyliśmy go w waszym sklepie. Było też dużo śmiechu w domu, bo dwóch moich braci po prostu przypuściło szturm na to pudełko. Potem mój brat, Henry, po sutej kolacji, ściągnął jedną z choinki, gdzie siostra powiesiła je dla dzieci. I pożarł ją w sposób zupełnie niestosowny jak na pastora.

- Musiało to być zabawne. - Agnes pomyślała, że to całkowicie idiotyczna uwaga.

Ma więc brata pastora. Tak, wiedziała, że nie pochodzi ze zwykłej rodziny. Domyśliła się tego po jego głosie i po zachowaniu wobec siostry, której nie traktował zwyczajnie. Nie potrafiła określić, na czym polegała ta różnica, ale wyczuła ją od razu. Od początku wiedziała, że należy do innej klasy, choć ciągle nie wiedziała, jak się nazywał ani gdzie mieszkał.

Jakby potrafił czytać w jej myślach, towarzysz podróży Agnes, usiadłszy na krawędzi siedzenia, oparł łokcie na kolanach, rozłożył ręce i powiedział: - Wiem, że nazywa się pani Conway, przynajmniej sędzę tak po nazwie sklepu. Nie wiem, jak pani na imię. Pani zaś nie wie, jak ja się nazywam. Jestem Charles Farrier. Moja rodzina składa się z matki, ojca,

dwóch braci i siostry, zameężnej. Jeden z moich braci jest, jak powiedziałem, pastorem, drugi służy w wojsku. A ja - uderzył się pięścią w pierś - co ja robię? O, trudno to wyrazić. Jestem, można to nazwać, początkującym... pisarzem, mam nadzieję. Moje zainteresowania pisarskie są raczej ograniczone. Inspirują mnie stare domy, budowle. Jeżdżę więc tu i ówdzie i szukam. Od czasu do czasu piszę też artykuły do gazet, jeśli akurat zdarza się okazja i ktoś chce to opublikować. Właśnie próbuję napisać książkę o domach. Wszystko zaczęło się we Florencji, potem w Luwrze, ale wkrótce musiałem zaprzestać mojej pracy, bo uświadomiłem sobie, że nie jest to oryginalne, że już ktoś to przede mną robił, i to dużo lepiej. Tak więc teraz ograniczam się do Anglii. Wie pani, że w naszym mieście, Newcastle, można znaleźć wiele budowli o doskonałej architekturze? Oczywiście, zna pani lepiej to miasto, bo stale w nim jest. A czy mieszka tu pani od urodzenia?

Zanim mogła odpowiedzieć, mówił dalej: - Och, tak, kiedyś mówiła mi pani, że urodziła się w sklepie, to znaczy w domu nad sklepem - roześmiał się. - W każdym razie, wziąłem teraz pod lupę Newcastle i Durham. Później zajmę się Oxfordem i Cambridge. Nie można też oczywiście pominąć Londynu, mam rację?

Agnes nie podzielała jego wesołości. Miała wrażenie, że mówił do niej tak, jakby była tą osobą, na którą wykreował ją jej strój, jakby była mądra i czytana, jak ktoś taki, jak pani Bretton-Fawcett, dama, która spędza sezon towarzyski w Londynie i jeździ do Ascot, nosi drogie kapelusze kupione za zbędne jej rzeczy. Ale jakie rzeczy! Dzięki tym zbędnym, używanym ubraniom można się było poczuć kimś i wszyscy wokół dawali się na to nabrać. Jednak on musiał znać prawdę. Wiedział, że pracuje w sklepie. Nieważne, że to ich sklep. Agnes w nim pracuje. Nie jest przecież nikim więcej, jak tylko panną sklepową. Ale nie. Nie tylko. Dlaczego tak obstawała przy tym w myślach? A te trzy kobiety obok? One też pracują w sklepie, drogie, kochające, troskliwe dziewczyny ze sklepu. Jednak ten człowiek, choć wiedział, kim jest, traktował Agnes jak równą sobie.

- Co pani jest? Czy źle się pani czuje?

Siedział teraz koło niej, trzymał ją za rękę. Co się z nią działo? Zemdląła znowu? Chyba nie, nie miała w zwyczaju ciągle mdleć. Ale



przez chwilę dziwnie się poczuła i znowu chciało jej się płakać.

Przemówił delikatnie: - Czy dręczą panią jakieś kłopoty?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego, mrugając szybko oczami, by powstrzymać łzy.

- Nie, nie... Mnie nie... ale moją siostrę.

O Boże! Dlaczego to powiedziała! Zupełnie go nie знаła. Ale nie, nie był dla niej obcym. Przychodził kilka razy do sklepu, by się z nią spotkać, ale nie było jej. Rozmawiali tamtego wieczoru... i miała wrażenie, że chciał porozmawiać dłużej. A teraz rozmawiał z nią jak z... przyjaciółką.

- Czy mogę jakoś pani pomóc?

- Nie. Nie, dziękuję. Nikt nie może tu pomóc. Najgorsze już się stało.

- Czy... pani siostra... jest chora?

- Nie chora, ale ma kłopoty, poważne kłopoty.

- O - po chwili powiedział znowu, jakby z głębszym zrozumieniem

- O!

Agnes pomyślała, że może faktycznie zrozumiał. Był światowym człowiekiem, dużo podróżował, jak wywnioskowała z jego słów.

Agnes dorzuciła trochę informacji: - Jadę do tej pani, której nie znam, żeby... żeby dowiedzieć się, czy może nam pomóc. Ona jest praktycznie jedyną krewną, jaką mamy.

- Mam nadzieję, że się pani powie. Jestem przekonany, że gdy pani z nią porozmawia, spełni każde pani życzenie.

Gdy dotarło do niej to, że ciągle trzyma ją za rękę, natychmiast ją cofnęła. Charles wyjrzał wtedy przez okno i powiedział: - Zaraz będziemy na miejscu, proszę spojrzeć.

Znowu przysunął się do niej, jego twarz była teraz tuż przy jej twarzy. Powiedział: - Sądzę, że nie ma pani pojęcia, jak długo zajmie jej rozmowa z krewną. Ale która teraz jest godzina? - zerknął na zegarek.

- Piętnaście po drugiej. Jestem umówiony z bratem około czwartej. Z tym, który jest w wojsku. Elegancik z niego, stuprocentowy żołnierz, wie pani, co mam na myśli. Jest inny niż ja, ale porządny z niego gość. Jesteśmy umówieni na herbatkę. Ma coś do załatwienia, tak jak i ja. Ale ja muszę zajrzeć do katedry, do kaplicy Galileusza. Ale, jak

powiedziałem, spotykamy się o czwartej. Czy zechciałaby pani zaszczyścić nas swym towarzystwem?

- Przykro mi, ale... nie wiem, jak długo mi to zajmie albo, czy... - zdobyła się na uśmiech - czy nie wyrzuci mnie od razu za drzwi. Wiem, że są... - na jej twarzy pojawił się grymas - dosyć nadziani.

- Nadziani - roześmiał się szczerze i dodał: - Tak, teraz lepiej. Taką panią pamiętam.

Agnes odwróciła wzrok, poprawiła kapelusz i różowe klapy płaszcza, podniosła się i powiedziała: - Jesteśmy na miejscu.

- Tak.

Pociąg zatrzymał się. Pomógł jej wyjść i po kilku krokach zapytał: - A jak z naszym spotkaniem? Jeśli będzie pani już wolna przed czwartą, to może stanie pani na moście i poprzygląda się rzece. Nie będzie to wyglądało dziwnie, chociaż nie mogę sobie pani wyobrazić wyglądającej dziwnie w jakimkolwiek miejscu.

Agnes spojrzała na niego i powiedziała: - Czy to dzięki temu ubraniu? Wie pan, że na co dzień inaczej się ubieram. Ten strój należał do kogoś innego, kto zwykł tak się ubierać.

Odpowiedział poważnie: - Wie pani, że jest najbardziej prostolinijną osobą, jaką w życiu spotkałem?

- Bezczelną?

- Nie, nie to mam na myśli. - Dodał szorstko:

- Szczerą. Dziewczęta w pani wieku raczej chełpiłyby się takim strojem i skleciłyby o nim jakąś historyjkę. Ale proszę posłuchać. Do takich ubrań jest pani stworzona. Takie jest moje zdanie.

Agnes zwilżyła usta, przełknęła ślinę i powiedziała:

- Nie zaprzeczę, bo podobny komplement powiedziały mi moje trzy drogie przyjaciółki, które mieszkają obok i mają sklep z kapeluszami. To dzięki nim weszłam w posiadanie tego kompletu, a także kilku innych, i oto cała historia - na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Gdyby pisał pan powieści, mógłby pan to wykorzystać.

- Cóż, może będę kiedyś mógł. I właśnie powieś-ciopisarzem mam zamiar zostać. Musi mi to pani kiedyś opowiedzieć w szczegółach. Ale teraz, czy może mi pani obiecać, że zjawi się na moście o czwartej?

Potem pójdziemy na herbatę.

- Z pańskim bratem?

- Tak. Z Regiem. Polubi go pani i z pewnością pani też przypadnie mu do gustu.

Gdzieś w głębi duszy dziwiła się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czy to było właśnie to, za czym tęskniła? Czy to było to, co miały sprawić jej eleganckie stroje? Uśmiechnęła się i powiedziała: - Jeśli mi się uda, będę na moście o czwartej, proszę pana.

- Dziękuję, droga pani - wyprężył się, musnął dłonią kapelusz i spytał: - Czy mogę wezwać pani powóz? Ma pani adres?

Pokazała mu adres i dodała: - O, myślę, że to tylko kawałek, tuż za miastem.

Przysunął się do niej i scenicznym szeptem powiedział:

- Ach tak, zapewne. Jeśli mają pieniądze.

To rozbawiło Agnes. Opuścił ją i poszedł sprowadzić powóz. Gdy pomagał jej wsiąść, pożegnał ją słowami:

- Więc do czwartej, na moście.

Gdy powóz odjechał, a młody dżentelmen zniknął z zasięgu jej wzroku, Agnes oparła głowę na podglówku i zamknęła oczy. Położyła rękę na żebrach, jakby usiłując przycisnąć je do serca, by uspokoić jego gwałtowne bicie.

Powóz zwolnił, bo droga stała się bardziej stroma, ale wkrótce teren znowu się wyrównał. Minęli kilka domów z ładnymi ogródkami, potem jechali polną dróżką pośród łąnów pszenicy. Dojechali do żywopłotu z cyprysów i powóz się zatrzymał.

- To tutaj, proszę pani. Czy mam poczekać?

Nie czekając na pomoc woźnicy, sama wysiadła z powozu.

Odpowiedziała: - Tak, proszę, przynajmniej przez chwilę. Przyjdę i powiem, czy jeszcze będę pana potrzebowała.

- Nie mogę przejechać przez bramę. Oni nie lubią, kiedy wjeżdżamy podjazdem, bo wtedy blokujemy ruch z kierunku domu. Tak mówią. Stanę tutaj - wskazał szeroki pas trawy.

Przeszła przez otwartą bramę, minęła małą stróżówkę i szła dalej podjazdem. Przed domem z czerwonej cegły, ze skromnym, płaskim frontonem, stało lando i dwukonny powóz. W kierunku wejścia podążała

pani ubrana w ciemnoszary płaszcz z alpaki i granatowy słomkowy kapelusz prosto nałożony na obfitą siwą czuprynę.

Kobieta zatrzymała się przed schodami i spojrzała na Agnes. Zmierzywszy ją od stóp do głów, powiedziała:

- Pani jest panną Middleton, jak sędzę. Spóźniła się pani i jeszcze weszła nie tym wejściem. - Znowu przejechała wzrokiem po Agnes i dodała, ale teraz ciszej: - Wie pani chyba, kto będzie pani słuchał. Matki, pracujące kobiety. I pani temat... Raczej nie sędzę, żeby pani strój - machnęła w powietrzu ręką - był dostosowany do okazji. O nie. Z pewnością nie. Ale jeśli już pani tu jest, niech lepiej się pani zabiera do pracy. Tędy

- wskazała ręką na drugą stronę podjazdu. - Ta droga zaprowadzi panią przez ogród do kościoła. Weszła pani nie w tę alejkę. A przecież dokładnie panią wcześniej poinformowałam w liście. Pozwolę jednak sobie zauważyć, że pani list nie dał mi dokładnego obrazu, czego mamy się spodziewać po tej prelekcji. No cóż, może pani odejść.

Zeszła po schodach na podjazd, gdzie czekały już otwarte drzwi powozu, postawiła stopę na stopniu i już miała wsiąść, ale zatrzymał ją głos: - Nie mam zamiaru jeszcze odejść i nie nazywam się panna Middleton. Kimkolwiek ona jest, współczuję jej. Życzę pani miłego dnia. - Agnes przeszła obok zadziwionej starszej damy i odeszła alejką.

Woźnica stał oparty o płot ogradzający pole. Odprężony pykał fajkę, ale szybko schował ją do kieszeni, gdy młoda dama powiedziała: - Jedźmy stąd i to szybko.

- Tak, to była krótka i konkretna wizyta, proszę pani.

Właśnie wspinał się, by zająć miejsce, ale zobaczył nadjeżdżający powóz i powiedział: - Lepiej poczekajmy, nadjeżdża powóz.

- Ani mi się śni. Proszę natychmiast jechać, niech poczeka.

- Bardzo proszę, bardzo proszę, jak pani mówi.

- A gdy nas dogoni, nie spiesz się.

Powtórzył, tym razem już ze swego siedzenia: - Jak sobie pani życzy, bardzo proszę!

- Hej, tam!

Agnes wyjrzała przez okno i zobaczyła, że stangret stanął z boku po przejechaniu przez bramę. Znów krzyknął do nich: - Stój tam!

Wychyliła się przez okno, podniosła rękę i z władcym gestem odpowiedziała: - To wy tam stojcie!

Jak mu Agnes przykazała, woźnica jechał po drodze nie spiesząc się. Agnes słyszała przez otwarte okno sapanie koni drugiego powozu. Gdy dojechali do odcinka drogi szerokiego na tyle, że lando mogło ich wyprzedzić, Agnes usiadła na brzegu siedzenia, by pani z powozu mogła jej się dobrze przyjrzeć, gdy będzie ich mijała, a była pewna, że ta dama nie omieszka tego zrobić. Napotkała wtedy Agnes zadziwiony wzrok kuzynki matki, na który odpowiedziała najchłodniejszym spojrzeniem, na jakie mogła się zdobyć. Gdy lando przejechało, Agnes oparła się o siedzenie, zaś gdy się zastanowiła, prawie się na nie osunęła. Była przekonana, że mogli wykluczyć możliwość pomocy dla Jessie, bo wydawało się Agnes nieprawdopodobne, by ta kobieta przyjęła pod swój dach ciężarną dziewczynę, córkę kuzynki, czy kogokolwiek innego. Wszędzie można spotkać snobów, ale ona była szczególnym przypadkiem. Jej dziadek był rybakiem na nabrzeżu, jej ojciec pracował w browarze, skąd rozwoził beczki z piwem, a potem awansował na zwierzchnika.

Jej rozmyślenia przerwał głos woźnicy: - Gdzie pani chce wysiąść?

Po chwili namysłu odpowiedziała: - Gdzieś w centrum miasta.

Kilka minut później, gdy wręczyła mu zapłatę z niewielkim napiwkiem, powiedział: - Miło było panią spotkać. Nieźle się bawiłem ucierając im nosa.

Odeszła uśmiechnięta. Ciągle jeszcze nie wiedziała, co robić. Czy jechać od razu do domu, czy pochodzić po mieście i poczekać do czwartej. Która to godzina? Wyjęła z torebki kieszonkowy zegarek; wskazywał za dziesięć trzecią. Co robić do czwartej? Rozejrzeć się po mieście? Jakoś nie miała na to ochoty, nie sama, bo czuła, że ludzie jej się przyglądają, a szczególnie mężczyźni.

Może posiedzieć nad rzeką? Gdy wcześniej jechała przez most, widziała ludzi na ławkach, przyglądających się łódkom na rzece. Tak, ona też tam pójdzie. Postanowiła wykorzystać ten czas, gdy była wolna, z dala od sklepu i domu.

Zeszła po schodkach na bulwar i usiadła na ławce, którą zajmowały dwie panie. Spojrzały na nią, wymieniły ukradkowe spojrzenia i dalej

rozmawiały lub raczej szeptały. Ale gdy znowu zaczęły jej się przyglądać, Agnes nieznacznie się do nich uśmiechnęła, na co one też odpowiedziały lekkim skrzywieniem warg, wstały i odeszły.

Żałowała, że tak się ubrała. Wolałaby też, żeby ktoś jej towarzyszył.

Przez chwilę Agnes przyglądała się dwu wyprężonym damom spowitym w szarą popelinę, w mocno opinających talię sukniach z długimi rękawami. Kroczyły po schodach. Potem przeniosła wzrok na swoją układającą się w miękkie fałdy suknię i miała wrażenie, że słońce rozsiewa na niej połyskujące gwiazdy. To był taki piękny strój, ale ludzie tak ubrani raczej nie chodzą sami.

Pochłonięta tymi rozmyślaniami, zupełnie zaskoczona usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się momentalnie i spojrzała na most, ale zobaczyła tam tylko dwoje dzieci przyglądających się rzece. Usłyszała znowu: - Panno Conway, panno Conway!

Spojrzała na rzekę i na dobijające do brzegu łodzie. Na jednej z kołyszących się łodzi stał Charles Farrier. W myślach wypowiedziała jego imię. Machał do niej ręką i Agnes zaczęła też machać do niego.

Wstała, widząc jak Charles zeskakuje z łodzi na pomost. Agnes odezwała się pierwsza: - Chyba przenieśli kaplicę Galileusza?

Roześmiał się. - Jakoś nigdy nie mogłem odmówić sobie przejażdżki po rzece i powiosłowałem sobie trochę zanim udam się do katedry. Jak byliśmy mali, niania... ojciec nas tu przywoził, wypożyczaliśmy dwie łódki i ścigaliśmy się.

Agnes zauważyła jego zająknięcie i doskonale wiedziała, co chciał powiedzieć: „Niania nas tu przywoziła”. Jego usiłowania, by nie wspominać, z jakiej sfery się wywodzi, tylko pogłębiały przepaść między nimi. Poza tym, od samego początku nie potrzebowała żadnych innych dowodów, by być przeświadczoną, że wychował się w tej sferze, gdzie dzieci mają nianie.

- Szybko się pani uporała ze swoją sprawą - powiedział.

- Tak, trudno nawet powiedzieć kiedy.

- Usiądźmy - ujął ją za łokieć, podprowadził z powrotem do ławki i zapytał: - Czy... mogłaby mi pani opowiedzieć, co się stało?

- O tak, czemu nie. Słowo po słowie.

Agnes to zrobiła, nie omieszkawszy nawet wspomnieć o pogwałceniu tego niepisanego prawa, że wynajmowane powozy powinny ustępować drogi prywatnym.

Choć Charles wydawał się rozbawiony jej opisem sytuacji, Agnes myślała, że jest to raczej krytyczny śmiech. - Być może poruszam drażliwy temat. Pan pewnie sam oczekiwałby, że powóz ustąpi miejsca.

- Nie, nic podobnego - zdecydowanie to podkreślił, po czym zagryzł usta i dodał: - Chcąc pani odpłacić szczerością, powiem, że mój ojciec kiedyś może tak się zachowywał, ale się zmienił. Musiał wcześniej odejść na emeryturę z powodu rany.

Nie dopytywała się, jaki stopień ma jego ojciec, ale powiedziała: - Myślę, że oficerowie są jak kapitanowie na statkach; myślą, że morze się rozstąpi, by mogli spokojnie przejść.

Podśmiewając się odpowiedział: - Tak, ale oni dużo bardziej zadzierają nosa. Jednak myślę, że i oficerowie, i kapitanowie mają w zwyczaju krzyczeć na innych. Ojciec wrzeszczał na nas, nawet w domu. Ale, niech mi pani powie, co teraz będzie z pani siostrą?

- Nie wiem. Boję się o nią, naprawdę się boję. Ojciec kazał jej złożyć przysięgę na Biblię, że nie spotka się więcej z tym młodym człowiekiem, ona przysięgła, ale nie ma zamiaru dotrzymać słowa. Jestem pewna, że dojdzie do spotkania; ona dołoży do tego wszelkich starań, podobnie jak i on.

- Czy faktycznie taki z niego typ?

Wzrok Agnes przez moment błędził po rzece, potem nagle padła odpowiedź: - Nie, nie. Chyba jest inny niż czterech jego bracia. Rozmawiałam z nimi... Brakuje mu ogłady, ale mam wrażenie, że ma uczciwe zamiary. Jego rodzina cieszy się raczej złą sławą. Widzi pan, gdy ojciec uderzył go...

Zakryła oczy rękami. Z pewnym oporem, zapytała raczej siebie samą, niż jego: - Dlaczego właściwie ja to wszystko panu mówię?

Przysunął się do niej i znowu ujął ją za rękę, tłumacząc: - Bo mnie to naprawdę interesuje. Niech pani mówi dalej. Pani ojciec uderzył go... czym?

- Łopatą do węgla.

- Łopatą?

- Tak, dużą łopata do węgla. Rzucił w niego żelazną łopata i jej ostrze rozcięło mu głowę. To mógł być śmiertelny cios. Chłopak, właściwie młody mężczyzna, z pewnością mógł rozłożyć ojca na łopatki, bo wygląda na silnego. Wszyscy Feltonowie są silni i znani z wojowniczej natury. Ale, jak mówi Jessie, on chce się zmienić. Myślałam, że ojciec go zabił... Działo się to wszystko na podwórzu, tam, gdzie rozmawialiśmy tamtego wieczora. Potem odciągnął siostrę, a ja zostałam z tym młodzieńcem. Był cały zakrwawiony. Nie wiedziałam zupełnie co robić, ale w końcu udało mi się umieścić go w szpitalu. Potem musiałam iść do jego rodziny. Tam spotkałam się z jego braćmi i matką - tu Agnes lekko się uśmiechnęła.

- Jest wprost ogromna, silna fizycznie i psychicznie. Rządzi nimi wszystkimi.

Charles zapatrzył się w nią przez chwilę w zamyśleniu, potem potrząsając głową, zapytał: - Czy jest pani przekonana, że naprawdę im na sobie zależy?

- O tak, na pewno. Jessie jest jeszcze młoda, ma tylko osiemnaście lat, za miesiąc skończy dziewiętnaście, ale jest taka wrażliwa i... zawsze była oczkiem w głowie ojca. Tylko ona dla niego się liczyła. Ja jestem mu potrzebna w interesach, ale tak naprawdę go nie obchodzę.

- Och, na pewno nie... on musi...

- Niech pan mi wierzy. Z matką też mnie nic nie łączy. Ale Jessie i ja zawsze miałyśmy wspólny język. O mój

Boże! - Agnes chciała odwrócić się od niego, ale on ciągle trzymał ją za rękę. Dlaczego mam panu psuć nastrój tymi rodzinnymi problemami? Do czego to podobne? To po prostu śmieszne!

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Agnes, będę ci mówił po imieniu, posłuchaj mnie. Ciekawi mnie wszystko, co masz do powiedzenia i chcę wiedzieć wszystko o tobie i o twojej rodzinie. Chciałbym, żebyśmy... zostali przyjaciółmi.

Gdy spojrzała na niego, przypomniała sobie, że miała być spokojna, że jej serce miało tak nie walić, bo na pewno zauważy jej emocje.

Charles powiedział coś, co ją bardzo zdziwiło: - Jako przyjaciel mogę poradzić, żeby pobrali się potajemnie, wyjechali gdzieś i żyli w



spokoju. Można to załatwić w sądzie.

- Załatwić?

O tym Agnes nie wiedziała. Coś kiedyś słyszała o takich przypadkach, ale nie znała szczegółów. Nie znała się na ślubach, nigdy nawet nie była na weselu. Jeszcze raz zapytała: - Załatwić?

- Tak. Nawet w ciągu tygodnia, ale, wzięwszy pod uwagę jej wiek, będzie potrzebowała zgody rodziców.

Przyglądała się mu uważnie. - Ojciec na pewno się na to nie zgodzi.

- Wcale nie trzeba go o to prosić. Potrzebne są jedynie dwa podpisy na podaniu. Jeśli jest to tak poważna sytuacja... trzeba postępować zdecydowanie.

Znowu przyglądali się sobie. Oczy Agnes rozszerzyły się, gdy zrozumiała, o co mu chodzi. Ciągnął:

- Gdy będą już małżeństwem, nie będzie mógł niczego zrobić. Poza tym, jest jeszcze Gretna Green\* ... [*Gretna Green - wioska w Szkocji, na granicy z Anglią, do której uciekali narzeczeni z Anglii, by się pobrać - przyp. tłum.*]

- Gretna Green! - Agnes potrząsnęła głową. - Nie znasz mojego ojca, Charlesie. Nawet boję się pomyśleć, jak on by na to zareagował. Sądzę... tak, jestem przekonana, że mógłby nawet kogoś zabić.

- Cóż, gdyby tak się stało, odpowiadałby za to.

- Tak - skinęła głową - a razem z nim cierpieliby inni ludzie. Jessie nigdy by sobie nie wybaczyła, ani ja, jeśli zrobiliby komuś krzywdę z naszej winy.

- Ale to przecież nie byłoby z twojej winy. To przecież twoja siostra narobiła tyle problemów. No, ale już się stało - wzruszył ramionami. - W każdej rodzinie może coś takiego się zdarzyć. - Zaśmiał się. - Gdy ojciec był młody, w jego rodzinie wybuchł skandal, ale teraz nawet o tym się nie wspomina. Jego kuzynka, Nicola, uciekła ze stajennym, ale rodzina nic nie mogła zrobić, bo ta dama miała dwadzieścia dziewięć lat, a poza tym wszyscy myśleli, że wzięli już ślub. Była raczej bezbarwna i niewykształcona, jak mi mówiono. Rodzina bardzo odczuła jej odejście, ale nie z powodu jej osobowości. Od młodych lat była służącą swojej rzekomo chorej matki. Reszta rodziny

była już pożeniona, a ona została z Lady Wright. A co zrobił mąż Lady Wright? - znowu się roześmiał. - Pospieszył do Irlandii, gdzie uciekli, i ku swemu oburzeniu znalazł ich w jednej ze zwykłych wiejskich chat. Czy wróciła do domu? Nie, ani z miłości do matki, ani do ojca, ani rodziny okrytej hańbą i wystawionej na pośmiewisko „serdecznych” przyjaciół. To byli też wojskowi. Jakoś nasza rodzina wybiera albo wojsko, albo Kościół. Jedni zabijają, a drudzy modlą się za ich dusze. A potem dostali jeszcze jeden policzek. Jedna mądra, starsza dziewczyna, spokrewniona z nimi, opuściła rodzinny majątek w Irlandii i zamieszkała z Nicolą. Chyba się ze sobą kontaktowały. Chyba wyobrażasz sobie, co tu się działo? A najśmieszniejsze było to, że ten majątek w końcu przeszedł w ich ręce. Pracując dwadzieścia lat dla tak zwanej szlachty - tu zrobił kpiącą minę - stajenny nauczył się ją naśladować i faktycznie w końcu poszedł w jej ślady. Tak więc teraz mam ośmioro irlandzkich kuzynów w drugiej linii, niektórzy są całkiem wysoko postawieni i dobrze im się wiedzie. Próbuję ci uświadomić, że i twoja siostra i jej nieokrzesany młodzieniaszek o szkockim akcencie mogą też się w końcu czegoś dorobić.

- Ale w mojej rodzinie nikt nie ma majątku, Robbie Felton też pewnie nie miał sposobności spowinowacić się ze szlachtą... -  
odpowiedziała bez emocji, z kamienną twarzą.

Charles odwrócił głowę i westchnął: - O, chyba mam wyjątkowy talent do wygadywania głupstw, przynajmniej przy tobie. Chciałem tylko powiedzieć, że początki naprawdę nie mają znaczenia.

- Mają - Agnes zerwała się z miejsca, on też.

- Przepaść pomiędzy stylem życia Robbiego Feltona a naszym jest tak wielka, jak różnica pomiędzy naszym a waszym.

- Nie mów tak! - powiedział cicho, lecz zdecydowanie. - Nigdy tak nie mów. Ty jesteś damą. W głębi duszy jesteś damą. Nie potrzebujesz nawet tego stroju, by pokazać, kim jesteś.

Agnes odpowiedziała drżącymi ustami: - Jestem córką sklepikarza, drobnego sklepikarza, właściciela maleńkiej trafiki, małego sklepu z cukierkami i równie małej, tak zwanej fabryki. Nie mam żadnych przodków, na których mogłabym się powołać, z wyjątkiem prababki, która robiła toffi u siebie w kuchni i sprzedawała je w drzwiach na tyłach

domu. Tak więc, jeśli zechce mi pan wybaczyć, panie Farrier...

- Nie mam zamiaru, panno Conway - ze szczególnym naciskiem wymówił jej nazwisko. - Przestań, no, uśmiechnij się, a powiem ci, co zrobimy pewnego dnia. Szkoda, że spotykamy się dzisiaj z Regiem, bo zabrałbym cię do jednego z moich przyjaciół,, ale kiedyś to na pewno zrobię. Jest bardzo inteligentnym człowiekiem, ma syna, nie aż tak mądrego, ale za to wnuk się w niego wrodził. Najprawdopodobniej, znając twoje poglądy na temat klas społecznych, panno Conway, patrzyłabyś na niego z góry, bo jest tylko górnikiem z Durham, tak samo jego syn i wnuk. Mieszkają nie dalej niż dziesięć minut piechotą stąd. Powiedziałbym, że John jest jednym z moich najlepszych przyjaciół, jeśli nie najlepszym. Mądrość to zupełnie coś innego niż wykształcenie, urodzenie czy pieniądze. O, mądrość nie ma z tym nic wspólnego.

Agnes przyglądała mu się z poważną twarzą. Miał za przyjaciół górników i teraz sobie wyobrażał, że zdobył następnego przyjaciela, ze sklepu z cukierkami, nazywając ją, w całej swojej szlachetności, damą. Nie można było zaprzeczyć temu, że próbował wyjść poza granice swojej klasy, czy to ze względu na poglądy, bo był radykałem, czy też po prostu miało mu to pomóc w pisaniu. I to wszystko.

Agnes nie zagłębiała się w przyczyny, ale poczuła jedynie głęboki smutek spowodowany jakby utratą kogoś innego niż przyjaciela. Jednak, na szczęście, takie były tylko jej myśli, bo nie dała niczego po sobie poznać. Pod żadnym pozorem nie mogła ujawnić swego bolesnego odkrycia.

Udało jej się wyczarować uśmiech na twarzy i powiedziała wesoło: - Nie przechwalaj się, że znasz górników. Ja też znam kilku. Ale raczej znam ludzi z doków, składów towarów i marynarzy. Przewinęło się ich sporo przez moje ręce.

Ta wypowiedź wywołała lekkie zdziwienie Charlesa. Nie pasowała do kierunku i wydźwięku rozmowy. Ale, wpadając w jej nastrój, powiedział: - Od razu wiedziałem, że jesteś doświadczoną kobietą - zaśmiał się i chwycił ją za łokieć. - Chodźmy, Reg jest jednym z tych, co nie czekają na żadnego mężczyznę. O tak, na damę będzie czekał, ale nie na mężczyznę. Ale to nie jest całkiem tak. Musi ustępować majorowi i pułkownikowi, bo jest tylko kapitanem - dodał cicho

- ale polubisz go. Jest całkiem wyjątkowy. - Potem, gdy już szli, schylił się i powiedział: - To mój następny przyjaciel.

Zaśmiali się. Przeszli przez most, potem Charles poprowadził Agnes w kierunku katedry, bo powiedział, że tam ma się spotkać z bratem.

Agnes dojrzała Reginalda Farriera, zanim on zdążył ją zobaczyć. Stał na placu przed katedrą, w pewnej odległości od głównego wejścia, przodem do nich. Słońce rozpromieniło odznakę na jego czapce i metalowe guziki, a nawet wyszywane epolety i znaczki na klapach. Daszek czapki częściowo zasłaniał jego oczy, ale twarz miał równie rozświetloną, jak dodatki do munduru.

Gdy podeszli do Reginalda, Charles zawołał: - Jeszcze za wcześnie, by wpatrywać się w gwiazdy.

Jego brat odwrócił się do nich, a Charles powiedział:

- To mój brat Reginald, a to panna Agnes Conway.

- Miło mi panią poznać.

Uśmiechnął się do niej i uściśnął jej dłoń. Agnes zauważyła, że jest całkiem podobny do Charlesa, ale przypuszczała, że mówi się o nim, że jest dużo przystojniejszy. Jego rysy bardziej rzucały się w oczy. Jego nos był większy i prosty, pełne usta ocienione były wąsikiem. Miał wydatny podbródek. Jednak najważniejsze były oczy: ciemnobrązowe, błyszczące, roześmiane -przynajmniej w tej chwili. Ale Agnes momentalnie wyczuła, że ten wyraz twarzy był przeznaczony dla kobiet... dam.

- Jestem wprost zachwycony tym spotkaniem. Charles wszystko mi o pani opowiedział.

- Na pewno nie wszystko, bo sam jeszcze wszystkiego nie wiem. Wiem jedynie to, że jest bardzo powściągliwa, przynajmniej w opowiadaniu o sobie.

- Teraz zwrócił się do Agnes, gdy oddalali się od katedry. - Nie daj mu się oczarować. On ma przewagę na innymi mężczyznami, nade mną też. Możesz wierzyć tylko połowie z tego, co mówi, ale na resztę też musisz uważać.

- On mówi tak samo, jak pisze, panno Conway.

I tak toczyła się rozmowa, nawet jeszcze wtedy, gdy już siedzieli

przy herbacie w hotelu. Dopiero gdy Agnes naląa herbatę do filiżanek, Charles powiedział:

- Reg, przestań gadać. Nie dajesz panie Conway dojść do słowa.

- O, przepraszam. Przepraszam, panno Conway. Podając mu filiżankę, Agnes powiedziała: - Och, nie ma powodu do przeprosin, bo wiele się o panu dowiedziałam w ciągu tej półgodziny.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Spojrzał na Agnes ciężkim wzrokiem. - A czego to dokładnie?

Zaśmiała się. Podała Charlesowi filiżankę i odpowiedziała: - O, jest pan żołnierzem, kapitanem, nosi bardzo elegancki mundur, a pana honorowy pas Sama Browna wygląda po prostu doskonale. Ciekawa jestem tylko, kto czyścił dziś rano pana guziki?

Charles mało się nie zachłysnął herbatą. Wyjął chustkę, otarł usta i powiedział: - O, przepraszam. Przepraszam... - Potem, wyraźnie rozweselony zwrócił się do brata: - Nie spodziewałeś się tego, prawda? Kto czyścił dziś rano pana guziki?

- O, nietrudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Mój ordynans, Peter Jenkins. Równy z niego, dobry żołnierz.

- Potem, przysunąwszy się do Agnes, dodał: - Czy chce pani powiedzieć, że powinienem sam czyścić moje guziki, panno Conway?

- Nie, na pewno nie, a to z tej prostej przyczyny, że pan narobiłby tylko bałaganu.

- O, i tu się pani myli - pogroził jej palcem. - Nasz ojciec - spojrzął na Charlesa - który też służył w wojsku, i który ciągle jest oficerem, dawał nam do czyszczenia swoje buty... najróżniejsze; do jazdy konnej, galowe, prawda Charles?

Charles odwrócił głowę i uśmiechnął się zgryźliwie. Rzucił bratu ukradkowe spojrzenie i odrzekł: - Tak, czyściliśmy je, gdy Rosie czy Peter nie robili tego za nas.

- Spojrzał na Agnes, tłumacząc: - Rosie Pratt była pomocą kuchenną, a potem została pokojówką i wyszła za mąż za Petera, stajennego. Ciągłe są u nas. A ty

- odwrócił się do brata - mówiłeś Rosie, że dasz jej pensa, a gdy nie buliłeś, ja musiałem płacić za nas obu. Czyścić własne buty? Nie zrobiłbyś nic sam koło siebie, mając możliwość wymigania się od tego.

Reg znowu przysunął się do Agnes i udając, że to nagana, rzucił: - Chyba zdaje sobie pani teraz sprawę, co pani narobiła, panno Conway. Wprowadziła pani zamęt w rodzinie. Mój brat zawsze był po mojej stronie, teraz obrócił się przeciwko mnie. - Zmienił głos i lekko się uśmiechając, utkwiał w niej wzrok. - Czy jest pani sufrażystką?

- Nie, nie jestem. Nie mam na tyle cierpliwości, zapału ani odwagi, by występować w obronie mojej płci. Ale - spojrzała na obu mężczyzn - to nie do końca prawda. Robię wszystko, by popierać inne kobiety, jednak nie wprost, bo tylko tak można coś osiągnąć, a nie walcząc z otwartą przyłbicą z mężczyznami. Mam tu oczywiście na myśli - machnęła ręką - interesy.

Mężczyźni zerknęli na siebie i zaczęli się śmiać. Po chwili zażenowania, gdy Agnes uświadomiła sobie, co jej słowa mogły sugerować, sama wybuchnęła śmiechem.



Po godzinie, kiedy stali już na dworcu głównym w Newcastle, Reginald Farrier uściskał dłoń Agnes i powiedział na pożegnanie: - Będąc krytycznie myślącą młodą damą, pewnie nie uwierzy mi pani, jeśli powiem, że od dawna tak dobrze się nie bawiłem i byłbym niesłychanie rad powtórzyć takie spotkanie w niezbyt dalekiej przyszłości.

- Do widzenia, panie Farrier, może mi pan też nie uwierzy, ale ja również spędziłam bardzo miłe popołudnie, ponieważ - dodała cichszym głosem - to było tak, jakbym znalazła się w innym świecie. Do widzenia.

- Do widzenia.

Reginald nic już nie dodał, tylko patrzył, jak jego brat ujmuje Agnes za łokieć i odprowadza do postojów dla powozów. Co za niesamowita, dziwna dziewczyna. Powiedziała, że znalazła się w innym świecie...

Agnes sprzeczała się z Charlesem.

- Nie, to piękny wieczór, pójdę pieszo.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam inne zdanie. Nie powinnaś iść sama, gdy tak wyglądasz, panno Conway. Możesz przyciągać uwagę

zarówno dobrych, jak i złych osobników.

- Może pan nie uwierzy, panie Farrier - Agnes też podkreśliła jego nazwisko - ale potrafię zatroszczyć się o siebie.

- Już nic nie powiem, ale dodam tylko, że możesz w istocie tak myśleć, a ja nie. Kiedy będę miał przyjemność znowu się z tobą zobaczyć?

- O, proszę, przestań. - Potrząsnęła głową. - To było naprawdę urocze popołudnie, ale niech to wystarczy.

- Ale dlaczego?

- O, chyba nie chcesz, bym znowu zaczęła wyjaśniać, tu, w tym miejscu? - rozejrzała się. - Chyba już wszystko powiedziałam nad rzeką.

- Nie sądzę.

- Tak. Tak.

Otworzył drzwi powozu, mówiąc cicho: - Niebawem się pojawię.

Agnes odparła spieszenie: - Nie, proszę, nie przychodź. Te moje kłopoty w domu... Do widzenia.

- Do zobaczenia - pomógł jej wsiąść, zamknął drzwi i stanął na krawężniku, ale nie machał do niej i ona też nie zrobiła żadnego gestu.

Gdy Charles wrócił, Reginald spojrział na niego i powiedział: - Teraz pewnie chcesz mnie zapytać, co o niej sądzę.

Ale Charles bezceremonialnie odparł: - Nie, nie chcę, Reg. Nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, co inni o niej myślą... Tylko, co ja myślę.

- Czy jest aż tak źle?

- Tak, to znaczy, aż tak dobrze.

- Wiesz, co to znaczy, chłopcze, prawda?

- Chyba tak.

- To prości ludzie, ale nie aż tak. Ale ona - wznosił rękę - przejdzie pozytywnie każdą próbę. Chyba znam ten sklep, przechodziłem koło niego kilka razy, idąc na moło. Ojciec potępiłby to, no i znasz matkę. Jest kochaną, uroczą osobą, ale nie lepszą od niego w tym względzie. No cóż, znasz sytuację. Jednak życzę ci powodzenia. Będziesz musiał stoczyć niezłą bitwę. Ja też muszę przygotować się do swojej, ale twoja będzie cięższa, bo rozegra się tu, w Newcastle, a nie za granicą. Te kobiety! Dlaczego tak na nas działają? Są jak pijawki. Pamiętaj o tym,

mój drogi.

- Tak, Reg, będę pamiętał i tylko chciałbym, żeby w moim przypadku okazało się to faktem.

- O, Charlie, widzę, że coś ci zaświtało w głowie... Tylko nie szalej, bo narobisz sobie bigosu. Posłuchaj i wierz mi, że nic nie trwa wiecznie, a szczególnie to, co cię teraz opanowało. Chodźmy już do domu! Weźmy powóz. Będę musiał się ze wszystkimi pożegnać i gnać do Colchester, bo inaczej moi żołnierze rozpełzną się we wszystkie strony. To zabawne, ale dopiero tam czuję się naprawdę szczęśliwy; wśród tej tryskającej życiem, nieokrzesej, sprośnej zgrai. Jestem taki jak oni, naprawdę, Charlesie.

Szturchnął brata i obaj roześmiali się wchodząc do powozu. Ale Reginald pamiętał, że jeszcze przed chwilą rozmyślał o tym, że on i jego bracia nie są zdolni do zbudowania prawdziwej i nieprzemijającej miłości.

## 5

- Czy tylko tyle powiedziała?

- Nie, mamó.

- Więc co jeszcze powiedziała? - wrzasnął ojciec. Agnes odwróciła się do niego i krzyknęła: - Nie wrzeszcz tak na mnie! - akcentowała każde słowo.

- Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Mówiłam ci: odejdę i zostawię wszystko na twojej głowie. Nic mnie tu nie trzyma.

- Na miłość boską, dziewczyno! - odwrócił się od niej, łapiąc się za głowę. - Nie zaczynaj znowu w ten sposób! Powiedz tylko, co powiedziała. Przyjmie ją?

- Palcem na wodzie pisane. Powiedziała, że., mogłaby, że



wzięłyby... ale musiałyby porozmawiać ze swym mężem. Jutro rano wyjeżdżają na wypoczynek, czy jakoś tak... i - wzięła głębszy oddech i chwyciła się za gardło; dziwiła się, jak może tak kłamać... jak z nut.

- Usiądź - odezwała się matka niespotykanie ciepło.

- Jak myślisz, weźmie ją?

- Hmm... nie wiem. Da nam znać.

- Da nam znać! - obruszył się ojciec. - Sam do niej napiszę!

- Nie! Nie rób tego. Jest bardzo drażliwa, szczególnie jeśli chodzi o ciebie. - No tak, dlaczego znowu przybrała ten ton?

- Co masz na myśli, mówiąc: „jeśli chodzi o mnie”?

- Nie przepada za tobą, podobnie jak za tobą - spojrzała na matkę - i... jeśli któreś z was będzie próbowało coś przyspieszyć, na pewno się wycofa. Po prostu poczekajcie przez jakiś tydzień. To chyba i tak niczego nie zmieni, prawda?

Ojciec już coś chciał powiedzieć, lecz Agnes podniosła rękę i dodała spiesznie: - Ale powiedziała jedno, co jest pewne; że... - przełknęła - będzie chciała zobaczyć się z Jessie, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję... Może gdyby... porozmawiały... tak więc, nic nie róbcie. Czekać w spokoju. Jestem bardzo zmęczona, to był długi dzień. Idę do łóżka.

Agnes wyszła z pokoju, jednak nie poszła do swojej sypialni, ale skręciła do łazienki. Miała nudności. Była bardzo zdenerwowana.

Ciągle nie mogła się nadziwić, jak udało jej się tak gładko kłamać. Brzmiało to przekonująco i prawdziwie.

Po wyjściu z łazienki udała się do pokoju Jessie. Siostra była już w łóżku i widząc Agnes, zawołała: - Och, Aggie, to koszmar! Ja tego nie wytrzymam. Tak długo cię nie było. Coś się stało? Czy ona... weźmie mnie?

Agnes usiadła na brzegu łóżka, wzięła rękę Jessie i powiedziała: - Posłuchaj mnie uważnie - odwróciła się i rzuciła okiem na drzwi. - Będę mówiła bardzo cicho, bo nie ufam ojcu. To jest tak. Nie możesz jechać do tej kochanej kuzynki matki. Wystarczyło mi tylko kilka chwil rozmowy przed jej domem, jak wchodziła do powozu, by przekonać się, że byłoby równie łatwo umieścić w jej domu tygrysa, jak ciężarną dziewczynę. Ponadto, z całej swej szczodroblewości pozwoliłaby

dziecku umrzeć z głodu pod drzwiami, zanim raczyłaby dać mu choć okruszek. Tak ją oceniam. Nie wiedziała, kim jestem, a ja jej nie powiedziałam. Teraz posłuchaj. Tak się złożyło, że w pociągu spotkałam pana Farriera i przedstawiłam mu całą sytuację. O nie! Nie powiedziałam mu niczego o twoim stanie, ale on wie, że mamy kłopoty, a ty chcesz wyjść za tego chłopca. Mówi, że możesz złożyć podanie do urzędu i że da się to załatwić. W jakiś tydzień. Ale jest jeden szczegół; potrzebna jest zgoda rodziców, a wiesz, że nie możesz na to liczyć. Feltonowie znajdują się na rzeczach, o których my nie mamy pojęcia. Jestem pewna, że byliby w stanie załatwić dwa podpisy na podaniu. Wiem, że nawet trudno o tym myśleć, ale jeśli to się nie uda, pozostaje tylko Gretna Green. Teraz wszystko jest w rękach Robbiego. Ale jest jeszcze jedno pytanie: czy jesteś pewna, że będziesz mogła żyć z Robbiem? Czy jesteś gotowa zaznać biedy, niewygód, bo tak na pewno będzie?

- Aggie, nic, nawet piekło nie byłoby gorsze od życia tutaj. Jeśli chodzi o trudy, mogę znieść wszystko, jeśli tylko będę z Robbiem. Wiem, że on na pewno zaopiekuje się mną, zatroszczy się o mnie. Wiem.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli się uda, będziecie musieli uciec daleko stąd, bo jeśli nie, on - Agnes znowu wskazała drzwi - was pozabija. Ja nawet sama nie wiem, co robi ze mną, gdy się dowie, a to ja właśnie będę musiała mu o tym powiedzieć. Niech Bóg ma mnie w opiece. Mam wrażenie, że ktoś będzie musiał być przy tym, jak mu będę o tym mówić. Ktoś, kto mógłby go powstrzymać, bo raz już podniósł na mnie rękę bez powodu, a co dopiero w takiej sytuacji... W każdym razie, postaram się jutro, najszybciej jak mi się uda, wyrwać stąd i spotkać z Robbiem. Powiem mu, że będziesz z nim bez względu na to, co da się zrobić. Czy tak?

- O tak, Aggie - zarzuciła siostrze ręce na szyję i uściskała ją.

Agnes powiedziała: - Na litość boską! Nie krzycz tak, bo go tu sprowadzisz! Spróbuj teraz zasnąć. Porozmawiamy rano. Jestem bardzo zmęczona.

Gdy znalazła się już w swoim pokoju, włączyła gaz i jeszcze raz przyjrzała się sobie w tej zielonej sukni, dzięki której stała się damą... choć na jeden dzień. Zdjęła ją i powiesiła na wieszaku pod płaszczem,

który wcześniej już umieściła w szafie. Przez chwilę stała, przyglądając się swojej kreacji i rozmyślając, ale w końcu zamknęła drzwi i powiedziała do siebie: - Koniec tego dobrego. Już nigdy więcej.



- Gdzie idziesz?
- Wychodzę, mamo.
- Widzę przecież, dziewczyno, ale gdzie idziesz?
- Mam do kupienia kilka rzeczy.
- Ach... Tu obok?
- Nie. Nie tu.
- A co masz zamiar kupić?
- Potrzebuję czegoś z bielizny, mamo.
- Chyba ci jej nie brakuje...
- Przeważnie to ciepła bielizna. Przecież już od jakiegoś czasu wszystko kupuję sobie sama, więc pozwól mi samej decydować, co noszę pod ubraniem.
- Jak długo to potrwa?
- Nie wiem. Chcę się rozejrzeć po sklepach. Chyba mogę poświęcić trochę czasu dla siebie. Dzisiaj ojciec wybiera się do klubu... więc będę na dole po południu.

Matka obrzuciła Agnes ciężkim spojrzeniem i odeszła.

By znaleźć się na zewnątrz, Agnes musiała iść przez sklep, bo ojciec zamknął tylne drzwi i oczywiście klucz nosił przy sobie.

Gdy weszła do magazynku, natknęła się na ojca wychodzącego z trafiki. Znowu usłyszała pytanie: - O, a gdzie to się wybierasz?

- Na zakupy.

Chciała odejść, ale ojciec złapał ją za rękę, tym razem delikatnie. - Nie bądź taka ostra, moje dziewczę. Ja już się poddam. Jessie chyba mi się odplaciła za to, że ją tak faworyzowałem. Ty zawsze byłaś sto razy lepsza, teraz zdaję sobie z tego sprawę. Nie stracisz na tym, na pewno nie stracisz.

Widząc taką zmianę, Agnes próbowała zadziałać na korzyść Jessie. - A nie mógłbyś jej wybaczyć? Zaakceptować tę sytuację? Popęłniła

błąd, ale jeśli byłbyś dla niej mniej surowy i powiedział, że jej wybaczasz...

- Posłuchaj - ciągle mówił cicho, jednak w jego głosie brzmiał dawny upór. - Nigdy jej nie wybaczę tego, co zrobiła, tak jak nie wybaczę tym, co ukrzyżowali Chrystusa.

Ten komentarz ojca wprowadził Agnes w niesamowite zdziwienie. Nigdy nie pofatygował się do kościoła, ale teraz Żydzi mu przeszkadzali, choć każdego dnia ob służywał ich w sklepie. Może powiedział tylko to, co gdzieś zasłyszał, ale nie spotkała się z tym wcześniej. Wyczuła, że w tych słowach czają się uprzedzenia.

Opuściła głowę i odwróciła się. Te słowa jakby znowu przeniosły całe brzemie na jej barki, bo przez chwilę się łudziła, że ojciec wspaniałomyślnie jej pomoże.

Gdy przechodziła przez sklep ze słodyczami, dobiegły ją słowa Nan Henderson. - Panna Agnes będzie musiała dobrze naciągnąć kapelusz na głowę. Wiatr się zerwał. Od wczoraj taka nagła zmiana - krzątała się za ladą.

- Dobrze, że się ochłodziło. Upał nie jest najlepszy dla czekoladek. Najlepiej, gdyby zupełnie zaszło słońce, prawda?

- O, chyba tak, Nan. To byłoby nie najgorsze.

Nan dodała szeptem: - Wszystko w porządku?

- Tak, Nan. Jak zwykle.

- O, to dobrze.

Otworzywszy drzwi, Agnes wyszła, a Nan jeszcze coś powiedziała, jednak te słowa padły już w próżnię, zmiecione mocnym powiewem wiatru, który nieomal zerwał Agnes kapelusz z głowy.

Nan nie była głupia; wiedziała, że coś się dzieje. Przynajmniej domyślała się czegoś i chciała tylko potwierdzenia...

Po piętnastu minutach Agnes dotarła do domu Feltonów.

W świetle dnia ulica wyglądała dużo gorzej. Ten kawałek ziemi, który wtedy można było nazwać ogródkiem, zarośnięty był wybujałą trawą. Jednak nie umknęło jej uwagi to, że drzwi i okno były z grubsza pomalowane, a stopień przed drzwiami niedawno wyłożono kafelkami.

Podniosła kołatkę i raz zastukała. Drzwi otworzyły się w mgnieniu oka i Agnes ujrzała tę ogromną, niesamowitą kobietę. Za dnia wydawała

się Agnes jeszcze potężniejsza. Kobieta nie kryła swego zdziwienia.

- No, no! Proszę, kogo tu przygnało! Chyba nie przyszłaś z ojcem...  
- udawała, że rozgląda się po ulicy.

- Proszę, proszę wejść.

Agnes weszła do pokoju stołowego. Znowu przyciągnęły jej uwagę błyszczące mosiężne ozdoby na kominku i przyczernione węglem palenisko. Pomyślała, że ten kominek jest znacznie czystszy niż u niej w domu, choć Maggie czerniła go co tydzień.

- Usiądź - kobieta jednym ruchem podstawiła pod kominek krzesło od stołu. Agnes usiadła przed ogniem.

- Przyszłaś dowiedzieć się, czy żyje, czy nie?

- Przyszłam, by... by z nim porozmawiać.

- I przekonać go, by zostawił w spokoju twoją siostrę, która nosi jego dzieciaka. Nie ma mowy. Nie ma mowy. Gdyby nie ten dzieciak, to może dałby sobie spokój, ale nie teraz. Powiem ci coś jeszcze; ten drań, twój ojciec, byłby już w szpitalu, jeśli nie w kaplicy, gdyby moje chłopaki zrobiły to, co uważały za słuszne. Ale nasz Robbie powiedział, że to jego sprawa i zajęli się swoimi interesami. Tak więc powstrzymali się na szczęście dla tego starego typu. Możesz uwierzyć mi na słowo, że mój Jimmy chciał ściągnąć z niego skalp. Powiedział, że jeśli on zamierzał oskalpować chłopaka łopata, to on zrobi to po indiańsku. I nie żartował. O, nie! Wychowałam moich chłopaków, by walczyli gołymi pięściami, bez rękawic, oczywiście, tylko gdy ktoś zada im cios poniżej pasa, tak jak twój ojciec. Trudno mi ich utrzymać w ręku i gdyby nie ten czy ów, na pewno nie powstrzymałabym ich. Jak Bóg na niebie. No więc, o czym chcesz z nim rozmawiać?

- Sama... chciałabym mu o tym powiedzieć.

- O tak. Jest na górze w łóżku. Pioruńsko boli go głowa, nie ma się co dziwić. Przyprawdę go. Idź do pokoju od ulicy.

Machnęła ręką w powietrzu, a Agnes miała wrażenie, że sama podnosi się z krzesła. Przeszła przez kuchnię i krótki korytarzyk i znalazła się w drugim pokoju.

Agnes wiedziała, że robotnicy z niższej klasy trzymają pokoje od frontu na pokaz i na specjalne okazje, ale gdy weszła tutaj, od razu zobaczyła, że często z tego pokoju korzystano. Nosił także pewne oznaki

komfortu; duża skórzana kanapa, dwa pasujące do niej solidnej roboty fotele, wysoka walijska serwantka z porcelanowymi talerzami i bibelotami. W samym końcu pokoju, pod oknem, stał wielki okrągły stół na jednej nodze z czterema łapkami. Firanki były z nottinghamskiej koronki w mocnym kremowym odcieniu. Nie używany kominek osłonięty był eleganckim karbowanym papierem i otoczony wysoką osłoną z szerokim obramowaniem, na którym można było usiąść. Stało tam kilka popielniczek; to z niedopałkami papierosów, to z resztkami tytoniu z fajek.

Najbardziej zdziwił Agnes porządek, do jakiego nawykła ta okropna, jak Agnes myślała, rodzina. Myślała, że w ich domu zostanie palenisko zaśmiecone niezliczonymi niedopałkami i kawałkami papieru. Pomyślała, że ludzie mogą być naprawdę zaskakujący. Wszyscy mogą kryć w sobie jakąś niespodziankę. Jej myśli popłynęły do wydarzeń poprzedniego dnia.

Kobieta zostawiła Agnes bez słowa, a teraz jej kroki i donośny głos słyhać było dobiegające z góry. Po chwili usłyszała kroki na korytarzu. Wszedł młody mężczyzna. Jego czoło, skronie i tył głowy obwiązane były bandażem. Widziała teraz miejsce na czubku głowy, gdzie brakowało włosów.

Nie odezwał się od razu, bo pierwsza przemówiła jego matka: - Proszę, usiądź. Może herbaty?

Już Agnes miała podziękować, ale szybko zmieniła zdanie. - Z przyjemnością, dziękuję pani.

Przysiadła na jednym ze skórzanych foteli. On usiadł naprzeciw niej, na kanapie. Po chwili Agnes odezwała się: - Jak pan się czuje?

- Nie najgorzej.
- Przykro mi, że to się stało.
- O tak, mnie też... Co z nią?
- Z Jessie?
- A z kim?

Mówił ostrym głosem, a Agnes odparła równie ostro:

- Nie jest najgorzej, zważywszy na okoliczności, w jakich się znajduje. Jest praktycznie więźniem w domu.

- Czy... ma pani od niej jakąś wiadomość?

- Nie. Nie mam żadnych wiadomości, ale propozycję. Ja to obmyśliłam, ale najpierw muszę pana o coś zapytać.

- Proszę śmiało - przesunął się na brzeg kanapy i czekał.

- Czy zależy panu na niej na tyle, że poślubi ją pan tak szybko, jak tylko to możliwe i natychmiast po ślubie wyjedziecie daleko stąd, gdzie ojciec was nie znajdzie?

- Mogę od razu odpowiedzieć. Tak. Zależy mi na niej. Nosi moje dziecko. Ożenię się z nią tak szybko, jak tylko to możliwe. Ale to zazwyczaj zajmuje trochę czasu. Poza tym, jak mam to zrobić, jeśli jest trzymana w domu? Oczywiście - skinął głową, spoglądając na Agnes - mógłbym pójść tam z moimi braćmi i, mówię pani, ten jej areszt nie potrwałby długo. Nie chcę jednak większych kłopotów. Tak więc, jakie widzi pani rozwiązanie? Jak to zrobić?

- Czy wie pan coś o specjalnym zezwoleniu w urzędzie?

- Po co to?

- Oczywiście, by się ożenić.

Potrząsnął głową. - Nie, nigdy o tym nie słyszałem.

- Wiadomo mi, że można to załatwić. Nawet w tydzień.

Przynajmniej tak mi powiedziano. Musiałby pan pójść do urzędu stanu cywilnego i się dowiedzieć. Ale jest jeden problem. Ona musi mieć pozwolenie rodziców, a chyba nie muszę panu mówić, że nie ma o tym mowy. Powiedziano mi jednak, że wypełnia się w tym celu formularz, na którym muszą znaleźć się ich podpisy... lub podpisy przypominające ich własne.

Zupełnie, jak wczoraj z Charlesem, teraz z Robbiem patrzyli przez chwilę na siebie. Agnes powiedziała:

- Czy pan rozumie?

- O tak... rozumiem. Zrobię to... o tak.

Stał, patrząc na Agnes. - Ale jak ona wydobędzie się z domu bez wiedzy ojca?

- Mogę to zorganizować. Rodzice chcą ją wysłać do kuzynki matki w Durham. Wczoraj tam byłam, by to załatwić. Od razu, gdy ją zobaczyłam, wiedziałam, że ta kobieta nigdy się na to nie zgodzi. Ale - spojrzała w bok

- wróciłam i skłamałam rodzicom, że może ją przyjmie. Wczoraj

spotkałam też znajomego, który powiedział mi o tych specjalnych okolicznościach, a także o Gretna Green; ostatniej desce ratunku.

Przypatrywał się jej uważnie przez kilka sekund. Spytał: - Gretna Green? I pani to wszystko zrobiła?

Uśmiechnął się, a Agnes dopiero wtedy dostrzegła w jego twarzy to coś, co zapewne tak pociągało Jessie.

- Pani jest w porządku, wie pani? Jessie ma wielkie szczęście, że ma panią. O tak. Mamo - zwrócił się do matki, która właśnie weszła do pokoju, niosąc tacę z - nie kubkami - a trzema filiżankami, wypełnionymi herbatą, ustawionymi na talerzykach, i z cukiernicą. Robbie wstał, wziął od niej tacę i zaniósł ją na owalny stół, potem przyniósł filiżanki Agnes i matce i ponownie zwrócił się do matki. - Wszystko załatwiła.

- Co załatwiła?

- Nasz ślub, Jessie i mój.

- A jak ona sobie to wyobraża?

Opowiedział jej własnymi słowami, a ona, spoglądając na Agnes i uśmiechając się, powiedziała: - Wiesz co? Jesteś nawet w porządku. Jedno jest pewne; nie wdałaś się w tego cholernego szaleńca, ale chyba w matkę.

W Agnes aż zawrzało i pomyślała: Mam nadzieję, że też nie, ale odpowiedziała: - Musicie tylko przyrzec jedną rzecz; nie zostanieie w tym mieście ani w okolicy: będziecie musieli natychmiast wyjechać. Może nawet do środkowej Anglii.

- O, od razu wyjedziemy.

- Będziecie potrzebowali... pieniędzy - spojrzała na nich.

- Nie musi się pani o to martwić. Mam trochę, by wystarczyło nam, aż dostanę pracę. Pojedziemy do portowego miasta. Gdzie są statki, tam jest i praca dla mnie.

- Niczego jej nie zabraknie. Daję pani na to moje słowo. Jeśli jemu nie uda się o to postarać, to ja zadbam, by ona i dziecko żyły wygodnie, bo wiem, że siostra nie nawykła do trudów życia. Wiele będzie musiała się nauczyć, ale na razie nie będzie miała problemów. Nie ma się o co martwić. A ty, mój drogi, mógłbyś pofatygować się do tego urzędu. Pójdę z tobą.



- Nie ma po co, mamu. Sam to załatwię. Z niewielką pomocą. -  
Odwrócił się do Agnes i powiedział roześmiany:

- Dzięki pani wstąpiło we mnie nowe życie. Jeszcze godzinę temu nie widziałem żadnego rozwiązania. Dziękuję za pomoc. Nie zapomnę tego. Ale jeszcze jedno; będą mi potrzebne te nazwiska. Napisze mi je pani?

- Tak.

- Może jeszcze herbaty?

Agnes potrząsnęła głową i podziękowała przyszej teściowej swojej siostry, mówiąc spiesźnie: - Nie, dziękuję, to bardzo miło z pani strony - w tym samym momencie zastanawiając się, jak zdołała przełknąć ten niebywale mocny napar. Jeszcze nie piła niczego podobnego. Wyczuła w tej herbacie lekki aromat. Pani Felton wytłumaczyła: - To coś specjalnego, ta herbata. Prosto ze statku. To nie jest zwyczajny towar.

- O tak, bardzo dobra, bardzo dobra.

Prosto ze statku; Agnes wiedziała, jak jej synowie ją zdobyli. I oto ona obmyślała, jak Jessie ma się wżenić w taką rodzinę. I mało tego; ona sama zasugerowała Robbiemu, że trzeba sfałszować podpisy rodziców. Pomyślała, że wcale nie jest lepsza od nich. Jej myśli przerwała ogromna kobieta, jak ją w myślach nazywała, łapiąc Agnes za rękę.

- Mój Robbie mówi, że nie zapomni tego, co dla niego zrobiłaś, ja też nie, ani moi... Już wracasz?

Agnes wstała, mówiąc: - Tak, muszę już iść. - Zwracając się do Robbiego, spytała: - Jak się dowiem, co udało się zrobić?

Syn i matka wymienili spojrzenia. Robbie odpowiedział: - Rosie przyjdzie do sklepu po cukierki.

- Może mnie nie być w sklepie.

- A czy jest ktoś pewny, komu można przekazać wiadomość?

Agnes zastanowiła się przez chwilę. Tak, może ufać Nan, bo sprawiłoby jej radość mieć jakąś przewagę nad ojcem. Odpowiedziała: - Młoda kobieta w sklepie z cukierkami. Jej można powiedzieć, kiedy będzie pan w urzędzie.

Gdy przypomniła sobie znajome imię, opanował ją strach przed tym, co robi, przed wpychaniem siostry do tej awanturniczej rodziny. Nie tylko awanturniczej, ale i złodziejskiej, bo dwóch braci siedziało w

więzieniu za kradzież. A ta herbata, którą została poczęstowana... Ale jakie było wyjście? Młoda, przerażona matka z nieślubnym dzieckiem. I nawet nie wiadomo, czy Jessie dotrwa do tego, gdyż - zważywszy na jej obecny stan ducha

- może nawet zdobyć się na jakieś drastyczne rozwiązanie. Ale co zrobi ojciec? Jak zareaguje?

Agnes zmrużyła oczy, zastanawiając się, ale dobiegł ją głos pani Felton. - Boli cię głowa, moja droga?

- Tak, trochę.

- Nie ma się co dziwić. Pewnie masz już dość życia pod jednym dachem z tym szaleńcem. Co on sobie wyobraża, że kim niby jest? Gdyby był burżujem, miałby prawo nie chcieć naszego Robbiego - wskazała palcem na syna - ale nie jest. Jego sklep, za przeproszeniem, jest niewiele większy jak kram na targowisku, nie jest nawet przy głównej ulicy, ale schowany gdzieś w dziurę. Nie ma tam wielkiego ruchu. Założę się, że u nas na nabrzeżu w niedzielę sprzedajemy więcej, jak on w tydzień. Proszę mi wybaczyć, wiem, że musi pani tam pracować. O ile znam życie, wiem, że pani robi to ze wstrętem.

- Już dobrze, mam. Ona już chce iść. - Robbie przeszedł koło matki i patrząc na Agnes powiedział:

- Odprowadzę panią do drzwi.

Pani Felton pozostała na miejscu, ale zawołała do Agnes: - Powodzenia, moja droga!

- Do widzenia - odparła Agnes.

Przy drzwiach Robbie powiedział: - Wiem, że wiele pani ryzykuje.

Agnes odpowiedziała, grzecznie kończąc rozmowę:

- Nie, ani trochę. Do widzenia.

Gdy znalazła się już na końcu ulicy, zauważyła, że trzęsą jej się kolana. Faktycznie, ryzykowała. Wiele ryzykowała.

Powrót do domu zabrał jej dwa razy więcej czasu, bo wstąpiła do kościoła św. Dominika. Nie chodziła często do kościoła, podobnie jak jej rodzina. Przyklękła w jednej z tylnych ławek, ale gdy spojrzała na ołtarz, nie przyszedł jej na myśl żaden tekst modlitwy. Jak dziecko, prosiła: - Proszę, powiedz mi, czy mam to robić. Powiedz mi, co robić. Powiedz mi, czy to jest najlepsze wyjście dla Jessie, bo... ja naprawdę nie wiem.

Kłęcząca czekając na odpowiedź. Przez myśl przebiegły jej słowa; to były jego słowa, to był jego głos wypowiadający je, tak jak wtedy, nad rzeką: Jeśli się kochają, tak trzeba postąpić.

Po pewnym czasie podniosła się z kolan i jeszcze na chwilę usiadła. Potem opuściła kościół z przeświadczeniem, że kości zostały już rzucone i trzeba działać dalej.

Gdy mijala sklep z kapeluszami, usłyszała stukanie w okno. Agnes zobaczyła twarz panny Belle, która najwyraźniej zapraszała ją do środka.

Westchnęła ciężko, otwierając drzwi sklepu. Nie miała nastroju do rozmowy z nikim, nawet ze swoimi trzema drogimi przyjaciółkami.

- Chodź na zaplecze - Agnes usłyszała ochryply szept.

- Rene i Florence już tam są.

Wzrok Agnes przemknął po dwóch kobietach ozdabiających kapelusze i zatrzymał się na pannie Belle, która zwróciła się do sióstr: - Stwierdziłam, że powinnyśmy jej powiedzieć. To może.... zmniejszyć jej poczucie winy.

- Nie wiem, w jaki sposób - panna Rene odłożyła na boczny stolik kapelusz, którym się zajmowała. Belle mówiła dalej: - Chodzi o Christine, wiesz „Wykwintne ciasta Hardy’ego” - skrzywiła się, wymawiając nazwę sklepu na końcu ulicy - Wychodzi za Johnny’ego Temple’a.

- Christine!... Za Johnny’ego, Johnny’ego, co pomaga panu Steenowi w zakładzie?

- Tak, o ile wiem, na tej ulicy mieszka tylko jeden Johnny Tempie.

- Ale dzieciak z niego jeszcze.

- Skończył dwadzieścia lat. I, o tak, Christine może dołożyć mu swoje osiem. Tak to już jest.

- Ale... myślałam, że ona była zadurzona w panu Steenie...

- Możliwe - Rene ściągnęła usta. - Mówmy otwarcie. Znalazła się w takiej samej sytuacji jak wasza Jessie.

- Christine?!!

- Tak, Christine. I... mają się pobrać. W tę niedzielę w katolickim kościele będą po raz pierwszy czytane zapowiedzi. Ona oczywiście jest katoliczką, nie wiem jak Johnny.

- Głupi, że dał się tak usidlić.

Rene i Belle spojrzały na Florence, a Belle powiedziała: - Tere-fere. Skąd wiesz, że... no wiesz... że on... rozumiesz, jeśli jest taki głupi?

Przez moment ogarnęła Agnes dziwna wesołość; dwie zhańbione rodziny na tak krótkiej ulicy. Czy ojciec się uspokoi, gdy się o tym dowie? Nie. Najprawdopodobniej jeszcze zaostrzy to sytuację.

- Jak się czuje nasza droga Jessie? - spytała panna Belle.

- Nie jest najszcześliwsza.

- Trudno tego oczekiwać. - Panna Rene wzięła kapelusz i znowu zabrała się do pracy. - Takie rzeczy często się zdarzają, ale trzeba za nie płacić. I to słono. Ta cena jest zbyt wysoka; nie warto. W żadnym wypadku. - W jej głosie pobrzmiwała gorycz. Zapewne ta gorycz sprawiła, że jej dwie siostry spuściły wzrok.

Panna Belle odezwała się w końcu z wymuszoną wesołością: - W przyszłym tygodniu spodziewamy się pani Bretton-Fawcett. Może będziemy miały coś ładnego dla ciebie, kochanie. Tamtego dnia wyglądałaś jak z żurnala. Dużo lepiej niż ona sama w swoich ubraniach.

Patrząc na te trzy starsze panny, Agnes nie miała serca powiedzieć: „Nie chcę już ubrań od waszej pani Bretton-Fawcett. Już wystarczająco dużo napytały mi biedy, zmieniając mnie w kogoś, kim nie jestem”.

Jednak zamiast tego, Agnes odwróciła się bez słowa.

Panna Florence spytała: - A jak tam twój ojciec, kochanie?

- Jak zwykle - odpowiedziała bez emocji.

Gdy wyszła już na ulicę, zatrzymała się na moment i spojrzała na piekarnię, zastanawiając się, do jakiego stopnia Christine była zdesperowana. Rozumiała dlaczego. Wiedziała. Szczególnie wyraziście docierało to do niej w mroku tej nocy. Ale czy ona też zapłaciłaby taką cenę za takie ułatwienie...Nie. Nigdy. Nigdy. Wolałaby już skończyć jak te dobre kobiety ze sklepu z kapeluszami. Jak niesprawiedliwe jest dla kobiet życie! Rządzą nimi siły natury, a ceną, jaką przychodzi im płacić za wyzwolenie tych naturalnych praw, jest zawsze albo wstyd, albo małżeństwo z rozsądku. Mężczyźni natomiast płacą tylko zimną, brzęczącą monetą.



Gdy weszła do sklepu ze słodyczami, Nan obsługiwała klienta, ale kiedy Agnes podniosła klapę lady, Nan zostawiła klienta, mówiąc: - Za chwilę wrócę.

Podchodząc do Agnes, wyszeptała: - Przyszedł ten pan. Mówił, że chce się z panią widzieć. Powiedział, że przyjdzie jutro o tej samej porze.

Agnes nic nie powiedziała. Przeszła przez sklep, weszła po schodach i udała się do kuchni, gdzie matka zawijała paszteciki. Gotowanie i jedzenie najwyraźniej było jej ucieczką i sposobem na zapomnienie. Jessie stała przy zlewie i zmywała naczynia. Obie odwróciły się i spojrzały na Agnes. Matka powiedziała: - No i co kupiłaś?

Agnes zapomniała, że wyszła pod pretekstem kupienia nowej bielizny. Powiedziała: - Nie znalazłam niczego odpowiedniego.

- Kto to słyszał! Tyle jest sklepów w Newcastle, a ty nie mogłaś niczego wybrać!

- Nie, mam. Ale powiem ci, co widziałam ładnego.

- Odwróciła się do Jessie. - Sukienkę. Wzorzystą i luźną

- łagodnie wymówiła ostatnie słowo. - Była chyba twojego rozmiaru.

- Gdzie ją widziałaś?

Znowu spojrzała na matkę. - O... - odwróciła wzrok, jakby zastanawiając się; i rzeczywiście zastanawiała się, w którym sklepie sprzedawano suknie na ciążę. - U Fen-wicksa. Tak tylko chciałam powiedzieć.

Po kilku minutach, w swoim pokoju, Agnes zdjęła wyjściowy strój, chcąc ubrać swój czarno-biały uniform, odpowiedni dla kogoś, jak twierdził ojciec, kto nie jest tylko zwykłą sprzedawczynią. Powiedziała jednak do siebie: „Nie. Nie będę tego więcej nosić. Koniec z tym mundurem”.

Porwała z poręczy krzesła czarną suknię i biały fartuszek, zmięła je i wcisnęła do dolnej szuflady w komodzie. W tej samej chwili usłyszała głos Jessie za drzwiami.

- Mogę wejść?

Agnes otworzyła drzwi, a Jessie prześlizgnęła się obok niej, pytając: - Jak było? Co się działo?

- Siadaj - Agnes wskazała brzeg łóżka. Usiadłszy koło niej, wzięła ją za rękę i powiedziała: - Teraz uważnie mnie posłuchaj. Rozmawiałam z nim... i z jego matką....

- Co z nim? Jak jego głowa?

- W porządku. O to się nie martw. Słuchaj, dziewczyno. Wybiera się do urzędu stanu cywilnego, by załatwić ślub na specjalnych warunkach. Powiedziałam mu wszystko, co wiem na ten temat. Teraz najważniejsze jest, żebyś się stąd wydostała i spotkała z nim.

- Och, Aggie! - zarzuciła siostrze ręce na szyję.

- Przestań. Przestań i posłuchaj mnie. Nie będzie od niego żadnych wieści przez następne kilka dni, potem jego siostra, Rose, przyjdzie do sklepu...

- Ale z kim będzie rozmawiała?

- Załatwię to. Z Nan. Porozmawiam z nią. Właśnie w kuchni przyszło mi do głowy, że możesz wyjść pod pretekstem kupienia obszerniejszej sukni. Będę próbowała pójść z tobą sama, ale przypuszczam, że matka będzie też chciała iść. Ale jeśli wybierzemy się do Fenwic-ksa, to jest tam toaleta i w określonym momencie, gdy dam ci znak, pójdziesz rzekomo tam i wtedy wymkniesz się do urzędu, a on będzie tam na ciebie czekał.

- Ale gdzie jest ten urząd?

- O, dowiemy się, nie martw się. Gdy już będzie po wszystkim, oboje musicie uciekać natychmiast z miasta. Niezwłocznie. Powiedziałam mu o tym. Jego rodzina może chciałaby zrobić jakąś uroczystość, ale znasz naszego ojca. Bóg jeden wie, co robi, jak się wymkniesz. Będzie cię ścigał, jeśli tylko się domyśli, gdzie możesz być. W każdym razie, przez następnych kilka dni zachowuj się, jak gdybyś pogodziła się ze wszystkim. Częściej przebywaj w salonie, nie przesiaduj w sypialni, haftuj, czytaj, rób cokolwiek, ale bądź wyciszona. Rozumiesz?

- O tak, Aggie. Rozumiem. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie robisz. Bez ciebie byłabym zgubiona! - Znowu objęła Agnes, tym razem odwzajemniła się siostrze, przytulając ją mocno do siebie przez chwilę.

- Musisz wiedzieć jeszcze o jednym. Przekonasz się, że życie z tym młodym mężczyzną będzie niełatwe. Oj, dobrze, dobrze. Nie obruszaj się tak. Wiem, co do niego czujesz i co on czuje do ciebie. Ale ta jego rodzina! Chyba w całym mieście nie ma bardziej nieokrzesanych ludzi. Oni wszyscy żyją z siły swoich pięści, oszustw czy kradzieży.

- Ale nie Robbie. Nie Robbie - Jessie podniosła twarz. - On jest inny. On chce być inny. On wie, jacy oni są. Ale mówi, że to jego rodzina, a jego matka zawsze ciężko pracowała. Zajmowała się tym, co potrafiła robić, by wychować swoje dzieci w tej strasznej dzielnicy, gdzie mieszkają. Jego ojciec był bokserem i był dobrze tam znany. Ale Robbie jest inny. Inny. Inny.

- Dobrze, w porządku. Od ciebie tylko będzie zależało, by uczynić go jeszcze innym. Czy wiesz, co mam na myśli?

Jessie odsunęła się od siostry, usiadła wyprostowana na łóżku i cicho powiedziała: - Nie wiem wcale, czy chcę, by aż tak się zmienił... Wolę go takim, jaki jest. Jest szczerzy.

Agnes odwróciła głowę. Mówi, że nie chce go zmienić. Mój Boże! Jej siostra to szlachetna dziewczyna, inteligentna. Inteligentna na tyle, by być drugą na końcowych egzaminach w szkole i mieć także dobre wyniki w szkole dla sekretarek, mimo że specjalnie nad sobą nie pracowała. A teraz chce spędzić całe życie z Robbiem, który nie tylko swoim wyglądem, ale i mową, i zachowaniem sprawia wrażenie kogoś zupełnie nieokrzesanego.

Teraz Agnes zaczęła myśleć o Christine Hardy i o przyczynie, dla której wychodzi za Johnny'ego Temple'a, chłopaka o osiem lat młodszego od niej. Pewnie z podobnej przyczyny Jessie jest gotowa zrobić wszystko, by wyjść za Feltona. Agnes doszła do bardzo krępujących wniosków, równocześnie czując złość na samą siebie, bo Jessie, jak i Christine, a także ona sama i wszystkie inne kobiety cierpiały w tej pułapce, która, jak sądziła, nie ma nic wspólnego z miłością... a może jednak? Och, tego nie wiedziała. Ostatnio miała wielki zamęt w głowie. Wiele razy pragnęła być gdzieś daleko od tego domu, tego miejsca i wszystkiego, co się z nim łączyło. I tak, tak, nawet od pana Charlesa Farriera. O tak, z dala od niego, bo pewne było, że gdyby opuściła swój świat, bez względu na powód, nigdy nie mogłaby

wejść do jego świata.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Jessie. - Wiesz, Aggie, powinnaś była wyjść za Petera. Był w porządku. Był drugim oficerem i miał szansę zostać kiedyś kapi...

Agnes poderwała się z łóżka, krzycząc: - Mój Boże! Takie masz kłopoty, a ja prawie odchodzę od zmysłów, załatwiając twoje sprawy, żebyś mogła wyjść za tego gościa, choć zupełnie się z tym nie zgadzam. A ty co? Ty mi mówisz, że powinnam była wyjść za Petera Chambersa. A gdybym faktycznie wyszła, gdzie bym teraz była?

Najprawdopodobniej na statku z nim, zabawiając się w innym kraju, zwiedzając świat i nie biegałabym od sklepu do sklepu i do tej nędznej fabryki od świtu do nocy i nie przesiadywałabym na zapleczu, by wołać to jego, to ciebie. Czy to moje małżeństwo z Peterem rozwiązałoby jakoś twój problem? Ha! Co byś zrobiła sama? Czy wtedy zaszłabyś w ciążę z tym chłopakiem, czy ustrzegłabyś się?

- Przepraszam... Aggie. Przepraszam. Nie chciałam... cię tak zdenerwować. Myślałam, że wołałabyś mieć już męża, bo jak mówisz, stale jesteś na zapleczu i ciągle tylko kogoś wołasz.

Jessie delikatnie wstała i po cichu opuściła pokój. Agnes odwróciła się, walnęła pięścią w poduszkę, jakby próbując powstrzymać się od płaczu, bo to znaczyłoby jej koniec. Stałaby się krzykliwą histeryczką, tak jak jej matka.

## 6

Był już wtorek następnego tygodnia, a pogoda ciągle nie sprzyjała ich planom. Podało od kilku dni. Ale tego ranka znowu zaświeciło słońce, powietrze było ciepłutkie, a wiatr prawie ucichł. Panie z rodziny Conwayów były gotowe do wyprawy na zakupy.



Alice Conway założyła sięgającą kostek dobrze dopasowaną szarą suknię z przymocowaną na dole taśmą, chroniącą przed błotem, a na to szary płaszcz z alpaki. Na głowie miała granatowy słomkowy kapelusz z głębokim denkiem, przyozdobiony z boku kiścią czereśni. Agnes ubrana była zwyczajnie, w niebieską suknię z drobnym wzorkiem i krótki płócienny żakiecik w tym samym odcieniu co suknia. Do tego założyła słomkowy kapelusz, skromnie ozdobiony pojedynczą wstążką.

Suknię Jessie dokładnie skrywał obszerny płaszcz, w którym wyglądała, jakby już jej ciąża była dobrze zaawansowana, lecz naprawdę powodem były dwie suknie i trzy komplety bielizny, jakie na siebie założyła. Ciemnozielony słomkowy kapelusz w kształcie czepka skrywał jej oczy i kryjące się w nich emocje... wśród nich i strach.

Milczały i czekały, patrząc na drzwi, a gdy te już się otworzyły, wszedł Arthur Conway i spojrzał na żonę.

- Potrzeba mi pieniędzy - powiedziała Alice.

Słyszając to, wyciągnął z kieszeni zamszowy worek i odliczył na stole pięć złotych funtów. Matka spojrzała na monety i stwierdziła: - Nie wystarczy na wszystkie rzeczy, jakich ona potrzebuje.

Znowu zmierzył ją wzrokiem. Usta miał uchylone, ale zęby zaciśnięte, gdy rzucił na stół jeszcze trzy monety. Matka wzięła je i włożyła do swojej portmonetki, którą potem umieściła w wyszywanej koralikami torebce. Spytał: - Ile czasu może wam to zająć?

- Nie wiem. Tyle, ile trzeba.

- Nie bądź taka zagadkowa.

- Czyżbym była, panie Conway? No, proszę! - nie spiesząc się podeszła do drzwi, a Jessie podążyła za nią niemal jak cień.

Gdy z kolei Agnes znalazła się przy drzwiach, ojciec stanął przy niej i nachylając się nad nią, szepnął: - Miej oczy szeroko otwarte.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Po co?

- Wiesz, po co. Doskonale wiesz.

Odchodziła od niego, z trudem opanowując drżenie nóg, ale szła pewnym krokiem. Gdy przechodziły przez sklep, Nan pozdrowiła każdą z pań skinieniem głowy, ale żadna nie odpowiedziała. Gdy znalazły się już na zalanej potokami słońca ulicy, Jessie odwróciła się i spojrzała za siebie na sklep, a matka i Agnes przystanąły.

- Zapomniałaś czegoś?
- Nie, niczego, mamó. Niczego.

Alice Conway popatrzyła po córkach, jakby z pytaniem w oczach, dziwiąc się, co też mogło to znaczyć. Agnes, jękając się, powiedziała: - Chy... chyba... naj... najpierw pójdziemy do Fenwickxa.

I tak też zrobiły...

- Czy to tu, jak mówiłaś, widziałaś tę sukienkę?

- Cóż - Agnes rozejrzała się wokół - myślałam, że to tu.... może to było w innej części sklepu. Tak, tędy. To musi być tam - odwróciła się i spojrzała na Jessie, drapiąc się palcem w nos, jakby ją swędził.

Widząc to, Jessie spiesznie i jakby brakowało jej tchu, wyszeptała:

- Chyba... muszę iść... do łazienki, mamó.

- A gdzie jest łazienka?

Agnes natychmiast wskazała: - To tam. - I patrząc na Jessie, dodała: - Idź więc, ale nie siedź długo.

Jessie odwróciła się i spiesznym krokiem oddaliła się do toalety.

Agnes zwróciła się do matki: - O, tam, myślę, że to w tamtym końcu.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie w kierunku łazienki, Alice Conway podążyła za starszą córką do innej części domu towarowego, przeznaczonej, jak wiedziała Agnes, na stoisko dziecinne i suknie o dużych rozmiarach.

- Tak, tak. Tak sądziłam, że to ten sklep. Tak. Tak, spójrz na te duże suknie - Agnes szczebiotała, ale matka rzeczowo obejrzała metkę z ceną i powiedziała z oburzeniem:

- Cztery funty! To naprawdę śmieszne. Nie ma ani dobrego kroju, ani to znowu nic takiego.

- Ale... zobacz, tyle tu materiału, mamó.

- Posłuchaj - spojrzała na córkę - wiem, ile materiału potrzeba na suknię i ty mnie nie ucz. Coś takiego można też kupić na bazarze u Rolleya za piętnaście szylingów albo mniej... o tak, mniej.

- Ale tam nie sprzedają rzeczy dla ciężarnych kobiet, mamó - odparła Agnes, przechodząc dalej.

- Spójrz na tamtą - wskazała na suknię za ladą.

- Trzy funty dziesięć. Bardzo ładna.

- Ciągle uważam, że to za dużo za coś takiego. A gdzie ona w

ogóle się podziewa? - Odwróciła się i spojrzała na wejście, którym przyszedł do tego stoiska.

Agnes pośpiesznie wyjaśniła: - Miała kłopoty z żołądkiem. Dziś rano była kilka razy w łazience.

- Hmm.

Agnes podeszła do lady i wzięła maleńki dziecienny płaszczyk i trzymając go przed sobą, powiedziała:

- Jaki ładny, prawda? Śliczny.

- Mamy jeszcze czas i nie ma co rozglądać się za tymi rzeczami.

- Ale... myślałam, że powiedziałaś ojcu, że będzie też potrzebowała innych rzeczy. Wiesz, że rozwścieczyłby go tylko widok Jessie dziergającej ciuszki dla dziecka.

- Tak, ale kupmy najpierw suknię, fartuszek, czy cokolwiek. Gdzie ona jest? Idź i zobacz, co się z nią dzieje.

- Mamo - Agnes spojrzała na matkę - wiem doskonale, co się z nią dzieje. Jest w łazience, źle się czuje.

Agnes przymknęła na moment oczy i powiedziała do siebie: „To ja źle się czuję. Tak mi niedobrze. Jak długo już jej nie ma? Trzy minuty? Pięć? Tak, pięć minut. Już jej tam na pewno nie będzie”.

Spełniając prośbę matki, Agnes odwróciła się i powoli poszła w kierunku łazienki. Były tam dwie kobiety; jedna myła ręce, druga przeglądała się w lustrze. Umywalki w łazienkach pojawiły się całkiem niedawno. Weszła do jednej z kabin, a gdy wyszła, zwolniło się miejsce przy lustrze. Ujrzała odbicie swojej zupełnie pobladłej twarzy. Jej oczy były ogromne, jakby rozszerzone od strachu.

Jaki będzie koniec tego dnia? Co wyniknie? Boże drogi! Chciałaby wiedzieć. Musiała już wyjść z łazienki i odegrać przedstawienie przed matką. Przeszła spiesznym krokiem przez sklep do matki zajętej w tej chwili rozmową ze sprzedawczynią na temat sukienki za cztery funty.

- Mamo!

Alice Conway ujrzała przerażoną twarz córki i aż zadrżała.

Wyjąkała: - O co chodzi?

- Jej... jej tam nie ma.

- Co?!

Matka pobiegła przez sklep, a Agnes przeprosiła sprzedawczynię.

Pobiegła za matką i w mgnieniu oka znalazła się znowu w łazience. Matka rozglądała się wokół, jakby w nadziei, że Jessie gdzieś się schowała.

Były w łazience same. Alice wykrzyknęła: - Mój ty Boże! Wiesz, co się stało?

- Chyba... chyba tak.

- Chyba tak? Ona uciekła!

- Może... może nie. Może się mylimy. Może gdzieś tu jest, rozgląda się. Uspokój się, mamó. Poszukajmy jej w sklepie. Wiesz, że nie wychodziła z domu od tygodni i teraz może mogła się poczuć... swobodniej.

- Cicho! Przestań gadać! Nie chodziłaby sama po sklepie. Nie ma przecież pieniędzy.

Tak, tyle wiedziała matka. Nie wiedziała jednak, że Jessie miała dwadzieścia funtów; dziewiętnaście owinięte w kawałek irchy i schowane w kieszonce przyszytej do spodniej halki, a dwudziestego suwerena trzymała w pogotowiu, ukrytego w rękawiczce. Nie miała torebki. Tak zdecydowały, by matka była przekonana, że Jessie jest bez pieniędzy.

- Uspokój się, mamó. Jesteś przecież w sklepie.

- Tak, jestem w sklepie! - syknęła Alice. - Ale czy wiesz, gdzie obie się znajdziemy, jak wrócimy do domu i powiemy mu, że zniknęła? Chyba w piekle! Pamiętasz, co on zrobił tamtemu. Mój Boże! Mogłabym sama zabić ją na miejscu, gdybym ją tu miała pod ręką. Całe to zmartwienie, jakiego mi przysporzyła, wstyd, poniżenie, a teraz to. Chcę z tym wszystkim skończyć, z tymi jego nieobliczalnymi reakcjami. Powiem ci; my obie obchodzimy go tyle, co pies z kulawą nogą. Ja obchodzę go jeszcze mniej niż ty, bo ty przydajesz mu się w sklepie. Ale ona... myślał, że ona jest słońcem na niebie, a wiesz dlaczego? Czy wiesz dlaczego, Agnes? Dlatego, że ja nie jestem jej matką, a ty nie jesteś jej siostrą! Została adoptowana. Jest córką jego ladacznicy.

Jej słowa zabrzmiały donośnie, a ci, którzy znajdowali się nie opodal, odwrócili się i spoglądali ze zdziwieniem na tę niemłodą już kobietę, nachylającą się nad młodszą panną, równie zadziwioną, stojącą z otwartymi z przerażenia ustami.

Agnes pierwsza zorientowała się, że są źródłem zainteresowania. Złapała matkę za rękę i wybiegły ze sklepu na ulicę. Tam, zatrzymawszy się, powiedziała: - Majaczy ci się, prawda?

Alice Conway potrząsnęła głową. - Nie, moje dziecko. To prawda. To właśnie dlatego to zrobiła. Wróciła do ludzi ze swojego stanu. Ty nigdy byś tak się nie zachowała, bo miałabyś, jak ja, szacunek dla siebie. Jak ja, chowałabyś tajemnicę przez lata.

Agnes zobaczyła, jak matka podnosi rękę do twarzy, zamyka oczy. Zapytała: - Dobrze się czujesz? Posłuchaj, tam jest kawiarnia, chodźmy i napijmy się herbaty.

- Nie, lepiej chodźmy do domu.

- Nie ma po co, mamó. I tak już jej nie znajdziemy.

- Wiesz, prawda?

- Tak, wiem. Ale teraz chodź, usiądźmy.

Gdy usiadły przy stoliku, Agnes, wzięwszy głębszy oddech, zapytała: - Czy to prawda, to co powiedziałaś? Że... Jessie nie jest moją siostrą? Nie jesteś jej matką?

- Tak. To szczerą prawdą. Może teraz... wiesz, zachowywałam się dziwnie przez całe lata. Jedyłą pociecfę znajdowałam w jedzeniu. Cieszę się, że nie zaczęłam pić.

- Ale kim w takim razie jest Jessie?

- Cóż, nie jest to zbyt skomplikowana historia, ale za to wiele mówiąca. On podobno był bardzo zakochany w swojej pierwszej żonie. Po jej śmierci pocieszał się u innej kobiety, żony marynarza. Nie wiedziałam o tym, być może nie patrzyłam na niego pod tym kątem. Chciałam jedynie go usidlić, jak on sam mówi, bo miał ten sklep, a ja właśnie zawiodłam się na kimś, no i moja rodzina wcale się o mnie nie martwiła. Była to dla mnie bajeczna okazja. Potem dowiedziałam się o tej jego kobiecie, więc zostawiłam go.

- Zostawiłaś go?

- Tak, odeszłam. Na sześć miesięcy. Powiedziałam, że jadę opiekować się ciotką w Harrogate. Wzięłam cię ze sobą i zabrałam jego tygodniowy utarg. Myślałam, że starczy to nam na jakiś czas. Potem znalazłam pracę jako gospodyni u sklepikarza, opiekowałam się dzieckiem, obsługiwałam klientów, sprzątałam w domu, gotowałam. To

było piekło. Tak więc, kiedy pewnego dnia przyjechał i poprosił mnie, bym wróciła, nie protestowałam. Widzisz, jego śliczna kobietka zmarła przy porodzie i dziecko, jego dziecko, miało być adoptowane. Jak wróciłam, wyszło szydło z worka. Ludzie myśleli, że to moje dziecko. Arthur zawsze zachowywał się bardzo ostrożnie, jeśli chodzi o swoje rozrywki. W każdym razie, był wykończony i przygnębiony. Nic nie robiłam. Nic z tego nie pamiętasz?

Agnes potrząsnęła głową i powiedziała: - Jediną rzeczą, której nie mogę sobie wytłumaczyć, jest mój powtarzający się sen, jak pies drapie mnie pazurami w twarz.

Matka roześmiała się. - O, dobrze pamiętasz. Dobrze. Był tam pies, szczeniak. Bardzo go lubiłaś. Był tam też chłopiec. On czasem drapał cię w twarz. Raz zadrapał cię do krwi. Dałam mu klapsa i zobaczył to jego ojciec. Rzucił się na mnie i chyba dlatego zdecydowałam się powrócić. Już nie mogłam dłużej tego znieść. Agnes, jesteś moim jedynym dzieckiem, ale jakoś nigdy nie zgadzałyśmy się ze sobą. To była moja wina, byłam zgorzkniała chyba przez całe życie, a szczególnie, gdy zaczął z tą swoją ostatnią. O tak, to był koniec. Czasami miałam ochotę pójść do tej jego sypialni obok i zabić go. Naprawdę.

Agnes wstała i przysunęła krzesło bliżej matki. Usiadła i, biorąc ją za rękę i patrząc w twarz, powiedziała: - O, tak mi przykro, przepraszam cię. Nie rozumiałam cię. Gdybym tylko wiedziała, nie byłabym taka... - przerwała.

- Tak, wiem, co czułaś do mnie. Wiem też, co czuła Jessie. Ją mogłam zrozumieć, bo, nieważne co mówią, ale krew nie woda, zawsze stało coś pomiędzy nami. Myślałam, że nie zniosę tej jego gadaniny na jej temat. To właśnie dlatego tamtego wieczoru ogarnął go taki szal na tego chłopaka. Nie mógł sobie wprost wyobrazić, by ona wróciła do ludzi sobie podobnych.

- Ale... Jessie... już nie jest taka... wiesz... Jest wyedukowana, uszlachetniona...

- O, to tylko pozory, moje dziecko. Szkoła i tak dalej. Ale jej matką była pospolita kobieta. Jestem tego pewna, bo włożyłam dużo starań, by dowiedzieć się, kim ona była. Mój kochany mąż nie był jedynym, który wtedy za nią latał, ale reszta odsunęła się od niej, jak była w ciąży. I, jak

mu to kiedyś wykrzyczałam, nawet nie może być pewny, czy Jessie jest jego córką, czy nie.

Agnes widziała, jak matka odchyła w tył głowę i otwiera szeroko usta, jakby śmiejąc się na głos. Jednak nie usłyszała śmiechu, lecz słowa: - Bałam się tylko wtedy, gdy poszłam po ciebie. Bałam się, że Jessie uciekła. Ale teraz wiem, że znajdę prawdziwą rozkosz, mówiąc mu o tym. Tak. Dlaczego nie? Jeżeli znajdzie się na świecie człowiek o dwóch twarzach, to na pewno będzie on. Każdy lubi Arthura Conwaya, bo wesoły z niego facet. Mówią, że niezły był z niego zuch. Tak, tak. Tak mówią

- kiwała głową - ale który mężczyzna kiedyś nie był takim zuchem? Arthur Conway jest w porządku, ale ona, jego żona, to zgaga. O, wiem, co o mnie myślą. Często słyszałam różne aluzje, docinki. Ale zobaczymy; ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Nie smuć się tak, moja droga. Ciesz się jedną rzeczą; wreszcie się poznałyśmy.

O tak, nie skrywaj niczego przede mną. Rozmawiaj ze mną. Niech mam świadomość, że w tym domu jest choć jedna osoba, która zna prawdę.

Agnes zapragnęła zarzucić ręce na szyję tej kobiecie, kobiecie, która jest jej matką, ale której, jak otwarcie powiedziała, nie lubiła. Czy można wiedzieć coś na temat życia drugiego człowieka, jeśli kontakty z nim są ograniczone do dwudziestu dwóch lat mieszkania pod jednym dachem?

Powiedziała cicho: - Biorą ślub w urzędzie stanu cywilnego.

- Ty to załatwiłaś?

- Tak.

- Ha! - Zatrzęsły się jej ramiona i przycisnęła dłoń do ust, by stłumić śmiech. - Czy zostaną w mieście?

- O nie, wyjeżdżają natychmiast po ślubie.

- Dokąd?

- Tego nie wiem, mamo. Jemu zostawiłam decyzję.

- Niech się spieszą i my też, moje dziecko, do domu z wiadomością.

Agnes, ku swojemu zdziwieniu, poczuła jakąś dziwną lekkość. Miała wrażenie, że nie znała w ogóle swojej matki. Czowała się tak, jakby

była adoptowana i w tej chwili ktoś powiedział jej, że ma matkę i że ona chce być jej przyjaciółką. Wzięły się za ręce, gdy wyszły na ulicę. Agnes spytała: - Idziemy pieszo, czy bierzemy powóz?

- Powóz, moja droga. Pod sam dom.



- Co takiego?! - wrzeszczał Arthur Conway. - Co wy mówicie?!

Głos Alice łamał się, gdy mówiła: - Już ci powiedziałam. Wybrała się do łazienki, a gdy Agnes po nią poszła, już jej nie było i... szukałyśmy w całym sklepie, ale nie znalazłyśmy jej.

- Nie., znalazłyście... Nie... znalazłyście? - ryczał.

Agnes i matka przysunęły się do siebie. Postanowiły w drodze powrotnej, że powiedzą mu wszystko chłodno, z dystansem. Mimo to Alice przed wejściem do domu przyznała, że boi się tej konfrontacji. Teraz istotnie widać było po niej ten strach, ale próbowała zachowywać się jak dawniej, krzycząc: - Nie wrzeszcz tak na mnie, panie Conway! Nie ma jej, i tyle.

- Co ty mówisz; nie ma jej i tyle! - zamierzył się, ale uderzenie nie dosięgło matki. Złapał Agnes za ramię i pociągnął ją do przodu, wykrzykując:

- Ty! Co ty wiesz? Już! Mów, albo cię uduszę!

Agnes nie wyobrażała sobie, że może mieć tyle siły, ale wyrwała mu się i prawie jednym skokiem dopadła do kominka, złapała pogrzebacz i zaczęła nim wymachiwać. Powiedziała: - Jeszcze raz tak się zachowasz wobec mnie, a odpłacę ci pięknym za nadobne. Mówię ci! Nie potrafię bronić się gołymi rękami, ale to mi pomoże!

Jeszcze raz zamachała przed nim pogrzebaczem, a on się odsunął. Odrzucił głowę jak dzikie zwierzę gotowe do ataku, ale jednak odwrócił się i wypadł z pokoju. Usłyszały, jak biegnie korytarzem, ale nie biegł do sypialni. Alice pospieszyła w drugi koniec pokoju, nasłuchując. Potem, gwałtownie odwracając się do Agnes, szepnęła: - Mój Boże! Wziął rewolwer! Tam go trzyma. Pewnie myśli, że są u Feltonów. Wie, co to za rodzina i sądzi, że teraz świętują. O dobry Boże! Dobry Boże!

- On... on nie wie, gdzie mieszkają

- A ty wiesz?



- Tak, oczywiście. Byłam tam, by im powiedzieć, że chłopak jest w szpitalu. O, mamó! - Agnes trzymała jej dłoń w swoich. - Muszę tam iść i ich ostrzec. Zajmie mu jakiś czas, zanim się dowie, gdzie mieszkają.

- Cicho! Idzie!

Alice w mgnieniu oka znalazła się znowu przy Agnes, ale po chwili spieszne kroki słycać było już z dala od drzwi salonu. Potem usłyszały, jak zatrzaskuje drzwi kuchni. Alice, prawie pchnąwszy Agnes, wykrzyknęła:

- Zejdź tylnymi schodami! Mam klucz od tamtych drzwi.

Pobiegły do kuchni, potem znowu na korytarz. Alice rzuciła: - Masz. Weź powóz. Masz torebkę? Gdzie jest?

Pobiegły z powrotem do salonu. Chwilę później Agnes otworzyła tylne drzwi i znalazła się na podwórzu. Na ulicy zachowywała się ostrożnie, bo nie była pewna, czy nie ma go wciąż gdzieś w pobliżu.

Zatrzymała powóz i tak się złożyło, że był to ten sam, którym tamtego wieczoru jechała ze szpitala. Woźnica powiedział: - Dzień dobry, panienko. Wybiera się pani w to samo miejsce?

- Tak, proszę. I... czy zechciałby pan jak najszybciej?

- Porozmawiam z koniem, panienko i zobaczę, co się da zrobić...

Gdy Agnes zapłaciła, zapytał: - Czy mam czekać?

Zastanowiła się przez moment. - Tak. Tak, proszę

- jednak szybko zmieniła zdanie. - Nie, nie. Dziękuję. Nie wiem, jak długo to może potrwać.

- Jak panna sobie życzy. Jak sobie życzy.

Nie bawiła się w pukanie kołatką, ale załomotała pięścią w drzwi. Gdy jej otworzono, odepchnęła stojącego w nich mężczyznę na bok i pognęła do kuchni. Gdy już tam się znalazła, zatrzymał ją widok nieznamomej kobiety siedzącej przy pani Felton. Sądziła, że to jej córka. Po drugiej stronie stołu stali jej dwaj synowie. Nie była w stanie przypomnieć sobie ich imion. Wyjąkała: - Mój ojciec... mój ojciec dowiedział się... może być tu lada chwila. Myśli, że oni tu są... - Spojrzała na Betty Felton; kobieta podniosła się. - Całkiem oszalał i ma broń...

- Broń! - odezwał się ogromny mężczyzna i spoglądając na braci, powtórzył: - Broń?

- Nieobliczalny szaleniec i tyle. Co on ma zamiar zrobić? Pozabijać ich?

- Czy... czy już wyjechali?

Przytaknęli. Odezwała się córka: - Od razu wsiedli do pociągu. Wszystko poszło gładko. Są bezpieczni.

Jej tłumaczenie w żaden sposób nie zmniejszyło zdenerwowania Agnes. - Tak, nie wątpię w to - powiedziała

- ale mój ojciec... nie jest teraz sobą. Jest przekonany, że tu są - machnęła ręką w kierunku stołu, na którym stały dwie butelki whisky, puste szklanki i talerze - i że świętują.

- Świętują? Bywa lepiej po pogrzebie albo po grochówce i paszteciku.

- Przestań, Willie: - Pani Felton zmierzyła syna wzrokiem, podeszła do Agnes, pytając: - Sądziś, że jest z nim aż tak źle? Myślisz, że użyje broni?

- Nie wiem. Ale myślę, że zrobi wszystko, by ją mieć przy sobie.

Podniosła rękę do twarzy, a ogromny mężczyzna, widząc to, powiedział: - Niech pani usiądzie. Chciałaby się pani czegoś napić?

- Nie. Nie, dziękuję. Myślę, że powinniście zamknąć drzwi i...

- O, nie będziemy niczego zamykać - kobieta potrząsała głową i spoglądała synów. - Jak sądzicie?

Jeden z nich odparł: - Nie, niczego nie zamykamy. Niech wejdzie. Będziemy tu na niego już czekać. Stary dureń. Jeden dobry ruch, a odechce mu się.

- I jeden ruch i tobie też się odechce, Jimmy Feltonie

- powiedziała groźnie matka. - Żeby go powalić, najpierw musisz do niego podejść, a jeżeli ma broń, to ty pierwszy polecisz z nóg. Ty albo ktoś z nas. Rusz tą swoją diabelną głową, jeśli jeszcze zostało ci w niej trochę oleju, bo mówisz czasami, jakby ci brakowało piątej klepki.

- Daj spokój, mamó, daj spokój. Proszę pani - Wille zwrócił się do Agnes - kiedy wyszedł z domu?

- Kilka minut przede mną.

- Wzięła pani powóz?

- Tak, tak.

- Tak... i on prawdopodobnie weźmie...

- Ale jeśli nie zna adresu?

- Jimmy - powiedział cicho mężczyzna. - Wystarczy tylko zapytać woźnicy, prawda? Faktem jest, że cała cholerna straż miejska wie, gdzie mieszkamy i cały oddział piechoty z Durham, wszyscy, i ta diabelna policja. O tak, policja.

- Nie żartuj sobie, Wille. Może się okazać, że to nic do śmiechu. Na twoim miejscu, Rosie, zniknąłbym stąd.

- Tak, Mike, już mnie nie ma.

Dziewczyna wstała od stołu. - Cześć, mamó. Do zobaczenia.

- Na razie, moja droga - odparła matka i spojrzała na Agnes. - I tobie, moja panno też radzę wziąć nogi za pas. Dużo dla nas zrobiłaś, jesteśmy ci wdzięczni.

Agnes miała już odpowiedzieć, ale Jimmy, którego najwyraźniej mocno świerbił język, rzucił: - Tak, jakbyśmy byli już rodziną, prawda? Szwagrem i bratową.

Ewentualna reakcja z czyjejkolwiek strony została zagłuszona przez krzyk dziewczyny. Rose wpadła z powrotem do pokoju ze słowami: - On tam jest. Wsiadł z powozu. Właśnie przeszedł przez bramę. Wygląda strasznie...

- Nie ruszaj się! Cicho! - Betty Felton przejęła dowodzenie.

Wskazując to na jednego, to na drugiego, mówiła: - Ty, Mike, w tamten róg! Ty, Wille, w tamten! Jimmy, stań za mną! Rosie, schowaj się! Agnes... - ale zanim zdążyła wydać Agnes polecenie, w drzwiach ukazał się rozwścieczony Arthur Conway z wycelowanym rewolwerem w rękę.

Agnes stała na placu boju, przy kominku, w zasięgu ręki pani Felton. Gdy wpatrywała się oniemiała w ojca, wydawało jej się, że jest teraz dwa razy większy. Jego twarz przybrała fioletowy kolor, miał wilgotne usta, a z kącika ściekała mu ślina. Zmartwiała Agnes obserwowała, jak rozgląda się po pokoju, szukając mężczyzn.

Płaczliwym głosem powiedziała: - Ojczy, ich tu nie ma... wyjechali. Proszę, proszę, zrozum.

Jego wzrok znowu wbił się w Agnes. Zaskoczony otworzył usta. - Ty! To właśnie ty! Wiedziałaś! To ty to zaplanowałaś. Nie... tylko nie ty...

- Ojczy... pozwól mi wytłumaczyć... Spróbuj... spróbuj zrozumieć.

- Zrozumieć? - wyrwał mu się z piersi straszliwy głos. - O wszystkim wiedziałaś! Ty - jego głowa zadrżała, zatrzęsała się ręka trzymająca rewolwer - tobie jedynie ufałem, a ponieważ ci ufałem... myślałem, że będziesz w porządku wobec mnie. Ty! - prawie zapiszczał.

Mike powiedział szybko, lecz cicho: - Odłóż pan broń, potem porozmawiamy.

Gdy świsnęła kula i rozbiła szybę na ściennym obrazie, Rosie i matka krzyknęły, a mężczyźni zaczęli kłąć. W tym całym zamieszaniu Agnes zbliżyła się do ojca, krzycząc: - Tato! Tato! Na litość boską!

Skierował lufę w jej kierunku, wypalił, ale pani Felton chwyciła Agnes i przyciągnęła do siebie. Agnes krzyknęła, widząc krew ściekającą po sukience, od ramienia w dół. Nie była świadoma, że w tej właśnie chwili mężczyźni rzucili się na jej ojca i powalili go na podłogę. Rosie wybiegła na ulicę z krzykiem: - Policja! Policja!

To dziwne, ale Agnes czuła się wewnętrznie wyciszona. Osuwała się na podłogę.

- O mój Boże! Jej ręka! Ale mógł ją trafić w głowę! W głowę!

- W porządku. Wszystko będzie dobrze. Nie umieraj. Wypij to.

Po raz drugi w tej właśnie kuchni nalano jej do gardła whisky. Potem zdziwiła się, słysząc mężczyznę stojącego przy niej. - Chusteczki na nic się nie przydadzą. Przynieście prześcieradło lub poszewkę.

Siedziała spokojnie na krześle i nie sprzeciwiała się ich zabiegom. Jej ojciec leżał na podłodze. Nie ruszał się. Pomyślała, że trzeba coś z nim zrobić, że nie może tak leżeć. Nie mogła jednak wydobyć głosu z gardła.

Jeden z mężczyzn powiedział: - Czy to nasza Rosie wołała tę cholerną policję?

- I tak będą musieli tu przyjść. Ten szaleniec miał broń. Mało brakowało, a odstrzeliliby ci głowę, Mike. A ta dziewczyna też by oberwała, gdyby mama jej nie odciągnęła.

- Jak z jej ręką?

- Nie wiem. Ciągle krwawi. Obwiązałam ją mocno. Nigdy nie uświadczysz tych diabelnych lekarzy, gdy są potrzebni.

Agnes zastanawiała się, jak długo tam siedziała. Nagle ogarnęło ją przedziwne uczucie. Po prostu chciało jej się śmiać...

- Co ona mówi, mammo?

- Nie wiem. Chyba jest w szoku. Nic dziwnego. Och, mój Boże! Gdybym jej nie pociągnęła... Zdecydował ułamek sekundy, że kula nie przeszła przez jej gardło. Boże Wszechmogący! Jest już policja. Zawsze przychodzą przed lekarzem.

Agnes zobaczyła, jak mężczyzna wskazuje policjantowi broń. Policjant schylił się nad jej ojcem. Ojciec chyba potrzebował pomocy; nie wyglądał dobrze. Podniosła głowę, a kobieta spytała:

- Co takiego, moja droga?

- Ojciec... z nim jest nie w porządku.

- Tak, coś mu jest. Ale także i tobie. Jednak żyjesz i nie musisz mu za to dziękować. Nie martw się o niego. Wiem, dokąd zmierza.

Agnes chciała być już w domu. To był koniec. Chciała do matki. To zabawne, że tak bardzo pragnęła teraz zobaczyć matkę. Ale przecież pamiętała rozmowę w kawiarni, gdy matka otworzyła jej oczy na całe życie pełne frustracji, goryczy i nienawiści po obu stronach.

Była bardzo zmęczona. Nie chciało jej się wcale myśleć.

Mówił do niej obcy głos. Głos mężczyzny. - Nic pani nie będzie. Wszystko będzie w porządku. Nie doszło do kości. - Potem mężczyzna powiedział do kogoś innego: - Jest w szoku. Będzie musiała iść do szpitala.

- A co z nim?

- On też. Miał wylew.

- Wylew?

- Tak, wylew.

Jej ojciec miał wylew. To dlatego tak leżał z powykrzywianą twarzą. Cóż, już nie będzie mógł ich ścigać.

- Dałam jej dobry łyk whisky, doktorze.

- Nie powinna była pani tego robić.

- Czemu nie? Przeważnie to pomaga.

- Tak, ale czasami też zabija.

- Mało co nie zabił mojego chłopaka. Niech pan spojrzy na tamten obraz.

- Nie sądzę, by zwykła kula mogła zrobić coś złego któremuś z twoich chłopaków, Betty. Odbiłaby się od nich. A tak w ogóle, o co tu w

tym wszystkim chodzi?

- O, tylko o to, że mój najmłodszy uciekł z jego córką, najmłodszą.

- Ach, tak. Teraz rozumiem, dlaczego chciał was wszystkich pozabijać.

- Zebrało się panu na żarty, doktorze. Ale mówię panu, nieźle mnie nastraszył.

- O, tak sędzę, Betty. Ale jeszcze ciągle nie zaczęłaś obawiać się Najwyższego, prawda, Betty? A szkoda.

O czym oni rozmawiają? Co ona tam robi? Jej ojciec miał wylew. Wynosili go właśnie na noszach, a ktoś brał ją na ręce, mężczyzna. Czy to Charles? Nie, nie. On nigdy nie weźmie jej w ramiona. Czy jej ojciec umrze? Miała nadzieję, bo w przeciwnym razie pójdzie do więzienia, a tego by nie zniosła.

## *Część czwarta*

### *Do światła*

- No proszę! Jeszcze tylko ostatni etap i już dzisiaj wydostanę się z tego mroku. Nie chce mi się wierzyć. Po prostu aż nie wierzę!

- Usiądź, mamó.

- Był tak zawzięty. Doskonale wiedziałam, co ukrywał pod płaszczkiem tego swojego przyjaznego nastawienia. Był nikczemnikiem, ale nie sądziłam, że posunie się tak daleko.

- Mamó. Mamó, proszę, chodź, usiądź.

Alice Conway podeszła do kanapy i usiadła, ale zdawało się, że każdy mięsień jej ciała jest napięty. Jej ręce kurczowo obejmowały kolana. Agnes, nieznacznie odwróciwszy się, wyciągnęła lewą rękę - prawa spoczywała na temblaku - i ujęła dłoń matki. - Wszystko będzie w porządku. Mówię ci, wszystko będzie dobrze. Postaram się o to.

Alice odwróciła się i spojrzała na córkę. Drżącymi ustami powiedziała: - Gdybyś nie była taka, jaka jesteś, Aggie, znalazłabym się na ulicy. Rozumiesz?

- Nie. Mogłabyś się odwołać.

- Z czym? Wzięłabym adwokata i przeciągała sprawy, a co w tym czasie? Kto mi pozostał? Kto? Kochana

Mary, widziałaś ją. Wiem, kiedy zmienił testament. Tak, tak. Wiem kiedy. Tó było wtedy, gdy pokłóciliśmy się ostatni raz. Powiedziałam mu, że jest stary i niedługo umrze. O, ileż to razy pragnęłam, by już nie żył. Nie będę niczego udawać, cieszę się, że umarł. Zresztą po tym, co zrobił, i tak byłoby po nim. Mój Boże! Pomyśl tylko; mógł cię zabić i zrobiłby to, bo tak ci ufał... Widzisz sama, wiedział, że nie mógłby poradzić sobie w sklepie bez ciebie. Odrzuciłaś Pete'a i Henry'ego i już wyobrażał sobie, że zostaniesz na zawsze starą panną przykutą do jego sklepów. Kto by pomyślał - uderzyła pięścią w kolano - że miał jeszcze po ojcu domy w Jesmond. Nic o tym nie wiedziałam, tak naprawdę o niczym nie miałam pojęcia. - Gestem wskazała jego gabinet. - Ten pokój trzymał zawsze dobrze zamknięty i nosił klucze przy sobie. A co mi



dawał? Dwa komplety ubrań na rok i pieniądze na utrzymanie. Ty, kochanie, miałaś pensję, a Jessie kieszonkowe. Byłam naiwna, że naprawdę wydawałam wszystko na życie. Gdy żądałam od niego pieniędzy, przeznaczałam je dla domu, na zasłony, firany, narzuty, dywany, chodniki, by mieć choć jakąś odmianę. Zmianę kolorów w tym moim więzieniu, bo to było więzienie. Tak - kiwała głową - to było więzienie. I za to musiałam mu płacić, płacić tym, że pozwalałam mu być w moim łóżku. Nawet gdy miał tę swoją ostatnią ladacznicę, domagał się zapłaty. Boże! Straciłam całe życie! - Jednak pokręciła powoli głową i zaśmiała się bez skrpułów. - I oszukiwałam się sama, że przecież nie może żyć wiecznie. Ma słabe serce i w końcu kiedyś nie wytrzyma. O, nie wytrzyma! Ale do niego należy teraz ostatnie słowo. On sam mawiał

- spojrzała znowu na Agnes - ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

- Mamo, powiedziałam ci już, powiedziałam prawnikowi.

Wydzielę sumę, która ci pozwoli wygodnie żyć. Mogę jutro stąd się wynieść. Ty możesz kupić sobie dom. Możesz zrobić, co będziesz chciała. Zostało to zapisane. Proszę, mamo, przestań.

Alice opuściła bezsilnie głowę. Po policzkach pociekły jej łzy.

Agnes objęła ją ramieniem i powiedziała ciepło:

- Jesteś wolna i ciągle młoda.... Możesz jeszcze wyjść za mąż albo podróżować, czy po prostu żyć beztrosko lub...

Alice podniosła wzrok i spojrzała na córkę załzawionymi oczami, mówiąc: - A z kim ja bym tak sobie żyła beztrosko? Gdzie? Mam tylko ciebie, a ty wyjdiesz za mąż. O tak, tak, wyjdiesz za mąż. I chcę, żebyś wyszła, ale tylko za kogoś, kogo kochasz, nie tak jak ja, z konieczności. Wiesz, przeważnie właśnie dlatego wychodzimy za mąż, bo nie mamy odwagi stawić czoła życiu bez mężczyzny u boku. Wiesz, to złości, ale dziewczki i ulicznice mają najwięcej z życia. - Cynicznie się uśmiechnęła i ocierając twarz, powiedziała: - Powiem ci, że połowa z nas przyłączyłaby się do nich, gdybyśmy nie bały się złej reputacji.

Agnes również odpowiedziała uśmiechem, mówiąc:

- Mamy jeszcze obie dużo czasu zacząć życie od nowa.

- Och, dziewczyno - matka popchnęła ją delikatnie.

- Nie rozśmieszaj mnie. Gdybym jeszcze raz musiała zacząć żyć,

chyba bym oszalała. Jednak bez względu na to, co się stanie, najważniejsze jest jedno: w końcu odnalazłyśmy siebie.

Agnes, po chwili namysłu, odpowiedziała z przekonaniem w głosie: - I ja tak myślę. O tak. Zaczynamy od dzisiaj i, kto wie, może nawet zrobimy, jak to przed chwilą sugerowałeś, ale wtedy będziemy musiały znaleźć inny dom.

Ich czoła się zetknęły. Przytuliły się do siebie, jakby podpisując w ten sposób umowę. Potem Alice szybko się podniosła i powiedziała: - Wiesz co, Agnes? Przez te ostatnie kilka dni nie czułam głodu ani razu. A co to oznacza? W tej chwili mam ochotę tylko na jedno, na filiżankę mocnej herbaty. Ty też?

- O tak, mam. Wyśmienicie. Tylko proszę, nie dodawaj alkoholu. Odkąd wróciła Maggie, chyba zawsze moja herbata jest czymś zaprawiona.

- I jej herbata także, o ile ją znam.

Usłyszawszy dzwonek do drzwi sklepu, Agnes pobiegła do kuchni i zwróciła się do kobiety stojącej przy zlewku: - Maggie, pójdz na dół i zobacz, o co chodzi.

Maggie Rice wcale się nie spieszyła z wykonaniem polecenia swojej pani. Najpierw wytarła dokładnie ręce w ręcznik, a potem, przechodząc koło Alice, rzuciła:

- Zaciąganie żaluzji przez tydzień przynosi nieszczęście.

Alice nie zareagowała, jedynie odprowadziła Maggie do drzwi ciężkim wzrokiem. Potem zaczęła przygotowywać herbatę. Nie zrobiła jednak wiele, kiedy Maggie pojawiła się znowu, wchodząc z większym pośpiechem niż wychodziła. Ledwo znalazła się w drzwiach kuchni, od razu powiedziała: - Ten dżentelmen, laseczka, kapelusz i tak dalej... Chce się widzieć z panną Agnes. Tak mówi Nan. Zajrzałam przez drzwi od magazynku.

- Jak się nazywa?

- Nie powiedziała mi, a ja się nie spytałam.

Alice udała się spieszenie do salonu i powiedziała: - Na dole jest jakiś mężczyzna. Maggie mówi, że to dżentelmen, ale skąd ona to wie? Przecież Tom, Dick i Harry ostatnio też chodzą z laseczkami. Czy masz jakieś przypuszczenia, kto, odpowiadający temu opisowi, może chcieć

się z tobą zobaczyć?

Agnes zagryzła lekko usta. Odpowiedziała: - Tak, mam. Czy zechciałbyś zaprosić go na górę? O ile się nie mylę, to pan Charles Farrier.

- Dobrze, jeśli tak mówisz.

Gdy matka zniknęła za drzwiami, Agnes nie zaczęła myśleć o nadchodzącym gościu, ale o zmianie w charakterze i zachowaniu tej kobiety, której tak nie lubiła przez lata. Bardzo dziwnie czuła się z myślą, że do tej pory nie darzyła jej sympatią, a teraz prawie ją pokochała. Przekonała się, że niezwykle łatwo jest wydać mylny osąd na temat drugiej osoby, gdyż w głębi duszy człowiek może być zupełnie inny niż dla świata.

Matka weszła do pokoju i powiedziała: - Ten pan chce się z tobą widzieć, Agnes.

Po raz kolejny Agnes doświadczyła uczucia, że serce ciśnie jej się do gardła. Nic nie powiedziała na powitanie, a kiedy zaczęła podnosić się z kanapy, usłyszała jego głos.

- Och, proszę, proszę sobie nie przeszkadzać. Czy mogę usiąść? - spojrzał na obie panie.

Alice odpowiedziała: - Tak, proszę, bardzo proszę. Czy napije się pan czegoś? Właśnie miałyśmy napić się herbaty. Czy ma pan ochotę na filiżankę?

- O tak, dziękuję.

Alice wyszła z pokoju, zostawiając ich oboje patrzących na siebie. Agnes ciągle nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, ale on odezwał się, i to całkiem niespodziewanie: - Bardzo... mi przykro. Właśnie dziś rano się dowiedziałem. Wczoraj późno wróciłem do domu. Byłem w Colchester. Mam tam coś do zrobienia, odwiedziłem też brata. Elaine powiedziała mi o wszystkim. Zadzwoiła. Czytała o tym w gazetach. O, moja droga, mam wyrzuty sumienia, że to moja wina. Gdybym ci nie powiedział, że twoja siostra powinna...

- Proszę. Proszę. To nie twoja wina. To i tak musiało się stać. Uciekłyby do niego... Tylko czekała na okazję. Mój ojciec poszedłby i zabił któreś z nich, gdziekolwiek by byli.

- On... mógł cię zabić...

- Tak. Tak, mało brakowało. Ale chyba w jego mniemaniu zasłużyłam na to, bo byłam jedyną osobą, której ufał, przynajmniej tak sądził, a to właśnie ja najbardziej go oszukałam. O tak, nie mam wątpliwości, że zabiłby mnie. Ale już po wszystkim.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem spytał czule:

- Czy z twoją ręką jest bardzo źle?

- Nie. To tylko powierzchowna rana. Muszę tylko... iść w przyszłym tygodniu do szpitala na zdjęcie szwów.

- Byłaś w szpitalu? - potrząsnął głową, myśląc o swojej naiwności.

- Oczywiście, że byłaś. Ale jak teraz się czujesz?

- O, dużo lepiej. Trzymali mnie w szpitalu przez kilka dni, nie z powodu tej rany, ale dlatego, że byłam w szoku.

- W szoku? Och, Aggie! - Głaskał teraz jej dłoń.

- Nigdy nie wybaczę sobie, że to wymyśliłem i że ty... ten szok.

Chyba wiesz, że stałaś mi się bardzo bliska...

Kiedy chciała uwolnić rękę, nie pozwolił jej.

Powiedziała: - Proszę. Pamiętasz, co się stało nad rzeką... tę naszą rozmowę.

- Zapomnij o tym - pochylił nad nią twarz. - Ty to mówiłaś, nie ja. Nie ma żadnej przepaści między nami. Zapamiętaj to raz na zawsze, dobrze? Ja też pracuję.

- O, nie wygłupiaj się! - Szarpnęła się zniecierpliwiona, a on jeszcze mocniej chwycił jej rękę. Potrząsnął nią zdecydowanie.

- Posłuchaj mnie - powiedział - tylko mnie posłuchaj. Mam znajomości w dwóch miejscowych gazetach. Pisuję artykuły pod pseudonimem Wędrowiec. Czytałaś je? Nic nadzwyczajnego; uwagi na temat wsi. Jestem także w kontakcie z czasopiśmie o zasięgu krajowym, dla którego napisałem cykl artykułów o zamkach, rezydencjach i posiadłościach w Northumberland, Durham i Westmorland. Płacą mi za moją pracę. Niewiele, przyznaję, ale zarabiam i uważam, że jestem człowiekiem pracującym.

Popatrzyła na niego przez moment i odrzekła: - Cóż, mogę jedynie powiedzieć, że to słowo chyba coś nowego dziś znaczy. Zgoda, pracujesz. Przynajmniej tak sądzisz. Ale co z twoją rodziną? Sam mieszkasz w rezydencji. Brook Hall, The Ride, hrabstwo Durham.

Widzisz, znam twój adres. Twój ojciec był pułkownikiem, brat jest kapitanem, drugi, jak mówisz, pastorem. Siostra... nie wiem, ale najprawdopodobniej ma bogatego męża. Więc, czy oni myślą o pracy?

- Wszyscy uważają pracę za coś pożytecznego. Oczywiście, muszę ci się przyznać, że ojciec też chciał, bym służył w wojsku, ale zapytałem go - uśmiechnął się - czy nie wystarczy, że jeden jego syn potrafi zabijać ludzi, a drugi ocalać ich dusze? Bardzo się lubimy, ojciec i ja, ale obawiam się, że go zawiodłem. To, co robię, nie jest według niego zawodem godnym mężczyzny, jednakże co dzień czyta trzy gazety, od deski do deski. Kiedyś poprosiłem, by się zastanowił, kto, jak sady, dostarcza wiadomości z niebezpiecznych rejonów objętych wojną. I co, już cię przekonałem, czy dopiero jestem na drodze do celu?

Drzwi otworzyły się, więc Agnes uniknęła odpowiedzi na to pytanie. Weszła matka z tacą, a Charles natychmiast wstał.

Położywszy tacę na stole, Alice zapytała: - Pije pan z cukrem, z mlekiem?

- Z mlekiem proszę, bez cukru.

Gdy Alice podała mu filiżankę, a Agnes też już otrzymała swoją, Charles zerknął na tacę i zapytał:

- A pani się do nas nie przyłączy?

- Nie - spojrzała na niego - właśnie zaczęłam robić ciastka. Lubię piec. To jedyna rzecz, która mi się naprawdę udaje. Przynajmniej ja tak myślę.

- To bardzo dobrze umieć doskonale gotować. Mówi się, że to ratuje wiele małżeństw.

Przez ułamek sekundy Agnes myślała, że matka odpowie: „Jednak mojego nie oszczędziło”, ale usłyszała:

- To chyba dlatego, że większość mężczyzn bardziej ceni sobie swój żołądek niż żonę. Żona kosztuje, ale o dobrego kucharza jeszcze trudniej. - Alice roześmiała się i wyszła.

Agnes nie mogła się wprost nadziwić, że to jej matka. Nigdy jeszcze nie widziała jej w takim nastroju.

Charles stwierdził: - Wiem już, w kogo się wrodziłaś.

- Myślisz, że jestem podobna do matki?

- Jeśli chodzi o wygląd, to nie, ale jesteście równie błyskotliwe w

rozmowie i zawsze macie odpowiedź na końcu języka.

Jego głos się zmienił: - Czy będzie jej brakowało twojego ojca?

- Nie, na pewno nie. - Widząc, jak unosi brwi, szybko dodała: - Mnie także nie. Okazał się mściwym, złośliwym człowiekiem, a na dodatek był niebezpieczny.

S

Jak przypuszczam, powinnam być ostatnią osobą, która to mówi, bo to właśnie mnie uczynił stosunkowo zamożną młodą kobietą, ale zrobił to tylko po to, by pognać moją matkę i siostrę.

- Mówisz, że niczego nie zapisał twojej matce... i siostrze?

- Ani grosza. Ale, o dziwo, jego śmierć zbliżyła nas, matkę i mnie - spojrzała w bok i położyła głowę na oparciu kanapy. - Przez ostatnie sześć lat pracowałam tu za piętnaście szylingów na tydzień. Jak sądzę, to niezła płaca, jak na sprzedawczynię, bo nią naprawdę byłam, choć praktycznie sama prowadziłam ten cały interes. Prowadziłam księgi, zamawiałam towar i jeszcze obsługiwałam klientów w obu sklepach, i doglądałam fabryki, nie zapominając też o domku za rogiem. A teraz to wszystko należy do mnie. O, i jeszcze pięć domów w Jesmond i dwa przy głównej arterii, wynajmowane teraz na biura. I to wszystko powinno dać mi wreszcie swobodę. Wolność. A co tak naprawdę uczyniło? Przykuło mnie do tego miejsca tak, jak te piętnaście szylingów na tydzień nie zdołało. Wtedy mogłam odejść, kiedy tylko chciałam

- spojrzała na niego - i groziłam mu tym wiele razy.

- Co cię teraz tak wiąże?

- To z powodu matki. Nie mogłabym jej opuścić. To jej dom i ma tylko mnie.

- Ale wcześniej już chciałaś opuścić dom. Być może, by wyjść za mąż?

- Tak, ale ojciec wtedy żył i nie zostałaby sama. Była też jeszcze moja siostra.

Ciągle się wpatrywał w Agnes, pytając ściszone, ale rzeczowym głosem: - A co by było, gdyby twój mąż zechciał tu zamieszkać? Czy wtedy wyszłabyś za mąż?

Zacisnęła usta, zamrugnęła oczami i odparła cicho:

- Jakoś... jakoś tego sobie nie mogę wyobrazić.

- Dlaczego?

- O... - w jej głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Położyła rękę na brzegu kanapy, by pomóc sobie przy wstawaniu, ale Charles złapał ją za ramiona tak szybko, że z powrotem opadła na kanapę i uderzyła ręką w drewnianą poręcz. Jęknęła cicho.

Charles momentalnie znalazł się tuż przy niej. Objął ją ramieniem i wykrzyknął: - Och, moja droga! Bardzo cię przepraszam. Zupełny ze mnie idiota, niezdara, w gorącej wodzie kąpany. Chcę ci tylko powiedzieć, że... wiele dla mnie znaczysz, naprawdę liczysz się dla mnie, i to nie jest tylko przyjaźń. Od razu to poczułem, wtedy, w Boże Narodzenie. Pamiętasz? Cukrowe myszki. Wtedy coś się stało... Nie mogłem przestać myśleć o tobie przez całe święta.

Ujął jej rękę i przytulił do policzka, mówiąc czule:

- Czy... ty też... lubisz mnie... choć odrobinę?

Czy ona go lubi! Uczucia, jakie żywiła do niego, wprost ją dławiły. Chciała powiedzieć: „Nie tylko cię lubię, ale i Kocham. Kocham cię i chcę, byś ty też mnie kochał”. O tak, pragnę twojej miłości. Miała wrażenie, że ostatnio cały czas śni, że sen zmienił się w rzeczywistość. Odpowiedziała Charlesowi jedynie to, co podpowiadał jej rozum: - To... nie wyjdzie. Nie mogę...

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Agnes. Agnes

- trzymał jej twarz w dłoniach - pytałem, czy mnie lubisz. Nie zapytam, czy mnie kochasz. Na to potrzeba czasu, ale wiem, że uda mi się zdobyć twoją miłość. Wiem.

O tak. Więc, czy... lubisz mnie? To dla mnie ważne.

Agnes przełknęła gromadzące się w gardle łzy, nie zdołała jednak powstrzymać ich napływu do oczu i powiedziała: - O tak, lubię cię. Bardzo cię lubię. Ale mimo to mówię...

- Niczego więcej nie chcę wiedzieć.

Ciągle jego dłonie obejmowały jej twarz, a teraz nachylił się i przycisnął do jej warg swoje usta.

- Och, och, Charlesie.

Wymówiła jego imię z zamkniętymi oczami, ale aż podskoczyła, słysząc jak on głośno się śmieje.

- Po raz pierwszy nazwałaś mnie po imieniu. Brzmiało to

cudownie. Nie Charlie, ale Charles. O, moja kochana, powiem dziś wszystkim w domu. Wiesz, wyjechałem, by porozmawiać z Regiem. Chciałem opowiedzieć mu, co czuję i...

- I co powiedział?

- Moje kochanie, powiedział mi, bym robił to, co uważam za słuszne, bo jeśli nie, to on sam to zrobi. Jestem pewien, że nie żartował, bo widzę, że cię lubi, a ma duże doświadczenie, jeśli chodzi o damy.

- Czy twoi rodzice także powiedzą, byś robił to, co uważasz za słuszne?

- Och, oni mnie rozumieją. I oni też pokochają ciebie, gdy cię poznają. Musisz przyjść i ich poznać. A gdy już będziemy po ślubie... - Zaśmiał się znowu.

- Jeszcze ci się nie oświadczyłem, a ty nie przyjęłaś moich oświadczyn, moja pani, ale gdy już będziemy po ślubie...

- O, proszę! Proszę, nie spiesz się tak. Trzeba przemyśleć wiele rzeczy. Jeszcze raz mówię, twoja rodzina i...

Przerwała i odwróciła się, słysząc głosy dochodzące z półpiętra. Głos matki słychać było wyraźnie.

- Ma gościa.

Potem rozpoznała drugi głos.

- Muszę się z nią jednak widzieć. - Drzwi otworzyły się. - Natychmiast wróciłam i... - W drzwiach stała Jessie.

- Och, Aggie - pobiegła do Agnes, ale gwałtownie się zatrzymała, spostrzegłszy Charlesa. - Przepraszam, nie pomyślałam, ale właśnie wróciliśmy. Mógł cię zabić. Oszalał. Czy... już po pogrzebie?

- Usiądź, moja droga. Usiądź. - Agnes wstała i powiedziała do Charlesa: - To moja siostra - spojrzała w kierunku drzwi i zobaczyła matkę stojącą ze skrzywioną twarzą i Robbiego Feltona.

Jessie dławiała się z podekscytowania: - Robbie zaraz mnie tu przywiózł. I tak nie było tam żadnej pracy, Aggie.

Jessie mówiła płaczliwym głosem. Podeszła do Agnes, by ją objąć, ale Agnes powiedziała ostro: - Siadaj.

- Znowu spojrzała na drzwi. - Wejdz, Robbie. - Poczekała, aż młody mężczyzna podejdzie i zwróciła się do Charlesa: - To mąż mojej siostry.



- Miło mi pana poznać - wyciągnął dłoń.

Po chwili wahania Robbie uściśnęła dłoń Charlesa, mówiąc: - To dobrze, proszę pana.

Nastąpiła krępująca cisza. Charles przerwał ją słowami: - Muszę już chyba iść. Do widzenia.

Skinął głową w kierunku Jessie i Robbiego, potem zbliżył się do Agnes i ujął ją za łokieć, pytając: - Czy wybierzemy się gdzieś razem, moja droga?

Alice stała na korytarzu, przy drzwiach do kuchni, jakby na nich czekała. Wykręciła splecione dłonie i szepnęła: - Przepraszam.

Charles nie spytał jej o powód przeprosin, powiedział tylko: - Do widzenia, pani Conway. Muszę panią ostrzec: teraz będzie pani częściej mnie widywała.

- Z przyjemnością. Zawsze jest pan mile widziany

- Alice odpowiedziała teraz z dużym taktem.

Poszła z powrotem do kuchni, a Charles, zwracając się do Agnes, rzekł: - Nie smuć się tak, moja kochana. Znalazło się rozwiązanie.

Wróciła siostra i matka nie zostanie sama.

- Charles, nic nie wiesz... opowiem ci o tym kiedyś. To zupełnie inna historia. Matka nie zniesie ich w domu, przynajmniej jego.

Widzisz... on jest z rodziny, o której dużo się mówi...

- Tak, słyszałem o Fel tonach, ale on wygląda na dość przyzwoitego człowieka, na swój sposób. W każdym razie, moja droga - jeszcze raz musnął dłonią jej twarz

- idę do domu przekazać dobre wiadomości mojej rodzinie... wspaniałe wiadomości.

- Proszę! Nie. Poczekaj. Poczekaj trochę.

- Po co?

- Nie wiem... ale sądzę, że oboje powinniśmy poczekać.

- Agnes... spójrz na mnie.

Gdy Agnes zwróciła wzrok w jego kierunku, podjął:

- Wiem, że i tobie na mnie zależy. Wiem. Jestem na tyle zarozumiała, by być tego pewnym. Ja... tak bardzo cię kocham. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę czuł coś takiego do kogokolwiek. Czyta się o wielkich namiętnościach, ale nawet nie wyobrażamy sobie, że staną

się one i naszym udziałem. Ale tak się stało. Mówię ci, najdroższa, że bez względu na to, jak długo przyjdzie mi czekać, cokolwiek by się zdarzyło, w końcu będziemy razem. Ja to wiem. Jestem tego tak pewien, jakbym już to kiedyś raz przeżył. Do zobaczenia - pochylił się i ucałował ją mocno w usta.

Zbiegł w dół po schodach. Agnes przez chwilę stała, uśmiechając się do siebie, odurzona jego słowami: „Wielkie namiętności... wiem, że w końcu będziemy razem”.

Potem, jakby budząc się ze snu, spojrzała w kierunku salonu. Uśmiech zgasł na jej twarzy. To był koniec snu: ożeniłby się z osobą spokrewnioną z Robbiem Feltonem i jego rodziną. O nie. Nie. Jessie jest tylko jej przyrodnią siostrą. Ale czy ktokolwiek o tym się dowie?

Szybkim krokiem udała się do kuchni. Gdy tylko przekroczyła próg, usłyszała: - To było do przewidzenia, że wrócą, prawda? I to właśnie teraz! W tej właśnie chwili! Żeby ten dżentelmen zobaczył, kto jest jej mężem. Że też akurat to musiało się zdarzyć. - Zbliżywszy się szybko do Agnes, Alice stwierdziła: - Coś trzeba z tym zrobić. Nie możesz stracić takiej okazji, moja droga. Zupełnie zawróciłaś mu w głowie, widać to na pierwszy rzut oka. Nie wypuść go z ręki, bo już nigdy nie spotkasz kogoś takiego... Czy już się oświadczył?

- Mamo, to nie takie proste. On jest z zupełnie innego świata. On... on myśli, że przyzwyczai się do naszego życia.

- Do naszego życia? A czemu by nie? A co ty w ogóle masz na myśli, mówiąc „nasze życie”? Nie jesteśmy robotnikami, jak tamte szumowiny w naszym salonie.

- O, mamó! - Agnes odwróciła się, przyciągnęła do siebie krzesło i usiadła, po czym odezwała się bardzo zatroskanym głosem: - Dla ludzi takich jak Charles... to znaczy nie dla niego, ale dla jego rodziny my jesteśmy najprawdziwszą klasą robotniczą. Oni to szlachta, bardzo mili, grzeczni, jeśli każdy zachowuje należne mu miejsce. Poznałam jego brata. Czarujący. O tak, czarujący, ale zdolny zabić wzrokiem, jeśli ktoś przekroczy granicę.

- Ale... ten, to znaczy twój Charles... nie wyglądał na takiego.

- Tak, to prawda. On jest... hmm, pisarzem, czy dziennikarzem i dzięki temu ma kontakt ze zwykłymi ludźmi. Jest bardzo tolerancyjny.

Ale on to nie cała rodzina. Gdy widziałam go z bratem, odniosłam wrażenie, że rodzina bardzo dużo dla nich znaczy. Ale dajmy na razie temu spokój, mamó - miała już dodać: „i pomyślmy o Jessie”, gdy właśnie otworzyły się drzwi i weszła Jessie.

Spoglądając na kobietę, którą uważała za swoją matkę, powiedziała: - Wiem, co myślisz. Uważasz, że nie powinnam była wracać. Ale gdy zobaczyłam tę wzmiankę w gazecie o Agnes, że została postrzelona, i o umierającym ojcu, i...

- I właśnie ty to wszystko spowodowałaś. Czy dociera to do ciebie?

- Tak, mamó. Wiem o tym. Nie ma sensu, bym przepraszała, bo nie uwierzyłybyście, że naprawdę jest mi bardzo przykro i żałuję. Mało nie oszalałam, jak dowiedziałam się, że postrzelił Agnes.... Natychmiast przyjechałam. Robbie przywiózł mnie tu od razu ze stacji. Jeszcze... jeszcze nie był w domu.

- Jak to szlachetnie z jego strony.

- Mamó, możesz naigrawać się, ile tylko ci się podoba, ale ja nie zmienię tego, co do niego czuję. Może jest niskiego stanu, ale jest dobry i uczciwy.

- O, to już coś. Cud: uczciwy Felton.

- Cóż, czas pokaże - usta Jessie drżały, a oczy pełne były łez; w jej głosie pobrzmiwała rozpaczliwa prośba: - Mamó... chciałam cię zapytać, czy pozwolisz nam tu przez jakiś czas zamieszkać, aż staniemy na nogi i...

- Nie! Nie pozwolę!

Jej głos zamilkł momentalnie, jak ucięty nożem. Alice spojrzała na Agnes, odwróciła się i podeszła do okna. Stała tam przez dłuższą chwilę, wpatrując się przed siebie. W końcu powiedziała: - Nie należy już do mnie dom ani nic innego. Twój ojciec wykluczył mnie ze spadku, podobnie jak i ciebie. - Potem obróciła się i wykrzyknęła do Jessie: - Ale ty na to zasłużyłaś. Rozpieszczał cię od maleńkości. Niczego ci nie brakowało. Zawsze byłaś na pierwszym miejscu.

- Mamó, proszę! - Agnes podniosła się z krzesła.

- Już wystarczy.

- O, nie przerywaj jej, Aggie, niech mówi. Wyżywa się na mnie, jak zwykle, bo nigdy nie potrafiła być dla mnie prawdziwą matką, ani

dla ciebie.

Alice błyskawicznie znalazła się przy Jessie. Krzyknęła: - Nie! Nigdy nie byłam dla ciebie prawdziwą matką, bo nią nie jestem! Adoptowaliśmy ciebie. Słyszysz? Jesteś adoptowana. Twoja matka była ulicznicą i w nią się wrodziłaś. O tak, w stu procentach!

- Mamo! Przestań! - Agnes odwróciła się do Jessie i objawszy ją ramieniem, próbowała uspokoić. - Już dobrze. Dobrze.

Jessie, odwracając do niej twarz, jak zrozpaczone dziecko zapytała: - Czy to prawda, Aggie? Ona nie jest moją matką?

- Tak, kochanie. Ale wszystko będzie w porządku. Ciągłe jesteś sobą i moją siostrą. Ciągłe cię kocham. Wszystko będzie dobrze.

Jessie powoli uwolniła się z ramion Agnes i, opierając się o kredens, spojrzała na kobietę stojącą ze spuszczoną głową i trzymającą się kurczowo stołu. - Wiesz co?

- spytała. - Cieszę się, że nie jesteś moją matką, bo od dawna wiedziałam, że nigdy mnie nie lubiłaś. Ale powiedz mi jedno; czy on był moim ojcem?

- Tak. Tak, kochanie - Agnes odpowiedziała szybko.

- Mamy tego samego ojca.

- Czyli ciągle jesteśmy rodziną?

- Tak, jesteśmy rodziną.

Jessie przestała opierać się o kredens, jakby nabrawszy większej pewności. Patrząc siostrze prosto w twarz, powiedziała: - Wiesz, to wiele mi wyjaśniło. Zawsze się dziwiłam, dlaczego mogę rozmawiać z Robbiem, z nimi wszystkimi i dlaczego tak dobrze czuję się w ich towarzystwie, a we własnym domu muszę uważać na każde słówko. Mówi, że moja matka była ulicznicą. Cóż, to też wiele wyjaśnia, bo ja nigdy nie oburzałam się na kobiety, które na molo czekają na marynarzy: kobiety, z których żartują bracia Robbiego. Często rozmawiałam z jedną z nich i była dla mnie bardzo miła. Potrafiła mnie rozbawić.

- Twoja... matka nie była taka. Ona nie to miała na myśli - Agnes wskazała głową na matkę - To tylko takie słowo, którego ludzie używają, gdy są źli czy zranieni... a mama bardzo wiele się nacierpiała. Tak, Jessie. Bardzo wiele. Gdy dowiesz się wszystkiego, pewnie zrozumiesz.

Jessie zmrużyła oczy, patrząc na Agnes i powiedziała:

- Zmieniłaś śpiewkę!

- Tak, zmieniłam. Dlatego, że wiem już wszystko. Ojciec... nie był wcale takim miłym człowiekiem, Jessie. Nie był nawet dobrym człowiekiem, w wielu przypadkach był po prostu nikczemnikiem.

- Nikczemnikiem?

- Tak, ale nigdy w stosunku do ciebie. Kochał ciebie, jedynie ciebie. Musisz o tym pamiętać.

- A komu to zostawił cały swój majątek, sklepy i wszystko inne?

Agnes westchnęła głęboko. - Mnie wszystko zostawił, ale chyba żałował tego. To dlatego strzelał do mnie, a także dlatego, że pomogłam ci uciec.

- Zostawił wszystko tobie?! Wszystko?!

- Tak, wszystko.

- Nic dla... - odwróciła się i spojrzała na Alice.

- Nie, nie zapisał niczego matce ani tobie.

- No, no! Spadłaś na cztery łapy. Ale i tak - jej głos się zmienił - nie mam nikomu tego za złe. Zapracowałaś na to. - Spojrzała na Alice i Agnes. - Już idę i nie martwcie się, nie będę was więcej niepokoić.

Nie zdążyła jeszcze dojść do drzwi, gdy Agnes zawołała: - Nie powinnaś była tego robić, mamó! Nie powinnaś.

- Przepraszam. To było silniejsze ode mnie. I tak kiedyś musiało się to wydać.

- Postanowiłam przekazać im domek.

Alice aż drgnęła. - Chcesz ich tu mieć pod nosem? Wiesz, co to znaczy: wszyscy tu się sprowadzą i...

- Nie ma na to rady. Musi gdzieś mieszkać, dziecko jest w drodze.

- No cóż, ty tu rządzisz.

- Przepraszam cię, mamó, ale muszę to zrobić.

Wybiegła z kuchni i na schodach dogoniła Jessie i Robbiego.

- Wróćcie na chwilę do salonu.

- Po co? - spytała oschle Jessie.

Jednak to był głos dawnej Agnes, tak więc Jessie podążyła za nią, a Robbie za Jessie. Gdy znaleźli się w pokoju, twarzą w twarz, Agnes powiedziała cicho: - Możecie zatrzymać się w domku. Nie jest jeszcze

wysprzątany, bo goście wyjechali dopiero w zeszłym tygodniu. Pościel nie jest zmieniona. Wiesz, gdzie co jest.

Jessie milczała, stojąc ze spuszczoną głową. Robbie rzekł: - Dziękuję. Ale nie chcę niczego za darmo. Zapłacę czynsz.

Patrząc prosto w kamienną twarz młodego człowieka, Agnes odpowiedziała: - Nie ma takiej potrzeby. Jessie jest moją siostrą, zawsze pomogę jej w kłopotcie.

- Nie chcę, żeby pani jej pomagała. To ja będę się o nią troszczył. Jestem jej mężem, czy nie? Ja ją będę utrzymywał. Może nie będę w stanie zapewnić jej tego, co miała tutaj, ale ona jest moja i ja mam się nią opiekować. Czy teraz możemy już iść? W razie potrzeby wezmę ją do mojej matki, ale, jak sądzę, to nie jest najlepsze miejsce dla niej.

Jessie podniosła głowę. Patrzyła Agnes prosto w oczy z takim wyrazem twarzy, jakby mówiła: „Widzisz, ktoś się mną zaopiekuje i jestem z niego dumna”.

Agnes odgadła jej myśli. Tak - pomyślała - kimkolwiek on jest, będzie się nią opiekował. Może nigdy nie da jej bogactwa, ale już teraz daje jej dużo więcej niż można kupić za pieniądze.

W tym momencie Agnes obiecała sobie, że zrobi coś dla nich obojga. Odezwała się ciepłym głosem: - Idźcie i rozgoście się. Później do was wpadnę.

Chciała odwrócić się i odejść, ale Jessie położyła dłoń na jej ramieniu. - Dziękuję, Aggie, dziękuję. Ale Robbie zrobi, jak mówi, zapłaci...

- Cicho, dobrze? Idźcie, jak powiedziałam i rozgoście się. Później doniosę trochę rzeczy ze spiżarni, na początek. Albo może ty... Robbie - zawahała się, zanim wypowiedziała jego imię - przyjdiesz i to weźmiesz... No cóż... - dodała z uśmiechem. - Nie poradzę sobie przecież z tym - wskazała na temblak.

Przyglądali się jej. Chyba chcieli coś powiedzieć, ale zrezygnowali. Odwrócili się i odeszli.

Gdy Agnes wróciła do kuchni, matka siedziała przy stole, bębniąc rytmicznie palcami w blat, jakby grała na jakimś instrumencie. Nic nie powiedziała. Odezwała się dopiero, gdy zobaczyła, jak Agnes otwiera drzwi spiżarni.

- O to chodzi! Opróżnij półki, by mieli dobry początek. Ale mam nadzieję, że masz wystarczająco silne barki, by udźwignąć całe spustoszenie, jakie zrobią tu Feltonowie.

- Feltonowie nie wprowadzają się do tego domu, mamó. Stoi pusty domek po tamtej stronie podwórza, a Robbie Felton, o ile wiem, ma podobną opinię o nas, jak my o nim i jego rodzinie. Wiesz co, Jessie mogła skończyć dużo gorzej.

- Nie wyobrażam sobie już niczego gorszego w tym mieście, jak małżeństwo z Feltonem.

- Kiedyś zgodziłabym się z tobą, ale teraz już wiem. Tak czy inaczej, chyba już nam nie potrzeba tyle tych pasztecików z cielęciny, prawda? Mogę wziąć jeden bochenek twojego świeżego chleba?

- Po co się mnie pytasz, to wszystko jest przecież twoje! - Alice, jakby szukała pretekstu, wstała od stołu.

Agnes wybuchnęła: - Dostyc tego, mamó! Już ci powiedziałam, koniec! Jesteśmy współnikami i będziemy się wszystkim dzieliły i to po równo. Mówiłam ci. A jeśli chcę dać coś Jessie od siebie, zrobię to.

- Potem, już spokojniej, dodała: - I tylko pomyśl, mamó, gdyby wszystko potoczyło się inaczej, Jessie by tu rządziła, bo ojciec wszystko zapisałby jej. O tak, na pewno. Nawet adwokat to sugerował. Z pewnością nie zostałoby ci nic. Po tej kłótni dopilnował, by zmieniono testament od razu następnego dnia. Wiem, że wcześniej zapisał mi tylko nędzne ochłapy i to na dodatkowych warunkach. Miałam nadal prowadzić sklepy i fabrykę, bo jego Jessie miała nie brudzić sobie rąk tak przyziemnymi sprawami. Pomyśl tylko o tym, mamó, i bądźmy wdzięczne losowi. Tak, wdzięczne, za to, jaki obrót przybrały sprawy. Bez znaczenia, co mogłoby się stać którejś z nas, będziemy żyły w dostatku. Tak więc nie odmawiaj jej odrobiny z tego, co miała wcześniej otrzymać w całości, gdyby nie zakochała się w tym tak pogardzanym Feltonie. Chodź, mamó, pomóż mi załadować ten koszyk dla nich na początek.

- Co zrobimy, Hugh?
- Nie wiem, moja droga. Po prostu nie wiem.
- Nie może w to dalej się angażować, prawda?
- Oczywiście, że nie. Nie może.
- Musisz z nim porozmawiać.
- O tak, z pewnością. Z pewnością z nim porozmawiam. Gdzie on teraz jest?
- Pojechał znowu do miasta. Powiedział, że nie może na ciebie czekać. Powiedział, że później z tobą porozmawia. Musiał zanieść jakąś notatkę do gazety, czy coś takiego. Dopilnowałam, żeby wysłano telegram do Reginalda, z zapytaniem, czy mógłby załatwić przepustkę...
- O, dlaczego tak się pośpieszyłaś?
- O ile wiem, poznał ją i, jak mówi Charles, ma o niej dobre zdanie. Jak mi wiadomo, wybrali się razem na herbatę. Chciał uświadomić nam, że ona nie jest zwykłą panną sklepową. Ja przecież nie mam nic przeciwko sprzedawczyniom. Wiesz o tym, kochanie, prawda? Jestem osobą otwartą na różne poglądy, ale, jak powiedziałam Charlesowi, jeśli ona pracuje w tym sklepie i w trafice, to jest panną sklepową, czyż nie?
- Tak, moja droga. Powiedziałbym, że jest.
- Czy mówi ci coś ulica Wiosenna w Newcastle?
- Pułkownikowi stężała twarz i powiedział: - Tak. Tak, kochanie. Chyba tak. To mała uliczka. Pamiętasz, Elaine powiedziała, że wiele lat temu zabrałem tam ją i Char-lesa, gdy byli jeszcze mali, i kupiłem im cukrowych myszek. Był tam też obok całkiem niezły sklep z cygarami. Prowadził go starszy mężczyzna, który dobrze znał się na cygarach. Był jeden szczególnie...
- Hugh! Proszę, pamiętaj, że rozmawiamy o przyszłości Charlesa, a nie o twoich upodobaniach, w kwestii cygar.
- Przepraszani, kochanie. Przepraszam. To poważna sprawa, przyznaję, i coś trzeba zrobić.



- A nasza droga Isobel? Co ona sobie pomyśli? Fred i Hannah są nastawieni, że Charles ożeni się z nią. Wszyscy tak myślą.

- O, kochanie, nie sądzę, żeby Isobel tak tym się przejęła. Ma swoje konie.

- Nie może wyjść za mąż za konia, Hugh. Poza tym, jest jeszcze Fred i Hannah. Zawsze myśleli, że Charles będzie doskonałą partią dla Isobel.

- Cóż mogę powiedzieć... Pickering to głupiec. Jedynie jego można winić za to jej opętanie końmi. Nie wiem doprawdy, skąd bierze czas na wychowywanie swoich trojga dzieci. David był rozsądny, jest podobny do matki, ożenił się. Podobnie Rosina. Nie wyszła za mąż, ale opuściła dom, prawda? Prowadzi jakieś interesy. Ona zawsze była trochę inna, Rosina. Zajęła się chyba sztuką. O, nie zaprzętałbym sobie głowy Isobel, moja droga.

- Kochanie, nie tyle martwię się o Isobel, co o Charlesa, o jego wybór. Powiedział mi wprost, że ma zamiar ją poślubić. Trzeba temu zapobiec. Chyba rozumiesz, kochanie, musimy temu zapobiec.

- Porozmawiam z nim.

- Hugh.

- Tak, kochanie?

- Może byś sam tam poszedł i spotkał się z tą osobą, tą dziewczyną, wyrobił sobie na jej temat zdanie?

- Ja, moja droga? Nie mogę się w to wtrącać.

- Wcale nie proszę cię o to. Mógłbyś pójść tam po cygara, czy coś innego.

- Ale jeśli nie będzie jej wtedy w sklepie?

- Wtedy możesz ją poprosić, by zamieniła z tobą kilka słów. Jako ojciec Charlesa masz prawo to zrobić, czyż nie?

- O, Grace, prosisz o poważną rzecz. - Pułkownik wstał i ruszył przez pokój; doszedł aż do kamiennego wykuszu w drugim końcu, potem wrócił przechodząc obok foteli, stoliczków i sofy. Przemierzył cały pokój, a gdy dotarł do drzwi, mruknął pod nosem: - Idę na spacer, kochanie... pomyślę o tym.

Pułkownik wyszedł. Grace Farrier podniosła się z sofy i również zaczęła przemierzać pokój, lecz nie pokonywała aż takich odległości jak

jej mąż. Przechadzała się tylko parę kroków w jedną i parę w przeciwną stronę, na ile pozwalała jej granica wyznaczona przez dywanik.

Panna sklepowa w rodzinie - nie do pomyślenia. Ona osobiście nie miała nic przeciwko takim dziewczynom, o ile pozostawały na swoim miejscu. Ale żeby wychodzić za mąż za jej syna? O nie, nie. Tego nie ścierpi. Trzeba temu zapobiec. A co pomyśleliby sobie Kate i Howard Combesowie? I ich córka Frances, która właśnie weszła do jednej z najbardziej elitarnych szkockich rodzin z licznymi koneksjami w Londynie? A Sarah i Laurence Hammondowie i ich syn Roger, tak wysoko postawiony w kościelnej hierarchii? A co dopiero służba?!

O mój Boże! Co pomyślałaby Mitcham? Zajmowała się domem od wielu lat i gdy zachodziła potrzeba, była jej osobistą służącą. A Colemanowie? Fanny gotowała u nich przez dwadzieścia lat, a John był u nich od maleńkości i wyrósł na woźnicę. Ale oni wszyscy nie martwili jej tak, jak Banks. Przez trzydzieści lat służył pułkownikowi jako ordynans, a gdy jej mąż odszedł na emeryturę, został przełożonym służby. A jeszcze McCann... nie tylko lokaj, ale i człowiek, który czuwa nad wszystkimi; taki ułożony...

W tych rozważaniach jakoś nie wzięła ani razu pod uwagę pracowników spoza domu, z wyjątkiem Colemana, ale był jeszcze stajenny i jego pomocnik, portier i ogrodnicy. Jednakże ich zdanie nie liczyło się tak, jak służby domowej. Zatrzymała się. Czy kiedykolwiek brała pod uwagę zdanie służby zatrudnionej w domu?

Nie, wcześniej nie miała takiej potrzeby, zawsze jej rodzina świeciła dla nich przykładem. Jej najstarszy syn był kapitanem w wojsku, młodszy duchownym. Bez względu na to, jak beztrąsko do tego podchodził, i tak był pastorem. A Elaine wyszła za mąż za członka jednej z najważniejszych rodzin ziemiańskich.

...A co by się stało, gdyby Charles ożenił się ze sprzedawczynią z małego sklepiku?

Nie można do tego dopuścić. Po prostu nie można. Pominąwszy wszystko inne, była jeszcze jej rodzina; jej dwóch kuzynów - parlamentarzystów, jej odleglejszy kuzyn w świątyni królewskiej, a jej brat cieszył się taką reputacją, że mówiło się o nadaniu mu tytułu szlacheckiego, nie tylko z powodu jego zbroi.

Nie, nic podobnego nie może mieć miejsca. Z pewnością nie.



Reginald przyjechał wieczorem. Wziął powóz z Fellburn do rodzinnej posiadłości i zaskoczył Mary Mitcham, gospodynię.

- Skąd ten nagły przyjazd? Nie spodziewaliśmy się pana, panie Reginaldzie. Pan pułkownik i pani właśnie kończą kolację, ale mogę panu coś przygotować.

- Byłoby dobrze, Mitcham - odpowiedział, zdejmując płaszcz i czapkę i rzucając je na krzesło w hallu - wystarczy jakaś przekąska.

- To dobrze, proszę pana, bardzo dobrze.

Gdy wszedł do jadalni, George Banks, samotnie służący do kolacji, zwrócił się do niego: - O, dobry wieczór, proszę pana.

Ojciec zawołał: - O, witamy!

Reginald najpierw podszedł do matki, ucałował ją w policzek i zapytał: - O co tu chodzi?

W odpowiedzi padło jedynie ostrzegawcze spojrzenie, po którym matka powiedziała: - Czy jadłeś już kolację?

Z pewnością nie. Banks...

- Właśnie rozmawiałem z Mitcham. Coś mi przyniesie. W porządku, Banks.

- Napijemy się kawy w salonie, kochanie? - Zwróciła się teraz do pułkownika, ale sama sobie odpowiedziała:

- Tak, kochanie, tak. Banks się tym zajmie.

Reginald podał matce ramię, pomagając jej wstać z krzesła. Potem wszyscy troje opuścili powoli jadalnię i rozmawiając skierowali się do salonu.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Reginald powtórzył pytanie: - O co tu chodzi? Co się stało? Mam tylko dwadzieścia cztery godziny.

- Chodzi o Charlesa, Reginaldzie. O Charlesa. Postępuj nie rozsądnie.

- Charles, nierozsądnie? Co masz na myśli?

Rodzice siedzieli, a on stał naprzeciwko nich, patrząc ze skupieniem to na matkę, to na ojca. W końcu jego wzrok spoczął na

pułkowniku, który poruszył się zakłopotany w fotelu i powiedział: - Jakaś panna sklepowa. On mówi, że... chce się z nią ożenić.

- O! O!- Patrzył się teraz na matkę. - I to dlatego jechałem tutaj na łeb, na szyję, mamó?

- To bardzo poważna sprawa, Reginaldzie. Oprócz niego tylko ty widziałeś tę osobę.

- Nie, nie tylko ja. Elaine też ją widziała.

- Tak, ale Elaine nie rozmawiała z nią. O ile mi wiadomo, poszliście razem na herbatę. Teraz chcielibyśmy znać twoją opinię na jej temat, prawda, kochanie?

Spojrzała na męża. Pułkownik, pogładziwszy palcem swój krótko przystrzyżony biały wąs, rzucił: - Tak, to dużo by pomogło.

Reginald usiadł, ale zamiast odpowiedzieć na pytanie rodziców, zaczął wpatrywać się w ogień w kominku.

Usłyszał pytanie matki: - Czy jest aż tak okropna?

- Nie, ani trochę. - Reginald odwrócił się i odpowiedział: - Absolutnie nie można o niej tak powiedzieć. Jest niezwykle inteligentna, jeśli chcesz znać moje zdanie, o bardzo dobrej prezencji. Tak, doskonała prezencja.

- O! - Grace Farrier uniosła brwi, zerknęła na męża i ponownie przeniosła wzrok na syna. - Chyba wywarła na tobie duże wrażenie.

- Tak, szczególnie dlatego, że nie mówiła o koniach, sukniach balowych, sezonie towarzyskim w Londynie, ani o tym, jak się tu, na północy, nudzi.

- Tak, zrobiła na tobie wrażenie - powiedziała chłodno matka.

- Cóż, mamó, prosiłaś o moją opinię i mogę jedynie powiedzieć, że przez ten krótki czas, jaki razem spędziliśmy, dobrze się bawiłem w jej towarzystwie, dzięki jej miłemu sposobowi bycia. Rozumiem chyba, dlaczego Charles tak za nią szaleje.

- Chciałbyś więc mieć ją za bratową?

- Ach, o to ci chodzi... Cóż... - Wstał, podszedł do kominka, oparł łokieć na gzymsie, popatrzył przez chwilę na ogień i powiedział: - Nie wiem, nigdy o tym nie myślałem. Chyba nie za bardzo.

- Czyli jednak o tym myślałeś?

- Tak - odwrócił się do nich - prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że

Charles nie mówi serio, bo wiedziałem, że będą przeszkody, takie jak na przykład teraz.

- Czy wiesz, że w jej rodzinie ostatnio wybuchł skandal?

- Mówisz o tym, jak ją postrzelono, gdy pomagała siostrze wziąć ślub? Jeśli nazywasz to skandalem, to tak, uczestniczyła w tym. Myślę jednak, że użyłaś złego słowa, mamó. Jej ojciec najwyraźniej sprzeciwiał się małżeństwu młodszej córki z mężczyzną, którego stawiał niżej w hierarchii społecznej. Wziął więc sprawę w swoje ręce, z tragicznym skutkiem. Jak sądzę, historia tu się powtarza; nie chcemy, by Charles się z nią ożenił, bo byłby to mezalians, podobnie jak tamto małżeństwo dla ich rodziny. Wierzcie mi jednak, wiem, o co wam chodzi i rozumiem całą tę sytuację. Gdybym nie spotkał się z tą młodą damą, o której mowa, i gdyby powiedziano mi, że Charles ma zamiar poślubić sprzedawczynię, powiedziałbym: „Diabli go opętali! W żadnym wypadku nie możemy do tego dopuścić”. Ale ona nie jest zwyczajną sprzedawczynią, a co więcej, mamó, ubiera się po prostu doskonale.

- Doprawdy?

- O tak. gdybyś ją wtedy widziała, z pewnością powiedziałabyś, że wyróżnia się strojem. Ma niespotykany gust - uśmiechnął się. - W oparciu o moje, skądinąd słabe rozeznanie w damskich strojach, mogę was zapewnić, że wie, jak się ubrać.

- Jak sądzisz, Reginaldzie, co powinniśmy zrobić?

Odwrócił się do ojca, by odpowiedzieć na jego pytanie.

- Mogę jedynie wam poradzić, byście wybrali się tam i porozmawiali z nią albo ją tu zaprosili. Na pewno żadne z was nie chciałoby zrobić jednego - odepchnąć Charlesa od nas. Przepadam za Charlesem, wiesz o tym, ojczu, podziwiam go. Ja nigdy nie miałem tyle odwagi, by się przeciwstawić i robić w życiu to, co lubię. To ciężki kawałek chleba, wiecie o tym, i w dodatku pieniędzy wiele nie daje. Tymczasem ja... do wojska wciągnęła mnie tradycja rodzinna, czyż nie, ojczu? Nie pragnę niczego innego, ale wiem, że jestem osłaniany ze wszystkich stron.

- Nie mów głupstw, Reginaldzie. Ciebie też mogą wysłać na front. To nazywasz osłoną?

- Mamó, przez całe lata żołnierz może nie użyć broni, czy to ze

złości, czy dlatego, że ma takie rozkazy. Od wojny do wojny mogą mijać lata.

- Nie, jeśli przyjmie się poglądy Nessay. Wczoraj dostaliśmy od niej list. Pisze, że ma zamiar wrócić do Anglii na stałe. Wyobrażasz sobie? Ona, która jeszcze w święta przechwalała się, że z własnej nieprzymuszonej woli poszłaby na gilotynę za Francję. Ale z jej listów wynika, że zmieniła zdanie, szczególnie w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy.

- Tak, mam, wiem jak się sprawy mają. Ale wracając do Charlesa; radzę wam obojgu postępować bardzo delikatnie, bo jeśli ożeni się z nią bez waszej zgody, więcej go nie ujrzycie. A tego nikt z nas by nie chciał, prawda?

- Niewielka to pociecha, Reginaldzie. Myślałam, że ty w pierwszej kolejności powiesz, że ta cała sytuacja jest dziwna i nie do przyjęcia. Tylko pomyśl, co służba sobie pomyśli, jeśli on się z nią ożeni. Mówi się, by nie podsuwać tym ludziom niezdrowych idei... Pomyśl tylko o tej dwójce w kuchni. Dixon jest cicha, ale Morley zuchwała i ma tylko szesnaście lat. A Steel, już jest starą panną, mając dwadzieścia pięć lat, ale to nie powstrzyma jej od uganiania się za kilka lat młodszym Powellem, pomocnikiem ogrodnika.

Reginald śmiał się w głos. - Skąd ty to wszystko wiesz, mam? - Potem dodał: - O, Mary... nasza pani Mitcham wszędzie ma uszy.

- Nie mów głupstw, Reginaldzie. Robi to, co do niej należy i ma na wszystko oko. To jej zadanie.

- O tak, mam, jak powiedziałem, wszędzie ma uszy. Charles i ja kiedyś przyłapaliśmy ją na podsłuchiwanie, jak byli u nas Pitmanowie i się kłócili.

- Nieprawda! W każdym razie, co pomyśli sobie służba, gdyby doszło do tej żenującej sytuacji?

- Moim zdaniem w tej sprawie, mam, pal ich licho.

- Reginaldzie! - pułkownik poderwał się na równe nogi. - Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

- Przepraszam, mam - Reginald skłonił głowę.

- Posłuchaj, daj mi o tym pomyśleć. Będę musiał porozmawiać z Charlesem. Nie sądzę jednak, bym coś zdziałał, bo jest chyba

zdecydowany. Jest jeszcze jedna kwestia: ta młoda dama, o ile pamiętam, wydawała się osobą mającą swoje własne zdanie i jeśli zdałaby sobie sprawę, że nie jest mile widziana w tej rodzinie, że jest uważana za kogoś gorszego, wtedy, kto wie, może sama odrzuciłaby jego oświadczenia.

I co wtedy?

- Myślisz, że jest to możliwe?

- Tak. Jest bardzo niezależna, jeśli odniosłem odpowiednie wrażenie, i choć twierdzi, że nie jest su-frażystką, ma swoje zdanie na temat praw kobiet. A teraz, jeżeli pozwolicie, wymknę się na górę. Mitcham przygotowuje dla mnie kolację. Chciałbym się wykąpać. Wrócę później.

Gdy Reginald wyszedł z pokoju, pułkownik spojrzawszy na żonę i powiedział spokojnie: - Powiedziałbym, kochanie, że szykuje ci się bitwa, i to na dwu frontach. - Nie powiedział jednak, że to im obojgu szykuje się bitwa. Przypisał ją żonie.



Była dokładnie północ. Bracia siedzieli w końcu pokoju bilardowego. Reginald spoczywał w wielkim skórzanym fotelu, a Charles siedział na poręczu drugiego.

Rozmawiali już niemalże od godziny, gdy Reginald ziewnął, a Charles powiedział: - Przepraszam, że tak długo cię trzymałem. Chyba rozumiesz mnie, Reg? Niech będzie, co chce, ale nie cofnę się. Wiesz, myślałem, że nigdy się nie zakocham. Widywałem cię z tyloma dziewczętami, sprawiałaś wrażenie, że lubisz ich towarzystwo, ale ja jakoś nigdy sam nie podzielałem twojego entuzjazmu. Do chwili, gdy poznałem Agnes, czułem się z kobietami nieswojo. Ale jeśli chodzi o nią, nie tylko czuję, że ją kocham, ale sama jej obecność sprawia, że jestem w końcu sobą. Być może wyda ci się to naiwne, ale chcę być przy niej cały czas. Nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Reginald podniósł się z fotela i powiedział: - Nieźle cię wzięło, Charlie, zuch, prawda? Wiesz co? Rozumiem, dlaczego ona robi na tobie takie wrażenie. Nie ma sensu teraz mówić, co masz zrobić, bo już się zdecydowałeś. Ale co z nią? Czy... przyjęła twoje oświadczenia?

Charles zaśmiał się bez troski, podnosząc się z fotela.

- I tak, i nie. Chyba bez mojego tłumaczenia doskonale wie, jak będzie przyjęta w rodzinie. I to, muszę ci wyjawić, martwi mnie, bo ma swoją dumę i jest niezależna. Wydaje mi się, że gdyby tylko mama się z nią spotkała...

Podnosząc ostrzegawczo rękę, Reginald powiedział:

- Dosyć, dosyć, nie licz zbyt na to, Charlie. Znasz mamę: każdy na swoim miejscu, miejsce dla każdego... Mama, nasza kochana mama, ciągle jeszcze tkwi w tamtym wieku. I ojciec podobnie. Ale jeżeli o mamę chodzi, zaszukawała Agnes jako pannę sklepową, na miejscu podobnym do Gladys w pomywalni, czy dajmy na to Janie Dixon. Tak więc, musisz sobie coś uświadomić, Charlie. Jeśli się ożenisz, nie wydaje mi się, by twoja żona miała kiedykolwiek wstęp do tego domu.

- Cóż, będę musiał się z tym pogodzić.

- I z odcięciem od rodziny?

Charles zawahał się. - I z tym także. O, to mnie bardzo zrani, ale chyba niczego między nami nie zmieni, czy tak, Reg?

- Absolutnie nie, Charlie. Ale jest jeszcze Henry, sługa Boży.

- O, nie sądzę, by okazał się sztywniakiem.

- Ani ja. Ani ja.

- Czyli pozostaje jedynie mama i ojciec.

- Tak, ale i Combesowie, Hammondowie i, oczywiście, Pickeringowie. Chyba wiesz, że przypną ci łątkę, że oszukałeś Isobel.

- Kompletny nonsens. Już ci kiedyś powiedziałem, Reg: nigdy nie myślałem o ożenku z Isobel i nie sądzę też, żeby ona sama brała to pod uwagę.

- Och, przestań... Nie przymykaj oczu na jej wymagania. Wiem, że ma bzika na punkcie koni, ale, wiesz, konie się żrebią - uśmiechnął się do brata.

Wzmianka o koniach przypomniała Charlesowi Elaine. Powiedział:

- Jest jeszcze, naturalnie, Elaine. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby okazała się snobką.

- O, trudno powiedzieć, jeżeli o nią chodzi. Sam będziesz musiał się przekonać. I - Reginald roześmiał się szczerze - jest jeszcze Nessay. Ciekaw jestem, co ona sobie pomyśli.



- No cóż, wkrótce się tego dowiemy. O ile mi wiadomo, spodziewamy się jej. Kto wie, może nawet tutaj zamieszka?

- Tak, tak mówi ojciec. Słuchaj, Charlesie, mam przeczucie, że mama może prosić ojca, by pofatygował się tam, w nadziei, że sama jego wizyta zniechęci Agnes.

- Mogę zapewnić mamę, że Agnes tym się nie da zniechęcić. Jednak wizyta ojca może ją utwierdzić w jej poglądach, a ja w ten sposób będę miał przed sobą trudniejsze zadanie... Chyba wyjeżdżasz dopiero po południu?

- Odjeżdżam pociągiem o dwunastej.

- Posłuchaj, Reg - Charles zbliżył się do brata. - Odjeżdżasz ze stacji w Newcastle. Od sklepu dzieli cię tylko krótka przejażdżka powozem. Może wpadłbyś i powiedział jej, że jesteś po naszej stronie?

- O, nie, mój drogi! Nie. Już obiecałem mamie, że tego nie zrobię.

- Zna cię, Reg.

- Nie, widzieliśmy się tylko raz.

- Dobrze wam się rozmawiało. Myślałem, że ją polubiłeś.

Reginald odwrócił się i podszedł do stołu bilardowego. Wyciągnął rękę, wziął białą bilę i posłał ją ze świstem w poduchy fotela. Obserwował, jak odbija się od nich i w końcu zatrzymuje. Potem, błyskawicznie się odwróciwszy, odparł: - I co by to zmieniło? Jeżeli jest taka niezależna, jak mówisz, to nie wyobrażam sobie, by moja wizyta i pogawędka zmieniły jej zdanie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Charles rzekł:

- Rozumiem i przepraszam, że cię o to prosiłem. Puść to w niepamięć.

Odwrócił się i odszedł. Zanim zniknął w drzwiach, Reginald zawołał za nim: - Daj mi czas do rana.

Ale Charles, otwierając drzwi, odpowiedział: - Już nieważne.

Gdy drzwi się zamknęły, Reginald spuścił głowę i spojrzał na stół do bilardu. Chwycił następną bilę i wysłał ją do przeciwległej łuzi z taką siłą, że kula odskoczyła od drewnianego obramowania i spadła na podłogę. Po chwili ją podniósł, i spojrzawszy na pięść zaciskającą kulę i wymamrotał: - Diabli mnie biorą!



Agnes była w fabryce słodczy. Stała przy Tommym Grancie, który nalewał rozgrzany karmel do formy, ale rozmawiała z Robbiem Feltonem.

- Tommy pokaże ci, co robić. Chodzi tylko o noszenie worków z magazynku i przenoszenie tych form. - Wskazała stół, na którym stały trzy duże miedziane formy.

- Na początek tylko cięższa praca. Ale, jeśli chcesz się uczyć.... wtedy Tommy wszystko ci pokaże. Możesz się tym zająć, dopóki nie masz pracy w dokach. Jak chcesz. Jak widzisz, nie ma tu tłoku - uśmiechnęła się do niego.

- Tylko Tommy może cię nauczyć, jeśli będziesz chciał, wszystkiego na temat robienia słodczy. A Betty - wskazała ruchem głowy - i Doris są ekspertkami, jeśli chodzi o zawijanie i pakowanie. Nikt lepiej tego nie robi

- uśmiechnęła się do nich, a one odpowiedziały uśmiechem. Robbie wciąż zachowywał kamienną twarz.

- Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

- No, jeśli tak na to patrzysz, będziesz wszystko robił bez zainteresowania i wtedy...

- Przepraszam, biorę to. Kiedy zacząć?

- Pewnie będziecie się najpierw chcieli urządzić. Możesz zacząć w poniedziałek. Czy to ci odpowiada, Tommy? - odwróciła się do staruszka, ale w odpowiedzi usłyszała niewyraźne mruknięcie: - No nic, niech i tak będzie.

Właśnie miała odwrócić się i wyjść, gdy nagle otworzyły się drzwi. Praca wypadła wszystkim z rąk, bo pięć par oczu zawisło przez moment na wysokim oficerze. Powiedział: - Wstąpiłem do sklepu i powiedziano mi, że pani jest tutaj.

Postąpił w jej kierunku, Agnes też zaczęła zbliżać się do niego. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam zbyt?

- Nie, absolutnie nie.

Gdy znaleźli się już w odpowiedniej bliskości, nastąpiła chwila krępującej ciszy; dziewczęta jeszcze nie zaczęły przerwanej pracy, Tommy Grant też nie. Jeśli chodzi o Robbiego, oficer został obdarzony

przez niego spojrzeniem pałającym niemalże wściekłością. Agnes taktownie przerwała milczenie i chcąc wprowadzić odrobinę wesołości, powiedziała: - Czy szuka pan pracy?

Reginald zaśmiał się, potem odwrócił i uklonił dziewczętom, których ręce ciągle wisiały nieruchomo w powietrzu. Powiedział: - O, czemu nie. Tak, szukałbym pracy, ale wszystko zależy od tego, ile jest pani skłonna zapłacić.

Na te słowa Betty i Doris zachichotały na głos, ale Robbie ciągle wpatrywał się w Reginalda, a spojrzenie Tommy'ego pełne było zaciekawienia. Agnes odwróciła się właśnie do niego:

- To Tommy, pan Tommy Grant. Kapitan Farrier. Tommy od pięćdziesięciu lat zarządza naszą małą fabryką.

- Och, doprawdy? Jak się masz, Tommy.

Tommy otarł dłoń w nogawkę od spodni i wyciągnął ją do kapitana, mówiąc: - Całkiem nieźle. Nieźle, jak na mój wiek.

W głosie Agnes pobrzmiwało wyraźne wahanie, gdy powiedziała: - A to mój szwagier, pan Robbie Felton.

Również z wahaniem, takim samym, jak przy spotkaniu z Charlesem, Robbie wyciągnął rękę do oficera. Ale, gdy Reginald mocno ją uścisnął, jego twarz się nieco rozluźniła. Nic nie powiedział, tylko kiwnął nieznacznie głową, gdy go spytała: - Robbie czy pójdziesz i powiesz Jessie, że za chwilę będę na górze?

Spoglądając na Reginalda, zaprosiła: - Czy zechce pan tędy?

Reginald, skinąwszy głową w kierunku zgromadzonych, powiedział „do widzenia” i podążył za nią.

- Wejdziemy tylnymi drzwiami.

Gdy Agnes chciała otworzyć tylne drzwi, jego ręka była szybsza. On również zamknął drzwi, gdy Agnes już znalazła się na schodach. Już miała wprowadzić go do salonu, gdy pojawiła się biegnąca Alice.

- O, nie wiedziałam... Maggie powiedziała mi...

- Wszystko w porządku, mamó. To kapitan Farrier. Moja mama, kapitanie.

Wszyscy poszli do salonu, ale matka znowu zaczęła:

- Porozmawiam z tą dziewczyną.

- Mamó - Agnes odpowiedziała - nic się nie stało, nie martw się.

Kapitan z przyjemnością odwiedził fabrykę. Myśli nawet o podjęciu tam pracy, jak już skończy służbę w wojsku, czyż nie tak, kapitanie?

- O tak. Tak - uśmiechnął się szeroko do Alice.

- Czy chciałby się pan czegoś napić? Herbaty, kawy?

- Nie, dziękuję. Nie mogę tu, niestety, dłużej zabawić. Jestem na krótkiej przepustce. Odjeżdżam o dwunastej

- zerknął na zegarek; była jedenasta - ale bardzo pani dziękuję.

- To może innym razem... innym razem.

- O tak, z pewnością.

Alice cofnęła się kilka kroków, odwróciła się i wyszła spiesźnie z pokoju. Agnes powiedziała: - Proszę usiąść.

Cały czas trzymał w ręku czapkę, ale teraz położył ją na krześle i usiadł w rogu kanapy. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie. Pierwsza odezwała się Agnes:

- Zgodnie z etykietą należałoby chyba zapytać: czemu zawdzięczam to, że zaszczyił mnie pan swą wizytą?

Jego usta były mocno zaciśnięte, ale po chwili roześmiał się, mówiąc: - Jestem ciekaw, czy przydarzy się pani kiedykolwiek w życiu taka sytuacja, że nie będzie pani miała ostatniego słowa.

- Mam nadzieję, że będzie ich wiele - była poważna

- ale teraz doskonale wiem, z jaką sprawą pan przychodzi. Chce pan odwołać się do dobra Charlesa, także odstraszyć mnie, czyż nie tak?

- Niezupełnie. Nie ma takiej potrzeby, by robić coś za Charliego. Sam umie się zatroszczyć o swoje dobro. Jest chyba najbardziej upartym osobnikiem pod słońcem, o czym może pani się przekona. Będę jednak szczery, jeśli chodzi o tę drugą część pani wypowiedzi. Nie miałoby sensu ukrywanie niczego przed panią. Moja rodzina... cóż, jest raczej staroświecka. Powiedziałbym nawet, bardzo staroświecka. Charlie i ja doskonale wiemy, że oni żyją jeszcze w dziewiętnastym wieku, takie są ich wartości moralne, poglądy na temat zachowania. Dla nich to, co odpowiednie dla jednej grupy społecznej, może być niemożliwe do zaakceptowania dla innej. Ciągłe wierzą w prawa i przywileje dane od Boga. Rozumie pani?

- O tak, rozumiem. Dlatego, że rozumiem, wiem, że gdybym wyszła za mąż za Charlesa, zostałaby odcięta od swojej rodziny i od tego

wszystkiego, w czym został wychowany.

- No, niecałkowicie. Tak, może to go odgradzić od kilku osób, ale nie ode mnie, ani, jestem pewien, od naszego brata, Henry'ego. A jeśli chodzi o jego ideały... wie pani, że miał studiować w Oksfordzie? Charlie odrzucił nieciekawą perspektywę kariery wojskowej, ale potem zrezygnował i z Oksfordu. Powiedział, że chce jeździć po świecie i tak zrobił, ale nie był specjalnie wybredny: Francja, Włochy, Niemcy. Nie było go prawie dwa lata, a jak wrócił, oświadczył, że będzie pisał o zabytkach, starych zamkach, posiadłościach, pałacach i o życiu mieszkających w nich ludzi. I tym właśnie zajmował się od tamtej chwili, i to daje mu satysfakcję. Sądzę także, że jego podróże przyniosły mu wiele doświadczeń, spotkał najróżniejszych ludzi.

Na ustach Agnes zagościł lekki grymas, gdy powiedziała: - Z tego wnoszę, że jego rodzice nie byli specjalnie zadowoleni, bo na pewno spotykał ludzi spoza swojej kasty.

Odwrócił głowę; nie odpowiedział natychmiast. - Próbowałem wytłumaczyć pani, w jaki sposób rodzice zostali wychowani, jak żyją. Mają mały krąg znajomych, przeważnie dawnych wojskowych, niektórzy z Indii, a ci, muszę przyznać, są najbardziej surowi, jeśli chodzi o przestrzeganie podziału społeczeństwa na klasy. Są przyzwyczajeni, że ciągle ktoś im służy. O, Boże!

- uśmiechnął się do niej i przykrył jej dłoń swoją. - Tak już jest, moja droga. To się kiedyś zmieni, ale nie od razu.

Ale nie przyszedłem tutaj po to, by naświetlić pani punkt 1 widzenia moich rodziców. Chcę powiedzieć, że jeśli 1 naprawdę kocha pani Charliego, musi pani zapomnieć o tych wszystkich przeszkodach, które mogą pojawiać się j na pani drodze. Niektóre z nich będą tak wyrefinowane i delikatne, że trudno będzie je nawet rozpoznać. Te są j najgorsze. Ale pani jest osobą myślącą, z otwartym I umysłem, tak przynajmniej sądzą, spotkawszy panią po raz drugi.

Ciągle trzymał jej rękę, potem przysiadł się bliżej i spytał cicho, wpatrując się w oczy Agnes swymi ciemno- | brązowymi oczami: - Czy pani naprawdę kocha Charliego... n a p r a w d ę... go kocha?

- Tak. Naprawdę go kocham.

Po krótkim milczeniu Reginald uniósł rękę Agnes do ust,

powiedziawszy: - Życzę wam wszystkiego najlepszego, co można sobie tylko wyobrazić, moja droga.

- Nagle podniósł się i dodał: - Muszę już iść, bo jeżeli spóźnię się na ten pociąg, zostanę postawiony pod sąd wojenny.

Widząc, że Agnes wstaje z miejsca, by odprowadzić go do drzwi, zapewnił: - O, proszę zostać, sam wyjdę. Znajdę drogę. To drzwi po drugiej stronie korytarza, po prawdej stronie.

Wziął czapkę z fotela i poszedł do drzwi. Gdy już tam się znalazł, odwrócił się i skłonił się lekko, potem wyszedł.

Gdy drzwi się zamknęły, Agnes nie usiadła, lecz opadła na kanapę i leżała z głową na oparciu, patrząc w sufit. Targały nią najdziwniejsze uczucia. Wiedziała, że to był tylko urok, jaki mężczyzna znajdujący się na kobietach potrafi wytworzyć; jedna ze starych sztuczek ich kasty. Charles też jest pełen uroku, ale nie tak wyrafinowanego jak aura otaczająca jego brata. Podniosła swoją sprawną rękę i obejrzała ją. Po raz pierwszy mężczyzna pocałował jej dłoń. Dotychczas uważała, że robią to tylko w teatrze, na scenie mężczyźni tacy jak on: przystojni, wyjątkowo przystojni.

Usiadła prosto. Rozejrzała się po pokoju. Co on pomyślał sobie o tym domu? A co o ludziach, których poznał w fabryce? Zrobiła to celowo. Mogła przecież odwrócić się i wyjść z nim z fabryki. Ale jakoś musiała pokazać mu swą codzienność, ludzi, z którymi przebywa, a szczególnie Robbiego Feltona. Ale on, podobnie jak Charles, zachował się wobec nich, jakby byli ludźmi z jego kręgu... to właśnie cechuje dżentelmena z klasą.

Już wstała, gdy w jej myślach zrodził się protest; nie wszyscy mężczyźni jego stanu byli dżentelmenami. Przyszło jej na myśl wiele sytuacji w sklepie, gdy tak zwani dżentelmeni, klienci trafiki, samym tonem głosu spychali ją na miejsce, jak sądzili, wynikające z urodzenia, oczywiście domagając się, by zachowywała się z uniżeniem. Nie, nie wszyscy z jego stanu byli dżentelmenami, jednakże ona miała wielkie, ogromne szczęście spotkać tych dwóch, a za jednego z nich miała zamiar wyjść za mąż.

O tak, tego właśnie chciała. Niech pułkownik i jego pani srożą się, ile chcą, ale ona poślubi ich syna.

- Charlesie, źle się czuję. W gruncie rzeczy czuję się nie najlepiej od jakiegoś czasu, a teraz naprawdę jestem chora, a ty mi wcale nie pomagasz. Nie możesz teraz wyjechać z domu. Nawet nie do hotelu, jak mówisz, ale do wynajętego mieszkania. Nie zniesiesz tego.

- Mamo, a jak według ciebie, znosiłem to przez ostatnie pięć lat? Jak znosiłem moje wyjazdy za granicę? Co jakiś czas nie ma mnie w domu przez tydzień, a jak wyjeżdżam za granicę, zapewniam cię, że nie zatrzymuję się w luk- 1 susowych hotelach. Nie mogę sobie na to pozwolić. Tak naprawdę utrzymuję się tylko z pensji zostawionej mi przez dziadka, bo gdybym liczył na dochody z mego pisania, musiałbym bardzo elegancko głodować.

- Ale twoje posiłki! Kto będzie ci tam gotował? Wiesz, że Coleman jest doskonałą kucharką i uwielbiasz ! jej potrawy. Powiedziałam jej, że *crepe-suzetts* w Cafe Royal w Londynie nie dało się było porównać z tymi, które ona robi.

Charles odwrócił się od sofy i potarł dłonią brwi, jakby chcąc zakryć oczy, by czegoś nie zdradzić. Wiedział, że nie może zdradzać swych odczuć. Jego matka nie jest zbyt inteligentną kobietą. Jest kochaną, miłą istotą. Kocha męża, to jest jej największa cnota, prowadzi bardzo uporządkowany dom, ale tylko dlatego, że ma doskonałą służbę. Przez całe życie ktoś się zawsze o nią troszczył. Wrodziła się w swojego ojca; on także nie był inteligentny. Charles miał wyrzuty sumienia, że pomyślał o nim w taki sposób. Nie byłby dziś tak zamożny, gdyby nie dziadek, który zapisał mu cztery tysiące funtów. Jednak musiał spojrzeć prawdzie w oczy. I jeśli po kimkolwiek w rodzinie mógł odziedziczyć rozsądek, to tylko po babce.

Nie było w porządku, że jego matka może patrzeć z góry na kogoś takiego jak Agnes. To właśnie dlatego musiała nastąpić zmiana w

społeczeństwie. Charles był jednakże osamotniony w swoich poglądach wśród przyjaciół i znajomych. Wszystko wskazywało na to, że status quo pozostanie nie zmienione na zawsze. Dostał list od Rega, w którym jego brat pisze:

*Nie próbuj zmienić świata, naszego świata. Jest zbyt wielki, zbyt potężny, a co więcej, tylko zranisz sam siebie.*

*Ożeń się ze swoją Agnes, ale bądź gotów ponieść konsekwencje. Daję ci jedną radę; nakłoń ją, by sprzedała tę firmę i przeprowadźcie się do jakiejś przyjemniejszej części miasta.*

- Charlesie. Charlesie, kochanie, przyjdź tutaj.

Odwrócił się i podszedł do sofy. Ujął podniesioną, osłabioną rękę matki i usłyszał: - Chcę, żebyś był szczęśliwy, naprawdę. Mogłeś wybierać spośród tylu młodych osób z twojego otoczenia, nie mówiąc o Isobel, która, zapewniam cię, nigdy cię nie zapomni. Ale ty musisz obstawać przy tej osobie - machnęła przed nim swoją dłońią o szczupłych palcach. - No dobrze, dobrze, już mi nie przeszkadzaj, Charlesie, proszę.

- Mamo, gdybyś tylko spotkała się z nią, porozmawiała przez chwilę.

- Nie! Nie mogłabym tego zrobić. To stwarzałoby zupełnie niepożądane wrażenie. Będąc tym, kim jest, z pewnością potraktowałyby to jako przyzwolenie i...

- Będąc tym, kim jest, mamo, nie potraktowałyby tego jako oznaki przyzwolenia. Ona jest szczególnie niezależną młodą damą, inteligentną i czytana.

Nie miał pojęcia, czy to ostatnie jest prawdziwe, bo nie rozmawiali jeszcze na temat książek, ale sądził, że przynajmniej dobrze orientowała się w tym, co się dzieje dokoła niej.

- Zasmucasz mnie, Charlesie.

- Bardzo mi przykro, mamo, tak więc lepiej wyjadę. Jestem już spakowany. Jeżeli będę mógł, będę przyjeżdżał i często się z tobą widywał.

- O, Charlesie!

Wyciągnęła do niego ręce i Charles musiał je uścisnąć. Gdy przyciągnęła do siebie jego głowę i jej usta dotknęły jego dwu



policzków, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Ale tylko przez chwilę, bo uświadomił sobie, że to wszystko było zaplanowane przez jego matkę. Wcześniej tak nie myślał, zrozumiał to dopiero wtedy, gdy matka zaczęła spędzać więcej czasu na sofie. Po raz pierwszy miało to miejsce, gdy Henry oświadczył, że ma zamiar zostać pastorem. Wszyscy mężczyźni z rodziny Farrierów i McLeanów, jej rodu, służyli w wojsku. Drugi, gdy on sam zaczął podróżować. Potem na jakiś krótki czas przestała, ale zaczęło się znowu, gdy Charles oświadczył, że będzie zajmować się dziennikarstwem. Jedynie Reginald i Elaine jej nie zawiedli.

Gdy tak na nią patrzył, przez chwilę porównywał ją z Agnes. Czy Agnes też by się tak załamała i spędzała dni na sofie? Nie, ona by walczyła, ale najprawdopodobniej przegrałaby, bo czyż nie więcej bitew wygrały do tej pory kobiety, walcząc jedynie z sofą czy szezlonga?

- Do widzenia, mamó. Ale nie żegnaj się z tobą na dobre. Będziemy się często widywali. Pojawię się pod koniec tygodnia, jeśli pozwolisz.

Był już pośrodku pokoju, gdy usłyszał: - Charles, Charles, proszę. - Gdy zatrzymał się i odwrócił, powiedziała: - Nie czyń niczego pochopnie. Nie spiesz się z niczym, proszę. Wracaj szybko i porozmawiamy o tym. Lepiej porozmawiać, nie sądzisz?

- Tak, mamó, tak - uśmiechnął się do niej i wyszedł. Grace Farrier zmieniła wyraz twarzy, gdy wyszedł.

Potem zza sofy wyciągnęła dużą torbę. Wydobyła z niej list, który otrzymała dziś rano od Reginalda. Zaczynał się nagłówkiem: „Kochana Mamó”, później Reg pytał o jej zdrowie, potem opisał kłopoty z podróżą, przez które spóźnił się do koszar. Zażartował: „Pułkownik straszył mnie sądem, ale skończyło się na ostrzeżeniu i zaproszeniu do Gloucester w przyszłym tygodniu”. Później pisał:

*Widziałem się z tą młodą damą, mamó, i muszę przekazać Ci swoją szczerą opinię o niej. Ma doskonałą prezencję, dużą ogładę słowną, jest inteligentna i ma silny charakter. Uważam, że z dala od swojej rodziny i ludzi, których zatrudnia, może przystosować się do każdej sytuacji. Ale*

*mamo, obawiam się, że ci ludzie zawsze będą jej kulą u nogi, bo, jak mi się wydaje, jest bardzo do nich przywiązana. W każdym razie, mamo, nie trać ducha, bo, jak mawia pułkownik, oficerowie planują bitwy, a żony przeprowadzają manewry. Twój kochający syn, Reginald.*

Żony prowadzą manewry. Ale co ona mogła zdziałać przeciwko tej osobie z silną wolą, miłą aparycją, inteligencją i takim charakterem, który pozwala jej wkraczać do towarzystwa wyższego stanu niż ten, w którym się urodziła?

Musiała się zastanowić. W tej sprawie leżenie na sofie nie będzie zbyt pomocne, wiedziała o tym, ale ostatnio coraz częściej ogarniało ją przemożne pragnienie odpoczynku. Jednak nie był to odpowiedni moment na odpoczynek, bo prędzej by umarła, niż zaakceptowała pannę sklepową w rodzinie. Nie zniosłaby reakcji Hannah Pickering, Kate Combes, Sary Hammond, Jessiki Freeman i Connie Brett-Fawcett. O, Connie i ta jej córka! Jakże musiały się zadłużyć, by wprowadzić ją na dwór! A co z kuzynem Clarence, biskupem? Hugh musi coś z tym zrobić. Naprawdę musi. Niech się tym zajmie, zanim sprawy zajdą za daleko. Musi być konsekwentna w stosunku do Hugh. Niech spotka się z tą panną. A jeśli ona ma choć trochę wrażliwości, z tego posunięcia powinna domyślić się, że w żadnym wypadku nie może liczyć, że stanie się częścią życia jego syna.

#### 4

- Nie powinienes był tego robić.
- Dlaczego nie?
- Wcześniej nie myślałeś o opuszczeniu domu.

- O, nieprawda, myślałem wiele razy.

- Ale dlaczego wybrałaś ulicę Taughton? To nie jest najprzyjemniejsze miejsce.

- Ale dogodne; niedaleko od dworca i głównej ulicy, także redakcji gazety... i ciebie. Proszę, proszę, kochanie, nie patrz tak na mnie. Bardzo mi przykro, gdy się martwisz. Za nic na świecie nie chciałbym przysporzyć ci zmartwień.

- No cóż, jednak przysparzasz. Co powiedzieli twoi rodzice? To znaczy, jak przyjęli twoją decyzję..?

- Kochanie, mam dwadzieścia sześć lat. Pożegnali mnie, powiedzieli, bym uważał na siebie, pamiętał o nich i tak dalej.

- O nie! Wiem, że tak nie powiedzieli. Nie mogliby. Wiem także, iż powiedzieli, że wyjeżdżasz właśnie z mojego powodu.

- Posłuchaj, panno Conway. - Objął ją ramieniem, a gdy Agnes poruszyła się niespokojnie, westchnął: - O, ta ręka. Kiedy w końcu będę mógł cię przytulić? Posłuchaj mnie. Nie ma najmniejszego znaczenia, co myślą moi rodzice. Ani ktokolwiek inny. Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną, jeśli nie w przyszłym tygodniu, to w przyszłym miesiącu albo w przyszłym roku. O, moja najdroższa! - Ton jego głosu zmienił się; przycisnął dłoń Agnes do policzka i powiedział czule: - Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam pokazać ci, jak bardzo cię kocham. Nawet ja sam jestem zdziwiony uczuciami, jakie żywię do ciebie. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę czuł coś takiego do innej osoby. Twoja twarz, twój sposób bycia, wszystko związane z tobą stoi mi przed oczami i nie pozwala niczym się zająć. Jesteś najpiękniejszą...

- Proszę, nie mów tego. Nie jestem piękna. Zaczynam wątpić we wszystko, co mówisz, kiedy przy tym obstajesz.

- Powiem ci coś, moja droga. Będę upierał się przy tym aż do śmierci, ponieważ dla mnie jesteś piękna, nie tylko ładna, o dobrej prezencji, ale piękna. W porządku, może same twoje rysy nie wystarczą, by cię tak nazwać, ale twoje oczy, twój głos... nie wiem. W każdym razie dla mnie jesteś, i mówię to wielkimi literami, PIĘKNA.

Agnes lekko odsunęła się od niego. Jej zadziwiające oczy były spokojne, bo musiała przecież wierzyć we wszystko, co on o niej mówi. Było to dla niej coś nowego. Zdrowy rozsądek rysował w jej

świadomości zupełnie inny jej portret. Jednak w marzeniach tworzyły się już pierwsze kreski nowego, pięknego szkicu, gdy tylko zdejmowała swoje codzienne ubrania i przywdziewała ten zielony kostium, który ukazywał pełnię jej urody i osobowości.

Ale to był osobny temat. Wiedziała, że nie ma pełnego wykształcenia, a nawet ma w nim istotne luki, bo nie mogła powiedzieć, że włada obcym językiem. Na przykład francuski, wtłoczony do jej głowy w szkole, pozwoliłby jej się dostać z promu do hotelu, ale nie dalej. Jej ojciec wydał wiele pieniędzy, żeby otrzymała inne wykształcenie, zatrudniając pannę Thirkle. Dla Jessie także.

O tak, Jessie miała być wykształcona. I co się stało z nią i z jej wykształceniem? Zaś Agnes chyba nabyła na pensji tyle ogłady, by móc awansować społecznie. Była pewna, że może uważać się za kogoś na poziomie panien Car-dings. One nie tylko uczyły się w prywatnych szkołach, ale podróżowały do Francji i do Niemiec, a nawet do Włoch. Nie wiedziała, jak mówiły po francusku, może wcale. Niemniej jednak znalazły w niej coś, co wyróżniało ją spośród innych. To właśnie dlatego chciały ją ubierać.

Dlaczego ona właściwie siedziała tutaj snując takie rojenia? Czy dlatego, że myślała, iż nie będzie odpowiednią żoną dla tego dżentelmena?

Nie! Czowała, że pod względem umysłu mu dorównuje. Ale czy kocha go na tyle, by go poślubić? O tak, kocha go. Jej uczucia do niego są tak silne, jak te, które jej wyznawał. Agnes jeszcze nie mogła otwarcie mu tego wyznać z powodu tej bariery między nimi, bo była pewna, że małżeństwo z nią oznaczałoby dla niego oderwanie od rodziny. Jak do tej pory, poznała tylko jego siostrę i brata, ale i bez tego wiedziała, że Charles pochodzi z innego świata. Przepaść pomiędzy jej a jego obecnym stylem życia była równie wielka, jak przepaść dzieląca niedawny świat Jessie od Robbiego Feltona. Ona sama nigdy nie zaaprobuje Feltonów, więc jak może spodziewać się, że rodzina Charlesa zaakceptuje ją?

Myślała kpiąco, że gdyby mieszkali w Jesmond czy w Gosforth i gdyby wiadomo było, że są właścicielami sklepu z łakociami, trafiką i fabryki - bez wspomnienia jej wielkości i znaczenia - wtedy traktowano

by ją jak córkę dobrze prosperującego przedsiębiorcy. Ale jeśli mieszkasz nad sklepem i jesteś bohaterką skandali, w których ojciec próbuje zabić nie tylko konkurenta do ręki twojej siostry, ale i ciebie zastrzelić, bo tak właśnie głośiły tytuły z gazet, to czy możesz jeszcze niżej spaść w oczach ludzi cieszących się wysoką pozycją w wojsku, mieszkających w rodowej posiadłości i, bez wątpienia, otoczonych armią służby?

- Ile masz służby, to znaczy, twoja rodzina?

U licha co to za pytanie? I właśnie dlatego zapytał:

- Po co chcesz to wiedzieć?

- Tak sobie tylko pomyślałam, bo teraz, wiesz, będziesz musiał sam się o siebie troszczyć. A tak w ogóle, to ile miałeś służby?

- Dobrze, powiem ci, na wypadek, gdyby przyszło ci składać wizytę w moim domu. Przypuszczam, że może tak się stać, chociaż teraz mieszkam gdzie indziej. Jest tam.... zacznę od gospodyni... i podał Agnes skład służby; zarówno w domu, jak i za zewnątrz. Kończąc powiedział: - Zadowolona?

- Czternaścioro służących! Dla ilu osób, chodzi mi o...

- Wiem, o co ci chodzi. Dla moich rodziców i, oczywiście, także mnie, gdy jestem w domu i Rega, kiedy przyjeżdża na przepustkę, także Henry'ego. Czy nie jest to szokujące? Ale - wysunął palec wskazujący - dajemy pracę czternastu osobom. Gdy podróżowałem, spotkałem wielu ludzi, którzy wiele by oddali, by być na miejscu naszej służby i mieć godziwe warunki życia, dobre wyżywienie, ubranie i dostawać zapłatę.

Agnes przyglądała się przez chwilę Charlesowi, jakby zastanawiając się nad jego słowami, a potem odpowiedziała bez ogródek: - Ale oni wszyscy są podporządkowani twoim rodzicom i innym członkom rodziny.

Przez moment Charles zacisnął usta, ale w końcu lekko się uśmiechnął i odpowiedział: - Wiesz, mogłabyś zostać sufrażystką. A o co ci właściwie chodzi, kiedy mówisz „porządkowani”? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad znaczeniem tego słowa? Każdy z nas jest komuś podporządkowany. Nade mną stoją moi rodzice. Mój brat ma swoich przełożonych w wojsku. A Henry... o, nad nim stoi połowa diecezji. Biega za nimi jak kurczę ze stadka za kwoką. Z pewnością jego

zwierzchnikiem jest pastor, którego jest tylko pomocnikiem i którego nie może wprost znieść, zresztą pastor odwzajemnia mu te uczucia - roześmiał się. - Obaj jeszcze nie mają pojęcia o miłości bliźniego.

Zagryzła usta, a potem powiedziała, niby żartem:

- Bardzo sprytnie odwracasz kota ogonem. Ale masz rację. Całe życie byłam podległa mojej rodzinie i byłam przez nią wykorzystywana.

- Pocałuj mnie - jego twarz była blisko jej twarzy.

Oczy Agnes rozszerzyły się, błysnęły, ale nie wykonała najmniejszego ruchu, zaś on domagał się coraz głośniejsze:

- Pocałuj mnie, kobieto!

- Moja matka...

- Wiem, co twoja matka... usłysz mnie. Czy chcesz, żebym zakomenderował, jak w koszarach? Zrobię to. Przez jakiś czas byłem dowódcą drużyny w szkole wojskowej. Tak więc, moja pani, albo wykonasz to, o co cię proszę, albo...

Agnes cała drżała, gdy przysunęła się do niego i dała mu to, co można było ledwie nazwać namiastką pocałunku. A on, śmiejąc się na głos, powiedział: - No i oto, kobieto, jesteś teraz mi podległa.

Po chwili śmiech ucichł i oboje zaczęli wpatrywać się w siebie w milczeniu. W końcu Charles objął Agnes ramieniem, przytulił ją lekko do siebie i rzekł: - Moja najdroższa, nie wymagajmy od siebie nawzajem niczego, czego drugie nie chce dać z własnej woli. Nie sądzę, że mogłabyś kochać mnie tak, jak ja cię kocham, ale wszystko, co mi ofiarujesz, przyjmę z radością. Ale kochasz mnie choć trochę, powiedz...?

- O, Charlesie, Charlesie... Kocham cię o wiele bardziej niż tylko trochę. Kocham bardziej niż sądziłam, że mogę kogokolwiek pokochać, bo nie przypuszczałam, że spotkam kogoś takiego jak ty.

- Czy to nie dziwne, w jaki sposób się spotkaliśmy? Wszystko dzięki mojemu łakomstwu. Musimy szybko wziąć ślub, kochanie.

- Ale mój ojciec... on...

- Tak, wiem. Ale moim zdaniem, nie masz powodu nosić po nim żałoby, bo tylko dzięki Bożej łasce lub, jak mówisz, dzięki matce Feltona chodzisz po tym świecie. O, w tym przypadku to nie jest konieczne.... Możemy wziąć cichy ślub.

- Charlesie.  
- Tak, moja najdroższa?  
- Widzisz.... muszę zobaczyć się z twoimi rodzicami, zanim udzielię ci odpowiedzi.

- Ale dlaczego? Oni nie mają tu nic do powiedzenia, moja kochana.  
- Owszem, mają. Dla mnie, mają. Chodzi mi tu, jak sędzę, o mój honor. Chcę... żeby wiedzieli, że nie wybrałaś jakiejś kobiety z doków i że nie muszą wstydzić się żony swego syna. Założę moje najlepsze odświętne ubranie, ale, bez względu na to, pozostanę sobą. Nie będę próbowała przedstawić siebie w fałszywym świetle.

Wpatrywał się w Agnes w milczeniu. - Dobrze, jak sobie życzysz. Zorganizuję to.

Przysunęła się do niego i musnęła szybko jego usta. Powiedziała: - Ale zanim załatwisz to, drogi panie, mam zamiar udać się na drugi koniec tej ulicy i obejrzeć pańskie nowe lokum. Liczy się tylko ta chwila!

Gdy Charles pociągnął ją za rękę i pomagając jej wstać z kanapy, powiedział żartem: - Niespecjalnie orientuję się na zależnościach między ludźmi, ale wiem jednak, kto będzie więcej brał w tej spółce.

- Cóż, cieszę się, że się rozumiemy.

Wzięli się za ręce i przytuleni do siebie wyszli.



Agnes nie posiadała się ze zdziwienia, zobaczywszy jego, tak zwane, mieszkanie. Była tam sypialnia, mały salonik i mała kuchnia. Mogła jedynie przyznać, że jest schludne, bo nie przesadnie zatłoczone meblami.

Przeraziła się jednak, gdy otworzyła jedną z szuflad komody, gdzie, jak mówił, trzymano prześcieradła z fla-nelety, imitacji flaneli. Były zupełnie wilgotne.

- Czy łóżko było gotowe, gdy tu się sprowadziłeś?

- Łóżko, o tak, wszystko było w porządku.

- Dobrze ci się spało?

- Raczej tak. Pierwsza noc była nieco ciężka, ale...

- Ile już dni tu mieszkasz? - podeszła do łóżka. - Ile nocy spędziłeś

już w tym łóżku?

- Jestem tu od trzech dni, tak więc spałem tu trzy noce.

Ściągnęła z łóżka patchworkową narzutę, włożyła rękę, kierując ją jednak nie na środek, ale wsunęła pod zagłówek, potem uderzywszy wałek z boku poduszką, powiedziała do Charlesa:

- Dotknij to. Ta pościel jest wilgotna. Tak jak ta w szufladzie. To zupełnie niedopuszczalne!

- Co robisz?

- Nie widzisz? Ściągam tę pościel. Przyniosę ci suchą. To po prostu oburzające. Co więcej, poszewki na poduszki nie zostały wyprasowane, a tylko wysuszone. Kto, u licha, polecił ci to miejsce?

- Znalazłem ogłoszenie w gazecie.

- Nie mam pojęcia, kim jest gospodyni, ale powinno się ją oddać pod sąd albo na miejscu zastrzelić. Widziałeś się z nią?

- Nie, załatwiłem wszystko przez agencję.

- Chryste Panie! Charlesie! - Potrząsnęła głową. - Chodź ze mną. Przyślę jedną z dziewcząt, by zaścieliła łóżko i napaliła w piecu. Im szybciej stąd wyjdiesz, tym lepiej. Rozejrzę się za czymś odpowiednim dla ciebie.

- Nie ma o co się martwić - przygarnął ją do siebie.

- I tak będę mieszkał nad sklepem, czyż nie?

Agnes odpowiedziała teraz ciepłym głosem: - Mam nadzieję. O, mój kochany, mam nadzieję. - I lekko się śmiejąc dodała: - I dopilnuję, żeby twoja pościel była sucha.

## 5

Agnes była w sklepie z kapeluszami. Panna Rene spadła z trzech stopni i skręciła kostkę, wezwano lekarza. Panny były także



podeksycytowane tym, że mają dla Agnes nowy strój. Jednak Agnes dopiero tego ranka zdjęła rękę z temblaka i poruszanie nią sprawiało jej jeszcze trudność. Z tego właśnie powodu panny zdecydowały, że całą sprawę odłożą o dzień czy dwa.

Gdy tak Agnes słuchała, jak jedna zagaduje do drugiej, uświadomiła sobie, że ubieranie jej stało się dla tych drogich kobiet prawdziwą atrakcją.

Jeszcze raz pożałowała panny Rene i już miała wyjść ze sklepu, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i wpadła Maggie, wołając: - Panno Agnes! Panno Agnes! Pani matka mówi, żeby panna wracała. Przyszedł ten dżentelmen.

- Dobrze, Maggie. W porządku. - Ukłoniła się swoim przyjaciółkom, a widząc, że Maggie nie ma zamiaru się ruszyć, dodała: - Będę tam za chwilę.

Celowo, wbrew swym uczuciom, nie poszła od razu za Maggie. Pamiętała, że panny nie uznałyby tego za stosowne zachowanie. Tak więc, zamieniwszy jeszcze z nimi kilka słów, pożegnała się i obiecała, że wstąpi później, by dowiedzieć się o samopoczucie panny Rene.

Od trzech dni nie widziała się z Charlesem. Spodziewała się, że przyjdzie wczoraj, ale gdy nie dostała od niego nawet wiadomości, zastanawiała się, co się dzieje. Więcej; martwiła się. Jednakże natychmiast po wejściu do salonu, gdy tylko go zobaczyła, domyśliła się, co się stało. Gdy ujrzawszy ją w drzwiach zaczął podnosić się z kanapy, jej matka położyła mu dłoń na ramieniu, mówiąc: - Niech pan nie wstaje. Niech pan nie wstaje.

- I zanim Agnes mogła o cokolwiek zapytać, matka dodała: - Strasznie się przeziębił. Nie wiem, jak w ogóle wszedł po schodach. Jest w fatalnym stanie.

- Co z tobą, Charles? - usiadła przy nim i ujęła jego rozpaloną i spoconą dłoń.

Usiłując się uśmiechnąć, odpowiedział zachrypniętym głosem: - Lekkie przeziębienie. Od wczoraj, czy jakoś tak... gorączka, cały jestem mokry. Myślałem, że zostanę w łóżku, ale musiałem ci powiedzieć...

Zerknęła na matkę i powiedziała szybko: - Coś gorącego.

- Imbir czy whisky?

- Whisky.

Przytuliła go do siebie, mówiąc: - To nie może być przez te deszcze, to przez to łóżko. Wiedziałam. Wiedziałam, że coś się stanie przez to łóżko. Ta wilgotna pościel! O, mój drogi, dlaczego nie wysłałeś do mnie wiadomości? Przyszłabym. No pewnie, że nie mogłeś, nie w tym stanie.

- Moja głowa... Kręci mi się w głowie, kochanie. Nigdy... nigdy jeszcze nie byłem... tak przeziębiony. Nigdy nie chorowałem... - uśmiechnął się do niej - nigdy nie wzywano do mnie lekarza... przepraszam

- Nie wygłupiaj się, dlaczego przepraszasz?

Alice wróciła z dymiącym kubkiem whisky z gorącą wodą, mówiąc: - Dodałam dużo karmelu. Niech to teraz wypije.

Charles zakrzusił się pierwszym łykiem, ale skinął głową, mówiąc: - Dobrze.

Jednak, gdy wypił połowę, oparł głowę o kolano Agnes i powiedział: - Wypiję resztę później.

Położył głowę na kanapie i zamknął oczy.

Przyglądała mu się Agnes, przyglądała się jej matka. Potem matka kiwnęła na Agnes, która wstała z kanapy i podeszła do niej. Były już przy drzwiach, gdy powiedziała: - Nie może tam wrócić... Będzie musiał tu zostać.

Agnes patrzyła się na matkę pytająco, ale ona, nalegając, dodała: - Musi. Co robić w tej sytuacji? Ma gorączkę. Już wcześniej trzeba było się nim zająć.

- Tak. Umieścimy go w pokoju Jessie.

Alice pomyślała przez moment i odrzekła: - Nie, może pójść do mojego pokoju.

Agnes, nie kryjąc zdziwienia, spytała: - Do twojego? Ale mam, nie ma takiej potrzeby.

- Posłuchaj, jest w kiepskim stanie, przynajmniej tak sędzę. Spędzi tu kilka dni i na pewno ktoś go odwiedzi. Nie masz co mi się tak przyglądać. Będzie go ktoś odwiedzał, bo z przeziębieniem takim jak to nigdy nic nie wiadomo, czyli na pewno nie wyjdzie stąd jutro ani pojutrze.

Agnes ciągle nie mogła się nadziwić zmianie, jaka nastąpiła w jej matce. Miała wrażenie, że od tych zmartwień jej matka zmieniła się w zupełnie inną osobę. Drażliwą i samolubną kobietę zastąpiła istota wyrozumiała i wrażliwa. Agnes potrzebowała trochę czasu, by przyzwycząić się do tej swojej nowej matki.

- No cóż, jeśli tak sobie życzysz.
- Nie chodzi o to, czego sobie życzę, ale o to, co jest najlepsze dla niego i... nie chcę też, żeby ktokolwiek pomyślał sobie, że wychowałam się w chlewiku.

W chlewiku. Kiedyś zaśmiałyby się słysząc to, ale teraz jedynie kiwnęła głową. Gdy Alice odeszła szybkim krokiem, Agnes pobiegła do salonu i usiadła przy Charlesie.

- Charles.

Otworzył oczy, jakby właśnie obudził się z drzemki i spytał: - Tak, kochanie?

- Pójdiesz do łóżka.
- Do łóżka? - uniósł głowę.
- Tak, do łóżka, tutaj.
- O, nie, nie! Nie zrobiłbym tego.
- Nieważne, czego byś nie zrobił. Pójdiesz teraz do łóżka. Tylko na jedną noc. Rano poczujesz się lepiej. Przecież nie możesz tam wrócić, bo nikt tam się tobą nie zajmie.

Głowa opadła mu na poduszki, powiedział cicho:

- Agnes.
- Tak, kochanie.
- Nie mam siły kłócić się z tobą. Fatalnie się czuję.
- Wcale nie próbuj, najdroższy. Wszystko będzie dobrze. Daj mi tylko klucz do twojego mieszkania.

Jeszcze raz usiłował podnieść głowę. - Po co?

- Chcę posłać po twój nocny strój, tylko po nocny strój.
- Ach tak - przez chwilę szukał w kieszeni, ale jego ręka opadła bezsilnie.

- Tutaj, gdzieś tutaj.

Agnes włożyła rękę do jego kieszeni i wyciągnęła klucz.

- Teraz zdejmę ci kołnierzyk, krawat i buty i przez chwilę

możesz tu poleżeć.

Zaniósł się kaszlem, po czym, z trudem łapiąc powietrze, wymamrotał: - Dziękuję, kochanie. Dziękuję, dziękuję. Wiesz, co sobie pomyślałem? Myślałem, że właśnie zeszedliśmy z łódki w Durham z Regiem i Henrym i wszyscy śmialiśmy się do rozpuku. Jakie to czasem głupoty przychodzą człowiekowi do głowy.

Gdy Agnes już zdjęła kołnierzyk i krawat, a buty leżały na podłodze, ułożyła poduszki i delikatnie podniosła jego nogi, a Charles odwrócił się na bok, mówiąc:

- Sprawiam taki kłopot...
- Spróbuj zasnąć.

Charles posłuchał jej. Zamknął oczy, odwrócił głowę i leżał spokojnie. Agnes zaś opuściła spieszenie pokój i udała się do sypialni, gdzie, jak sądziła, jej matka zmienia pościel.

- Będę musiała pójść do domku i poprosić Robbiego, żeby poszedł do mieszkania Charlesa i przyniósł trochę jego rzeczy.

- Robbie? Robbie Felton?
- Tak, nie ma tu innego Robbiego, mam.
- Nie lubię go prosić. Czemu nie pošlesz Arthura? Pójdę i zastąpię go w sklepie.

Po raz kolejny matka wprowadziła Agnes w zadziwienie. Była gotowa iść do sklepu! Ale tak naprawdę, Agnes była już przygotowana na wszelkie niespodzianki ze strony matki. Odpowiedziała:

- Wolałabym, żeby to Robbie był w to wtajemniczony, nie Peeble. Wiesz, jakie mam zdanie na jego temat.

- Cóż, więc idź, bo on jak najszybciej musi znaleźć się w łóżku. Włożę pod kołdrę rozgrzane blaszki. Jeszcze jedno: sądzę, że potrzebuje lekarza.

- Zobaczymy. Zobaczymy później - Agnes wybiegła z pokoju i za moment znalazła się na podwórzu.

Zbliżając się do domku, pomyślała, że to dziwne, że ona chodzi do nich, a Jessie jeszcze ani razu nie pofatygowwała się do domu.

Zapukała do drzwi. Otworzył Robbie. Zanim zdążyła otworzyć usta, usłyszała: - O, witam. Wejź!

- Nie mogę Robbie, ale zrobisz coś dla mnie?

Jessie pojawiła się w przedpokoju. - Cześć, Agnes...

Przepraszam, że nie byłam...

- Nie szkodzi, nie szkodzi - Agnes potrząsnęła głową.

- Posłuchaj, pan Farrier jest chory, dosłownie zważyło go z nóg...

Mieszka w wynajętym mieszkaniu niedaleko stąd. Z tego, co widziałam, to miejsce jest nie do zniesienia. Pościel była wilgotna, prawie mokra, przeziębili się straszliwie i zatrzymałyśmy go tutaj na noc. Czy poszedłbyś tam po jego piżamę i... spakował jego rzeczy, które tam będą? Wszystkie najdziwniejsze rzeczy, na jakie się natkniesz. Nie sprawi ci to kłopotu?

- Nie. Niby dlaczego, ani trochę. Pójdę. - Robbie odwrócił się do Jessie, mówiąc: - Postaw moją herbatę na piecu.

- O nie, wypij najpierw herbatę.

- Nie, nie muszę.

Sięgnął za drzwi i zdjął z wieszaka czapkę. Wyciągając rękę po klucz, zapytał: - Czy mam przynieść to tu, czy do was?

- Do nas, jeśli możesz.

- W porządku.

Odwrócił się i wyszedł na podwórze. Agnes i Jessie stały, patrząc na siebie, aż Jessie odezwała się: - Nie pokazywałam się u was, bo... bo myślałam, że...

- Rozumiem. Ale zawsze jesteś mile widziana.

- Ale ona... mama... ciągle myślę o niej, jako o mojej matce.

- No cóż, przecież nią dla ciebie była. Niemniej jednak, teraz bardzo się zmieniła. Jest zupełnie inną osobą.

- W stosunku do mnie nigdy się nie zmieni.

- O, zmieni się, zobaczysz. Daj jej trochę czasu. Muszę już iść.

Przepraszam, jeśli przerwałam ci podwieczorek.

- To, nie ma znaczenia. Aggie...

Agnes już się odwracała, ale ton głosu Jessie zatrzymał ją.

Usłyszała:

- Przepraszam. W głębi duszy czuję wielkie wyrzuty sumienia, ale nie za to wszystko... ale nie za to, że wyszłam za Robbiego, bo on jest w porządku, ale... za to, co mogło się tobie stać. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Ale to się w końcu nie stało, więc nie masz co się martwić.  
Muszę już iść, ale wpadnij, jeżeli będziesz miała ochotę.

- Tak, Aggie, wpadnę.

Gdy Agnes wróciła, znalazła matkę w salonie. Matka podeszła do niej i wyszeptała: - Posłuchaj, sądzę, że lepiej będzie, jeśli wezwiemy lekarza. Chwilami zapomina, gdzie jest. Powiedział do mnie: „Proszę nie mówić mamie, sprowadźcie Rega”.

Agnes przebiegła przez pokój i uklękła przy kanapie. Matka położyła wilgotny ręcznik na jego czole, Agnes przewróciła go na drugą stronę, mówiąc: - Jak się czujesz, kochanie?

- O, Agnes! Nie najgorzej, jak leżę. Gorzej, jak próbuję chodzić - usiłował uśmiechnąć się do niej, i ale kolejny atak kaszlu znowu zdawał się rozrywać jego płuca.

Agnes wzięła ze stołu kubek z nie dopitą whisky.

- Proszę, wypij to. Na pewno nie zaszkodzi.

Wypił resztę ciepłej whisky, a gdy Agnes odbierała od niego kubek, powiedział:

- Muszę... powinienem być w domu, Agnes.

- Jesteś w domu, w tym domu, Charlesie. Zostaniesz tu. No, no, nie denerwuj się. Posłałam po twoje rzeczy na noc. Zaraz tu będą.

- Agnes.

- Tak, kochanie, słucham.

Przez dobrą chwilę milczał, zanim się odezwał:

- Nie wiem. Zapomniałem. Coś chciałem, powiedzieć. Zaschło mi w gardle - znowu zamknął oczy.

Podniosła się natychmiast i odwracając się do matki, powiedziała: - Chyba masz rację. Lepiej wezwijmy lekarza. Jeśli zastąpisz Nan, pošlemy ją po doktora Baileya. Przyjmuje o tej porze. Niech go wezwie do domu.

Alice opuściła spieszenie pokój. Agnes odwróciła się i spojrzała na Charlesa. Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, ale mówił: - Co to jest, Agnes? Nigdy nie miałem takiego przeziębienia.

- Jak ci mówiłam, to przez to mokre łóżko, kochanie. Ale wszystko będzie w porządku...

Nie wiedziała, ile czasu spędziła na klęczkach u wezglowia kanapy

do chwili, gdy usłyszała pukanie do drzwi salonu i głos za drzwiami: -  
Mogę wejść? To ja, Robbie.

Błyskawicznie podniosła się i odpowiedziała cichutko:

- Wejdz! Wejdz.

Robbie wszedł z płaszczem i szlafrokiem przewieszonym przez rękę: - Przyniosłem dwie walizki, jego koszule i tak dalej. Zostało mnóstwo książek i jakieś drobiazgi. Pójdę po nie jutro.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Robbie.

- Czy z nim jest aż tak źle?

- Tak. Chyba ma temperaturę. Posłaliśmy po lekarza, ale teraz musimy położyć go do łóżka.

Robbie spojrział na kanapę. - Czy on wstanie?

- Nie wiem... jak słyszałam niezbyt pewnie stał na nogach, gdy tu przyszedł. Nie było mnie.

- Czy mam mu pomóc?

Uświadamiając sobie, że trzeba będzie rozebrać Charlesa, Agnes powiedziała: - Jeśli... będziesz tak miły... proszę... Byłabym wdzięczna.

Oboje stali przy kanapie. Robbie nachylił się nad Charlesem. - Czy myśli pan, że utrzyma się na nogach?

- A, to ty... McCann. Jeśli podasz mi rękę?

- To Robbie, Charles, pan Felton.

- O!... tak...

Poczekwała chwilę widząc, że Charles próbuje się w tym wszystkim połapać. Usiłował usiąść, ale złapał go następny atak kaszlu, więc położył się, dysząc ciężko.

- Powinno się zanieść go do łóżka.

- Mogę... chwycić za rękę.

- Nie ma takiej potrzeby. Sam sobie poradzę. Jest szczupły i wiele nie waży. Jeśli mi pokażesz, gdzie go zanieść, poradzę sobie.

- Ale nie możesz nieść...

- Panienko - po raz pierwszy Agnes zobaczyła, jak Robbie się uśmiecha. - Pochodzę z twardej rodziny. Nie pozwalamy się nikomu pobić; zabijaki z nas, każdy jeden.

Mówiąc to, Robbie szeroko rozstawił nogi, ugiął kolana, włożył jedną rękę pod nogę Charlesa, drugą pod plecy i ruszył z nim do drzwi.

Agnes biegła przed nim, otwierając drzwi. Gdy znaleźli się już w sypialni, odgarnęła pościel, a Robbie położył na łóżko swój ciężar, mówiąc: - Proszę. Ale nie może leżeć w ubraniu. Czy mam się tym zająć?

Agnes przez moment milczała. Miała mieszane uczucia. Co to za niesamowita sytuacja: polega na Robbiem Feltonie. Życie jest przedziwne. Odpowiedziała szybko:

- Tak, gdybyś mógł - potem pospieszyła do drzwi, ale wychodząc, zatrzymała się - ale... czy nie będziesz potrzebował pomocy?...

- Nie, panienko. Dam sobie radę. Nie po raz pierwszy będę rozbierał faceta, ale ten jest trzeźwy, więc będzie to naprawdę dziecinnie proste. Nie ma się co martwić.

Agnes zamknęła drzwi i przez moment oparła się o nie plecami. Wzięła kilka głębszych oddechów i odeszła korytarzem. Spotkała matkę spieszącą z kuchni. - Powiedział, że przyjdzie zaraz po dyżurze. Co z nim?

- Sądzę - Agnes zwilżyła usta - że jest w kiepskim stanie.

Matka skierowała się do salonu, ale Agnes powiedziała:

- Już go tam nie ma. Jest w łóżku. Robbie kładzie go do łóżka i rozbiera go.

- Co?!

- Przyniósł jego rzeczy i stwierdził, że powinien leżeć w łóżku, więc go tam zaniósł.

- Sam?

- Tak, sam.

Matka najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć, więc ruszyła szybko do sypialni, ale wcześniej wyszeptała do Agnes: - Ty tu zostań.

Alice zawahała się przez ułamek sekundy widząc, jak Robbie uwalnia Charlesa z jego ubrań, ale Robbie zwrócił się do niej szorstko: - Może mi pani pomóc z tą piżamą.

Charles próbował skoncentrować na niej rozbiegane oczy. Zaczął się kręcić, ale Alice powiedziała: - Wszystko w porządku, proszę pana. Czy pan pamięta? Czy mnie pan pamięta? Jestem matką Agnes.

Robbie uniósł zdecydowanym ruchem rękę Charlesa, a Alice



przełożyła mu koszulę przez głowę. Charles, jakby momentalnie pozbawiony siły, bezwładnie opadł na ręce Robbiego. Chłopak położył go znowu na poduszce i szybko naciągnął na niego kołdrę, mówiąc: - Im szybciej obejrzy go lekarz, tym lepiej.

- Zaraz tu będzie.

Oboje stali i patrzyli na rozpaloną, spoconą twarz Charlesa. Widzieli, jak jego ciężki oddech ledwo unosi kołdrę na piersiach. Gdy jednak drzwi otwały się i do środka wpadła Agnes, oboje odeszli na bok.

Wpatrując się w mężczyznę, który tak wiele zaczął dla niej znaczyć, Agnes powiedziała: - Gdy ojciec był w podobnym stanie, umyłaś go. Czy my też nie powinniśmy?

- Nie - powiedziała szorstko Alice. - Najlepiej niczego nie robić, zanim przyjdzie doktor.

- Już sobie pójdę.

Robbie kierował się do drzwi, a Agnes szybko odwróciła się od łóżka, mówiąc: - Dziękuję, Robbie. Dziękuję.

- Jeżeli... jeżeli tylko mogę coś zrobić...Wiecie, gdzie mnie szukać - spojrzał na swoją szwagierkę i jej matkę.

Agnes jeszcze raz podziękowała Robbiemu, ale jej matka nie odezwała się ani słowem. Jeszcze nie czuła w sobie aż takiej zmiany nastawienia do tego znienawidzonego człowieka, by się do niego zwracać choć słowem. Powiedziała jedynie: - Musiał tak leżeć przez cały dzień albo dłużej. Jego stan jeszcze się pogarsza, mam co do tego pewne podejrzenia.

- Jakie?

- Zapalenie płuc.

- Zapalenie płuc?! O dobry Boże!

- Tak mi to wygląda. Ale nie ma co załamywać rąk, czekajmy na doktora...

Doktor powiedział: - Od jak dawna to trwa?

Gdy Agnes wyjaśniła, że nie wie, dodał: - Już dużo wcześniej lekarz powinien się nim zająć.

- Co z nim, doktorze? Czy to...

- To zapalenie płuc. Ma trzydzieści dziewięć i pół stopnia

temperatury i, sądząc po jego wyglądzie, trwa to już od jakiegoś czasu. Teraz, jak widać, poci się jak mysz.

Musicie więc jedynie dopilnować, żeby leżał w suchej bieliźnie, myć go od czasu do czasu i zmieniać pościel. Tak w ogóle, czy to ktoś z rodziny?

Agnes zerknęła na matkę i powiedziała: - Nie, to mój znajomy. Odwiedził mnie i to go dopadło.

- Czyli mieszka w okolicy?

Znowu Agnes i matka wymieniły spojrzenia. Agnes odpowiedziała: - Nazywa się pan Charles Farrier... mieszka w Brook Hall.

- Farrier? A, z tych... - Doktor na moment ściągnął usta. - Sądzę, że trzeba dać znać jego rodzinie.

Agnes przyglądała mu się. Zamykał właśnie czarną skórzaną torbę, gdy zapytała się delikatnie: - Więc z nim jest aż tak źle?

Doktor obruszył się: - Zapalenie płuc to poważna sprawa, panienko. Nie chce chyba pani kolejnego trupa?

- Doktorze, sądzą, że to było zbyteczne...

Spojrzał na rozwścieczoną Alice, chwycił torbę, wziął głębszy oddech i spoglądając na Agnes, stojącą ze spuszczoną głową, powiedział: - Przepraszam. Tak, nie powinienem był. Miałem ciężki dzień. Kilka godzin temu musiałem pozszywać człowieka, który wpadł pod wyciąg w doku. Nie zdołałem uratować matki i jej dziecka i musiałem powiedzieć... nie dalej jak dwadzieścia minut temu... musiałem powiedzieć młodej kobiecie, że zostanie wdową. Ale to i tak mnie nie usprawiedliwia - wyszedł z pokoju, a Alice poszła za nim.

Gdy już wszyscy opuścili sypialnię, Agnes opadła na krzesło koło łóżka. Czowała, jak coś puchnie jej w gardle i za chwilę ją udusi. Ustąpiło, gdy pochyliła się nad Charlesem, szepcząc: - O, mój kochany, mój kochany. Żeby ci się tylko nic nie stało. Proszę. Proszę. - Gdy Charles otworzył oczy i spojrzał na nią, rzekła: - To ja... Agnes. Wyzdrowiejesz.

Agnes nie wiedziała, dlaczego ciągle to tak uporczywie powtarza. Jego usta drgnęły i poruszył głową.

- O co chodzi? O co chodzi, kochanie?

Przysunęła się bliżej jego twarzy i usłyszała niewyraźne słowa: -

Reg. Reg.

- Tak, kochanie, zawiadomię go. Ale... muszę też zawiadomić twoją rodzinę. Doktor tak powiedział.

Zaczął gwałtownie rzucać głową na poduszkach. Agnes położyła dłoń na jego czole, pogłaskała delikatnie i odgarnęła jego mokre włosy. - Dobrze, już dobrze, kochanie.

Nie zdawała sobie sprawy z obecności matki aż do chwili, gdy usłyszała: - Będziesz musiała posłać tam wiadomość.

- Co? Ach, tak. Ale list za długo by szedł.

- No to pošlij dorożkarza z listem.

Agnes odwróciła się i spojrzała na matkę. - Tak, tak będzie najszybciej. - Potem zamknęła oczy, zagryzła usta, opuściła głowę i powiedziała płaczliwym głosem:

- O, mamo. Mamo!

- No, już - Alice chwyciła ją za ręce. - Jesteś dzielna i będziesz musiała stawić temu czoło. Wiem, o czym myślisz. I tak kiedyś musiałybyś się z nimi spotkać, więc chyba lepiej, że stanie się to w twoim domu. I nie zapominaj, że on odszedł od nich z twojego powodu. Nie ma co do tego wątpliwości, więc nie cofnie się, ty też nie.

- Gdyby tylko... coś się stało...

- Nic mu nie będzie. No, pozbieraj się. Bądź znowu sobą; taką, jaką zawsze byłaś - zdecydowaną, bez żadnego marudzenia. Słuchaj, napiszesz ten list, a ja polecę komuś z dołu, by przesłał go przez dorożkarza. I pamiętaj, masz nad nimi przewagę, bo Charles jest tutaj i nie mogą go ruszyć w tym stanie. Tak więc tego się trzymaj.

- I co my teraz zrobimy? To wszystko przez tę dziewczynę. Nie

mogę przecież... w żadnym wypadku... j tam pójść. Trzeba będzie go przywieźć do domu.

- Moja droga, jeżeli jest tak, jak ona pisze, jeśli to zapalenie płuc, nie będzie można go ruszać, przynajmniej jeszcze nie teraz. No, daj spokój, moja droga. Może wcale nie jest z nim tak źle, jak ona sądzi. Ludzie jej pokroju mają skłonności do panikowania. Pamiętasz, co się działo tam, na dole, jak podejrzewali, że ta dziewczynka ma ospę, a w końcu okazało się, że to tylko jakaś wysypka? Chociaż odesłałaś ją, denerwowali się jeszcze przez kilka tygodni. Żadnego opanowania. Żadnego.

- O, Hugh, ja po prostu nie mogę. Musiałabym ją traktować jako oficjalną znajomą Charlesa.

- Posłuchaj, Grace - głos pułkownika nagle zabrzmiał inaczej. - Teraz powinno się dla ciebie liczyć tylko to, że jesteś jego matką. Wiem, rozczarował cię w wielu sprawach, nie tylko jeśli chodzi o Isobel, ale jeśli jest tak chory, to twoim obowiązkiem jest udać się tam ze mną.

- A skąd my wiemy, że on jest tak chory? Właśnie powiedziałaś, że tacy ludzie zawsze przesadzają. Jeśli ty sam przekonasz się, że on jest naprawdę chory, wtedy pojedę. Bez względu na to, co czuję, pojedę. Ale proszę, jedź najpierw sam.

Hugh Farrier popatrzył na swoją żonę, nie z nienawiścią, ale z poirytowaniem i rozczarowaniem. Wykręcił się na pięcie i odmaszerował z pokoju. Jego żona splotła delikatne alabastrowe dłonie i ścisnęła je aż do bólu.



Zbliżał się czas zamknięcia trafiki, gdy pułkownik wszedł do sklepu. Arthur Peeble, zwracając uwagę na postawę i strój tego dżentelmena, wyprężył swoje wątle plecy i przypominając sobie najlepsze maniery, powiedział:

- Czym mogę służyć, proszę pana?

Hugh Farrier zwilżył usta. - Może pan poinformować pannę Conway, że przybył pułkownik Farrier.

- Tak, bezzwłocznie. Tak, proszę pana.

Arthur Peeble nigdy nie biegał; to było poniżej jego godności, ale

dzisiaj zrobił wyjątek. Wpadł do kuchni, ale momentalnie się zatrzymał, gdy ujrzał tam nie pannę Agnes, czy jej matkę, ale pannę Jessie. Próbowała nalać wody do kamiennej butli, ale rozlała wszystko na siebie.

- Na dole jest... pułkownik. Chce się zobaczyć z panną Agnes.
- Dziękuję. Ktoś za chwilę pójdzie na dół.

Szybko wstawiła imbryk do schowka z boku pieca i wybiegła z kuchni na korytarz. Wpadła do sypialni matki, szepcząc: - Przyszedł jego ojciec. Jest na dole.

- Ja pójdę - Alice odwracała się od łóżka, ale Agnes zatrzymała ją, mówiąc: - Nie. Ja to zrobię.

W kuchni zaczęła zdejmować fartuch, jednak w odruchu buntu przyglądała go tylko, a potem zeszła schodami do trafiki.

Na dole ujrzała wysokiego mężczyznę o surowym wyglądzie, wcale nie przypominającego swego syna.

- Pan Farrier?

Potwierdził lekkim skinieniem głowy.

- Czy zechce pan pójść tedy?

Agnes podniosła klapę w ladzie, ale nie poczekała, aż pułkownik ją minie, i sama poprowadziła go ku schodom. Nie zatrzymała się na końcu schodów, by na niego poczekać, ale szła dalej przez kuchnię, do salonu. Tutaj odwróciła się do niego i powiedział wprost: - Pewnie zapyta pan, jak pański syn trafił do mojego domu

- chyba nie przypadkiem użyła słów „mój dom”.

Niechętnie odpowiedział: - Tak, to byłoby istotne, pani Conway.

- Jestem panną.

Pułkownik uniósł brwi i stężyły mu rysy twarzy, lecz odpowiedział: - Panno Conway - dodał - jak pani sobie życzy.

Mierzyli się w milczeniu wzrokiem pełnym wrogości, aż ich oczy pociemniały. Po pewnej przerwie Agnes powiedziała: - Pański syn i ja dobrze się rozumiemy. Od pewnego czasu jesteśmy przyjaciółmi. Nie widziałam się z nim od kilku dni, gdy mnie odwiedził i nagle zaniemógł. Sądzę, że wcześniej leżał bez opieki w swoim mieszkaniu.

Pułkownik ściągnął usta, jakby miał zamiar zagwizdać, potem je zagryzł. Powiedział: - A co dokładnie pani ma na myśli przez to „dobrze

się rozumiemy”?

Agnes odparła bez chwili wahania: - Jedynie to, że pański syn poprosił mnie o rękę.

- A pani przyjęła oświadczyzny?

- I tak, i nie. Zrobiłam pewne zastrzeżenie.

Ta odpowiedź najwyraźniej zaskoczyła go, bo znowu uniósł brwi. Gdy zapytał: - Tak? - w jego tonie pobrzmiwała uprzejma ciekawość.

- Zdawałam sobie sprawę, że napotkam ostry sprzeciw ze strony jego rodziny, a fakt, że pańska żona nie towarzyszy panu w odwiedzinach u chorego syna, tylko potwierdza moje przypuszczenia.

- Jego matka... nie najlepiej się teraz czuje.

- Będę musiała zadowolić się taką odpowiedzią. Czy chce pan zobaczyć się z synem? Proszę tędy.

Z pewnością zaskoczyło go umeblowanie salonu, ale jeszcze większe wrażenie zrobiła na nim sypialnia. W ogromnym rzeźbionym łóżku zobaczył Charlesa, z trudem łapiącego powietrze.

Gdy przeszedł w głąb pokoju, Agnes powiedziała: - To moja matka, pani Conway.

Oboje jedynie spojrzeli na siebie. Chwilę później pułkownik stał przy łóżku, mówiąc: - Charlesie, to ja twój ojciec. Słyszysz mnie?

Charles otworzył oczy, poruszył wargami, jakby usiłując je zwilżyć i powiedział: - O tak... ojciec... chcę...

- poruszył głową na poduszce - Rega.

Hugh Farrier wyprostował się i zwracając się do Agnes zapytał: - Jak długo jest w takim stanie?

- Od kilku godzin.

- A co na to doktor? Co powiedział?

Zanim Agnes zdołała cokolwiek odpowiedzieć, jej matka pospieszyła: - Mówi, proszę pana, że pański syn ma zapalenie płuc, ma trzydzieści dziewięć i pół stopnia temperatury. To poważna sprawa. Zapewne pan sam widzi.

- Tak, proszę pani, widzę. I właśnie dlatego uważam, że powinien być w domu i mieć odpowiednią opiekę.

- Ma odpowiednią opiekę. Taką, jaka potrzebna jest w tym przypadku. Powiem panu, jeśli pragnie mu pan wyprawić pogrzeb, to

niech go pan bierze do domu.

Hugh Farrier spojrział na obie kobiety. Zawahał się, zanim odpowiedział: - Możemy przewieźć go ambulansem.

- Na pańską odpowiedzialność.
- Jak się nazywa lekarz, który go badał?
- Doktor Bailey, trzy przecznice stąd.
- Dziękuję, zasięgnę jego opinii.
- Proszę.

Agnes, która nie uczestniczyła w tej rozmowie, stała z boku i patrzyła, jak mężczyzna odwraca się do łóżka, by spojrzeć na syna i nagle gwałtownie zwraca się ku drzwiom, odmaszerowując sprężystym krokiem.

Wymieniły z matką szybkie spojrzenia i Agnes pospieszyła za nim. Pułkownik zastanawiał się na korytarzu, którądy się udać. Przeprowadziła go przez kuchnię i po schodach do sklepu. Pułkownik nie odezwał się do niej ani słowem, nawet przy drzwiach trafiki, jedynie odwrócił się, musnął dłonią kapelusz i odszedł zdecydowanym krokiem...

Agnes wróciła do sypialni. Jej matka zajęta była obmywaniem twarzy Charlesa flanelową szmatką. Matka zauważyła: - Nie będzie ci z nimi łatwo. To tylko początek. Teraz wiem, jaki chcieli zrobić ruch. Sztywniaki.

- Agnes.

Usłyszawszy szept Charlesa, pochyliła się nad nim, mówiąc: - Tak, kochanie? Tak? To Agnes.

- Myślałem... myślałem, że to ojciec. Chcę... tylko Rega.
- Tak, kochany, wkrótce przyjedzie, niedługo. Nie martw się.



Godzinę później Hugh Farrier mówił do żony: - Wyślę telegram do Rega i Henry'ego.

- Ale... nie może z nim być aż tak źle... tak od razu.

Chciał jej w końcu odpowiedzieć: „Nie mów głupstw, kobieto”, ale w ten sposób zdradziłby to, co skrzętnie ukrywał przez całe lata, bo bardzo ją kochał, a jej wady nie miały dla niego znaczenia. Zawsze ją

kochał i najprawdopodobniej będzie ją kochał, mimo że potrafiła nieraz robić zupełnie idiotyczne uwagi i czasami zachowywała się po prostu samolubnie. Nie chciało mu się niekiedy wierzyć, że żył z nią przez te wszystkie lata i ani razu nie powiedział jej, co o niej naprawdę myśli. I tym razem odpowiedział jedynie: - Zwykle przeziębienie może przerodzić się nagle w zapalenie płuc. Był prawie nieprzytomny, nie był całkiem sobą. Sądzę, kochanie, że musisz tam pojechać i zobaczyć się z nim.

- Nie. Nie - wstała. - Jak możesz prosić mnie o coś podobnego, Hugh! Sądząc z tego, co mi powiedziałeś o tej dziewczynie, nie ścierpiałabym spotkania z nią. Stała przed tobą w fartuchu, jak służąca, a potem mówiła jak wykształcona kobieta, która jednak mieszka w królikarni za sklepem, z całym tymi schodami i dziwnymi pokojami...

- Tak, tak powiedziałem, kochanie, ale także wspomniałem, że te pokoje były zaskakująco dobrze urządzone, wygodne, a szczególnie sypialnia, w której leży Charles.

- Musisz go tu sprowadzić.

- W tej chwili to niemożliwe - mówił szorstko - doktor nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Powiedział mi: „Ruszy go pan, a obróci się to przeciwko panu, bo może już jest blisko śmierci”.

- Cóż więc, zawiadom Reginalda i... zobaczymy, co on sądzi.

Pułkownik w tym momencie prawie krzyczał: - Nie wystarczą ci moje słowa, kobieto? Reginald powie ci to samo. Charles jest ciężko chory.

- Hugh! - w jej głosie zabrzmiały głębokie wyrzuty.

- Widzisz, co ta dziewczyna narobiła. Przez nią zwracasz się do mnie gorzej niż do służby.

Błyskawicznie odwrócił się do żony plecami, podniósł rękę do czoła, ale nie przeprosił, a gdy wyszedł z pokoju ciężkim, powolnym krokiem, pani Farrier opadła na fotel i zakryła dłonią usta. To straszne, straszne, że ją tak potraktował. Nigdy, nigdy w ciągu ich wspólnego życia nie odezwał się do niej w ten sposób. I to wszystko przez tę dziewczynę. Jej życie legło w gruzach. Ona zniszczy ich wszystkich. Zrobiła też wrażenie na Hugh, bo przecież powiedział, że był zaskoczony jej zachowaniem i językiem, jakiego używała. Przez moment



czuła, że ta dziewczyna zagraża całemu jej życiu, jej domowi. Charles ma być jej mężem, Reg i Henry zgadzają się na to, i jej drogi, kochany Hugh też został wciągnięty w te sieci.

Jak oparzona poderwała się z fotela i podeszła do kominka. Pociągnęła energicznie za sznur dzwonka.

Gdy Patrick McCann pojawił się na jej wezwanie, powiedziała: - Znajdź, proszę, pułkownika i poproś go, by przyszedł do salonu. Powiedz też Colemanowi, żeby natychmiast podstawił powóz - ostatnie słowo niemal wykrzyknęła.

McCann odpowiedział: - Tak, proszę pani. Tak.

Odszedł spieszniej niż zwykle.

Po pięciu minutach Hugh Farrier powtórnie wszedł do salonu. Szedł w milczeniu, a jego żona także nic nie mówiła, mając nadzieję, że usłyszy przeprosiny. Gdy uświadomiła sobie, że to nie nastąpi... przynajmniej w tej chwili... odezwała się: - Postąpię, jak sobie życzysz, Hugh. Powóz będzie za chwilę gotów. Odwiedzę Char- 1 lesa, jeśli będziesz mi towarzyszył.

Ciągle wpatrywał się w nią wzrokiem, do którego nie przywykła, ale jego głos przybrał przyjemniejszy ton.

- Tak, kochanie, z przyjemnością.

Odeszła od niego ze słowami: - Spotkamy się za kilka minut. Nie obejrzała się, ale była pewna, że odwrócił głowę i obserwuje ją, gdy bez pośpiechu oddala się od niego i opuszcza pokój.

Gdy drzwi się zamknęły, pułkownik położył dłoń na czubku głowy, przyciskając mocno, jakby miało to powstrzymać napływ myśli z jego tak skrzętnie tłumionej podświadomości i uratować ich oboje, bo życie zdawało się kończyć, i to bez majestatu i urody. Jego egzystencja stała się próżnią. Ale na horyzoncie jaśniało światło. Może być wojna, z pewnością może, i niech Bóg ją ześle jak najszybciej. Wtedy mimo wieku, znowu stałby się potrzebny. O tak, niech Bóg szybko zsyła wojnę.

Przeszła przez sklep po królewsku; królowa z większą godnością nie minęłyby łajna.

Jessie zaprowadziła ich na górę. Ogarnięta oburzeniem na widok pani Farrier trzymającej suknię uważnie przy sobie, by nie dotknęła mebli kuchennych, gdy przechodziła przez kuchnię, Jessie spojrziała na nią odważnie, gdy znalazły się w salonie i przemówiła głosem, który z pewnością zyskałby pochwałę panny Travers: - Zechcą państwo spocząć. Poinformuję siostrę, że państwo przybyli.

Powiedziawszy to, Jessie odwróciła się i wyszła z godnością z pokoju. Grace Farrier przyglądała się mężowi pytającym wzrokiem, lecz on nie odpowiedział ani słowem, tylko sztywno stał przy fotelu, który zajęła i czekał na... tę osobę.

Na chwilę przed pojawieniem się w pokoju Agnes pozbyła się fartucha. Miała na sobie granatową spódnicę i białą jedwabną bluzkę, ozdobioną małą czarną kokardką koło szyi. Grace Farrier nie mogła wiedzieć, że Agnes właśnie odwinęła rękawy i zapięła się pod szyję, a niesforne włosy zaczesła w kok na czubku głowy.

- Dobry wieczór - spojrziała na mężczyznę i na kobietę, ale kobieta jedynie wpatrywała się w nią rozszerzonymi, niecierpliwymi oczami, podczas gdy mężczyzna odpowiedział: - Dobry wieczór. Jak... jak się czuje?

- Bez zmian. Był jeszcze raz lekarz. Sądzę, że do rana nastąpi przesilenie. Jeżeli państwo życzyliby sobie pozostać do rana, przygotujemy dla państwa pokój.

Kończąc, spojrziała na Hugh Farriera. Miał właśnie coś odpowiedzieć, gdy jego żona wtrąciła cichym, lecz ostrym głosem: - Nie ma po temu powodu, mam nadzieję. W każdym razie, zdecyduję, czy skorzystam z pani propozycji po decyzji w sprawie mojego syna.

- Proszę pani! - głos Agnes był jeszcze ostrzejszy.

- Pani zdaje się zapomina, że jest w moim domu. To ja podejmuję

tutaj decyzje. Dopóki Charles tu przebywa, jestem odpowiedzialna za niego i podporządkuję się tylko lekarzowi. Co więcej, jeśli pani obecność wpłynie negatywnie na Charlesa, nie będę mogła okazać państwu mojej gościnności, tylko poproszę państwa o opuszczenie mojego domu. Sądzę, że wszystko jest jasne.

Hugh Farrier wcale nie zdziwiłby się, gdyby jego żona teraz zemdląca. Ale on sam stał teraz z lekko uchylonymi ustami, jakby zaczynając pojmować, dlaczego tak nagle jego syn zainteresował się tą dziewczyną. Charles był cichym, ugodowym człowiekiem. Był czarujący, ale jakoś nigdy jego ojciec nie podejrzewał go o siłę charakteru, a okazało się, że ma jej dość, by zdobyć się na opuszczenie domu. A dlaczego? Ponieważ był oczarowany tą młodą kobietą, tą nieustraszoną, dumną i, tak, hipnotyzującą młodą kobietą. Jaka szkoda... Musiał przerwać swoje rozmyślenia, bo trzeba było zająć się żoną. Chwyciła się za gardło, jakby się dławiła, a on pochylił się nad nią i powiedział: - Chodźmy, kochanie.

Musiał pomóc jej się podnieść, a gdy już wstała, pułkownik zauważył, że oczy ma ciągle utkwione w tej dziewczynie, jakby to był diabeł wcielony. Był pewien jednego: nigdy nikt do niej się tak nie odezwał, nigdy jeszcze nie spotkała podobnej osobowości.

Wziął żonę pod rękę i naprawdę musiał ją podtrzymywać, gdy podążali za Agnes. Gdy weszli do sypialni, pułkownik zauważył, że stan jego syna znacznie się pogorszył w ciągu tych kilku godzin, które minęły od jego wyjścia z tego domu.

Agnes nie przedstawiła matki, lecz Alice sama przystawiła krzesło do łóżka, by matka Charlesa usiadła.

Grace Farrier spojrzała na spoconą twarz syna z trudem łapiącego powietrze i gdyby nie była jeszcze w stanie szoku po konfrontacji z Agnes, pewno wybuchnęłaby płaczem. Jednak zachowanie tej potwornej osoby coś w niej zmroziło i była jedynie w stanie ująć osłabioną rękę Charlesa i wyszeptać: - Charlesie, Charlesie... - Wobec braku reakcji syna, dodała: - Kochanie, najdroższy. To ja, mama. Charlesie.

- Henry.

Odwróciła się i spojrzała na męża. - Prosi... Hen-ry'ego... Po co prosi Henry'ego?

Tak, po co prosi Henry'ego? Chciał widzieć się z Regiem. Przecież Henry jest księdzem, czy pastorem. Nie. Nie przyszło mu to do głowy. Nie może myśleć w ten sposób. Kochany, kochany Charles. Pułkownik miał niesamowitą ochotę usiąść na brzegu łóżka i przytulić go. Zawsze tak kochała Charlesa. Poczuł coś dziwnego w piersi, jakby płacz gdzieś w środku. Jakiś głos mówił:

- Czy miałby pan ochotę na filiżankę herbaty?

Zmusił się, by odwrócić głowę i spojrzeć na Alice, odpowiadając: - Tak, dziękuję. To bardzo miło z pani strony.

- Aggie, Aggie.

- Tak, kochanie? - Agnes pochyliła się nad nim, stojąc po drugiej stronie łóżka ze szmatką w ręku, bo właśnie wycierała jego twarz.

- Aggie.

- Jestem tutaj, kochanie, jestem.

- Pić.

- Proszę, napij się tego - odwróciła się i wzięła szklankę z nocnego stolika. Włożyła mu rękę pod głowę i delikatnie ją uniosła, a on wypił łapczywie wodę z sokiem cytrynowym, po czym zakaszał i zakrztusił się. Ułożyła z powrotem jego głowę na poduszce i powiedziała: - Charles, przyszła twoja matka.

- Mama?

- Charles, kochanie, Charles.

Zamrugał oczami, patrząc na Agnes, a ona delikatnie odwróciła jego głowę. Patrzył teraz na matkę, a jego usta układały się tylko w jedno słowo: - Mama.

- Tutaj jestem, najukochańszy.

- Reg, sprowadźcie Rega.

Odwrócił od niej głowę, jego pierś unosiła się z wielkim trudem, a gdy zaczął się kolejny atak kaszlu, Alice zbliżyła się spiesznie do łóżka, by pomóc Agnes, która właśnie próbowała unieść Charlesa na poduszkach. Alice poprosiła kobietę siedzącą na krześle, by zechciała na moment zrobić miejsce, prawie odpychając kolanami na bok oburzoną damę. Objęła ramiona Charlesa razem z Agnes, mówiąc: - No jeszcze, jeszcze, do góry.

Gdy wreszcie oderwała się flegma, powiedziała: - Teraz będzie

lepiej, dobrze.

Grace Farrier, stojąca bezradnie z boku, odwróciła się do męża, a on, równie bezradnie, spojrział na nią.

Gdy Charles ponownie spoczął na poduszkach, słycać było jego świszczący oddech, Alice zwróciła się do Farrierów: - Moja córka podała już na pewno herbatę. Czy zechcą państwo przejść do salonu?

Jessie rzeczywiście podała już herbatę, i to bardzo elegancko. Na wielkiej srebrnej tacy stał ozdobiony srebrem serwis do herbaty, a obok dwie okazałe filiżanki z porcelany, srebrne, zdobione łyżeczki leżały na talerzykach, z napełnionej kostkami cukru cukiernicy wystawały srebrne szczypcy. W rogu niskiego stolica stała trzypoziomowa patera do ciasta, na której szczytce leżały maślane bułeczki, a na drugim poziomie małe talerzyki i poskładane serwetki.

- Jessie, zajmiesz się państwem, tak?

Alice spojrziała znacząco na córkę, a Jessie, pojmując jej zamiar, odparła: - Tak, mam.

Alice miała już wyjść z pokoju, ale Grace Farrier przełamała się wreszcie i rzekła: - Sądzę, że... mój syn potrzebuje pielęgniarki... wykwalifikowanej... pielęgniarki.

- Nie potrzeba wykwalifikowanej pielęgniarki, proszę pani. Ja i moja córka jesteśmy całkiem obeznane z przypadkami zapalenia płuc. Nie po raz pierwszy mam z tym do czynienia.

- Moja żona ma na myśli pomoc dla pań. To musi być bardzo męczące zadanie... bardzo trudne zadanie.

- Ani odrobinę, proszę pana. Jeżeli będziemy potrzebowały pomocy, mój - Alice, nie patrząc na córkę, zmusiła się do wypowiedzenia słowa - mój zięć jest na miejscu, tak więc on i moja córka pracują na zmianę. Poza tym, nie ma tu praktycznie żadnej pracy dla pielęgniarki. Trzeba jedynie pilnować, by się nie przegrzewał, dopóki nie nastąpi przesilenie, a oczekujemy tego za nie dalej jak kilka godzin. Teraz, jeżeli państwo wybaczą... - Lekko skłoniła się każdemu z osobna i odeszła, myśląc sobie...

- Co za kreatura! - Alice nawet przy chorym nie mogła się zmusić do szeptu. - Szkoda, że tego nie słyszałaś.

- Słyszałam.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że jest matką tego tutaj i jego brata. Chyba wrodzili się w tego gościa. Z nim można się porozumieć, ale z nią...?

- Mamo.

Agnes odwróciła się od łóżka i podeszła do umywalki. Alice podążyła za nią. - O co chodzi?

- Czy... czy sądzisz, że... jest z nim aż tak źle... jak wtedy z ojcem?

- Tak, raczej tak. Ale nieźle się trzyma i jest młody. Ale i tak wszystko w rękach Boga. My jedynie możemy się modlić. Jeżeli przeżyje, wtedy módl się, żeby nie dobrała się do niego jego matka... Ciekawe, kiedy przyjdzie ten drugi, Reg. Wygląda na to, że on go bardzo lubi.

- Tak, bardzo.

- No, moje dziecko, nie poddawaj się - Alice objęła córkę ramieniem. - Do rana mamy dużo pracy. Wtedy będzie wiadomo, czy tak, czy nie.

- Mamo.

- Tak, moja droga?

- Jeśli coś mu się stanie, nie poślubię nikogo innego. Nie będzie dla mnie nikogo innego na świecie. Na całą wieczność.

- Wieczność, moja droga, to bardzo długo, bardzo, bardzo długo.



Reginald przyjechał następnego dnia o wpół do pierwszej. Stojąc w salonie, powiedział do Agnes: - Powiedziano mi, że najgorsze jest już za nim.

- Tak, kryzys nastąpił około czwartej rano.

- Wygląda pani nas bardzo zmęczoną.

- Tak, trochę.

- Dziękuję pani za... zaproszenie rodziców na noc. Są pani bardzo wdzięczni, że mogli zostać.

- Pański ojciec może jest wdzięczny, ale matka... nie i nigdy nie będzie. Nigdy nie podziękuje mi za nic, cokolwiek bym zrobiła. Obwinia mnie o to, co przydarzyło się Charlesowi.

- To nierozsądne, głupie.
- Niemniej jednak tak myśli.
- Czy mogę się z nim zobaczyć?
- Tak, naturalnie. Tędy.

Zaprowadziła go do sypialni. Gdy Reginald stanął przy łóżku brata, przez moment nic nie powiedział. W końcu odezwał się: - Tak, stary Charles zawsze robi to, co należy, ale w nieodpowiednim czasie i w nieodpowiednim miejscu.

- Reg.  
- Tak? Ale nic nie mów. Spokojnie. Ja najpierw pogadam. I wcale nie będzie mnie to bawiło.

- Reg.
- Tak? Co tam, staruszkę?
- Ja... myślałem, że... już po mnie, prawie, ale... Aggie...
- Tak. Jest niezwykła. Masz niesamowite szczęście.

I wiesz o tym. Dlaczego mnie nigdy coś takiego się nie przydarzyło?

Reginald przysiadł z boku łóżka i odwrócił się, spoglądając na Agnes składającą ręczniki frotte na stoliku stojącym przy ścianie. Uśmiechnął się do niej. Potem znowu skierował uwagę na Charlesa i rzekł: - Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Charles milczał. Agnes odwróciła się do nich, mówiąc:

- Zostawię was na chwilę - uśmiechnęła się do Charlesa. - Nie rozrabiajcie.

Gdy Agnes opuściła pokój, Charles powiedział: -Chciałem cię o coś prosić, ale już... nie ma potrzeby. Widzisz, chciałem... myślałem, że - wziął głęboki oddech

- będziesz musiał opiekować się Agnes. Dopilnować, żeby dostała moje rzeczy, prace, a także moją pensję. Jeszcze jedno, Reg...

- Co takiego, chłopie?  
- Chcę... żeby ślub odbył się jak najszybciej.  
- Dobry Boże! Stań najpierw na nogi. Do licha, nie możesz w takim stanie iść do ślubu. Minie trochę czasu, zanim przyjdiesz do siebie. Miałeś zapalenie płuc. Ciągle je masz. Zobaczysz, jak będziesz się czuł.

- Nie ma znaczenia, jak będę się czuł. Ożenię się z Agnes.  
- Dobrze. Dobrze, nie podskakuj, jak stara mama Mitcham mawiała do nas. Przy okazji, wtedy przed wyjazdem, spotkałem się z nią, wpadłem tu na moment. Wygląda na to, że jesteś bardzo lubiany przez rodzinę i pracowników; wszyscy bardzo ciepło myślą o tobie. Nie to, że na to sobie nie zasłużyłeś, ale zawsze był z ciebie wielki szczęściarz.

- Reg, przestań.  
- Tak, tak, już kończę. Tak tylko gładzę, bo po prostu nie wiem, co powiedzieć. Bardzo mi przykro z powodu tej choroby.

- Reg.  
- Tak.  
- Pamiętasz Sandersona?  
- Ralpa Sandersona?  
- Tak. Miał zapalenie płuc i przesiedział potem całe lata w sanatorium. Pamiętasz? Potem chorował na - znowu zaczerpnął więcej powietrza - suchoty.

- O, nie wygłupiaj się. To zupełnie inna sprawa. Był słaby. Nasza rodzina jest silna, zdrowa. Z tego, co mówi mi Agnes, byłeś tak głupi, że spałeś w wilgotnej pościeli. To właśnie dlatego. No, wybij to sobie z głowy. Najważniejsze teraz jest, żebyś miał dobrego lekarza.

- On jest bardzo dobry.  
- No, czyli po okresie rekonwalescencji, a to potrwa kilka tygodni, znowu będzie jak dawniej. A potem  
- zbliżył twarz do brata - zupełna zmiana... - zaczął szeptać - bo, nie wiem, czy wiesz, mój najmłodszy bracie, że ślub, to nie tylko uroczystości. Żeby poradzić sobie z tym wszystkim, będziesz potrzebował wiele siły. Wiesz, o co mi chodzi...

Charles milczał przez moment. - O, a to mówi doświadczony mężczyzna.

- To ty to powiedziałeś, to ty. Nie będę już dłużej cię męczył. Kamień mi z serca spadł, że najgorsze już za tobą.

- Kiedy... kiedy wracasz?  
- Dziś po południu. Coś się dzieje. Na górze zamieszanie, plotka goni plotkę. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyplątały się z tego jakieś



problemy.

- Co masz na myśli?
- No, a jakie inne problemy może mieć żołnierz, jak nie wojnę?
- O nie!
- Ale ty nie masz się o co martwić. Jeżeli uda mi się wyrwać na weekend, to przyjadę, ale i tak będę pisał. Może tylko parę słów, znasz mnie - pochylił się nad bratem i uściśnął jego słabe ręce, łącząc je razem w swoich dłoniach. Powiedział: - Uważaj na siebie, Charlie. Wiesz, że na tym świecie nie ma drugiego takiego jak ty. Jesteś mi... bardzo drogi. Do widzenia, na razie. Pamiętaj, co ci powiedziałem; uważaj na siebie i zdrowiej, a znowu nie będzie ci równych.

Charles nic nie odpowiedział, tylko zamrugał szybko i przełknął ślinę, a potem spoczął bezsilnie na łóżku. Wysoki, przystojny żołnierz odwrócił się w drzwiach i zasalutował mu.

## 8

- To prawe płuco. Trzeba będzie je operować. Będzie musiał spędzić kilka tygodni, jeśli nie miesięcy, w sanatorium. Jego rodzina poczyniła już starania.

Agnes nie odrywała wzroku od doktora. - Gdzie jest to sanatorium?

- W Woolley. Już trzy tygodnie po kryzysie, a ciągle jeszcze nie może wrócić do zdrowia. Chyba sama pani to widzi.

- Czy... wyzdrowieje?

- O, najprawdopodobniej, w swoim czasie. Ale nigdy nie będzie miał takiej kondycji jak przedtem. Będzie musiał dbać o siebie, przebywać w odpowiednim klimacie, i tak dalej. Nie sądzę, żeby północny wschód był dla niego najodpowiedniejszy, ale jednak mam mnóstwo takich przypadków, niektórzy z nich dobrze po pięćdziesiątce.

Jeden człowiek potrafi się przystosować, inny nie. Teraz możemy jedynie czekać, co będzie. Mieliście zamiar... się pobrać, tak mi mówi.

- Tak, mieliśmy zamiar.

- Ciągłe może to być aktualne, ale w odpowiednim czasie. Jeśli mogę... jak odnosi się do tego jego rodzina?

- Nie najprzychylniej, przynajmniej jego rodzice. Bracia zaakceptowali mnie.

- To miło z ich strony. A kimże oni są? Co sobie myślą?

Posłuchaj, moja droga - poklepał ją po ramieniu

- możesz poślubić, kogo tylko chcesz. Jest w tobie coś, co czyni cię szczególną osobą.

Łzy pociekły natychmiast. Zagryzła usta. Od kilku dni była u kresu wytrzymałości nerwowej i w końcu ta dobroć ją złamała. Wymamrotała jedynie: - Pan jest bardzo dobrym człowiekiem, potrafi pan zrozumieć innych. Jeszcze jedno, doktorze, czy mógłby pan rachunek przesłać mnie?

- O, a dlaczego? Oni są przecież nadziani.

- Wiem, ale sama wolałabym zapłacić. I - zmusiła się do uśmiechu - jak pan wie, ja też jestem nadziana, odrobinę.

- Dobrze, jeśli tak pani sobie życzy. Jeżeli o mnie chodzi, nie robi mi różnicy, skąd pochodzą pieniądze: czy z warsztatu, czy z pałacu.

Uśmiechnęła się, mówiąc: - Nie bierze pan zbyt wiele, doktorze.

- Nie? Myślałem, że jestem jednym z najdroższych lekarzy. Mam renomę w okolicy. Uczę rozsądku, a nie daję jedynie pigułki przy zaparciu.

Wyszedł, śmiejąc się ze swojego dowcipu. Agnes wyszła za nim, potrząsając głową. Gdy znaleźli się w kuchni, odwrócił się do niej. - Teraz kolej na poród, nie sądzę jednak, żeby były z tym jakieś kłopoty. Jest młoda. Wie pani co? Nie przypuszczałem, że zmienię zdanie o kimś z Feltonów, ale ten chłopak chyba jest na dobrej drodze, z tego co o nim słyszałem. Przykłada się do roboty, żadnych hulanek i bijatyk. No, już będę szedł. Sam wyjdę, proszę mnie nie odprowadzać. - W drzwiach odwrócił się raz jeszcze i powiedział: - Ich samochód powinien pojawić się tu jutro około trzeciej, tak więc niech pani nie zasypia gruszek w popiele.

Agnes stała i w zamyśleniu patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi. Nie zasypiać gruszek w popiele. Co miał na myśli? Chyba nie...? Oczywiście, że nie. Oczywiście. Ale nigdy nic z nim nie wiadomo. Może to i prawda, co o nim mówią, że ma kochankę w Gateshead. Nie zasypiać gruszek w popiele, z Charlesem, w jego stanie.

Słowa doktora powróciły do Agnes jeszcze wyraźniej, kiedy mówiła Charlesowi dobranoc, a ten objął ją i mocno przytulił szepcząc: - O, gdybyś tylko mogła dzisiejszej nocy, chociaż tej nocy, poleżeć przy mnie. O, wiem, że to niemożliwe, ale gdybyś mogła...

Ona także pomyślała: „Gdybym tylko mogła”, ale obok była jej matka. Mogła go teraz jedynie mocno przytulić i pocałować, ale i tak w końcu kiedyś musiało się to stać, bo matka nie matka, trzeba brać to, co nam przynosi nasz dzień powszedni.

## *Część piąta*

### *Wojna*

Ten rok dla II Batalionu Piechoty z Durham obfitował w wydarzenia. W gruncie rzeczy można było powiedzieć, że nie napracowali się szczególnie przez ostatnie kilka lat, poza jednym wyjątkiem, kiedy wysłano ich batalion, składający się z 508 podoficerów wraz z podwładnymi im żołnierzami, do Bradford w celu zaprowadzenia porządku w czasie strajku. Nieźle się przy tym ubawili. W 1911 roku zdobyli puchar wojskowych mistrzostw w hokeju, a w 1913, po raz pierwszy w historii pułku - mistrzostwo w piłce nożnej. Życie przeciętnego żołnierza z tego batalionu płynęło spokojnie i na dodatek nie było pozbawione atrakcji, w odróżnieniu od losu członków I Batalionu, którzy ustawicznie przerzucani byli z kraju do kraju.

Jednak wszystko bezpowrotnie zmieniło się 4 sierpnia 1914 roku, po wypowiedzeniu Niemcom wojny, choć i tak nie było w batalionie żołnierza, który nie pragnął znaleźć się w wirze działań wojennych, by rozwalić Cesarza Wilusia i jego parszywą armię. Gdyby tylko przerzucono ich do Francji, nie zajęłoby im to wiele czasu. Pokazaliby wtedy, kto tu naprawdę rządzi.

Natychmiast ogłoszono mobilizację, pomimo zamieszania wywołanego treścią depeszy: „Mobilizac stp potwierdzić odbiór”. Kogo mieli powoływać? A może mieli przerwać mobilizację? W końcu powołano wszystkich rezerwistów, a na północnym wschodzie mobilizacja wywołała tak głęboki oddźwięk, że powstały całe nowe bataliony złożone jedynie z ochotników, zwane Drugą Linia.

W całym kraju aż wrzało z podniecenia. Wkrótce kobiety dołączyły do tego zamieszania, zachwycając się tupotem żołnierskich butów i roześmianymi twarzami żołnierzy, machających na pożegnanie w drodze na statek. Bohaterowie... krew wielu z nich już za kilka dni miała zbryzgać francuską ziemię, a kobiety - ich matki i żony, bogate i biedne - miały już wkrótce dostać telegramy i pogрузić się w żałobie po swoich zmarłych i krzepić się jedynie myślą, że zginęli za ojczyznę.



Co dziwne, w miarę upływu czasu i powiększania się kręgu ofiar, lojalność i morale narodu nie malało. Tchórzyli jedynie mężczyźni, którzy nie chcieli konać w błocie i krwi, którzy byli przeciwni jakimkolwiek wojnom; ci dzielni mężczyźni, którzy mówili, że wojnę tę rozpętali starzy partacze, a ich błędy są przyczyną śmierci tysięcy mężczyzn dziennie, młodych mężczyzn, którzy jeszcze nie zdążyli zasmakować uroków życia.

Kościół wypełniony był rozmodlonymi kobietami, do których należało zwycięstwo przez modlitwę, podczas gdy ich mężowie i synowie zabijali Niemców. Bóg był z nimi, tak więc wszystko miało być w porządku... w ostatecznym rozrachunku.



Agnes często siadywała przy łóżku Charlesa na werandzie i rozmawiali: - Tak więc, moja droga - mówił

- i mnie to wszystko bardzo poruszyło, bo zraniłbym jedynie ojca i Rega, gdyż nie wyobrażam sobie, że z moimi poglądami mógłbym pójść na wojnę. W końcu może udałoby im się zmusić mnie do tego, bo mina matki i spojrzenia znajomych byłyby nie do zniesienia. Już sobie wyobrażam: Syn pułkownika Farriera uchyla się od służby ze względów sumienia! Po prostu tchórz! Wiesz przecież, kochanie, że ktoś, kto nie zgadza się na służbę wojskową z pobudek moralnych, z pewnością nie jest tchórzem. A ja nie jestem zbyt odważny, tak więc, czy zdołałbym znieść taką presję?

- Tak, kochanie, zdołałbyś, jestem tego pewna. Byłabym zawsze po twojej stronie. To bezsensowne, zupełnie bezsensowne. Ulicę dalej mieszka pewna rodzina. Noblowie. Pamiętam, jak pani Noble [*Noble - szlachetny - przyp. tłum.*] przychodziła do sklepu i mówiła z uniesieniem: „Nobilituje go teraz nie tylko jego nazwisko”. Stracił już dwóch braci, ale jakoś specjalnie to się dla niej nie liczyło. Jej syn, nobilitowany mężczyzna, spędził we Francji jedynie trzy dni i zginął. Teraz przychodzi codziennie i kupuje tabakę, jak mówi Arthur, wiesz, Arthur Peeble. Jego też wojna zmieniła. Trzęsie się ze strachu, że go

powołają, ale ma trzydzieści osiem lat, więc mówię mu, że nie ma się o co martwić. Dosłownie co dzień muszę go uspokajać. Zrobił się mniej posągowy, bardziej ludzki. - Agnes uśmiechnęła się, ale wstrząsnął nią dreszcz.

- Zimno ci.

- Nie. W tym ubraniu? W wełnianej sukni, płaszczu, szaliku, wełnianym kapeluszu, rękawiczkach robionych na drutach i kozakach? Nie, kochanie, nie jest mi zimno. Myślę, że te dreszcze wywołuje myśl o wojnie i o tym wszystkim, co się z nią wiąże. Mówisz, że nie grzeszysz odwagą, tak więc wiem, co by było, gdybyś nie zachorował. Musiałbyś stawić temu wszystkiemu czoło i, jak wielu innych, skończyłbyś w więzieniu, czy na poniżającej i wykańczającej pracy. Masz jakieś wiadomości od Rega?

- Tak, wczoraj dostałem kartkę. Ma nadzieję, że na dniach dostanie przepustkę. Bardzo chciałbym zobaczyć się z nim, Aggie. Wygląda na to, że muszę martwić się tylko o niego. Wysłali tam też Henry'ego, ale nie jest na linii frontu. Strasznie mnie zdziwiło, że tak chciał iść na wojnę. Dlaczego jednak tak to mnie dziwiło? Ojciec przecież mówi, że w naszych żyłach płynie krew wojowników. Ale powiedziałem mu, że jest wiele różnych rodzajów wojen.

- Czy on wie, co byś zrobił, gdybyś nie był chory?

- Tak, o tak. Powiedziałem mu.

- Nie wiedziałam. Jak to przyjął?

- Zasmucił się, ale przyjął to do wiadomości. Potem powiedział coś, co zraniło mnie o wiele bardziej, niż gdyby wpadł we wściekłość: „Nigdy do nas nie pasowałeś, Charlie. Ale w każdym pokoleniu zdarza się odszczepieniec”.

- O, Charlesie! - Złapała jego zimne ręce. - Czy nie zdawał sobie sprawy, ile odwagi wykazałeś, podejmując taką decyzję?

- On jest żołnierzem, moja droga.

- A co z Regiem? Czy on też wie?

- Tak, wie. Powiedział jedynie, iż spodziewał się, że tak się do tego ustosunkuję... że po prostu będę konsekwentny w moich poglądach. Ale gdy to mówił, położył mi rękę na ramieniu. W głębi duszy jest bardzo tolerancyjny, pomimo swojej ekscentryczności, bardzo towarzyski. Poza

tym, kochanie, miał nadzieję, że na tej przepustce będzie naszym drużbą. Ale niestety, mało nie wyszedłem ze złością z pokoju, gdy mi powiedzieli, że jeszcze co najmniej dwa miesiące, a potem, jak mi obiecują mi, będę jak nowy... lub prawie jak nowy.

- Nie ma to najmniejszego znaczenia, kochany. Dwa miesiące, czy dziesięć - będę czekała. Zawsze będę czekała.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? Jak ja bym przeżył te całe miesiące tutaj bez ciebie?

- Wiem, co byś zrobił. Teraz pewnie byłbyś we Francji lub w obozie. - Uśmiechała się, ale po chwili uśmiech zniknął z jej ust i dodała: - Gdyby nie ja, nie opuściłbyś domu i nie poszedłbyś do tego straszego mieszkania. Nigdy nie wybaczę tej kobiecie tego...

- A ja bym wybaczył, najdroższa. Od dłuższego czasu byłem gotów opuścić dom. Pamiętasz, trochę jeździłem i zobaczyłem, jak żyją inni ludzie. Nie mam radykalnych poglądów, nie pragnę zmieniać świata, bo mimo wszystko jest wielu dobrych ludzi, wiele dobrych rzeczy. Choć jestem skuty konwenansami, myślałem nieraz, czy ktokolwiek ma prawo być przez całe życie obsługiwany przez innych ludzi. Zastanawiałem się, do kogo w rodzinie jestem z tymi moimi poglądami podobny i przychodziła mi na myśl jedynie Nessay, ale nie ma między nami pokrewieństwa, bo ona jest przyrodnią siostrą ojca. O, przypomniałem sobie! Dostałem list od Henry'ego. I co ty na to? Spotkał ją w jednym ze szpitali polowych tuż za linią frontu. Bardzo się o nią martwiliśmy, bo zaraz jak wybuchła wojna, ciotka Nessay gdzieś zniknęła z Paryża. Jej mieszkanie sprzedano i myśleliśmy, że coś złego jej się przydarzyło. Aż tu nagle Henry ją spotyka. Wziąwszy pod uwagę jej kondycję, niewiele może zrobić, jedynie pozwijać bandażę, czy coś takiego, ale duchowo... jak on to ujął, zwojuje wiele, a to bardzo dziwne słowa Henry'ego, bo ciotka jest niewierząca. Zawsze było w niej coś szczególnego. Jak ci mówiłem, potrafi zrozumieć każdego - i hrabiego, i prostytutkę. Kiedyś ją poznasz, na pewno. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle pojawiła się w domu.

Charles ciągle myślał o rodzinnej posiadłości, którą w pewnym sensie odrzucił, jako o swoim domu. Może to było najzupełniej naturalne, ale Agnes martwiła się, czy on będzie kiedykolwiek potrafił



nazwać swoim domem jej mieszkanie nad sklepem. O, będzie. Tak. Powtarzała sobie, że przecież tak bardzo nie chciał stamtąd odjeżdżać. Przyzwyczał się, ale podobnie byłoby z każdym innym miejscem. Zaskarbił sobie sympatię jej matki i Jessie. O dziwo, zaprzyjaźnił się też z Robbiem, bo ten milczący, nieokrzesany młodzieniec w sposób całkiem naturalny stał się jego ordynansem. Nawet przyjeżdżał tu, żeby się z nim spotkać.

Agnes spojrzała na wychudzoną, bladą twarz Charlesa i w duchu zadała sobie pytanie, co takiego przyciąga ludzi do niego. Być może jego wrodzona życzliwość? Ale przecież traktuje wszystkich tak samo, jego głos rzadko się zmienia - podobnie, jak zauważyła, mówi do swojego ojca, jak do Robbiego. Nawet podczas kilku wizyt swej matki zachowywał się tak samo.

Och, ona! Nigdy, przenigdy się nie zrozumieją. Ona nigdy nie zapomni tego ich ostatniego spotkania.

Było to tuż po Bożym Narodzeniu, w pokoju z tarasem. Agnes ubrana była w zimowy płaszcz z wielkim futrzanym kołnierzem i obszytymi futrem rękawami. Kupiła go od swych drogich przyjaciółek. Drogo za niego zapłaciła; cztery funty i dziesięć szylingów, ale dostała jeszcze odpowiedni kapelusz. Miała ten płaszcz na sobie kilka razy i już się do niego przyzwyczała. Ale wtedy, gdy spotkały się tamtego dnia, kobieta przyjrzała się jej dokładnie w najwyższym zdziwieniu, przewiercając ją wzrokiem na wylot. Agnes nie powstrzymała się i wyrzuciła z siebie: „Tak, moja pani! Z pewnością widziała już pani ten płaszcz wcześniej. Na pewno pani Bretton-Fawcett jest pani znajomą. Być może również wiadomo pani, że ta pani płaci za swoje wyroby modniarskie używanymi ubraniami, a ja korzystam z tego, dzięki moim przyjaciółkom, modniarkom”. Słuchając tych słów, Grace Farrier aż otwierała kilkakrotnie usta ze zdziwienia, potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Później, gdy Agnes zrelacjonowała to wydarzenie Charlesowi, popatrzył na nią przez chwilę i powiedział: „Jesteś najbardziej zaskakującą osobą na ziemi. Nikt chyba nie mówi tak szczerze jak ty”. Odpowiedziała mu wtedy: „Nie zawsze mówię prawdę, bo czasami można kogoś w ten sposób zranić. Przekonasz się jeszcze o tym, panie Farrier, że jestem dyplomata, ekspertem w departamencie kłamania jak z

nut”.

Jakie to cudowne, pomyślała, że rozmawiają ze sobą w ten sposób, że rozumieją się, jak gdyby znali się od lat.

- Agnes.

- Tak, kochany.

- Czy chcesz mieć dzieci?

Spojrzała na niego czule, z miłością i odpowiedziała:

- W tej chwili chcę mieć jedynie ciebie.

- To nie jest odpowiedź. Powiedz mi, bez tej twojej dyplomacji, na której tak doskonale się znasz, czy chcesz mieć dzieci?

- Jeśli ty chcesz, to tak. Jeśli nie, to nic nie szkodzi. Taka jest prawda. Tak czy inaczej, niewielka to różnica.

- A gdybym miał przekazać dziecku tę chorobę?

- zapytał, a Agnes odparła: - To nie jest dziedziczne, ty tylko się tym zaraziłeś. O ile mi wiadomo, takich chorób nie można przekazać potomstwu..

Sceptycznie ściągnął usta i chciał coś powiedzieć, ale właśnie zadzwieczał dzwonek i Charles odezwał się niecierpliwie: - No zobacz, nawet nie minęło pięć minut!

- Jestem tu już od godziny i w sobotę znowu przyjadę, kochany. Przy okazji, czy spodziewasz się jeszcze kogoś?

Wiedział, o kim myśli: - Nie, nie sędzę. Mama wybiera się z przyjaciółką do Berwick na kilka tygodni. Ojciec stacjonuje w tej okolicy, wiesz. O, chyba jeszcze nie widziałem, żeby mężczyzna aż tak się zmienił. Ubyło mu dwadzieścia lat, bo znowu tam jest, bawi się jak dawniej. Nie powinienem tak mówić... Był tam potrzebny i w końcu to jego całe życie. Choć nie jest to czynna służba, praca w komisji egzaminacyjnej sprawia mu wiele satysfakcji. Czy nie byłoby to dziwne, gdybym musiał i ja tam z nim pojechać? O, mówiłem ci? Kupili samochód. Wojsko zarekwirowało wszystkie konie, a ojciec uważał, że trzeba zadbać o środek transportu dla mamy, chociaż ciągle jeszcze są Hector i Bruce. Mają już po piętnaście lat i najwyraźniej są już za stare dla wojska. Jestem z tego zadowolony, bo wciąż pamiętam ten dzień, kiedy trafiły do naszej stajni jako dwulatki i były takie pełne temperamentu.

Gdy dzwonek dał się słyszeć ponownie, Agnes szybko pochyliła się nad nim i ucałowała go w usta. Charles przytrzymał ją na moment, spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział: - Wie pani, że to nie jest tutaj zalecane, panno Conway.

- Uwielbiam łamać zasady. - Tu zawiódł ją głos i Agnes nie była w stanie powstrzymać napływu łez.

- Tak cię kocham. Nie przestaję o tobie myśleć, najdroższy. Dbaj o siebie, kochany i rób, co ci mówią, a szybciej wrócisz do domu.

Charles nie odpowiedział, tylko leżał obserwując, jak Agnes odchodzi wąskim tarasem podzielonym przepierzeniem na cztery części, jak podnosi rękę w pożegnalnym geście; odpowiedział tak samo.

Po kilku minutach Agnes rozmawiała z siostrą przełożoną: - Czy są jakieś zmiany na lepsze, siostrzo? - zapytała. - Jest taki wymizеровany.

- Cóż, to normalne. Jest lepiej, chociaż jest niesforny, nasz pan Farrier, ale oczywiście nie przestaje być stuprocentowym dżentelmenem.

- Uśmiechnęła się szczerze. - Ale gdyby tylko w zeszłym tygodniu zdobył swoje ubrania, jestem pewna, że miałyby pani gościa.

- Sądzę, że się poprawi. Ale jak długo to jeszcze potrwa...? Proszę o szczerą odpowiedź.

- Dwa, dwa i pół, do trzech miesięcy. To wszystko razem uczyni rok. Ale będzie musiał na siebie bardzo uważać. Czy pani rozumie? Wykluczona mokra pościel, przemoczone buty, bardzo byłoby dla niego wskazane, by mieszkał poza miastem, gdzieś w górach, by miał dużo świeżego powietrza. Wiadomo mi, że państwo mieszkają w centrum Newcastle. Nie sądzę, by był tam dla niego odpowiedni klimat. Chociaż

- wolno pokręciła głową - tysiące chorych na suchoty mieszkają w miastach położonych nad rzeką. Niektórzy jakoś to znoszą. Jak sądzę, to wszystko zależy od organizmu, a jeśli chodzi o pana Farriera, myślę, że jego organizm funkcjonuje bez zarzutu. - Przekrzywiwszy głowę lekko na bok, przełożona próbowała sprytnie wypytać Agnes. - Oczywiście poznała pani jego rodzinę?

Agnes wiedziała, że przełożona nie oczekuje jedynie prostej odpowiedzi: tak czy nie, ale także jej opinii na temat jego rodziców, a szczególnie matki. Zbyła to pytanie, mówiąc: - Tak, poznałam ich. Wszyscy są bardzo do siebie przywiązani.

- Ach - w tym jednym słowie zawarte było całe zdziwienie, jakiego przełożona doznała, usłyszawszy odpowiedź, bo było więcej niż pewne, że pani Farrier rozmawiała z nią tym swoim niezwykle uprzejmym i protekcyjnym tonem, zarezerwowanym jedynie dla służby.

Agnes pożegnała się z siostrą zaznaczając, że w sobotę będzie chciała znowu się z nią spotkać.

W autobusie siedzenia były bardzo twarde i podróż powrotna zdawała się ciągnąć bez końca.

Panna Belle właśnie kładła kapelusz na stojaku na froncie wystawy, gdy spostrzegła Agnes i gestem zaprosiła do środka. Otworzyła drzwi i weszła, ale nie zdejmowała ręki z klamki, rozglądając się i mówiąc:

- Wstąpię później, panno Belle. Muszę biec na górę i pomóc matce. Nie było mnie przez kilka godzin.

- O, nie będę cię zatrzymywać, moja droga. Chciałam ci tylko powiedzieć, że cudownie wyglądasz. Te fatałaszki są dla ciebie stworzone, specjalnie dla ciebie.

Agnes wymusiła uśmiech, wyciągając szyję do starszej kobiety. - Nie były zrobione dla mnie, panno Belle. Obie wiemy, dla kogo je uszyto.

- Tak, tak - panna Belle zaśmiała się, kiwając lekko głową. - Była wczoraj, ale niczego nie przyniosła. Oczywiście znowu zamówiła dwa kapelusze dla siebie i jeden dla córki. Może trudno to sobie wyobrazić, ale mówi, że zatrudniła się do prac społecznych. Ciekawa jestem, co ona robi. Nie sprecyzowała, co robi, ale mówiła coś o szpitalu w mieście. Tak więc, jak mówi Rene, niech Bóg ma chorych w opiece.

Agnes ciągle uśmiechała się do własnych myśli, gdy przekroczyła próg domu. W sklepie ze słodyczami zatrzymała ją Nan. - Czy mogłabym zająć panience minutkę? Obsłużę tylko tego brzdąca.

Agnes poszła do magazynku i czekając na Nan zdjęła kapelusz i płaszcz. Nan wskazała na płaszcz, który Agnes trzymała przewieszony przez rękę i powiedziała: - Ach, zawsze podziwiam panienkę, gdy się tak odstawi. Wygląda panienka cudownie.

- W jakiej sprawie chcesz ze mną rozmawiać? Coś się stało?

Nan opuściła na moment głowę, potem odezwała się:

- Chodzi o moje odejście.

- Odejście? Ze sklepu?

- Tak, panno Agnes. Moja kuzynka, Mary Ellen z Howdon, pracuje w fabryce i... to jest tak... zarabia dwadzieścia pięć szylingów na tydzień. Wiem, że panienka podwyższyła mi do dwunastu i że to naprawdę dużo za taką pracę, ale to tylko połowa tego, co ona zarabia. Nigdy nie udaje mi się kupić czegoś dla siebie z mojej zapłaty, a zresztą mama bierze wszystko. Tak więc, jeżeli nie ma panna nic przeciwko, chciałabym złożyć wypowiedzenie i opuścić sklep za dwa tygodnie. Myślę, że to w porządku. Płacę otrzymuję co tydzień.

- O, Nan.

- Przepraszam, panno Agnes... Naprawdę mi przykro, ale, jak mówi moja mama, w dzisiejszych czasach każdy musi troszczyć się o siebie. Niektórzy bogacą się z dnia na dzień. Wojna najprawdopodobniej nie skończy się tak szybko, bo dostajemy wszędzie w skórę. Chłopaki padają jak muchy. Przedtem nie miałam specjalnych widoków na męża, moja mama tak mówi, a teraz, kiedy wybiją wszystkich młodych facetów, baby będą się zabijały po wojnie, by tylko jakiś im wpadł w ręce. Mama mówi, że na jednego faceta będzie dziesięć kobiet, a w takim przypadku nie mam na co liczyć. Tak więc muszę zacząć sama troszczyć się o siebie, panno Agnes.

- Rozumiem, Nan... Ale przykro mi, że odchodzisz i będzie mi Ciebie brakowało. Musisz jednak robić, co uważasz za najlepsze dla siebie.

- Dziękuję, panienko. Mówię pani, że mnie też będzie tego wszystkiego brakowało. Pani i pani ojciec byliście jak ogień i woda. On trzymałby mnie do północy i nie dałby ani pensa więcej. A jak przy nas zadzierał nosa! Ale przecież sam stał czasem za ladą, czy nie tak? Skomplikowany był z niego człowiek.

- Tak, Nan, dokładnie jak mówisz, był skomplikowany. Muszę już iść na górę. Nie martw się, przyjmuję twoje wymówienie, ale będę bardzo zadowolona, jeśli zostaniesz jeszcze przez te dwa tygodnie.

- O tak, panno Agnes, zostanę. Dziękuję, bardzo dziękuję. Ale powiem pannie jedną rzecz. - Była już w drzwiach prowadzących do sklepu, gdy odwróciła się i powiedziała: - Mogę pannie obiecać, że do

śmierci nie wezmę do ust choć jednego cukierka. Miałam je tu całe lata, przesiąknęłam ich zapachem. Wystarczy, że zobaczę cytrynę, a już myślę o kwaśnych dropsach. Wie panna, bo wtedy, kiedy otwiera się słoje...

- Tak, tak. - Agnes odwróciła się szybko i weszła na schody.

Gdy znalazła się w kuchni, matka wstała od plecionej kołyski ustawionej przy piecu, przy której klęczała, i stwierdziła oczywistą rzecz: - Już wróciłaś.

- Tak, wróciłam.

- Co z nim?

- No cóż, wygląda tak samo, jak do tej pory. Schudł chyba trochę. Mówi jednak, że od miesiąca jego waga się nie zmieniła. Siostra przełożona powiedziała, że jeszcze jakieś trzy miesiące i powinien wyjść.

- To dobrze, dobrze.

- A co z nią? - Agnes spojrzała na dziecko w kołysce ssące smoczek. - Jak się masz, Betty Alice? Byłaś grzeczna?

- Zawsze jest grzeczna - Alice nastawiła czajnik.

- Mogłabyś zaparzyć herbaty?

- Tak, tak, oczywiście. Gdzie Jessie?

- Poszła z nim do jego domu. Jego matka przysłała wiadomość, że następny z ich zgrai idzie na wojnę. Chyba ten Mike. Willie i James, o ile mi wiadomo, już trzepią Niemcom skórę, jak pani Felton określa ich zadanie we Francji. Jessie mówi, że będzie musiała nieźle pracować nad Robbiem, żeby nie zechciał pójść w ich ślady. On boi się, żeby nie nazwano go tchórzem. Poszedłby albo do marynarki, albo na frachtowiec trampowy, ale Niemcy nie przebierają i zatapiają zarówno statki wojenne, jak i dostawcze. Ona stale o tym myśli. Cud, że dziecko jeszcze chce ssać jej mleko, bo wiadomo, że mleko matki ze zmartwień kwaśnieje.

- Pójdę się przebrać, zanim woda się zagotuje.

- Agnes powolnym krokiem wyszła z kuchni. Jej nogi były jak z ołowiu, jakby była bardzo zmęczona. I faktycznie była zmęczona, psychicznie i fizycznie. Teraz, kiedy sama zajmowała się całym interesem, wydawało jej się, że nie ma wolnej chwili. Z powodu wojny

obrót tytoniem i słodyczami prawie się podwoił. Co dziwne, do trafiki przychodziły częściej kobiety niż mężczyźni, natomiast cukierenkę odwiedzali przeważnie mężczyźni i to nie po dziesięć deko czekoladek, jak dawniej, ale po całe pudła. Na ostatnie Boże Narodzenie zrobili dziesięć partii cukrowych myszek i prawie tyle samo kotków. Wczoraj powiedziała matce, że przez ostatnie lata dochody trzymały się na tym samym poziomie, ale teraz po prostu strzeliły w górę w zawrotnym tempie i że ledwo daje sobie radę, a co to by było bez Jessie i także bez Robbiego.

Jakie to dziwne, że życie samo tak się układa po trudnych i nieoczekiwanych momentach załamania. Jak się zmienił stosunek jej matki do Jessie, z którą - mogła to mówić - nie była spokrewniona? Były naprawdę jak matka i córka, jak nigdy przedtem. Matka po prostu ubóstwia dziecko, chociaż ciągle mówi o ojcu dziecka „on” i nigdy nie używa jego imienia. Dziwne też, jak dobrze układa się w tym małżeństwie dwóch przeciwności, bo ci dwoje nie byli w stanie ukryć swego szczęścia, podobnie jak Agnes i Charles.

Nie zabrała się natychmiast do zdejmowania sukni, ale usiadła na brzegu łóżka i zapytała samą siebie, dlaczego ma taką ochotę położyć głowę na poduszce i płakać.

Z Charlesem jest coraz lepiej i za trzy miesiące ma się odbyć ich ślub. Ale czy naprawdę? Wtedy nad rzeką podsunął jej pomysł załatwienia ślubu Jessie i Robbiego na specjalnych warunkach, tak więc co ją miało powstrzymać przed załatwieniem tego podobnie, jak tylko Charles wróci do domu? Ale on chciał, żeby Reg był ich drużbą. Tak go lubi. Ale czy i Reg go tak lubi? Sądziła, że tak, bo przecież spędził z nim tyle czasu podczas swojej ostatniej przepustki.

Reg. Często myślała o nim, że jest tam, walczy w tej przerażającej wojnie. Miała wrażenie, że wojna zmieniła go, przytłumiła jego wesołość. Przyglądała mu się nieraz, jak siedział na brzegu łóżka Charlesa; sprawiał wtedy wrażenie, że jest myślami zupełnie gdzieś indziej. Nawet Charles to zauważył i podzielił się tym spostrzeżeniem z Agnes, gdy byli sami.

- To nie piknik, tam w Europie - powiedział. - To musi być zupełnie piekło, bo on nie chce o tym nawet mówić. Omija nawet temat

warunków, w jakich żyją. Jedynie przechodzą mu przez gardło obelgi pod adresem generalicji, a to bardzo wiele mówi. Cholerni generałowie, powiedział, nie narażają swojej skóry w tej ich zabawie kredkami po mapie.

Agnes rozejrzała się po swoim pokoju. Czy może sprowadzić tu Charlesa? Nie może przecież pozbawić matki jej pokoju. Poza tym przełożona powiedziała, że nie powinien mieszkać w mieście. Ale co z interesami?

Wyciągnęła się i oparła łokciem o nocny stolik, chowając głowę w dłoniach. Tak przesiadła kilka minut. Gdy się wyprostowała, kiwnęła głową patrząc na szafę, jakby ten mebel właśnie domagał się odpowiedzi i wymamrotała: - Tak, mogłabym tak zrobić. Robbie jest porządnym, uczciwym facetem; zajął się pracą w fabryce.

- Przypomniała sobie właśnie, jak śmiał się, kiedy nazwała fabryką ten budynek przepelniony wrzącą, lepką, słodką masą. Oburzona odpowiedziała mu dosadnie: „Tutaj coś się produkuje. Produkuje słodycze. To fabryka”. Przeprosił we właściwy sobie gburowaty sposób. Jeżeli nie zaciągnie się w następnych miesiącach, | zostawi mu do prowadzenia fabrykę i nauczy zasad handlu hurtowego, a Jessie, pod okiem matki, będzie pomagała w obu sklepach - oczywiście dopiero wtedy, gdy ona się wyprowadzi, a wtedy tamci dwoje przeniosą się tu na górę i znowu będzie można wynajmować domek. Wstała z łóżka. Już wszystko było ustalone

- przynajmniej na tyle, na ile w tym stanie rzeczy mogła sama decydować.

- Bardzo wygodnie urządzone. Wiem, co Charlie ma na myśli,



mówiąc o tym pokoju.

Reginald siedział z wyciągniętymi nogami na kanapie, wpatrzony w roziskrzony ogień. Gdy odwrócił się wreszcie i spojrzał na Agnes nalewającą herbatę, jej widok przykuł jego uwagę na pewien czas. Powiedział: - Jutro o tej porze staniesz się członkiem naszej rodziny? Obawiasz się tego?

Postawiła imbryk na podstawce, ale ciągle trzymała jego rączkę, gdy odwróciła się mówiąc: - Obawiam się? A to dlaczego? Może jednak powinnam się czegoś obawiać?

- To było głupie pytanie, szczególnie znając ciebie. Ale mogę ci powiedzieć, że Charlie się obawia. Boi się, że w ostatniej minucie coś się stanie i nie będziecie mogli się ostatecznie połączyć. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, co on do ciebie czuje? O, to następna głupia uwaga. W każdym razie, Charles uznał, że nie powinien przychodzić. Zbiera siły na jutro.

- Czy na pewno wszystko z nim w porządku? Chodzi mi o to, czy nie ma... nawrotów?

- O, nie, nie. Nic z tych rzeczy. Zapewniam cię, że nie zostałby w domu, gdyby byli tam nasi rodzice, wczoraj jednak ojciec zabrał mamę do Harrogate tym piekielnym pojazdem. Samochodowi nie można niczego zarzucić, tylko chodzi o to, jak Banks prowadzi. Widząc go pędzącego drogą, pomyślałabyś, że próbuje umknąć ścigającej go niemieckiej kolumnie. Zupełnie, jakbyś dała dziecku zabawkę. I jestem pewien, że faktycznie to jest dla niego zabawka. Rozmawiałem o nim z ojcem tuż przed ich wyjazdem i - roześmiał się - odpowiedział: „Banks jest w porządku. Pewny, jak opoka”. Przekonałem Charlesa, by został w domu. Powiedziałem mu, że muszę się upewnić, że wszystko jest ustalone z drugą stroną w tym interesie - skrzywił się. - Czy pamięta godzinę? Ja mam obrączki i tak dalej.

- Proszę, napij się herbaty.

Wziął od niej filiżankę i w milczeniu powoli sączył napój, ale gdy Agnes wręczyła mu talerz z maślanymi bułeczkami, ogarnięty chłopięcym łakomstwem, powiedział: - O tak, tak. Skosztuję jedną lub dwie.

Zjadł dwie bułeczki i wypił jeszcze jedną filiżankę herbaty, potem

znowu rozsiadł się wygodnie, z wyciągniętymi nogami. Odprężony, siedział w milczeniu. Agnes też nic nie mówiła, przyglądała mu się ze swego miejsca na drugim końcu kanapy. Zmienił się. Ciągłe był wyjątkowo przystojny, ale jego twarz nabrała posępnego wyrazu. Niebieskawy cień nieznacznego zarostu podkreślał jedynie szarość jego cery. Wcześniej był szczupły, ale teraz można było o nim powiedzieć tylko, że jest chudy.

Agnes wystraszyła się, gdy Reginald nagle się odezwał:

- Przyglądasz mi się i myślisz: jak on się zmienił. Prawda? Taki był z niego przystojny facet. Co się z nim stało?

- Zanim Agnes mogła potwierdzić lub zaprzeczyć, wyprostował się, przyciągnął do siebie nogi, oparł łokcie na kolanach i patrząc na buty, warknął: - Cholerna wojna.

- Potem jego głowa opadła na bok i lekko zmienionym głosem dodał: - Nie będę przeproszał za określenie, bo przy tobie nie muszę. To jest faktycznie cholerna wojna. To mój drugi urlop. Za każdym razem, jak schodzę z tej łajby, chce mi się wprost wyć, kiedy widzę wokół to samozadowolenie. Nikt nie ma pojęcia, co tam się dzieje, za wyjątkiem tych nadętych ministrów z Whitehall. O, oni doskonale wiedzą. Kitchner też wiedział, jeszcze zanim odszedł. Powiedział im, że to potrwa co najmniej trzy lata. Wierzyli mu? Czy robili sobie coś z tego? Wiesz, Agnes, że pochodzę z rodziny o głębokich wojskowych korzeniach; sześć pokoleń wojowników, wszyscy żołnierze. Strzelanie, zabijanie i obcowanie ze śmiercią było zawsze częścią życia każdego mężczyzny w mundurze. Ale to, co tam się wyprawia, to nie jest zwykłe zabijanie, to nie jest rzeź, to po prostu masakra. To...

Twarz Reginalda wykrzywiła się w takim paroksyzmie bólu, że jego oczy zniknęły gdzieś w pomarszczonej skórze. Zerwał się, ukląkł przy Agnes i schwycił ją za ręce, mówiąc: - O mój Boże! Co ja wygaduję? Przepraszam cię, Agnes. Bardzo cię przepraszam. Nie zwracaj na to uwagi. Jestem... - Nagle podniósł się, ciągle trzymając ją za ręce. Stał tak blisko, że nie mogła się podnieść. Patrząc na jej twarz, powiedział: - Tak, co to miałem powiedzieć? Przepraszam. Przykro mi, tak mi przykro. Proszę, Agnes, nie bądź taka smutna.

- Nie jestem smutna... jedynie smutno mi z twojego powodu.

Puścił jej ręce, odwrócił się i podszedł do kominka. Oparł dłonie o gzyms i spuścił głowę. Powiedział: - Tego nigdy sobie nie wybaczę. Co, na Boga, mnie opętało?

Agnes powoli wstała z fotela, podeszła do niego i położyła rękę na jego ramieniu, mówiąc ciepło: - Proszę, nie przepraszaj, Reg. Rozumiem cię. Muszę ci wyznać, że cieszę się, iż możemy rozmawiać w ten sposób. Będę zawsze traktowała szczególnie to, iż tak właśnie postąpiłeś.

Nie odwrócił się do niej, tylko powiedział cicho:

- Pójdę już.

- Nie zrobisz tego. - Cofnęła się i dodała ożywionym głosem: - Mama przygotowuje właśnie poczęstunek, a ona wkłada w to całe swoje serce. No, chodź, usiądź. Przyniosę ci coś do picia, coś mocniejszego od herbaty. Pijesz whisky z wodą?

Odwrócił się do niej i z wymuszonym uśmiechem odparł: - Tak, Agnes, whisky piję z wodą.

- Usiądź więc, za chwilę wrócę.

Jeszcze nie zdążyła wyjść, gdy Reginald znowu wsparł się o gzyms kominka i wydusił z siebie: - Boże najśłodszy! Co mnie napadło? Muszę się stąd zabierać, uciec od tego wszystkiego, wrócić tam.

Wystraszył się słysząc niespodziewanie głos: - Proszę, napij się. Nie stój tak blisko ognia, bo okopczysz sobie spodnie. - Podała mu szklaneczkę ze słowami: - Usiądź. Za jakieś dziesięć minut obiad będzie gotów. Zjesz w kuchni, a jeśli ci się to nie podoba, wiesz, co możesz zrobić.

- Agnes.

- Tak, co takiego?

- To bardzo miło z twojej strony, ale sędzę, że powinienem wrócić do Charliego.

- Wrócisz do niego, jak uszczkniesz coś z tego obiadu. Możesz wyjść zaraz po posiłku. Tak więc usiądź. Ta godzina nie robi wielkiej różnicy. Robię dokładnie to, czego oczekiwałby ode mnie Charles, jestem tego pewna. Za chwilę wrócę.

Weszła do kuchni w chwili, gdy Jessie miała wychodzić. Niosła kołyskę wyścieloną udrapowanym jedwabiem. - Zabiorę ją do domku. Nie sprawiłoby mu przyjemności wachanie pieluszek przy obiedzie.

- Nie miałby nic przeciwko temu.

Alice spytała: - Jak wygląda stół?

- Doskonale. W Hall nie zobaczyłby wspanialszego.

- Nie dałabym za to głowy. Sądzisz, że to dobre wino?

- wskazała butelkę w końcu stołu, a Agnes odparła:

- Dobrze, złe, średnie, będzie mu smakowało albo powie, że mu smakuje.

- Chyba schudł.

- Tak, trochę.

- Mówi o tym, jak tam jest?

Agnes zawahała się, zanim odpowiedziała: - Niewiele. Oni o tym nie mówią, a ja to rozumiem.

- Ciągle myślę o Johnnie Tempie. Tak chciał wyrwać się z warsztatu i dostać się na kontynent. Tak opowiadał, że tam zostanie. To już trzeci z tej rodziny. Wszyscy synowie. Zostały cztery dziewczyny, ale co to dla matki, która miała synów...? No, lepiej idź i zaproś go tutaj. Jestem trochę zdenerwowana. Ciekawa jestem, czy mu będzie smakowało.

- A komu by nie smakowało twoje pieczone jagnię z wołowym puddingiem, świeżymi warzywami i szarlotką na deser? - uśmiechnęła się do matki, która teraz kiwała z zadowoleniem głową, słysząc te komplementy. Potem wyszła i udała się do salonu. Wchodząc, zdziwiła się, że Reginald nie podniósł się, gdy pojawiła się w pokoju, tak jak Charles miał w zwyczaju, gdy widział kobietę w drzwiach. Jednak, gdy zbliżyła się do kanapy, poznała powód. Mocno spał. Wcisnął się w róg kanapy i oddychał miarowo. Agnes stała, przyglądając się. Przystojny mężczyzna. Nic dziwnego, że, jak powiedział Charles, nie mógł opędzić się od kobiet, a mimo to Charles nigdy nie zauważył, żeby którąś z nich darzył szczególnymi uczuciami. Wręcz przeciwnie, kiedy kobiety były zbyt natarczywe, denerwowały go. Jedna z Newcastle ostatnio narobiła mu wiele kłopotów, bo okazało się, że jest żoną jednego z jego przyjaciół.

Agnes wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, ale zrezygnowała. Niech śpi, musi tego bardzo potrzebować, skoro tak zasnął. Być może nie bez znaczenia była ta niemała porcja whisky. Z

obiadem nic się nie stanie, nie wystygnie.

Chciała położyć jego nogi na kanapę i przykryć go kocem, ale powstrzymała się, bo z pewnością by go to obudziło. Po cichu wyszła z pokoju i poszła z powrotem do kuchni. Z westchnieniem spojrzała na stół i powiedziała do matki: - Śpi jak zabity.

- Co?!

- Nie słyszysz? Śpi jak zabity.

- Nie obudzisz go?

- Coś ty? Musi mu bardzo brakować snu, jeśli zasnął podczas wizyty.

- No tak - westchnęła Alice. - A stół tak ładnie wyglądał. No nic - uśmiechnęła się - i tak jeszcze możemy zjeść. Włożę to z powrotem do pieca i przykryję, żeby nadto nie wyszło. Jak myślisz, jak długo może spać?

- Jak się sam nie obudzi, to dam mu godzinę. Nie więcej, bo przecież ma jeszcze zobaczyć się z Charlesem, o ile pamiętam.

- Tak, dokładnie tak.

- No, to zacznijmy jeść, a jak tu wejdzie, powiem: Zamykamy o siódmej, proszę pana, przykro mi.

Zaśmiały się, a Alice odwróciła się i wyjęła z piecyka brytfannę ze skwierczącą jagnięcą łopatką. - Chyba się z tego nie wyleczę aż do śmierci - powiedziała. - Zamykanie sklepów o siódmej. Chyba on przewraca się przez to w grobie, jeśli nie ma innych powodów.

- O, mamó - Agnes z trudem powstrzymała się od śmiechu. Ta kobieta tak się zmieniła, ciągle ją zaskakiwała...

Reginald spał godzinę i piętnaście minut i nie mógł potem sobie darować, że zasnął. Tak przepraszał, że Agnes aż krzyknęła na niego: - Przestań! Na litość boską, zjadaj i wracaj do Charlesa, bo inaczej sam tu przyjdzie cię szukać.

Kiedy się zarzekał, że w żadnym wypadku nie może jeszcze teraz jeść, obie kobiety napadły na niego. Alice popchnęła go na kanapę, mówiąc: - Nie wyjdzie pan stąd, aż zje. Nie po to poświęciłam pół dnia, żeby się to teraz zmarnowało.

Po pół godziny stał w drzwiach salonu gotowy do wyjścia, w zapiętym płaszczu, z przyczesanymi włosami, czapką w ręku.

Powiedział cicho: - Do końca życia będę pamiętał ten wieczór. - Potem, po chwili, gdy patrzyli na siebie, zadał dziwne pytanie: - Czy znasz jakiś fragment trzydziestego drugiego psalmu, Agnes?

- Nie, niestety nie. Znam tylko ten bardzo popularny, który wszyscy znają: „Bóg jest mym pasterzem”.

- W mojej jednostce jest jeden gość, który potrafi wyrecytować każdy psalm. Niesamowity. Nie zdawałem sobie sprawy, że są takie piękne. Kilka wersów utkwiło mi w pamięci, a szczególnie te trzy na końcu jednej ze zwrotek. To jakoś tak:

*Ty jesteś dla mnie schronieniem,  
Od ucisku mnie zachowasz,  
Hymnem zbawienia ogarniesz mnie.*

*[Księga Psalmów, tłum. Czesław Miłosz, Ps. 32, 4 - przyp. tłum.]*

I taka właśnie byłaś dziś dla mnie, Agnes. Byłaś moją ucieczką. - Mówiąc to, nachylił się i pocałował ją. Potem cofnął się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż Reginald się odezwał: - Do zobaczenia rano, o jedenastej. Nie schodź na dół, proszę. - Skończywszy, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Po jakimś czasie Agnes podeszła spokojnie do kanapy, ale tu musiała zgiąć się nienaturalnie, by usiąść, bo całe jej ciało było sztywne. Potem, z ciasno splecionymi rękami, siedziała wpatrując się w ogień.

Od trzech godzin byli mężem i żoną. Wyglądali przez okno ze swojego przedziału, patrząc na grupkę ludzi stojących przy drzwiach pociągu. Jej matka ocierała chusteczką oczy, Jessie trzymała na rękach dziecko, a przy niej stał Robbie. Były tam też panny Belle i Rene, ale Florence musiała zostać w sklepie. Z boku stał Reg. Wszyscy oprócz niego rozmawiali, mówili nowożeńcom, by dobrze się bawili i żeby się nie zdziwili, gdyby nagle wszyscy pojawili się w odwiedzinach, na co Charles energicznie zareagował: - Zróbcie to, jeśli tylko się odważycie.

Reg nic nie powiedział, uśmiechał się tylko, patrząc na nich, ale w jego oczach nie było widać wesołości.

Gdy pociąg ruszył, wszyscy zaczęli machać rękami i wkrótce zniknęli im z oczu. Charles zamknął okno i przyciągnął Agnes do siebie, by przy nim usiadła. Objął ją, położył głowę na jej ramieniu i cicho powiedział:

- Stało się. W końcu stało się. Jesteś moja. Wreszcie, wreszcie moja. Powiedz mi jeszcze raz, najdroższa, że mnie kochasz i że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Kochany, jeśli to nie naprawdę, to już nie żyjemy i jesteśmy w raju.

Wybuchnął śmiechem. Podnosząc głowę, pocałował ją w usta i powiedział: - Proszę mi powiedzieć, *madam*, gdzie jest ten zamek, do którego mnie zabierasz.

- Mój panie, najdalej, jak tylko można sobie wyobrazić. Przesiadamy się w Hexham, potem wysiadamy w Catton. Jeżeli moje listowne polecenia zostały wypełnione, będzie tam na nas czekała dwukółka i pan Taylor. Pan Taylor najwyraźniej zna wszystkich i wie o wszystkim w Allendale i w okolicy. Sam powiedział, że jest uniżonym sługą.

- Tak powiedział?

- Tak, i jeszcze kilka innych rzeczy. Spotkałam się z nim tylko cztery razy, ale już zdążyłam się dowiedzieć, z których sklepów i hoteli w Allendale mam korzystać. Wiem, kogo powinnam unikać jak moru, bo jest rozrzutny lub plotkuje. Także, jeśli miałabym jakiegokolwiek zmartwienie, mogę podzielić się nim z jego żoną, bo wspaniała z niej

kobieta. - Zaśmiała się. - To ona właśnie wysprzątała nasz zamek, Valley Hall... Tylko poczekaj. Zapytałam go, skąd aż taka dumna nazwa, jeśli są tam tylko dwie sypialnie, kuchnia, całkiem duża, salon, niezbyt przestronny, i pomieszczenie zwane jadalnią. Poinformował mnie, że takich domów jest wiele, że jedne mają trzy sypialnie, inne pięćdziesiąt pokoi.

- Mamy tam sąsiadów?

- Nie bliżej niż w promieniu pół kilometra. Ale nic więcej już ci nie powiem. Poczekaj, a sam zobaczysz. Ale Charlesie, to będzie nasz dom, tam przeważnie będziemy przebywali. O, nie wiem, jak to powiedzieć... Ojej!

- Ujęła jego twarz w dłonie. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, nie mogę się już doczekać. Tak jak ty, marzyłam o tym dniu. Jest to moje pierwsze, najdawniejsze marzenie. Marzyłam o tym całe życie. - Przerwała na moment i zapytała: - Jak się czujesz?

- Jestem pełen miłości.

- Nie o to mi chodzi. - Potrząsnęła nim.

- Nigdy lepiej się nie czułem. Naprawdę.

- No, to niech tak już będzie zawsze. Ale, mój panie, wszystko zależy od tego, czy będzie pan robił to, co się panu każe; nie ma mowy o wałęsaniu się po okolicy i przyglądaniu się cudzym domom, jedynie praca nad tą książką, którą zawsze chciałeś napisać.

Przytulił ją do siebie i spoczęli na pluszowym oparciu, z twarzami zwróconymi do siebie. Powiedział poważnie:

- Teraz mam wrażenie, że przechodzę przez drzwi i zbliżam się do wielkiego światła, tak jasnego, że zupełnie mnie oślepia.



Pożegnawszy się po przyjęciu weselnym, Reginald wezwał powóz i pojechał prosto do domu. Pani Mitcham ponarzekła i zapytała go, czy chce na obiad polędwicę wołową czy kaczkę. Odpowiedział jej: - Dziękuję, Mitcham, ale nie jestem głodny. Zjadłem dość obfity lunch. Wiesz, że pan Charles dziś brał ślub?

Pani Mitcham zamrugnęła. Powiedziała: - Tak, wiem, panie Reginaldzie. Wszyscy życzymy mu szczęścia.



- Dziękuję. Przekażę to jemu i jego żonie, gdy się spotkamy.
- Nie podarowaliśmy mu niczego, proszę pana, ale... nie wiedzieliśmy, czy... czy pani nie byłaby temu przeciwna.
- Rozumiem, Mitcham. Rozumiem. Ale pomyśleliście o tym i, jestem pewien, będzie wam za to wdzięczny. No, a co do obiadu, czy mogłabyś zмайstrować jakąś lekką sałatkę i przynieść ją na tacy?
- Tak, proszę pana, natychmiast się tym zajmę.
- O, nie ma pośpiechu. Nie wychodzę dziś wieczór.
- Proszę pana... przykro mi, ale... nie ma dzisiaj pana McCanna i nie będzie mógł pana obsłużyć. Słyszeliśmy, że jego brat został ranny, a że Banks jest z państwem, pomyślałam, że mogę go zwolnić.
- Oczywiście, oczywiście. Mam nadzieję, że to nic poważnego.
- Wszyscy mamy taką nadzieję, proszę pana.

Skinął głową, odwrócił się, przeszedł przez hall i udał się na górę do swojego pokoju. Zdjąwszy wierzchnie ubranie, usiadł przy oknie. Jego pokój znajdował się w lewym skrzydle domu i roztaczał się stamtąd widok na ogród różany. W tym domu, jak i poza nim, wszystko było takie schludne i wymuskane. Chyba nic się nie zmieniło. Wojna nie zmieniła rytmu życia, nie dotknęła służby, z wyjątkiem dwóch mężczyzn z obejścia, Joe Powella, pomocnika ogrodnika, i Micky'ego Bradshawa, osiemnastoletniego chłopca stajennego. Ci dwaj zostali wezwani przez Króla i ojczyznę, i bez wątpienia byli teraz w ogniu chwały. Rozumiał także, dlaczego mała Gladys... Marley z pomywalni, która miała jedynie szesnaście lat, wyniosła się do fabryki, gdzie dostanie trzy razy więcej niż płacono jej tutaj.

- Zje pan polędwicę czy kaczkę? - Przypomniiał sobie pytanie Mitcham. Polędwicę czy kaczkę. Ile by dał za jedno z tych dań na obiad tam, gdy miał przed sobą jedynie wybór między konserwą wołową i konserwowym tym czy tamtym. Nawet jeśli zdarzyło się zjeść jakiś obiad za linią frontu, nie sprawiało mu to żadnej przyjemności, a na dodatek Francuzi zdzierali za to nieludzko. Mimo to w tej właśnie chwili chciał być już tam z powrotem, w tym błocie i smrodzie, w tym nieznośnym fetorze rozkładających się ciał... i widzieć znowu te akty odwagi, na jakie nawet bogów nie byłoby stać, poświęcenie tak zwanych zwykłych ludzi. Ten zwykły człowiek, dzień po dniu, zaskakiwał go i

uczył, czasem nawet uczył miłości. Tak jak ten chłopaczek, zwany Mickeyem Harmonijką, który wychylał głowę za umocnienia, gdy grał na tej swojej cholernej harmonijce. Mówili mu, że któregoś dnia odstrzelą mu głowę. Odstrzelili, ale nie w ten sposób. Młodzieniaszek i zde gustowany sierżant Peters prowadzili między sobą wojnę podjazdową. Tak się jednak stało, że to właśnie Peters pewnego razu ciągnął go, prawie nagiego, do okopu. Ciągnął, ale nie wciągnął, bo nie zdążyli. Zginęli razem. Kiedy skończyło się bombardowanie, z ledwością ich zidentyfikowano. Tego dnia zginął też Steve Beaumont. On i Reginald zaprzyjaźnili się. Mieli podobne poglądy. I Jefferson, recytujący psalmy. Nie wiedział, jak piękne są psalmy. Na początku myślał, że oszaleje od słuchania tych recytacji.

Nagle jego myśli powędrowały innym torem. Ciekawe, co teraz robią. Już dotarli do domku. Miał to przed oczami. Widział ten domek przedwczoraj, kiedy pomagał Agnes zawieźć bagaże. To był prosty dom z kamiennych bloków, jakby przycupnięty na zboczu wzgórza, z którego rozpościerał się widok na dolinę. Okolica była wyludniona, pusta. Wnętrze domu też było skromne, bo, jak powiedziała, nie miała czasu tym się zająć. Ale czy Charles w ogóle zauważył te niewygody? Nie. Ona mu wszystko zastąpi. Ona aż emanuje ciepłem i stwarza poczucie bezpieczeństwa. Nie wiedział, co jest w niej takiego specjalnego, co tak fascynuje. Nie jest piękną, nie jest ładną, ale z przyjemnością patrzy się na nią, słucha się jej i na pewno z przyjemnością trzymałoby się ją w ramionach, przytulało mocno, czule...

Boże najśłodszy! Zerwał się z fotela. Nie może przecież siedzieć tak i rozmyślać przez cały wieczór. Musi się pozbierać. Pójdzie do Combesów albo do Pickeringów...

O nie, nie do Pickeringów. W dzień ślubu Charlesa! Czy Isobel bardzo się gniewa? Wątpił. Bardziej chyba jej rodzice. Nie, wpadnie do Combesów. Will ciągle jest w domu, ale Freddie jest na morzu. Albo do Hammondów. Bliźnięta jeszcze pewnie rozrabiają.

Gdyby jego rodzice nie wracali dopiero jutro, zabrałyby się już dzisiaj do Londynu. Tak. Znalazłby jakąś kobietę lub dwie, upiłby się jak świnia i wtedy wojna i Charles, i Agnes poszliby do wszystkich diabłów na jakiś czas.

Gdy usłyszał pukanie do drzwi, po chwili namysłu zawołał: - Tak, proszę.

Weszła pokojówka, ale nic nie powiedziała, więc on zapytał: - Tak, Rose, o co chodzi?

- Proszę pana... policja., dwóch policjantów. Są... na dole. Chcą... rozmawiać z panem.

- Policja? - Porwał swoją marynarkę z łóżka, założył na siebie, zapiął po samą szyję i założył pas. Potem, spoglądając na dziewczynę trzymającą przed nim otwarte drzwi, spytał: - Wiesz, o co chodzi?

Gdy spuściła jedynie głowę, odszedł spieszenie i zbiegł po schodach. W hallu stali dwaj policjanci. - O co chodzi? Co się stało?

Przytknęli rękę do czoła salutując. Jeden z nich powiedział: - Sierżant Atkinson, kapitanie. Mam bardzo smutną wiadomość, sir.

Kiedy mężczyzna przerwał, Reginald chciał coś powiedzieć, ale poczuł, że ma zupełnie ściśnięte gardło i dopiero po chwili zdołał zapytać: - Czy chodzi o mojego brata i jego żonę?

Policjanci zerknęli po sobie, a sierżant powiedział:

- Nie, nie w związku z bratem... sir... chodzi o pańskich rodziców.

- Moich rodziców? Co z nimi? Mieli wypadek?

- Tak, sir, wypadek, poważny wypadek.

Reginald wyczuł jakieś zamieszanie za plecami i dostrzegł Mitcham i Rosie.

- Proszę tędy - powiedział, odwracając się i kierując do salonu. Policjanci udali się za nim. Gdy drzwi były już zamknięte, spytał: - Co się stało?

- Wypadek na drodze, sir. Wszystko wskazuje na to, że kierowca zjechał z drogi.

- Czy są ciężko ranni?

Policjanci jedynie utkwili w nim wzrok, a on wpatrywał się w nich w milczeniu. Po chwili wykrzyknął:

- O nie! N i e!

- Bardzo mi przykro, niezwykle mi przykro, sir.

- Wszyscy troje?

- Tak. Pułkownik, jego żona i... kierowca.

Odwrócił się i odszedł w głąb pokoju, przyciskając mocno ręce do

czoła, a w głowie miał jedynie uporczywe: Boże najjaśniejszy. Boże najjaśniejszy!

Doszedł do końca pokoju, zawrócił i zbliżał się do policjantów. Zapytał: - Gdzie?

- Jakies cztery kilometry za Durham, sir.

- Za Durham? Co oni tam robili?

- Sądzę, że jechali do domu.

- Przecież mieli wrócić dopiero jutro.

- Tego nie wiem, ale z pewnością jechali do Durham. Nie znam wszystkich szczegółów, ale świadek twierdzi, że jechali bardzo szybko i samochód zjechał z drogi i stoczył się ze stromego nasypu. Ich zwłoki przewieziono do domu pogrzebowego w Durham i teraz czekamy na pańską decyzję, sir. Czy mamy jeszcze kogoś zawiadomić?

- Co?

- Pytałem, czy mamy jeszcze kogoś zawiadomić.

O Boże! Czy jeszcze kogoś zawiadomić. Tak. Tak, brata i jego żonę. Do swojego domku dostaną się stąd za jakieś dwie godziny i to oznaczałoby koniec ich nocy poślubnej.

Ty jesteś dla mnie schronieniem; od ucisku mnie zachowasz; hymnem zbawienia ogarniesz mnie.

Boże Wszchemogący! Co się z nim dzieje? Chyba popada w obsesję. Nie po raz pierwszy naszły go podobne myśli. Powiedział: - Poinformuję braci. Jeden jest w tej chwili we Francji, a drugi... drugi właśnie się ożenił... dzisiaj.

- O, tak mi przykro, sir, doprawdy mi przykro. - Po chwili dodał: - Muszę, niestety, pana zawiadomić, że będzie musiał się pan stawić w Durham i zidentyfikować zwłoki.

- To ja będę musiał to zrobić?

- Tak byłoby najlepiej. Potem zadecyduje pan, czy chce, żeby przewieziono ich do domu, czy żeby zostali tam aż do chwili pogrzebu. Będziemy czekali na zewnątrz. Mamy zapewniony środek transportu.

Nie wiedział, co robić. Myślał, że już się nie ruszy z miejsca. Będzie musiał zidentyfikować zwłoki rodziców i Banksa... Tak, Banks, on zawsze zachowywał się za kierownicą tego wozu jak cholerny wariat. Dlaczego, na Boga, ojciec nic z tym nie zrobił?

- Możemy poczekać, sir.

- O tak. - Wyprostował ramiona. - Będę musiał... powiedzieć służbie. Proszę usiąść. Nie potrwa to długo. Tylko kilka minut.

Służba już wiedziała. Czekali na niego w kuchni, zapłakani. Okazało się, że nie jest w stanie do nich przemówić, wywołał tylko panią Mitcham na korytarz i tam powiedział: - Muszę udać się z policjantami, Mitcham. Zajmiesz się wszystkim... co tylko jest do zrobienia w takich okolicznościach?

- O tak, proszę pana. Proszę się o nic tutaj nie martwić. O Boże, Boże, jakie to straszne... nigdy nie pozbieramy się po tym. Ten dom tego nie przetrwa. To wszystko przez ten samochód. Jak Coleman mówił, już nigdy nie będzie tak, jak w czasach, zanim się na podjeździe pojawił ten diabelski wynalazek.

- Tak, tak. Muszę już jechać. Najprawdopodobniej wrócę dopiero jutro. Przenocuję w Durham, a potem pojedę do pana Charlesa.

- O tak, pan Charles. - Zakryła oczy dłonią. Odwrócił się i jeszcze raz prostując plecy, marszowym krokiem przeszedł przez hall do salonu. Tam powiedział do policjantów, którzy podnieśli się z kanapy: - Jedziemy więc - tak, jakby zwracał się do swoich żołnierzy.

Nie odpowiedzieli, lecz podążyli za nim, myśląc: Przyjął to jak prawdziwy żołnierz. Pewnie jest bardzo doświadczony.

#### 4

To był piękny poranek. Strugi światła wpadały przez małe okienko, prześlizgiwały się nad prostym, drewnianym zlewem i równie prostym drewnianym stołem kuchennym, przykrytym kraciastym obrusem, który nosił ślady śniadania.

Siedzieli obok siebie. Charles smarował masłem grzankę.

Wskazując na pusty talerz, który przesunął na bok, powiedział: - Wiesz, nie przypominam sobie, kiedy... tak naprawdę nie pamiętam, żebym kiedykolwiek jadł takie śniadanie. Dwa jajka, dwa plasterki bekonu, kaszanka i kiełbaska. - Agnes nalewała herbatę do filiżanki, zaś on, odkładając nóż na talerz, wyciągnął ręce, chcąc do siebie przyciągnąć żonę. Agnes jęknęła: - Uważaj, imbryk, wylejesz na siebie i na mnie.

- No, to zostaw tę filiżankę i imbryk w spokoju i zajmij się mną, pani Farrier. I pamiętaj na przyszłość i na zawsze, że ja jestem na pierwszym miejscu.

- Tak, sir, ale dopiero, gdy naleję ci herbaty i sobie też. Bądź więc łaskaw powstrzymać się na moment aż skończę, co zaczęłam? Zawsze lubię kończyć, co zaczynam.

Tak jakby oboje znali ten sekretny żart, wpatrzeni w siebie, roześmiali się w jednej chwili. Agnes postawiła imbryk, odwróciła się do niego i po raz kolejny zatopili się w swoich ramionach. Wyglądało to tak, jakby od chwili przekroczenia progu domku nie wypuszczali się nawzajem z objęć.

- Szczęśliwa?

- O, najukochańszy! - Pogłaskała go po policzku.

- Obojętnie jak długo będziemy razem, nigdy chyba nie pojmiesz, jaka jestem w tej chwili szczęśliwa. Odmieniłeś całe moje życie i nawet wszystkie marzenia na przyszłość.

- Wiesz, słyszę, jak to mówisz, ale tak naprawdę nie mogę w to uwierzyć, bo nie przypuszczałem, że to stanie się kiedyś moim udziałem. To się po prostu nie zdarza często. Mężczyzna żeni się w późniejszym wieku, z rozsądku, dla wygody, tak jak to robi Reg, który będzie musiał przekazać nazwisko przyszłym pokoleniom. Ale miłość, taka, jaką ja ciebie darzę, nie ma z tym nic wspólnego, taki powód małżeństwa nie przeszedłby mi nawet przez myśl. W tamte święta z cukrowymi myszkami coś się we mnie zmieniło. Z początku sobie tego nie uświadamiałem, a gdy zaczęło do mnie docierać, potraktowałem to jako klęskę. Wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Potem moje uczucia zmieniły się i zrozumiałem, że coś odnalazłem, ale muszę postępować bardzo ostrożnie, bo inaczej, utracę to.

Agnes układała głowę na jego ramieniu, ale nagle cofnęła się,

mówiąc: - Spójrz, mamy gościa. Ktoś podchodzi na wzgórze. Założę się, że to pani Ferguson z mlekiem. - Zmieniła głos: - Byłam tylko ciekawa, jak sobie radzisz, kochaniutka. Będziesz jeszcze coś chciała? Tylko poproś, tylko poproś.

Oboje się roześmiali Charles odwrócił się i spojrzał przez okno. Wykrzyknął: - Agnes, to nie pani Ferguson, to... - potrząsnął głową - niemożliwe. To Reg!

Zerwał się, przebiegł kuchnię i korytarz i otworzył szeroko drzwi. Agnes stanęła koło niego i oboje patrzyli w dół wzgórza, skąd nadchodził ten niespodziewany gość.

W jednej chwili, jakby wiedzeni tym samym impulsem, wybiegli mu na spotkanie. Ale Reg przystanął zanim jeszcze do niego dotarli, bo Charles zaczął krzyżeć: - Co się stało? O co chodzi? Czy o Henry'ego?

Spotkali się zupełnie zadyszani. Reg powiedział: - Nie, to nie Henry. Wejźmy do środka, dobrze? - wszedł pomiędzy nimi do domku. Tam Charles wysunął krzesło i powiedział: - Usiądź. Wyglądasz na zupełnie wytrąconego z równowagi. Co się stało?

- To ty usiądź, Charlie, i ty, Agnes, też.

Oboje usiedli i spoglądali na niego z za stołu. Po kilku sekundach, kiedy Reginald z trudem przełknął ślinę, odezwał się: - Zdarzył się wypadek. Śmiertelny wypadek. Rodzice i Banks. Samochód stoczył się z nasypu.

Milczeli. Wpatrywali się w niego. Twarz Charlesa poszarzała. Z tym odcieniem kontrastowała cienka biała linia wokół ust.

- Nie! - powiedział najpierw po cichu, potem: - N i e ! N i e ! - Charles rzucał głową z boku na bok.

- Niemożliwe! Nie oboje! Wszyscy! Nie!

Agnes wstała od stołu. Spojrzała na Rega, odwróciła się powoli i wyszła z kuchni. Dwaj bracia zostali przy stole a w ich wzroku czaił się ból i gniew.

- O mój Boże! Mój Boże! - Charles ukrył twarz w dłoniach i wyrzucał sobie na głos: - To moja wina. To moja wina.

- Nie bądź idiotą. Niby dlaczego ma to być twoja wina?

Charles nagle podniósł głowę - Wiesz sam, dlaczego wyjechała. Zmusiła ojca do wyjazdu, bo rzekomo był zmęczony i potrzebował

odpoczynku, ale tak naprawdę chciała uciec ode mnie i od... mojego ślubu. Czy nie tak? Nie tak, Reg?

Reg ripostował cichym, ale równie zbolonym głosem: - No cóż, wiedziałeś, co ona o tym myśli. Od samego początku. Nie mogła postąpić inaczej. Możesz jedynie pocieszać się myślą, że tak samo byłoby z każdą kobietą, którą byś sam wybrał, z wyjątkiem Isobel, bo ona nie stanowiła zagrożenia dla jej panowania. Nie oszukujmy się. Ty też musisz w końcu zdać sobie z tego sprawę: dla matki mężczyźni byli wszystkim; nie cierpiała kobiet. Isobel jest nieskomplikowana, ma bzika na punkcie koni i na dodatek, jest jeśli nie głupia, to ociężała. Mogła nią rządzić i rozstawiać po kątach. Identycznie zareagowałyby, gdybym ja przyprowadził do domu jakąś dziewczynę.

Teraz, obok smutku, na twarzy Charlesa zagościło zaskoczenie, gdy tak przyglądał się Reginaldowi. On sam nigdy w ten sposób na matkę nie patrzył, ale teraz uświadomił sobie, że jego brat ma rację. Jego znajomość kobiecej duszy poparta była doświadczeniem.

- A Henry?

- Dzisiaj przyjeżdża. Wczoraj wieczór zawiadomili go przez Ministerstwo Wojny. Ale Elaine się nie pojawi. Znowu spodziewa się dziecka. Boże, co za człowiek!

Podnieśli się, stali obok siebie, w zasięgu ręki. Nagle, zupełnie niespodziewanie, padli sobie w ramiona. Ścikalili się mocno, a ich ciałami wstrząsały spazmy rozpaczy.

Gdy zwolnili uścisk, policzki mieli zupełnie mokre, a Reg powiedział niewyraźnie: - Będziesz musiał wrócić ze mną. Trzeba się zająć tyloma sprawami. Przedłużyłem urlop, ale to tylko urlop. Będę musiał wracać. Henry też. Wtedy zostaniesz jedynie ty, żeby zadbać o wszystko do końca. Trzeba będzie coś ustalić, ale o tym możemy porozmawiać później. Idź i powiedz Agnes - nieznacznie wskazał ręką drzwi.

Charles nic nie odpowiedział. Odwrócił się jedynie i wyszedł. Skierował się na schody, bo wiedział, że znajdzie ją na górze.

Łóżko było już zaścielone, a na nim leżały dwie walizki. Pakowała je. Nie zareagowała, gdy wszedł do pokoju, ale gdy ją objął, momentalnie się odwróciła i przycisnęła twarz do jego ramienia.



- Wprost wierzyć mi się nie chce. - Alice była w kuchni, podobnie jak i reszta rodziny, łącznie z Jessie, Robbiem i ich dzieckiem. - Jakby zrobiła to celowo, Boże wybac mi moje słowa.

Agnes spojrzała na matkę i z trudem powstrzymała się od stwierdzenia: Nie tylko ty tak o niej myślisz. Wiedziała, że ta kobieta nie znosiła jej, nawet czasami jej nienawidziła. Nie tylko z jej wzroku, ale każdego gestu, Agnes wyczytywała zimną nienawiść. Wiedziała, że traktuje ją tak, jak nie ważyłaby się potraktować służby, spychając w ten sposób Agnes na sam dół drabiny społecznej. Była dla niej kimś niegodnym uwagi, traktowała ją jak powietrze. Wprawdzie teraz już nie żyła, lecz jej śmierć stała się tragedią dla Charlesa. Zdawała sobie sprawę z tego, że będzie myślał, że gdyby nie ich ślub, matka nie wyjechałaby na ten, tak zwany, odpoczynek, z którego tak szybko wracała. Tak więc Charles czuł się odpowiedzialny za śmierć jej i ojca, ale nie za śmierć lokaja, on tu najwyraźniej się nie liczył. Zginął, ale to nie było ważne, w każdym razie nie dla nich, być może dla nikogo, bo był wdowcem.

Najważniejsze było pytanie, czy ta tragedia będzie miała wpływ na ich przyszłość. Być może nie, ale z pewnością odcisnie swoje piętno na Charlesie, a przez to i na niej samej.

Alice znowu się odezwała: - Nieszczęścia zawsze chodzą trójkami; najpierw przyszła wiadomość, że brat Robbiego został uznany za zaginionego, co skłoniło Robbiego do zaciągnięcia się, a teraz to.

Agnes spojrzała na Robbiego. Ten odwrócił jednak wzrok, mówiąc: - Tak, czasami tak się dzieje. Ale i tak niedługo będzie nowy nabór do armii, a ja nie będę na to czekał, bo nigdy bym tego nie zniósł. Poza tym wojna na pewno się skończy, zanim mnie wyszkolą.

- O, zatopią cię, zanim jeszcze zaczną cię szkolić.  
- Mamo, co ty mówisz? - Oburzyła się Agnes.  
- Przepraszam, przepraszam. - Alice spojrzała na przerażoną twarz Jessie i powiedziała: - Ale tak czy inaczej, kto będzie się zajmował fabryką? My cały czas poświęcamy sklepom. Ten Arthur Peeble zaczyna obrastać w piórka. Czasami tak się zachowuje, że można by pomyśleć, że to jego sklepy... sądząc po tym, jak rozmawia z klientami.  
- Mamo, czy mogłabym wypić filiżankę herbaty?  
- Och, Aggie, moje dziecko, przepraszam cię. Ta wiadomość zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Zrobię ci coś do jedzenia.  
- Nie, nie. Muszę wyjść o trzeciej po Charlesa na dworzec. Nalega, żebym wróciła z nim do Hall.

- I tam zamieszkała?

Trzy pary oczu skierowały się na nią. - Nie wiem. Nie wiem, co postanowią. Jestem jedynie pewna tego, że będziemy teraz rzadziej mogli cieszyć się tą chatką na wzgórzu.

- Czy mają kogoś do zajmowania się tym domem, to znaczy tym majątkiem?

- Jest jeszcze jeden brat. Jest pastorem i teraz przebywa na froncie, ale dziś wraca.

- Ale jak ty sobie dasz radę z tak wielkim domem?

Agnes prawie niezauważalnie wyprostowała ramiona i z lekkim chłodem w głosie powiedziała: - To będzie mnie najmniej martwiło, jeśli okaże się, że to ja mam się nim zajmować; przynajmniej do czasu powrotu Rega.

- A jeśli on nie wróci? - To ciche pytanie zadał Robbie, a Agnes patrzyła na niego przez jakiś czas, zanim odpowiedziała: - Nigdy nie przeszła mi przez myśl taka ewentualność, Robbie. - Odwróciła się i wyszła z kuchni.

Alice, patrząc na Jessie, powiedziała: - Mój Boże! Co to się dzieje! Wiesz, teraz, gdy wejdzie do tamtego domu, jestem pewna, że już tu nie wróci.

- O, mamo, wróci. Znam ją, wróci.

- Nikt jej tak naprawdę nie zna.



- Panie McCann - Gospodyni zawsze zwracała się bardzo formalnie do lokaja, kiedy była na niego zdenerwowana. - Mówię panu, pan Reginald powiedział: „Pan Charles przywozi żonę do domu na jakiś czas. Pomożecie jej tak, jak tylko możecie, prawda, Mitcham?”.

- Ale to tylko panna sklepowa, przynajmniej do tej pory nią była. Patrick McCann nigdy nie sądził, że podniesie głos na Jane Dixon, ale teraz dosłownie wrzasnął na gospodynię:

- To nie jest panna sklepowa! O ile mi wiadomo, jest właścicielką dwóch sklepów i fabryki. To pewna różnica.

- Szkoda, że to w ogóle zaczęłam.

- Ach! - McCann poruszył się niespokojnie, zanim przemówił: - Proszę posłuchać; jeżeli ona przyjeżdża i ma być tu panią aż do powrotu pana Reginalda, musimy traktować ją jak panią, jeżeli chcemy zachować nasze posady.

- Jest tu jeden, który nigdy nie uzna jej za swoją panią.

Wszyscy spojrzeli na woźnicę, a McCann znowu się odezwał: - No cóż, to najprawdopodobniej będzie tylko twoja strata, John. I to tyczy się was wszystkich. Ciebie, Peter, też.

Peter Pratt zgarbił się, mówiąc: - Nie sądzę, żebyśmy mieli ze sobą wiele do czynienia. Ja pracuję w obejściu.

- Ale ja jestem w domu - jego żona, Rose, zbliżyła się do niego - Nie zapominaj.

- Nie zapominam, ale my tu siedzimy od lat i nie ma chyba powodu, by coś się zmieniło, jeśli robimy, co do nas należy i nie wychylamy się.

- O, my nie będziemy się wychylali - odezwał się teraz David Williams, ogrodnik - ale czy ona nie będzie?

- O, ciebie to chyba najmniej obchodzi, bo mieszkasz w stróżówce - odezwała się kucharka. Chyba wszyscy zapominają, że ja też należę do służby domowej, tak naprawdę bez żadnych z tego korzyści, będąc jedynie kucharką. Ale mówię jedno: Poczekajmy, a sami zobaczymy. Ona jest z Newcastle, tak? I to nie z najlepszej części, z Wiosennej, jeśli się nie mylę. Najprawdopodobniej wszystko ją tu przytłoczy i zachwyci, i będzie znośna. Musimy jedynie cierpliwie

poczekać, zabrać się do roboty i przypomnieć jej, że od lat nie było w tym domu najmniejszej zmiany, aż do wojny, ale nawet to nie zmieniło tak bardzo życia w domu. Tak więc poczekajmy, a sami się przekonamy.

Pokiwali głowami, mrużąc pod nosem: - Tak, tak. To najlepszy pomysł. I tak nic nie możemy zrobić przed jej przyjazdem.



Przyjechała o wpół do piątej w towarzystwie męża i szwagra.

Charles przedstawił jej gospodynię: - To pani Mit-cham, kochanie. Pani Mitcham, to moja żona.

Agnes miała już wyciągnąć rękę, ale coś w wyrazie twarzy tej kobiety powstrzymało ją i ograniczyła się jedynie do skinienia głową.

- A to McCann, nasz lokaj. Patrick, moja żona.

McCann skłonił się, a Agnes jeszcze raz pochyliła głowę. Charles rzekł: - W odpowiednim czasie poznasz resztę służby, kochanie.

Charles ujął Agnes za łokieć, a Reginald, wręczywszy płaszcz McCannowi, powiedział: - Niech Rose i Katie zaprowadzą panią Farrier do jej pokoju, dobrze?

Już chciał odejść, ale zawahał się na moment i spoglądając na McCanna, dodał: - Nie zaciągajcie całkiem żaluzji, na dole wystarczy na pół, a na górze wcale.

Po jeszcze dłuższym wahaniu, McCann odparł: - Dobrze, sir. - Później w kuchni mówił: - Słyszeliście kiedyś coś podobnego? A pan Reginald! Delikatnie mówiąc, to brak szacunku. Na górze wcale. No, no, do czego to dochodzi? Nie spodziewałbym się tego po nim...

Charles nie czekał na Rose czy Katie, żeby zaprowadziły Agnes do ich pokoju, ani nie spytał, który pokój przygotowano, ale od razu wszedł do swego pokoju. Przekonał się, że walizki leżą ciągle na łóżku, nie rozpakowane. Uznał, że dziewczęta nie zdążyły jeszcze tego zrobić, chociaż Reginald wydał dziś rano wszystkie stosowne polecenia.

Pomagając Agnes zdjąć płaszcz, tłumaczył: - To mój dawny pokój. Nie zdążyli... niczego przygotować, ale zrobią to. O tak, z pewnością.

Agnes, słysząc jego ostatnie słowa, odrzekła: - O, proszę, Charles, nie krusz o to kopii, niech tak na razie będzie. Jeżeli przejmujemy opiekę nad domem, a najwyraźniej Reg tego pragnie, wtedy zrobię to sama, po

swojemu, bez zbytecznego zamieszania. Tak więc proszę, zostaw to mnie, dobrze?

- O, moja kochana. - Wyciągnął ku niej rękę, walizki odsunął na środek łóżka, a gdy Agnes przysiadła na skraju, objął ją i odparł: - Nie będę się w to angażował, przynajmniej tym razem, ale wiesz, co o tym myślę, prawda?

- Tak, mój drogi. Wiem. Tak jak mówisz, nie będziemy się w to angażowali. Ale powiem ci teraz jedno: nie możesz przypisywać winy sobie ani mnie. Do pewnego stopnia sami kierujemy naszym życiem, kreślimy sami nasze przeznaczenie, tak jak twoja matka nakreśliła swoje. Wiem... iż uważała, że nie jestem odpowiednią kandydatką na twoją żonę, ale my oboje uznaliśmy inaczej. Tak więc żadne z nas nie powinno czuć się winne.

- O, kochana, kochana. - Oparł głowę na jej ramieniu. - Co ja bym bez ciebie zrobił?

Gładząc jego włosy, nie powiedziała, co w tej chwili pomyślała: Być może byłoby dla ciebie lepiej, gdybyśmy się nie spotkali. Ale nie. Nie. Może i tak popełniłby megalomanię i jego matka stanęłaby wobec podobnej sytuacji.

W pewnym sensie w tej chwili można było odnieść wrażenie, że jego matka ukartowała własną śmierć w taki sposób, by zniszczyć ich szczęście, kładąc na ich barki ciężar winy, który mieli nosić do śmierci. Ale ona nie pozwoli, by tak się stało. Nie.

Charles uniósł głowę z jej ramienia, mówiąc: - Nie musimy, nie ma takiej potrzeby, byśmy byli tu przez cały czas. Na dzień lub dwa będziemy jeździli do sklepu, a na weekendy do domku. Podzielimy jakoś nasze życie.

Agnes zmusiła się do śmiechu.

- Tak, kochanie, tak zrobimy. Podzielimy nasze życie.

W lokalnych i ogólnokrajowych gazetach pojawiły się podziękowania od kapitana Reginalda Farriera dla tych wszystkich, którzy przesłali kondolencje z powodu śmierci jego rodziców, pułkownika Hugh George'a Bellinghama Farriera i jego żony, Grace Mary Farrier. Kapitan

Farrier zawiadamiał, że pogrzeb odbędzie się w gronie rodzinnym i prosi o nieprzesyłanie kwiatów. Zamieszczono też wzmiankę, że ordynans pułkownika, pan George Arthur Banks zostanie pochowany tego samego dnia na cmentarzu w Fellburn...

Było już po pogrzebie. We mszy uczestniczyła tylko służba i najbliżsi znajomi rodziny, a mianowicie: Combesowie, Pickeringowie i Hammondowie. Agnes nie wiedziała niczego o Isobel Pickering, ale zapadła jej w pamięć dość potężna kobieta o pospolitej urodzie, z ładnymi oczami, która przedstawiła się słowami: „Jestem Isobel”. Zastanawiała się: Isobel i co dalej? Jednak ta młoda kobieta najwyraźniej sądziła, że Agnes musiała kiedyś już o niej słyszeć. Powiedziała: „Miło mi panią poznać”, a młoda kobieta odparła: „To okropne przeżycie dla Charlesa”, na co Agnes odpowiedziała: „Tak”, nie wiedząc o co jej chodzi.

Dopiero gdy uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić, stanęła przy Henrym i zapytała: - Kim jest ta młoda dama w niebieskim słomkowym kapeluszu?

Henry zerknął na nią - Nie wiesz? To Isobel.

Słyszając taką odpowiedź, Agnes pytała dalej: - Tak, wiem. Powiedziała mi, że ma na imię Isobel. Ale co za Isobel, jak się nazywa? Czy powinnam ją znać?

Henry westchnął i uśmiechnął się łagodnie, mówiąc:

- Cóż, to była mamy wybranka na żonę Charlesa. Nie powiedział ci o tym?

- O, teraz rozumiem. Sprawia wrażenie bardzo miłej osoby.

- Tak, całkiem niezła, bardzo lubi konie.

Agnes pomyślała, że to dość dziwna odpowiedź.

Chwilę później rodzina zgromadziła się w salonie.

Rozpalono ogień w kominku, bo zrobiło się chłodno. Agnes siedziała przy samym palenisku, Reg przy drugim boku kominka, Charles i Henry na kanapie. Gdy Henry oparł się o zagłówek i westchnął, mówiąc: - Wyroki boskie są niezbadane - Reg aż poderwał się z miejsca i niemal wrzasnął na swojego uduchowionego brata:

- Nie wygłaszaj tu tych frazesów, Henry! Zachowaj to dla tych ludzkich strzępów wyrzucanych z okopów przez ambulanse, dla tych strzępów, które boją się same przekroczyć granicę. - Potem, spoglądając na Agnes, wyszeptał: - Przepraszam, przepraszam.

Charles też się podniósł, położył ręce na ramionach Rega i próbował go posadzić z powrotem na miejsce, mówiąc: - W porządku, w porządku, kolego, nie ma powodów do przeprosin.

- Mnie też przykro, Reg. - mówił cicho: - To... taki nawyk. Nie przepraszam, jedynie przykro mi, że cię to dotknęło. Wiem, co masz na myśli. Niemniej jednak, to właśnie tymi strzępami zajmuję się na co dzień. Jedynie we mnie mają wsparcie i jeżeli tylko mogę pomóc któremuś z nich przekroczyć tę granicę, to... jedynie tyle mogę zrobić. Do tego jedynie się nadaję.

Gdy Henry opuścił głowę, Agnes podniosła się z fotela i podeszła do kanapy i usiadła blisko niego. Nie, nie mówiła, nie potrafiła wyrazić swego współczucia płaczącemu mężczyźnie. Powiedział: „Do tego jedynie się nadaję”. To było zbyt wielkie upokorzenie. Agnes wnioskuje, że Henry ma najsłabszy charakter z nich trzech, choć w tej chwili wydawał się najsilniejszy, ponieważ będąc świadkiem tej całej rzezi, ciągle wierzył w Boga i znajdował w tym wsparcie. To musiał być dowód odwagi.

Charles usiadł w fotelu, który zwolniła Agnes, i spoglądając to na nią, to na niego, powiedział: - Jutro mamy wizytę u notariusza. Jak mówiłeś, Henry? Kiedy musisz wracać?

Henry właśnie głośno czyścił nos, więc odparł niewyraźnie: - Pod koniec tygodnia, w sobotę.

- A ty, Reg?

Reg chyba miał jakieś problemy z oddychaniem, ale po chwili powiedział: - Jak szybko tylko się da. Mogę odpłynąć jutro po południu.

- Nie musisz wyjeżdżać tak szybko.
- Charles, wracam jutro wieczorem.
- Dobrze. Jeżeli tak mówisz, nikt nie będzie się z tobą kłócił. Ale powiedz mi jeszcze, co chcesz byśmy, Agnes i ja, tu zrobili? Nic jeszcze nie zostało ustalone.

- Nie sądziłem, że trzeba coś jeszcze ustalać. Myślałem, iż to oczywiste, że sam decydujesz i dopilnujesz wszystkiego, aż do mojego powrotu... lub Henry'ego.

- O, mnie wyklucz, mnie wyklucz - powiedział Henry, który siedział wyprostowany i potrząsał głową. - Nie mam ochoty wracać tu i zajmować się tym domem. Najmniejszej. Ja pracuję dla ludzi. Jestem tego pewien, więc mnie z tego wyłączcie.

- A jeśli się ożenisz?

Henry spojrzał na brata i powiedział cicho: - Nie ożenię się, Reginaldzie. Uważam się za księdza.

- O, niedługo znajdziesz się w Rzymie.

- Powiedziałem ci już kiedyś, że nie zdziwiłbym się ani trochę.

Bracia patrzyli na siebie przez chwilę, potem lekko się uśmiechnęli, a napięta atmosfera nieco się rozładowała. Reg zapowiedział: - Gdy będziemy jutro notariusza, Charles, zaznaczę, że daję ci *carte blanche* w sprawach majątku podczas mojej nieobecności. Zgadzasz się? A ty, Agnes? O, ciebie przede wszystkim trzeba zapytać o zgodę, to bowiem na twoich barkach zostanie to wszystko.

Odwrócili się i spojrzeli na nią, ale ona rzekła, patrząc na Charlesa: - Przystaję na wszystko, czego tylko Charles będzie sobie życzył, ale nie sądzę, że będzie łatwo zarządzać tym majątkiem.

- Mogę ci powiedzieć jedynie, żebyś nie tolerowała żadnych niemądrych pomysłów z niczyjej strony.

- O to się nie martw, Reg - Charles pokiwał głową.

- Ja tego dopilnuję, wierz mi. O tak, ja się tym zajmę.

- No, to wszystko uzgodnione.

Reg znowu wstał, tym razem powoli, mówiąc: - Sądzę, że teraz dobrze by nam wszystkim zrobiło coś mocniejszego do wypicia.

- Ja już dziękuję - Henry wzbraniał się, podnosząc rękę. - Przy kolacji wypilem trzy kieliszki wina.



- No, to ja zaopiekuję się twoją działką. Nic tak jak whisky nie uspokaja mojej duszy, na zimno, czy na ciepło.

- Potem zerknął na Charlesa, którego ręka już spoczęła na sznurze od dzwonka i rzucił: - Nie dzwoń, sam przyniosę.

Gdy Reg opuścił pokój, Charles powiedział do Henry'ego: - Przepraszam. Nie powinieneś brać sobie niczego do serca. On jest... w fatalnym nastroju. Poza tą naszą tragedią ma tam jeszcze to wszystko.

- Oni wszyscy tam mają podobne problemy, Charles, a najbardziej to przeżywają ci, którzy... za dużo myślą. Mam tylko nadzieję, że Reg wkrótce zostanie ranny, tak, naprawdę mam taką nadzieję, i będzie mógł wrócić do domu.

- Co?! - twarz Charlesa wykrzywiła się. - Co ty mówisz? Myślisz, że będzie ranny, a może od razu powinni go zabić?

- Przecież nie chcę, by go zabili. Chcę, żeby został tylko ranny, powiedzmy w nogę, czy rękę i żeby stamtąd się w końcu wydostał, bo jeśli nie, załamie się, a to będzie gorsze niż śmierć. Nieraz już to widziałem na własne oczy. Nessy mogłaby też ci coś o tym opowiedzieć. Bardzo dobrze radzi sobie z najróżniejszymi męskimi charakterami, pomocny tam jest jej sposób bycia.

- To dziwne, że nie chciała przyjechać na pogrzeb

- zadumał się Charles.

- Ani trochę. Ona zawsze jest tam, gdzie jej najbardziej potrzebują. Niewiele znaczy dla zmarłych, interesują ją żywi. Widzisz - Henry uśmiechnął się smutno - po raz pierwszy w życiu może być matką. A to mi każe myśleć o Elaine. Dziecko przyszło na świat w dniu ich śmierci... W śmierci zawsze jest załazek nowego życia. Jakże to prawdziwe. Niech Bóg jednak mi wybaczy, że chciałbym, żeby twórca tego nowego życia wylądował na kontynencie i zabawił przez jakiś czas.

Agnes uśmiechnęła się serdecznie do swojego świeżo upieczonego szwagra, duchownego, dżentelmena, ale przede wszystkim dobrego, zwyczajnego syna ziemi. W pewnym sensie był on bliski Charlesowi, nie tylko z nazwiska.

Do chwili obecnej targały nim dwie wojny; jedna w jego umyśle, a druga na polu bitewnym, w błocie i krwi. Gdy myślał o okopach, do jakich nawykł, gdzie kąpiel była jedynie marzeniem, a ogolenie się prawdziwym luksusem, okopy nowego typu były dla niego po prostu pałacem. Wszystko się zmieniło, okopy były suche, a ziemianki zdumiewającej wielkości. Tę, w której przyszło mu mieszkać z dwoma kolegami oficerami, można nawet było nazwać prywatnym mieszkaniem. Nie tylko doprowadzono tam wodę i można było się ogolić, ale i przyrządzić ciepły posiłek - a to wszystko pod tą niezmierną, szeroką bitewną równiną.

Miała się odbyć bitwa, ale kto by się o to martwił? Przywykł do bitew i do zabitych, których ciała służyły do wypełniania lejów po bombach, i do tych jedną nogą u Pana Boga, którzy kwilili jak dzieci Elaine. Ale w tych luksusowych okopach zapominało się o tym. Można było nawet zapomnieć, że na tej właśnie równinie, kilkaset metrów dalej, Niemcy mieli jeszcze doskonalszy system okopów, takie przynajmniej miał wiadomości. Ridley, którego wymieniono ostatnio na niemieckiego zakładnika, powiedział, że kwatery niektórych oficerów przypominają pokoje hotelowe z prawdziwymi meblami. Oczywiście, Ridley był młody, podobnie jak pozostali żołnierze, przybywający uzupełnić braki. Wszyscy młodzi, wykształceni, w pełni gotowi zająć biura prawników, gabinety lekarzy i urzędników państwowych. Wszyscy mieli już jakieś plany, co zrobią po wojnie. Czasami, gdy słyszał ich rozmowy, chciało mu się śmiać, ale musiał powstrzymać się, bo gdyby zaczął, śmiałby się do rozpuku, jakby oglądał jakiś niezwykle zabawny fragment sztuki w Teatrze Królewskim w Newcastle czy farsę w Londynie, czy błazeństwa na wpół rozebranych tłustawych dam na paryskiej scenie, bo gdy zaczynał się śmiać, było po nim.

Z tego, co było mu wiadomo, już wszystko przygotowano na 1

lipca. Starzy generałowie wszystko to już rozpracowali na korzyść młodych oficerów i żołnierzy.

To byli młodzi bogowie, którzy właśnie zstąpili z Olimpu, byli ptakami bez skrzydeł, niezniszczalnymi wojownikami, nie do pokonania. No, tak przecież mówili sami generałowie, czyż nie? Nie mogli dać się pokonać, nie tylko dlatego, że wtedy zasypałyby ich te drewniane ptaki w chmurach, które naprawdę obdarzone były skrzydłami, ale także dlatego, że byli wspomagani przez żelazne słonie, zwane czołgami. Po raz pierwszy czołgi wkroczyły na pola bitew. I jeszcze ogień zaporowy, który miał zamienić w pył równie młodych co oni Niemców w ich niezniszczalnych okopach. A gdy już będą unieszkodliwieni przez ogień, zwarte linie brytyjskiej niewinnej młodzieży, prowadzonej do boju przez młodych bogów, spadną na nich jak grom i zatopią w nich bagnety, przygotowując drogę dla kawalerii z setkami, tysiącami jeźdźców, palących się do wykończenia tych Niemców. Tak musi być. Tak to zaplanowali generałowie. Czyż nie pracowali nad tym w pocie czoła, siedząc w komfortowych kwaterach wokół okrągłego stołu, bo niektórzy z nich byli zbyt starzy, by długo stać? A gdy już ich plany zostaną wprowadzone w życie i gdy Niemcy w końcu raz na zawsze znikną z powierzchni ziemi, rozjadą się do swoich domów i zostaną odznaczeni przez samego króla.

- Co mówiłeś? - Reg spojrzał na porucznika Polleta Smythe'a, nazywanego przez znajomych Polly Smith, a czasami nawet Śliczną Polly. Porucznik powiedział:

- O czym myślisz? Z twojej twarzy można było wiele wyczytać. Wyglądałeś tak, jakbyś dawał komuś solidną reprimendę.

- Można było coś wyczytać? No, powiem ci, o czym myślałem, Polly. Próbowałem sobie zaplanować moje życie po wojnie. Wiesz, co zrobię? Kupię sobie jacht i odpłynę na jedną z tych wysp, wiesz, prawie bezludnych.

Na mojej musi mieszkać kilka osób, powiedzmy, wódz z sześcioma córkami. Nie, będę optował za dwiema, ale takimi, co od miesięcy nie widziały na oczy mężczyzny, może od roku, takie będą dla mnie bardzo dobre i miłe, tak miłe, że postanowię nigdy ich nie opuścić. I zostaną tam do końca życia.

- Kompletny z ciebie wariat. Wcale o tym nie myślałeś, bo wyraz twojej twarzy na pewno odstraszyłyby wszystkie śniade panienki. Pomówmy na serio, Reg, Czy sądzisz, że te niemieckie umocnienia są takie, jak mówią?

- Hmm... o tym dowiemy się dopiero, gdy tam dotrzemy, nie sądzisz? Tylko jedno jest pewne; nie znikną i nie rzucą się do ucieczki od naszego zamartwiania się. Tak więc, zabieraj się do spania, a mnie pozwól poczytać.

- Wcale nie czytałeś, byłeś wpatrzony gdzieś przed siebie. Powiedziałem ci. Poza tym, przeczytałeś te listy już po tysiąc razy. Musi być z niej interesująca sztuka. Jesteście potajemnie zaręczeni?

- Tak, jestem zaręczony, zobligowany przez najwyższe władze wojskowe, żeby wyprowadzić cię tam, by twoją głowę po prostu zdmuchnęli z umocnień okopu, żeby inni mogli czynić, co do nich należy. Skończ wreszcie i idź spać, jeśli nie chcesz, żebym wykonał ten rozkaz.

- Wykonałbyś, prawda? W każdej sytuacji wykonałbyś rozkaz.

Reg nic nie powiedział, ale odchylił w tył głowę i wpatrywał się w wyjście, jakby wybiegając wzrokiem na zewnątrz. Jeśli mowa o listach: tak, to właśnie powinien zrobić - napisać listy, trzy listy, jeden do Charlesa, jeden do Henry'ego i jeden do Agnes. Ostatnio dostał od nich sporo listów, ale nie odpisał na żaden, bo co niby miałby im powiedzieć? Henry'ego mógł tylko zapytać: „Jaka sytuacja u ciebie?” i dodać kilka grzecznościowych słówek bez znaczenia, choć naprawdę chciał powiedzieć: W imię Boga, jak możesz w Niego wierzyć? Jak można w ogóle myśleć, że jest coś, jakaś łaskawa siła nad nami, patrząca z góry co dnia na ogólną rzeź tych, co stworzeni zostali rzekomo na Jego podobieństwo? Nie jesteś głupi, Henry. Czy nie widzisz, że tam nic nie ma, a my jesteśmy oszalałą, niemożliwą do opanowania masą, sterowaną przez starych i głodnych krwi. Dla nich jesteśmy jedynie ołowianymi żołnierzami porzucanymi po podłodze w pokoju dzieciennym.

Potem Charles, drogi Charles. Napisałby do niego: „Najsensowniej byłoby zmienić te wszystkie rabaty w warzywniki. Zrób tak, bo przyjdzie czas, kiedy wszystkiego zabraknie. O, i jeszcze, skoro nie mamy już koni i nie musimy się nimi zajmować, postarajcie się o kury,

kaczki, itd. A może krowę? Jak wrócę do domu, będę mógł przejąć farmę. Ale nie rób tego na łeb na szyję. Agnes pisze mi, że nie zachowywałaś się ostatnio najlepiej. Rób, co ci mówi i nie smuć jej. Cieszę się, że służba zachowuje się poprawnie i że McCann się nią zaopiekował. Chciało mi się śmiać, gdy się dowiedziałem, że taktownie odmówiła i woli być obsługiwana przez panią Mitcham”.

Tyle jedynie by napisał do Charlesa, ale cały czas chodziło mu po głowie: Obrzydliwy z ciebie szczęściarz, nie wyłączając tej gruźlicy. Masz pieczę nad domem, który tak kocham...Co więcej, gdy wrócę, nie jestem wcale pewien, czy będziesz chciał się wyprowadzić i mieszkać nad sklepem. Wychowałeś się w wielkim domu ze służbą na każde skinienie. Przez jakiś czas obywałeś się bez tego, ale i tak nie było to specjalnie długo, prawda?

Powinien jeszcze napisać do Agnes. Ale co? „Tak się cieszę, że wszystko idzie po twojej myśli, moja droga, że nie masz kłopotów ze służbą. Tak też myślałem, bo któżby mógł ci się sprzeciwić w czymkolwiek? Opiekuj się tym swoim mężczyzną. Jak najczęściej zabieraj go do domku w górach”. Skończyłby żartobliwie: „Co ja mówię? Wywieź go tam i niech sam się sobą zajmuje przez jakiś czas. Na dobre mu to wyjdzie. Najserdeczniejsze pozdrowienia, moja droga”.

Najserdeczniejsze pozdrowienia, moja droga, nie: kocham cię, moja najdroższa Agnes. I mogłaś stać się moją ukochaną. Sama się tego domyślasz, prawda? Mówisz, że kochasz Charlesa, ale tego nie można porównać do miłości, jaką byś mnie obdarzyła, jaką bym w tobie wyzwolił. O tak, Charles kocha cię i, co dziwne, ja ciągle kocham Charlesa, ale równocześnie chciałbym, żeby w ogóle nigdy nie przyszedł na świat. Żałowałem, że jest moim bratem, bo wtedy mógłbym grać w otwarte karty i bez skrupułów odebrałbym cię człowiekowi, o którym tylko myślisz, że go kochasz.

Potem pojawiło się pytanie: Dlaczego tak się stało, że i Charles, i ja zakochaliśmy się w tobie? Co takiego w tobie nas tak pociąga? Charles poczuł to od pierwszego wejrzenia i ja też. Wtedy, przed katedrą, gdy na twojej twarzy igrały promyki słońca, byłaś cała rozświetlona. Później droczyłaś się ze mną o czyszczenie moich guzików. Dlaczego? Nie pytaj, nie potrafię tego wytłumaczyć. Może jedynie dlatego, że nikt z

moich znajomych nie wstawiłby się za ordynansem, a ty najwyraźniej miałaś zrozumienie dla wszystkich tak zwanych posługaczy. Później próbowałem wytłumaczyć to sobie tym, że byłaś nowa, dziwna, szczerą. O tak, byłaś szczerą, nawet z odrobiną uszczypliwości, ciut nietaktowna. Powtarzałem to sobie. Ale i tak nie miało to znaczenia. Przecież i teraz pytam samego siebie, co takiego przyciągnęło nas, braci, do ciebie? Może jesteś jedną z tych zagadkowych kobiet, które działają na wszystkich mężczyzn, ale odpychają wszystkie kobiety? Jeżeli chodzi o moją matkę, może to być prawda. Umarła przez ciebie, to jasne, choć tak bardzo to próbujemy ukryć. Gdyby nie ty, nadal by żyła. Czy czasami myślisz o tym, Agnes Conway-Farrier?

- Kapitanie... - Momentalnie otworzył szeroko oczy i spojrzał na swojego ordynansa.

- Tak? Tak? - spytał.

- Pułkownik chciałby zamienić z panem parę słów, sir.

- Dobrze.

Pollet Smythe usiadł na łóżku, mówiąc: - Co o tym sądzisz?

- Nie wiem.

- Po mnie nie posłał.

- Nie zrobiłby tego. Ciągłe jesteś jeszcze w przedszkolu.

- O, nie mów tak!

- Przepraszam. Najprawdopodobniej powie mi jedynie, że powinienem odpocząć.

- Ale mówisz, że byłeś za okopami dwa razy.

- Tak, ale poza tym ciężko pracowałem. Wiesz, myślałem...

Dużo myślę. Może wziąć to pod uwagę.

- A myślisz, że się zacznie?

- Powiem ci, jak tylko wrócę.

Odbyli tę rozmowę w obecności żołnierza niskiej rangi, Jamesa McConnora, który teraz obciągnął z tyłu płaszcz kapitana, strzepnął niedostrzegalny pyłek z jego ramienia i powiedział: - Jest w czwórcę, sir.

Potem znalazł się błyskawicznie przed Regiem i zbadawszy uważnie przód jego płaszcza, powiedział: - Ostatni guzik, kapitanie. - wyciągnął rękę i zaplął guzik płaszcza Rega, a ten, rozbawiony, powiedział: - Dziękuję, Mac. Gdyby nie ty, stałbym się pośmiewiskiem

całej linii frontu: jedyny niekompletnie ubrany kapitan piechoty z Durham. No, mnie już wyszykowałeś do drogi, a teraz jego ukołysz do snu - wskazał głową porucznika Polleta Smythe'a, potem skłoniwszy się lekko, wyszedł przez wykopany w ziemi tunel, przeszedł po drewnianych kładkach ułożonych na błotnistym dnie okopu, przyjmując salut strażników tu i ówdzie, skręcił i wszedł do gabinetu znanego jako czwarty.



Od tygodnia trwało nieprzerwane intensywne bombardowanie, a o świcie 1 lipca 1916 roku, w słoneczny poranek, dziewiętnaście dywizji w odstępach stu metrów pomaszerowało naprzód po wyjściu z okopów. W pierwszym dniu walki brały udział dwa bataliony z Durham, a pod koniec dnia niezliczeni polegli nie mogli już myśleć, a ci, co przeżyli, nie mieli pojęcia, że ten dzień był tylko preludium do bezmiernego pogromu, który miał trwać przez następne miesiące; wrzesień, październik, listopad. Ale tamtego pierwszego dnia osławione czołgi okazały się bezużyteczne, a całe szwadrony jazdy, stojące w pogotowiu nie pojawiły się na tym wielkim polu i nie wzięły odwetu na niemieckiej potędze. Całe miesiące układania strategii okazały się bezowocne. Jediną prognozą, która się sprawdziła, była ta dotycząca liczby ofiar. Wśród zabitych pierwszego dnia znaleźli się trzej towarzysze Rega: porucznicy Pollet Smythe, Alec Ridley i John Braithwaite, a także Mac, szeregowy James McConnor.

## 8

- Nie dostała potem żadnej wiadomości?
- Nie. Nic dziwnego, jeśli doniesiono, że statek zatonął, i to

najprawdopodobniej z całą załogą. Niech diabli wezmą tych Niemców! Ach! Nie najlepiej to znosi. Wiesz, to zabawne; jak dostała tę ostatnią wiadomość jakieś dwa tygodnie temu, prawie każdego dnia chodziła do jego matki, brała dziecko ze sobą. Czasami tylko na pół godziny albo po zamknięciu sklepów. Sądzę, że ona lepiej potrafi ją pocieszyć i uspokoić niż ja, choć staram się jak tylko mogę i sama nie wiem, co mogłabym jeszcze zrobić.

- Nic, oczywiście, nie możesz zrobić, moja kochana. No, nie martw się o to, bo ona jest jego matką i sama też potrzebuje pocieszenia, bo przecież wszyscy jej synowie się zaciągnęli. I dwóch już straciła.

Alice spojrzała na Agnes, siedzącą po drugiej stronie stołu kuchennego, i cicho powiedziała: - Brakuje mi ciebie, moje dziecko. Bez ciebie nie jest tu jak dawniej.

- To ma swoje złe i dobre strony, mamó. Ja też tęsknię za tym domem.

- Myślę, że nie.

- O, tak, mamó - potwierdziła Agnes z naciskiem.

- Ale myślałam, że wszystko jest...

- O tak, wszystko w porządku. Służba pomaga, jak tylko może. - Uśmiechnęła się zagadkowo. - Oczywiście, jak powiedziałam, pierwsze tygodnie były trochę trudne. Trudne, przynajmniej do chwili, gdy wezwałam na rozmowę panią Mitcham i pana McCanna i powiedziałam im, że nie miałam zamiaru wprowadzać żadnych zmian, że jestem nowa w tej roli i że będę potrzebowała ich pomocy i współpracy. Jednak wywnioskowałam, jak ci mówiłam, że chodzi jeszcze o coś, i że jeśli postanowią mi utrudniać życie, odbije się to też na nich. Zrobiło na nich wrażenie to, że zarządzałam firmą odkąd ukończyłam szkołę, mając lat osiemnaście! To kłamstwo też udało mi się wcisnąć. Zadziwiające, jak ta mała pogawędka zmieniła sytuację. Jednak ciągle to nie jest mój dom, tutaj to też nie mój dom, ani domek w górach. Mam wrażenie, że jestem jedynie zarządcą, do czasu powrotu Rega. Gdy wróci, na pewno się ożeni, a wtedy znowu będę wolna. Oboje będziemy wolni. Ale Charles zachowuje się tak, jakby miał zamiar osiąść tam na całe życie. Czasami mówi, jakby już tam osiadł i to mnie martwi.

- Cóż, to przecież jego dom.



- Tak, sędzę, że to właśnie dlatego. I tak go pochłoneła praca na tej naszej miniaturowej farmie. Nazwał krowę Pansy, a dwie kozy to Basil i Muriel.

- Nazwać kozy Basil i Muriel! - Alice roześmiała się, potem, przykrywając ręką usta, powiedziała: - Ach, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę mogła się śmiać. Wiesz, chociaż nigdy do tego się nie przyznałam, nie mogę nie lubić tego... Robbiego. Na początku nienawidziłam ziemi, po której stąpał, nie mogłam go znieść, a teraz, w ciągu tych ostatnich kilku dni, płakałam nad nim tak jak Jessie. Wiesz, że nie mogłam zrozumieć, jak mogła wybrać kogoś takiego, ale z upływem czasu, nie od razu, zrozumiałam powód. Jest w nim coś. Uczciwość i troska, wszystko pod tym nieokrzesanym, opryskliwym zachowaniem.

- Tak. - Agnes kiwnęła głową i dodała: - I on zmienił nasze życie, prawda? Przy okazji, nie pytałam, jak mają się sprawy na dole.

- O, nie uwierzysz. Ludzie pozbywają się pieniędzy, jakby to było konfetti. Dużo teraz zarabiają, wszystko się zmienia. Nie sądziłam, że dożyję takich zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilku lat, przynajmniej jeśli chodzi o wydawanie pieniędzy. Biedacy, których znałam, stanęli na nogi. Naturalnie, wiem, jak to niektórzy z nich osiągnęli. Na przykład ta Greenside, która mieszka tam za podwórzem, wiesz, różne rzeczy o niej ludzie mówią. Jej mąż jest na okręcie wojennym, a ona każdej nocy oddaje się pracy społecznej na rzecz wojny, tak w ogóle, nadgodzinom, jeśli to wszystko prawda.

- O, mam! - Agnes wstała od stołu, mówiąc: - Lepiej już pójdę.

- Mam wrażenie, że nie byłaś nawet pięciu minut.

Agnes spojrzała na zegarek. - Dwie godziny i piętnaście minut.

- O tak, wiem, ale czas niesamowicie szybko leci, gdy jesteś w domu.

- Posłuchaj, przyjedź w niedzielę z Jessie i z dzieckiem. Służba będzie wam nadskakiwać.

- Zobaczymy, moja droga. Czułabym się nie na miejscu.

- Nie będziesz się czuła nie na miejscu. Nigdy w moim towarzystwie.

- No, to zobaczymy. Prawdę mówiąc, w niedzielę pragnę jedynie

odpoczynku, jednak pamiętam, że wcale nie tak dawno po prostu łapałam jakąkolwiek szansę wejścia do lepszego towarzystwa.

- Nie będzie tam żadnego lepszego towarzystwa, mammo.
- Ale jeszcze ta służba. Nie zniosłabym, gdyby ktokolwiek spoglądał na mnie z góry.
- Nie pleć głupstw. Nie będą patrzyli z góry, bo nie będą mogli tak patrzeć. Boże najśłodszy! Czy to właśnie dlatego nie przychodziłaś do mnie?

- Nie. Nie, zresztą zobaczymy. Już idź, bo jak cię dłużej nie będzie, to zaraz pojawi się tu ten twój pan.

O ile mi wiadomo, nie spuszcza cię z oka. A jak jego zdrowie? Zapomniałam zapytać.

- Czasami wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale gdy przebywa trochę dłużej na deszczu lub w wilgoci, pojawia się ten kaszel. W zeszłym tygodniu było z nim nie najlepiej, ale nie mogłam go zmusić, by został w łóżku. No, ale muszę już iść. - Podeszła do matki i objęła ją. Przez chwilę tak pozostały. Potem Alice powiedziała z uśmiechem: - Gdybyś wybierała się do domku w górach, napełniłabym ci koszyk różnymi smakołykami. Chciałabym zobaczyć minę kucharki, gdybyś wróciła z koszykiem pełnym moich wyrobów.

- No, nie wiem, mammo. Dobra z niej kucharka, ale nie lepsza od ciebie. Gdybyś miała tylko jakieś wieści o Rob-biem, daj mi natychmiast znać.

- O, nie mam wielkich nadziei. Myślę, że Jessie też już się z tym pogodziła.

- Nigdy nic nie wiadomo, mogli go wyłowić.
- To już dwa tygodnie, Aggie, dwa tygodnie. Dowiedzielibyśmy się, gdyby ktoś przetrwał. No, ale już idź.

Agnes, już przy drzwiach, odwróciła się i powiedziała:

- O, powinnam jeszcze wpaść do trzech siostr, ale może powiesz im, że zajrzę pod koniec tygodnia? Wyjdę tylnymi drzwiami, żeby nie przechodzić przed sklepem.



Jak tylko przekroczyła próg domu, wyczuła, że coś jest nie tak.

McCann nie czekał na nią, by ją powitać, nie było też żadnej z dziewcząt. Potem, jak spod ziemi, pojawili się w innej części hallu. Pani Mitcham biegła w dół po schodach, Rose Pratt wyszła z kuchni, a Katie Steel z salonu. Wszyscy wyglądali na zatrwożonych. Pani

Mitcham powitała ją słowami: - O, cieszę się, że pani wróciła, *madam*. Pan Charles miał taki straszny atak kaszlu, McCann jest z nim. To ten telegram.

- Jaki telegram?

Zdejmując płaszcz pobiegła do schodów, a Katie odebrała go od niej z taką miną, jakby za moment miała się rozpląkać. Agnes nalegała: - O co chodzi?! O co chodzi?

- Pan Reginald, *madam*.

Przystanęła na pierwszym stopniu, chwyciła się za gardło i jęknęła: - Nie, nie. Nie...?

- *Żyje, madam. Żyje.* - Pani Mitcham głaskała rękę Agnes. - Jest ranny. Telegram przyszedł zaraz po pani wyjściu. Pan Charles zadzwonił się do Departamentu Wojny, a potem do szpitala. Jest już w kraju, gdzieś w szpitalu w Dover. Tyle mi wiadomo.

Pobiegła po schodach, do swojej sypialni, a gdy McCann odwrócił się do niej, zauważyła, w jego dłoniach sopluczkę i aż serce jej zamarło, jak zobaczyła tam czerwone pasemko.

- Już po wszystkim, *madam*. To był krótki atak.

Gdy ujęła dłoń Charlesa, zaczerpnął z trudem powietrza i powiedział: - Czy... czy ci powiedzieli?

- Tak, najdroższy.

- Ale wyjdzie z tego. Tylko... jest ranny. Dzwoniłem do... do szpitala.

- Nie mów, kochanie, leż spokojnie.

- Nic... nic mi nie jest. - Niecierpliwie potrząsnął głową na poduszce. - Strasznie go trafili... zranili. Będę musiał tam pojechać.

- Nie! Nie pojedziesz! Nie możesz jechać w tym stanie. I tak pewnie przewiozą go bliżej domu. Musimy poczekać.

- Wiedziałem, że coś się stanie. Ten... ten ostatni list... był dziwny.

- Nie mów nic, kochanie, chociaż przez chwilę. Nic nie możemy

zrobić, zanim nie dowiemy się czegoś więcej.

Agnes patrzyła, jak jego głowa zapada się w poduszkę i oczy przymykają. To pierwszy naprawdę poważny atak po tym, jak wyszedł z zapalenia płuc. Miewał czasem napady kaszlu, ale nie pluł krwią. Mówi, że po ostatnim liście Rega wiedział, że coś złego się stanie, ale dla Agnes ten list świadczył raczej o ranie na duszy, a nie na ciele. Pisał:

*Charlesie,*

*Wszystko się zmieniło. Znowu tylko błoto. Po tym wiem, że wrócę do domu, i to nie tylko na odpoczynek, ale na dobre. Kupimy byka i rozpoczniemy hodowlę. Niedługo wracam.*

*Reg*

W tym liście nie żartował, nie dopytywał się nawet o Pansy, Basila i Muriel. Ten list zmartwił Charlesa. Otworzył oczy i powiedział: - Musimy zadzwonić do... Elaine.

- Zrobię to, kochany.
- I do Henry'ego.
- Tak, i do Henry'ego.
- Generał Dawson, pamiętasz, przyjaciel ojca, może skontaktujesz się z nim. Może będzie mógł się tym zająć. Chodzi o Henry'ego. O Boże! Ta przekłeta choroba! Dlaczego muszę taki być?

- Kochanie, proszę, nie denerwuj się. Musisz tylko spokojnie poleżeć dzień czy dwa i wyciszyć się.

- Dzień czy dwa! Agnes, teraz powinienem być na nogach. Nie mogę siedzieć tu przez dzień czy dwa!

- Będziesz musiał. Polegaj na mnie. Teraz połóż się i leż spokojnie. Za moment wrócę.

Szybko przeszła przez pokój, weszła do salonu, bo wiedziała, że zostanie tam McCanna. Zamknąwszy za sobą drzwi, powiedziała cicho: - Sądzę, że powinniśmy sprowadzić doktora, McCann. My sami nie przekonamy go, by został w łóżku.

- Tak, to prawda, *madam*. Nie sądzą, żebyśmy go przekonali.

Zawsze miał swoje zdanie. Czy mam po niego zadzwonić?

- Jeśli mógłbyś, to proszę.

Odwracając się do wyjścia, McCann dodał: - Ten telegram nas tak zszokował. Biedny pan Reginald. Ale z drugiej strony to wielkie szczęście, że żyje i że wyszedł z tej matni.

Gdy została sama, przez chwilę zatrzymała się i pomyślała. Tak, przeżył. Ale w jakim jest stanie? Tego jednak mogła się dowiedzieć.



Gdy doktor przybył, wyjaśnił zdecydowanie Charlesowi, że musi zostać w łóżku przynajmniej przez tydzień. Jeśli nie, wyląduje z powrotem w Woolley, i nie będzie mowy o jakimkolwiek wyjeździe. Gdy doktor wychodził, powiedział Agnes otwarcie: - Wielka szkoda, bo rok w Szwajcarii nie zaszkodziłby mu. - Potem, nagle zatrzymując się, spojrzał na nią i dodał: - A jeżeli chodzi o Reginalda, nie jechałbym tam. Możecie minąć się w drodze. Przewożą ich, gdy...

Potwierdziło się to w rozmowie z generałem Daw-sonem, gdy już zasięgnął opinii w tej sprawie.

- Z tego, co mi powiedziano - rzekł generał - podpułkownik Farrier jest w ciężkim stanie. W tej chwili przebywa w szpitalu koło Dover, ale mają nadzieję, że przewiozą go tak szybko, jak tylko się da, czyli praktycznie nie wiadomo kiedy. Proszę zapisać numer telefonu do szpitala; może pani zadzwonić i dowiedzieć się.

Podziękowała. Zadzwoniła od razu, zaraz padło pytanie, czy jest jego żoną.

- Nie, bratową.

- Kto jest jego najbliższym krewnym?

- Mąż.

Pielęgniarka chciała z nim rozmawiać. Połączyłaby go z doktorem Willettem. Agnes powiedziała, że mąż nie może podejść do telefonu, bo leży teraz chory w łóżku.

- O, to proszę chwilę poczekać.

Doktor Willett mówił cicho i uprzejmie. - Pani w sprawie podpułkownika Farierra?

- Tak, jestem jego bratową. Mój mąż, jak już powiedziałam

siostrze, jest chory, leży w łóżku. Chciałabym dowiedzieć się o stan pułkownika.

- Niezmiernie mi przykro, pani Farrier, jest w bardzo ciężkim stanie. Stracił rękę i stopę. Ale to nie jest największy problem. Jest poważnie poparzony.

- Co? Poparzony?

- Tak, poparzony. W chwili obecnej nie odzyskał jeszcze pełni władz umysłowych.

- Czy będzie przewieziony?

- Tak, przewieziemy go tak blisko domu, jak tylko to możliwe.

- Kiedy?

- Tego nie mogę powiedzieć, przynajmniej teraz. Zależy od transportu i, oczywiście, od tego, czy będzie w stanie umożliwiającym przewiezienie.

- Będę musiała poinformować jego siostrę. Czy... czy mogłaby ona czyja przyjechać i odwiedzić go? Poza tym, jego brat jest duchownym i w tej chwili przebywa na froncie.

- Powiedziano mi, że poinformowano jego brata. Ale jeśli chodzi o przyjazd; nie widzę sensu. Nie rozpozna nikogo w tej chwili i tylko powiększyłoby to jego cierpienia. Ale jeśli zadzwoni pani za dwa lub trzy dni, będę mógł powiedzieć coś więcej.

- Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i oparła się o ścianę. Ręka, stopa, oparzenie i niesprawny umysłowo. O, Reg. Reg. Reg.

O Boże! Ten przystojny, piękny mężczyzna, któremu kobiety nie mogły się oprzeć.

Powoli wyprostowała się. Nie zapytała, jakie miejsca uległy poparzeniu. Módlmy się, żeby to nie była twarz. Bez ręki, czy nogi da sobie radę, nawet bez innych części ciała - ale nie twarz. O nie, nie twarz.

Jak ona to powie Charlesowi?

Udało się, wyszukała gdzieś w zakamarkach mózgu odpowiedź; ostatnio często jej się to zdarzało. Miała wrażenie, że jakiś niewidzialny współpracownik gdzieś tam siedział i podpowiadał jej, co ma mówić, a czego nie. Być może pojawienie się tego innego „ja” w niej było

spowodowane tym, że wprowadziła się do majątku.

Powiedziała Charlesowi, stojąc przy jego łóżku, nie dotykając go nawet, bo gdyby Charles miał załamać się w jej ramionach, ona też płakałaby nad Regiem, jak nie płakała nad nikiem w całym swoim życiu.

- O, Agnes, nie aż tyle, nie Regowi.

- Oni... oni potrafią przymocować sztuczne kończyny. Bardzo często to robią. Zobacz, sierżant Swain jeździ teraz wózkiem z mlekiem. Nie domyśliłbyś się, że ma tylko jedną nogę. A twoi znajomi, Hammondowie. Ich syn, Roger, ma tylko jedną rękę i jedno oko, a tak doskonale radzi sobie z farmą. A sam wiesz, jaki Reg ma silny charakter.

Nie wspomniała o oparzeniu. To byłoby za dużo na jeden raz. I tak sama niewiele o tym wiedziała.

- Myślę, że powinienem być tam z nim.

- Powiedziałam ci, że nie ma po co tam jechać. Zadzwoń tam za kilka dni i dowiem się, gdzie i kiedy zostanie przeniesiony. Koło Gateshead jest wojskowy szpital dla ciężko rannych. Byłoby niedaleko.

- O nie, nie tam. Tam zabierają tylko beznadziejne przypadki. Ktoś nazwał go niedawno domem wariatów. O, nie mów, że mogą go tam przewieźć. To by znaczyło...

- odwrócił od niej głowę, nie mogąc wypowiedzieć tego, o czym myślał.

Agnes powiedziała: - Pomyślałam o tym tylko dlatego, że to w okolicy. W Newcastle też jest kilka szpitali.

Patrzył na nią, gdy się odezwał: - Dlaczego akurat nas musi to wszystko dotyczyć? Moi rodzice, potem Nussy, a teraz Reg. Henry będzie następny, chyba że ja go wyprzedzę.

- Nie mów tego!

- To prawda, wiesz, że to prawda. O, Agnes, nie odsuwaj się tak ode mnie, chodź tu. Chodź tu, proszę.

Gdy się objęli, Agnes nie mogła dłużej powstrzymać łez i to on teraz musiał ją pocieszać.



Pięć tygodni później Charles spotkał się z Regiem albo z tym, co z niego pozostało. Agnes została na korytarzu, bo powiedziano jej, że

tylko brat może się widzieć z chorym. Charles poszedł na koniec długiego, szerokiego białego korytarza, z wieloma salami po obu stronach. Niektóre drzwi były pozamykane, lecz przez jedne z otwartych spostrzegł kątem oka dwóch mężczyzn grających w karty; jeden leżał w łóżku, drugi siedział w wózku inwalidzkim. Nie miał nóg. Mężczyzna na łóżku cały był uwięziony w gipsie, poza jedną dłonią. Różne głosy dochodziły zza zamkniętych drzwi. Na drugim końcu korytarza pielęgniarka otworzyła drzwi i wprowadziła go do małej sali. Znajdowało się tam wąskie szpitalne łóżko, a na nim jakiś kształt przypominający mumię. Jedynie dwoje oczu błyskało w dziurkach tego pancerza. Ordynans odwrócił się od stołu w kącie pokoju i powiedział: - Dzień dobry. - Charles wymamrotał coś w odpowiedzi, nie wiedział tak naprawdę co, bo wszystkie jego myśli były przy tej mumii na łóżku. Pielęgniarka powiedziała coś do ordynansa i wyszła. Ten przysunął krzesło i powiedział: - Proszę usiąść, sir.

Charles usiadł i spoglądając na oczy błędzące po nim, powiedział zdławionym głosem: - Reg. Reg. To ja, Charlie.

Bandaż na jego głowie poruszyły się, przynajmniej tam, gdzie tworzyły szczelinę, i dał się słyszeć stłumiony dźwięk, zupełnie nie przypominający głosu Rega: - Charlie?

- Tak, to ja. - Chciał już zapytać: „Jak się czujesz?”, ale jakiś wewnętrzny głos wrzasnął na niego: Nie bądź idiotą!

Doszedł go znowu stłumiony głos i Charles, pochylając się nad twarzą zakrytą wydezynfekowanymi bandażami, miał wrażenie, że słyszy: - Drugi... przeszedł z...

Charles odwrócił się i spojrzał bezradnie na ordynansa. Ten powiedział cicho: - Opowiada panu o tym dniu.

II Batalion Piechoty z Durham. On w nim był, pan wie.

Charles kiwnął głową, a ordynans mówił dalej: -

Najprawdopodobniej dołączył do nich jedenasty z Essex, a za chwilę on sam opowie panu o czołgu. W środku był kierowca, a cały czołg płonął. Pułkownik i jego sierżant poszli go wyciągnąć, ale cała maszyna eksplodowała. Sierżant został ranny, ale ten tutaj, na mój rozum, oberwał więcej niż powinien.

Patrząc na mężczyznę, Charles cicho powiedział: - To mój brat.



- O, sir. Sądziłem, że nie ma nikogo. Przypuszczam, że lekarze nie pozwalali panu się z nim widzieć, bo, widzi pan, miał bardzo ciężkie napady majaków, kiedy tydzień temu go tu przywieziono.

Charles odwrócił się i spojrzał w dwie ciemne plamy oczu i łamiącym się głosem powiedział: - Agnes przekazuje ci pozdrowienia. - Powiedział coś najzupełniej idiotycznego.

Mimo to szczelina uchyliła się i Charles usłyszał powtarzający się dźwięk: - Ag...nes. Ag...nes.

- Później cię odwiedzi.

Po tych słowach ciało na łóżku, jak postrzelone, wyprężyło się w bolesnym skurczu i ze szczeliny wydobyła się jęk. Charles został odepchnięty na bok przez ordynansa, który powiedział: - Na pana miejscu poszedłbym już, sir. Tak to się zawsze zaczyna. Będzie musiał odwiedzić go doktor ze strzykawką. - Przycisnął guzik w ścianie koło łóżka.

O dobry Boże! O, Ojciec w niebiosach! Wycofywał się do drzwi, poganiany niecierpliwym gestem ordynansa.

- Jezu Chryste!

Ale dlaczego wzywa Boga? Gdzie podział się jego rozum? Co się z nim dzieje? Wyobraża sobie, że jest istota, którą może przyzywać imieniem Boga bądź jakkolwiek inaczej, kiedy jego brat, jego przystojny, piękny brat umiera tak, jak Chrystusowi nigdy nie było dane, bo gdyby przeżył, musiałby teraz cierpieć w ten sposób. Ukrzyżowanie Jezusa trwało kilka godzin. Powie o tym Henry'emu. Tak, powie mu.

Był już na korytarzu. Koło niego przebiegła pielęgniarka i zniknęła w pokoju Rega. Wszedł tam też mężczyzna w białym kitlu.

Usłyszał wwiercający się do mózgu krzyk. Pozostał jednak w miejscu, tak jakby jego stopy przywarły do wykafelkowanej szpitalnej podłogi. Po dziesięciu minutach lekarz wyszedł, popatrzył na niego i powiedział:

- Przykro mi, że pana wizyta została zakłócona. Pan jest jego bratem?

- Tak. Jestem... bratem.

- Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon. Doktor Willett. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać. Proszę, tędy. Straszny ziąb na dworze.

- O tak.
- Niedługo znowu Boże Narodzenie.
- Tak, niedługo.
- O, to tutaj. Proszę spocząć. - Wskazał wygodny skórzany fotel, a sam podszedł do stolika pod ścianą, zapytał: - Czy mogę zaproponować coś do napicia? Poza kawą, herbatą, na które musiałyby pan poczekać, jest też whisky, brandy. Co pan wybiera?
- Nie, dziękuję.
- Może ma pan rację. Za wcześnie na drinki. Ale
- usiadł, kiwając głową - rozumie pan, że niektórzy muszą się czasem wzmocnić.
- O tak, rozumiem.
- Pański brat jest w bardzo ciężkim stanie. Przypuszczam, że widział to pan sam po jego reakcji.
- Co właściwie jest nie w porządku z jego twarzą?
- Łatwiej byłoby powiedzieć, co jest w porządku. Szyja, szczęka, usta, prawa część górnej wargi i lewy policzek są poważnie naruszone. Prawy policzek był lekko poparzony i nie będzie wyglądał najgorzej. Resztę trzeba będzie odtworzyć. Zabierze to dużo czasu, bardzo dużo. Trzeba będzie przeprowadzić szereg operacji. Chyba wiadomo panu, że nie ma tu cudotwórców i choć robią naprawdę niesamowite rzeczy, nie odzyska dawnych rysów. Na szczęście oczy nie ucierpiały, tak jak i większa część nosa. Jedno ucho jest bardzo spalone, ale z uszami naprawdę doskonale sobie poradzą. Usta i szczęka będą najtrudniejsze do odtworzenia i nie da się tego zrobić w stu procentach.

Zemdliło go. Miał wrażenie, że zwymiotuje na miejscu. Zamknął na chwilę oczy, potem powiedział: - Jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, doktorze, to chętnie się jednak napiję. Proszę trochę whisky z wodą.

Wypił pół szklanki i odezwał się: - A cała reszta?

- Stracił lewą rękę na wysokości łokcia i prawą stopę do kostki. Może pana zaszokuję, gdy powiem, że dobrze, że stało się tak a nie inaczej, bo gdy będzie miał protezy, dzięki prawej ręce i lewej stopie, będzie mu łatwiej zachować równowagę. Choć nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych, bardzo ucierpiał na froncie. Ale powiem jedno; uszkodzenia cielesne to nic w porównaniu z ranami na duszy i, jak sądzę,

to właśnie bardzo mu doskwiera. Na szczęście z czasem, po kuracji, może to się unormować, przynajmniej w pewnym stopniu. Mówię w pewnym stopniu, bo to, czego był świadkiem, pozostawi na jego psychice rysę na całe życie.

- Gdzie będą przeprowadzane operacje, operacje plastyczne?
- Większość tutaj, gdzieś na północy. Będzie można odwiedzać

go od czasu do czasu. Jednakże w tym przypadku, podkreślam, biorąc pod uwagę jego stan psychiczny, będzie najlepiej, jeśli te kontakty z ludźmi z zewnątrz nie będą zbyt częste, przynajmniej przez jakiś czas. Ordynans powiedział mi, że ten ostatni atak spowodowany był przez przypomnienie mu imienia pewnej damy.

- Tak... mówiłem o mojej żonie.
- Bez względu na to, jak pacjenci wyglądają, na szalonych, czy

na wpół szalonych, zawsze pozostaje pewien wycinek świadomości, który łączy ich z przeszłością. Jeśli chodzi o jego przypadek, gdy zachowuje się normalnie, jest zupełnie świadom tego, co się stało, szczególnie jeśli chodzi o jego twarz. Tak więc jeżeli zechce pan następnym razem zadzwonić i uprzedzić, kiedy ma pan zamiar go odwiedzić, doradzę panu, czy nie powinien pan przełożyć wizyty. Rozumie pan?

- Tak. Tak, rozumiem. Czy mogę jeszcze o coś spytać?

- Oczywiście, o co pan zechce.

- No cóż, są jeszcze dwie sprawy. Jak długo potrwa operowanie jego twarzy? Może jest pan w stanie określić jakieś ramy czasowe. I czy potrafi pan powiedzieć, jak długo będzie w tym stanie psychicznym?

- Nie mogę odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Myślę, że obie sprawy są bardzo ściśle od siebie uzależnione. Jakies dwa do trzech lat.

- Co?!

- Tak, nie inaczej. Może nawet dłużej.

- O nie, nie będzie chyba w takim stanie cały czas?

- O nie, nie, nie. Tak długo to nie potrwa, będzie robił postępy.

Może panu wydaje się, że to długo, ale to naprawdę nic, jeśli chodzi o takie przypadki. Mamy tu dwóch mężczyzn, którzy... traktują szpital jak swój dom. Są z wypadków w fabryce. Są tu już osiem lat. Nie mogą stąd wyjść i stawić czoła rzeczywistości. W pewnym sensie zdomowili się

tutaj i są zadowoleni. Zrobili nam przybudówkę, wie pan, pokój do gier, obszerną świetlicę, czytelnię, a także pokoje do ćwiczeń i zabiegów. Muszę kiedyś pana oprowadzić. Może trochę zmniejszy to pańskie zmartwienie z powodu tego długiego pobytu pańskiego brata u nas.

Charles podniósł się. Nogi trzęsły mu się w kolanach. Gdy doktor odprowadzał go do drzwi, podziękował, mówiąc: - Spróbuję nie sprawiać kłopotów, ale czy nie miałby pan nic przeciwko temu, gdybym od czasu do czasu zadzwonił?

- O, ani trochę. Jeśli mówimy już o telefonie, może zrobiłby pan coś dla mnie?

- Wszystko, co tylko w mojej mocy.

- O, sądzę, że to możliwe, ale trudne, jak wszystko, jeśli chodzi o młode kobiety. Pan ma siostrę.

- Tak, pani Dawson-Porter.

- Tak, to ona. Czy zechciałby pan jej wytłumaczyć, jak sprawa wygląda? Monitowała w Departamencie Wojny, że nie pozwalam jej zobaczyć się z bratem.

- Dopilnuję, żeby nie sprawiała więcej kłopotów. Przynajmniej spróbuję.

Doktor uśmiechnął się. Charles był w stanie odpowiedzieć jedynie cieniem uśmiechu.

Gdy kilka minut później w poczekalni spotkał się z Agnes, nic nie powiedział. Dopiero, kiedy siedzieli już w taksówce, odezwał się: - Niech to poczeka, aż znajdziemy się w domu, kochanie.



O wpół do ósmej wieczorem przybył posłaniec z liścikiem od Alice. Pisała:

*Trudno w to uwierzyć, kochanie, ale Robbie jest cały i zdrowy. Morze zniosło go w łodzi ratunkowej z jednym kolegą na jakąś z tych dalekich, północnych szkockich wysp. Tylko Robbie przeżył. Najwyraźniej był w ciężkim stanie i nie wiedział, kim jest. Przewieziono go parowcem i umieszczono w szpitalu i tam odzyskał zmysły. Nie chce*

*się nam w to wierzyć. Jessie wychodzi z wprost z siebie, tym razem ze szczęścia, tak jak jego matka i ja też, muszę przyznać. Spróbuj przyjść jutro, kochanie. Uczymy to.*

Włos Robbiemu z głowy nie spadł. A Reg, z tego, co jej powiedział Charles, miał przed sobą lata cierpień, zanim będzie mógł spojrzeć w twarz drugiemu człowiekowi... kobiecie. O tak, kobiecie, jeśli w ogóle będzie mu to dane.

*Część szósta*

*1919*

Czy w ogóle kiedyś była wojna? O tak, była. Kobiety doskonale zdawały sobie z tego sprawę, bo na nich dziesięć przypadał tylko jeden mężczyzna i niektóre z nich nie przebierały w środkach, by rzucić na kogoś urok i odciągnąć od żony. Działy się rzeczy nie do pomyślenia przed wojną. Kobiety stały się bezwstydne, jak Alice powiedziała Agnes. Niektóre były na tyle bezczelne, że chciały dostać funta i dziesięć szylingów na tydzień za stanie za ladą na dole. Powiedziała tej drugiej, że za te pieniądze znalazłaby mężczyznę do tej pracy i że nawet już miała taką ofertę. Pokiwała głową. Tak, trudno uwierzyć, ale nawet wykształconego mężczyznę, i tak dalej. Ale był prawie bosy i nagi. Musiałam powiedzieć mu, że potrzebujemy kobiety.

- Powinnaś była go przyjąć.

- Ciągle mogę to zrobić, bo przez ostatnie trzy noce spał w składzie towarów, jak powiedziała panna Belle. Chyba te trzy obok wszystkie pieniądze wydają na jałmużny. Uważają, że to ich obowiązek.

- Ale jeśli on tam jeszcze jest, mogłabyś dla niego przygotować miejsce przy stole - zaśmiała się.

- O tak. Mogłabym. O tak. I jeszcze jeśli okaże się porządny, pozwolę mu zamieszkać w jednym z wolnych pokoi. - Trąciła Agnes łokciem, mówiąc: - Ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Może mam szansę. Jak myślisz?

- Powiem ci, mam, coraz gorzej z tobą. Ale zrób to, bo boję się wprost pomyśleć, że będziesz tu w nocy sama.

- O, Robbie jest pod ręką, w domku.

- Nie sądzę, żeby usłyszał twoje wołanie o pomoc. Tak więc, weź pod swój dach tego swojego protegowanego.

- Kogo?

- Sama słyszałaś.

- O tak. Dobrze byłoby mieć znowu mężczyznę w domu.

- Lepiej uważaj i upewnij się, czy jest uczciwy.

- Myślę, że jest. Bardzo miły, sądząc po sposobie mówienia i po gotowości poświęcenia się pracy. To zabawne, ale kiedy mówiłam mu, że nie mogę go przyjąć, miałam ochotę zabrać go na górę i nakarmić. O, zmienmy temat. Ślicznie wyglądasz, moja droga. Mówisz, że Charles przyjedzie po ciebie i pojedziecie do szpitala?

- Tak, powinien tu być lada chwila.

- I mówisz, że jeździsz do niego tam i z powrotem i jeszcze ani razu się z nim nie widziałaś?

- Tak, mam. Ani razu. Ale w końcu zobaczę się z nim. Któregoś dnia po prostu wejdę do pokoju, nie zważając na słowa Charlesa, że doktor zabronił mu mnie wprowadzać.

- Mam wrażenie, że będzie chciał tam zostać; zdecyduje się nie wychodzić.

- Z tego, co mi wiadomo, ma wiele różnych zajęć. Na jego oddziale leży jeszcze czwórka oficerów, dwóch jest na wózkach, jeden na łóżku.

- Na łóżku?

- Tak, nie schodzi z łóżka, leży twarzą do poduszki.

- Biedaczysko.

- Tak mówi Charles. Powiedział też, że miał wrażenie, iż nie ma już cięższego przypadku niż Reg, ale gdy zobaczył tych ludzi, zmienił zdanie. Reg radzi sobie z chodzeniem o kulach, a nawet czasem, gdy nie boli go kostka, o lasce.

- No to dlaczego nie wyjdzie, jeśli może chodzić?

- Powiedziałałam ci, mam, wszystko, co wiem. Chodzi o jego wygląd. Ma poparzoną twarz. Po prostu - zamknęła oczy - po prostu nie mogę sobie wyobrazić, ile przeszedł. Operacja za operacją. Charles powiedział, że zrobili kawał dobrej roboty, ale to i tak nie ten sam Reg. Jeśli dobrze rozumiem, robi różne rzeczy dla innych pacjentów, spędza z nimi dużo czasu. Znają go tam wszyscy.

- Nie jeździecie w środy, prawda?

- Tak, nie jeździmy, ale Charles dostał od niego list, w którym prosi, żebyśmy dzisiaj przyjechali. Nawet podał godzinę: o trzeciej po południu. Nie wiem, może mają jakieś przyjęcie, czy co. Miewają od czasu do czasu przyjęcia, ale w zamkniętym gronie i upijają się jak panowie szlachta.



- Nie ma co im mieć tego za złe. Potrzebują jakiegoś zapomnienia.  
O - odwróciła się i podeszła spieszenie do okna - samochód zajechał pod dom. Już jest. I mówisz, że chcesz się tym nauczyć jeździć?

- Tak, czemu by nie? Duża już ze mnie dziewczynka.

- Ciekawa jestem, co będzie następane. Może spróbujesz polatać jednym z tych tam aeroplanów?

- No, to całkiem niegłupi pomysł. - Odwróciła się do drzwi salonu, które Charles właśnie otworzył, najpierw cicho zapukawszy, i powiedziała: - Mama uważa, że powinniśmy pomyśleć o samolocie.

Spojrzał na obie damy. - To niezły pomysł. Jutro tym się zajmę. Gdy już go sobie kupimy, samochód przekażę pani, pani Conway.

- No, dosyć tych żartów. Jak się czujesz?

- Dobrze.

- No, muszę powiedzieć, że poprawiłeś się w ciągu tych kilku tygodni. Gdybyś tylko robił wszystko, co ci się mówi, byłyby jeszcze lepsze efekty.

- Gdybym faktycznie tak postępował, pani Conway, nie wychylałbym nosa spod kołdry i przez pół tygodnia wszyscy robiliby wokół mnie zamieszanie, a pozostałe dni spędzałbym w domu i wszyscy też robiliby zamieszanie. Nie mogę znieść zamieszania, wie pani, obie bardzo działacie mi na nerwy, więc będę chodził tak długo, jak tylko będę mógł. Jak interesy?

- Już nie tak dobrze jak w czasie wojny. Teraz ci, co mają pracę, chyba trzymają pieniądze w banku, bo nie wydają.

- No, to będziemy musieli coś z tym zrobić, prawda? Wychodząc przez sklep, wezmę ćwierć kilo cukierków Houghhound. Działają kojąco.

- Pierwsza ci to powiedziałam.

- Tak? - Uśmiechnął się do Alice. - Tyle mi już mówisz, kobieto, że się gubię. No, ale jeśli pozwoli pani swojej córce oddalić się, odprowadzę ją do samochodu i zabiorę stąd.

- Nie możecie zostać jeszcze na herbatę?

- Nie, nie zdążylibyśmy dotrzeć tam na czas. Nie wiem, o co chodzi, ale jak tylko się dowiem, ona też będzie wiedziała. - Wskazał na Agnes. - A jak ona się dowie i pani będzie też wiedziała.

- No, to już jedźcie. Czasami lubisz się podroczyć. Uważajcie na tę machinę na drodze. Nie rozumiem zupełnie, po co musieliście to kupić.

- Cóż, pani Conway, mówiąc serio, niewiele zostało już porządnych koni, ale nawet gdybyśmy zdobyli parę, znaczyłoby to, że trzeba zatrudnić następnego mężczyznę i chłopaka albo codziennie najmować powóz. A wiecie, niektóre z nich nie pachną różami. I wyszło na to, że samochód to najlepsze rozwiązanie. Nie ma czego się obawiać, będę prowadził bardzo uważnie. Zawsze byłem ostrożny i zawsze będę. To na razie.

Gdy Agnes głaskała jego dłoń, Charles nie pochylił się i nie pocałował jej, ale wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Powstrzymał się od całowania. Rzadko nawet zbliżał się do Agnes, choć tak pragnął ją całować, jednak musiał cały czas pamiętać, że jego choroba jest zakaźna. To i tak cud, że jak dotąd jeszcze się nie zaraziła, bo nie skąpiła mu pocałunków i dowodów swojej miłości.

Gdy wsiadali do samochodu, trzy panny Cardings stanęły w drzwiach sklepu i machały do nich. Kiedy Charles powoli przejeżdżał obok nich, Agnes wychyliła się i zawołała: - Czy nie wybrałybyście się na małą przejażdżkę któreś niedzieli?

- O, z chęcią! - odrzyknęła panna Belle na wysoką nutę, a dwie siostry kiwały głowami z zadowoleniem. Potem panna Rene krzyknęła: - Pokaż się u nas następnym razem, kochanie! - a Agnes odpowiedziała: - Dobrze. Przyjdę.

Gdy Agnes odwróciła się od okna i usiadła wygodnie, powiedziała: - Strasznie mi głupio. Od miesiący ich nie odwiedziłam.

- A to dlaczego?

- Boję się, że przyniosą coś dla mnie, a pamiętasz, co powiedziałeś o tych ubraniach.

- No tak, tak być nie powinno, ale - zerknął na nią

- to, co one tam mają, pomoże zrobić piękność z jakiejś innej dziewczyny.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję!

- Nie ma za co. Chyba nie zaprzeczysz, że uwydatniły twoją urodę. Wyglądały jak skrojone specjalnie dla ciebie.

- Twój komplement nie usprawiedliwia braku taktu.

- Jej głos się zmienił. - Czy domyślasz się, dlaczego Reg poprosił nas, byśmy dzisiaj przyjechali?

- Nie, kochanie, zupełnie nie mam pojęcia.

Po chwili ciszy Agnes powiedziała: - Mówisz, że z jego twarzą jest dużo lepiej, więc dlaczego nie chce, bym go odwiedzała?

- Bo... wiele razy już próbowałem ci to wytłumaczyć, kochanie. Zmienił się. To nie ten Reg, przynajmniej nie z wyglądu. Pozostały jedynie jego oczy. Gdyby mógł zasłaniać jak mahometanki twarz, jaszlakiem, odsłaniając jedynie oczy, to by tak z pewnością robił. Musisz, kochanie, mieć to ciągle na uwadze, że był przystojnym mężczyzną, niezwykle przystojnym. Kobiety za nim szalały, za jego wyglądem; niektóre tylko i wyłącznie za jego wyglądem, bo wiadomo mi, że bywał czasami naprawdę przykry, a nawet obrażał pewne kobiety. Wszystko to robił jednak w zawołany, niby układny sposób, ale i tak nie uchodziło to ich uwagi. Tak, to głównie powierzchowność przyciągała do niego kobiety. Nie był z tego powodu zarozumiały, ale też nie był ślepy; zdawał sobie z tego sprawę. I jeszcze jego cała sylwetka. On nie chodził, on defilował. Gdy był na służbie, maszerował z plecami prostymi jak lufa karabinu. Jeśli o to chodzi, wrodził się do ojca... Dobrze, że już ich obojga nie ma, nie znieśliby tego... Czasami ja sam myślę, że dłużej już tego nie wytrzymam, ale wtedy zadaję sobie pytanie, jak on musi się czuć. Wiesz, jestem zaskoczony, że wyszedł z tego... wiesz, chodzi mi o jego psychikę. Ciągle na nowo przeżywał wojnę, błoto, krew, rozszarpanych na strzepy przyjaciół; to wszystko na co musiał patrzeć. Przez miesiąc stracił czterech ordynansów. Czasami, gdy z nim siedziałem, potrafił nagle krzyknąć i potem płakać jak dziecko. Ja też płakałem. Opowiadałem ci o tym ordynarnie, który się nim opiekuje. Cudowny człowiek. Flynn. Doskonale się rozumieją. Tylko jeden raz Reg wspomniał o swoim stanie umysłowym. Kiedy chciał podziękować Flynnowi. Powiedział, że Flynn wyciągnął go z samego dna. Poświęcił mu cały swój wolny czas, na rozmowy, na tłumaczenie, przekonywanie. To on w rzeczywistości, jak mówi, ukształtował go z powrotem w jakąś rozsądną formę. Czuje się jego dłużnikiem. Ma zamiar mu się odwdziaczyć, chyba jakoś pomóc mu się ustawić w życiu, gdy wyjdzie. Jednak wątpię, czy on opuści szpital, jeśli

będzie tam jeszcze Reg. Ale jest jeszcze młody, mniej więcej w wieku Rega.

- Za szybko jedziesz, kochanie.

- O, niemożliwe! Przepraszam.

- Powinieneś częściej spoglądać na prędkościomierz. Jedziesz prawie pięćdziesiątką.

- Wiesz, myślę, że pewnego dnia ludzie jadący osiemdziesiątką będą myśleli, że to za wolno.

- Nie!

Zerknął na nią i oboje uśmiechnęli się do siebie...

W szpitalu Agnes została jak zwykle w poczekalni i rozmawiała z pielęgniarką, z którą zdążyła przez te lata dobrze się poznać. - Postaram się nie siedzieć zbyt długo - powiedział, ale zauważył, że Agnes westchnęła.

Gdy Charles szedł korytarzem, mężczyzna, o którym rozmawiali w samochodzie, wyszedł mu naprzeciw.

- Dzień dobry, sir - powiedział Flynn. - Dzisiaj pułkownik nie czeka w świetlicy. Zechce pan tędy, sir? Jest w gabinecie doktora Willetta.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie, sir. Nic mi o tym nie wiadomo. W gabinecie są jeszcze inni i pułkownik poprosił mnie, bym pana tam przyprowadził. Piękny dzień, prawda?

- O tak, cudowny.

To dziwne, pomyślał Charles, że zarówno lekarze, jak i służba zawsze wspierają się pogodą, kiedy mają coś ważnego do powiedzenia. Już dawno to zauważył; także tym razem był pewien, że dzieje się coś ważnego. Flynn otworzył przed nim drzwi gabinetu i wprowadził go do środka. Był tam doktor Willett i Henry we własnej osobie, a także dwóch innych mężczyzn i Reg.

Henry odezwał się pierwszy. Podnosząc się z krzesła, powiedział: - Witam - na co Charles odparł: - Co cię tu sprowadza?

Słyszając to powitanie, Henry odwrócił się do zgromadzonych i trzymając rękę w wymowym geście, powiedział: - Słyszeliście to? Mój brat nigdy nie szanował mojego zajęcia, a przecież powinien wiedzieć,

że księża są mile widziani w większości miejsc, i to bez pytania o powód wizyty.

To oświadczenie wywołało wyraźną wesołość, a Charles pomyślał, że jego brat zawsze mówi o sobie jako o księdzu, nie pastora.

Powiedział: - Czy to jakieś przyjęcie?

- Może.

Patrzył teraz na Rega, a Reg zwrócił się do niego:

- Usiądź, bo upadniesz i nie bądź taki zatroskany. Zajmijmy się tym, po co tu się zgromadziliśmy. - Potem, odwracając się do radcy prawnego, powiedział: - Panie Ridley, bardzo proszę o wyjaśnienie sytuacji.

Radca uśmiechnął się do Charlesa, mówiąc: - Tego nie można wytłumaczyć w dwóch słowach, ale najważniejsze fakty są następujące: jako że pułkownik nie zamierza powrócić do domu, ale jak zostało uzgodnione z doktorem Willettem, przyjąć w szpitalu rodzaj jeszcze nie sprecyzowanej posady - odwrócił się i uśmiechnął do doktora, po czym ciągnął: - Pański brat postanowił przenieść na pana i pańską małżonkę prawo własności rodowej posiadłości.

- Nie. Nie! - Charles próbował podnieść się z krzesła, ale zatrzymał go Henry, mówiąc: - Siedź cicho i słuchaj.

- Nie będę tego słuchał. Jeżeli już ma to być komuś przekazane, to właśnie tobie. Jesteś starszy.

- Nie chcę tego, ale pamiętaj - pogroził palcem - nie odżegnuję się od datków, bo w mojej parafii potrzebujących nie brakuje, nie wspominając o dachu mojego kościoła. Czasami chór musi używać parasoli. A co więcej...

- Co więcej, może poczekać, Henry. Pozwólmy mówić dalej panu Ridleyowi.

Pan Ridley uśmiechnął się do Rega, wziął głęboki oddech, spojrzał raz jeszcze na Charlesa i powiedział:

- Jak panu wiadomo, pan Reginald ma osobistą pensję po dziadku. Ma także rentę z armii i to - zerknął na Rega i powtórzył - i to, mówi, w sumie czyni i tak więcej niż potrzebuje. Jak panu wiadomo, pański ojciec zapisał majątek i większą część kapitału panu Reginaldowi, jako najstarszemu synowi. Mienie pańskiej matki zostało tak samo

rozdysponowane. Pan Reginald życzy sobie, by mienie pańskiej matki zostało podzielone między pana, pańskiego brata i siostrę, Elaine Daw-son-Porter.

- Nie przypuszczałem, że będziesz chciał to zrobić. Posłuchaj, nie ma takiej potrzeby. Znasz mnie. Nie potrzeba mi tego i tylko tak żartowałem z Charlesem z tymi datkami. I jeszcze jedno - Henry odwrócił głowę i opuścił wzrok - jeszcze wam tego nie powiedziałem. Wie o tym tylko biskup. Idę do zakonu z klauzulą.

- Przechodzisz na katolicyzm? - Głos Rega brzmiał ostro.

- Nie. Niezupełnie. Ale Reg, stary, chcę tylko powiedzieć... No, nieważne - potrząsnął głową. - Bardzo ci dziękuję. Ale wiesz, że nie mam najgorzej. Dziadek też mi coś zostawił. Nie będę głodował, nawet jeśli mnie wyrzucą - i dodał z lekkim cynizmem - ale nie sądzę, żeby zdobyli się na to, dopóki mam pieniądze.

Ta uwaga spotkała się z aprobatą i uśmiechami. Potem Charles, niespodziewanie wstając z krzesła i patrząc na radcę, spytał: - Czy mógłbym porozmawiać z bratem przez moment na osobności? - Potem spojrzał pytająco na doktora, który powiedział: - Obok jest pokój sekretarki, nie ma jej w tej chwili. Proszę z niego skorzystać.

Charles skierował się do drzwi, ale Reg pozostał na miejscu i powiedział: - Nie sądzę, żeby było jeszcze coś do dodania, Charlie.

- Ale ja sądzę.

Reg wzruszył ramieniem i poszedł za Charlesem do sąsiedniego pokoju. Gdy zamknęli drzwi, Reg pokuśtykał za bratem w drugi koniec pokoju. Tam zapytał:

- Co ci chodzi po głowie, Charles?

- To najidiotyczniejsze pytanie, jakie mogłeś zadać. To ja chciałbym wiedzieć, skąd ta nagła decyzja?

- To nie jest nagła decyzja. Przez cały ostatni rok o tym myślałem.

- Potem gardłowym jakby głosem powiedział: - Jestem uwięziony tu na całe życie.

- Nie musisz tu siedzieć. Możesz wrócić do domu i byłbyś tak przyjęty jak nikt przedtem. Jeżeli nie miałbyś ochoty pojeździć po świecie, byłoby mnóstwo pracy w majątku i mógłbyś spożytkować w ten sposób swoją energię. - Potem dodał cichszym głosem: - Dlaczego nie,

Reg? Dlaczego nie?

- Charlie... Czy kiedykolwiek przyjrzałeś mi się, dobrze się przyjrzałeś? Wiesz co; ja sam potrafię przestraszyć się swego odbicia w lustrze. Tak, przeraża mnie moje własne lustrzane odbicie.

- Nonsens. Twoja twarz wygląda tysiąc razy lepiej. I ja ci coś powiem: widziałem gorszych od ciebie w Newcastle. Tak, widziałem. Jeden pracuje w dokach...

- Nie mam ochoty słuchać o jeszcze gorszych ode mnie. Bez wątpienia jest ich wielu. Już się zdecydowałem. Nie wracam do domu, Charlie. I tak będę miał jeszcze następne operacje. Mówią mi, że zrobią mi prawdziwą górną wargę i w końcu przestanę seplenić.

- Nie seplenisz.

- Nie słuchałeś mnie.

- Reg, powiem ci coś. Umrę przed tobą, tak więc to cholernie głupi pomysł, żeby przekazywać mi wszystko.

- Nie zakładałbym się, kto będzie pierwszy, bo już jesteś prawie wyleczony.

- Bzdura!

- Nie, to nie bzdury. Willett zainteresował się twoją chorobą - widzisz, dokładnie zająłem się tą sprawą

- i mówi, że jeśli będziesz o siebie dbał, możesz długo, normalnie żyć. Całe setki dużo gorszych przypadków, ludzi po pięćdziesiątce, chodzi po ulicach. Przecież od lat nie miałeś żadnych nawrotów, ostatni był wtedy, jak mi się to przydarzyło, tak mi mówiono.

Przez jakąś minutę patrzyli się na siebie, potem Charles powiedział: - Nie wiem, jak Agnes to przyjmie. Zawsze myślała, że po twoim powrocie będzie mogła wreszcie odetchnąć. Jej życie będzie w końcu jakąś całością, mam tu na myśli to rozdwojenie, no i jeszcze domek w górach, bo jak tylko się da, wyciąga mnie tam. No i oczywiście jej matka i sklepy.

- Możesz przekazać Aggie, że od teraz jest panią w Hall, i że połowa należy do niej, a jak odejdziesz, całość. Kiedy postanowisz kopnąć w kalendarz, będzie jedyną właścicielką.

- Nie spodoba jej się to.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Kto ma ją lepiej znać? A czy pomyślałeś, jak Elaine zareaguje? Może ona myśli, że jeśli będziesz oddawał komukolwiek dom, to jej. Słyszałem, że będzie się starała o separację, i to niedługo.

- Będzie zabezpieczona, nawet bez jego pieniędzy. A jeśli znam ją choć trochę, nie będzie chciała brać sobie na głowę swego dawnego domu. Kiedy uwolni się od swojego szalonego na punkcie koni pana i ojca swoich dzieci, pośle dzieci do szkoły, sama zacznie wreszcie żyć, bo tak naprawdę, straciła całą młodość, nie sądzisz? I tak, Charlie - wyciągnął rękę i złapał dłoń brata

- oddasz mi wielką przysługę, jeśli zdejmiesz ze mnie ten ciężar. Wtedy będę mógł ze spokojną głową rozpocząć tu coś na kształt kariery, zajmując się rehabilitacją. Chyba dostałem od wszystkich błogosławieństwo na tę pracę. I wiesz, że mogę tu mieszkać. Uwierz mi, nie mam nic przeciwko temu. Wiesz, wszyscy płyniemy tu na jednej tratwie: koślawi, zdeformowani, tak fizycznie, jak i psychicznie. Ale, co zaskakujące, jeśli pokonasz pierwszy dołek, kończy się nieustanna depresja, przestajesz walczyć, może tylko w dziwnych chwilach, i to najczęściej tylko we śnie, kiedy wydaje ci się, że znowu tam jesteś. Prawda jest taka, Charlie, że wszyscy, którzy tu trafiają, przeżywają to po tysiąc razy. Ale Boże! - Machnął ręką, potem zacisnął ją w pięść i szturchnął Charlesa w ramię, mówiąc: - Niech to do ciebie dotrze, że już nie potrzebuję, żeby ktokolwiek litował się nade mną, czy żałował mnie. O, to jest tu surowo zabronione; rozżalenie się nad kimś i nad samym sobą. To niszczy, wiesz, takie rozczulanie się.

- Reg?

- Tak, co takiego?

Charles odetchnął głęboko, powoli wypuścił powietrze i powiedział: - Na litość boską! Skończ to gadanie. Kogo ty próbujesz przekonać? Rozmawiasz z Charliem. Wychowaliśmy się razem, pamiętasz? Wiem o tobie wszystko. Wiem o tobie więcej niż ty sam. W porządku, chcesz tu zostać, ale nie próbuj wciskać mi ciemnoty, dlaczego tak postanowiłeś. I... będę zajmował się majątkiem za ciebie, ale nie mam zamiaru pozwolić ci zrzec się tego na moją rzecz ani nikogo innego.

- No dobrze, jeśli nie pozwolisz mi przekazać tego tobie i Agnes,



podkreślam: i Agnes, wtedy oddam to na jakieś dobroczynne cele i ktoś nazwie to domem tego czy tamtego, czy innej niegodnej sprawy.

Znowu patrzyli się na siebie. Charles spytał: - Zrobiłbyś to?

- O tak, zrobiłbym. Bez wątpienia, ale wszystko zależy od ciebie.

Tak badając się nawzajem, zgubili się w czasie, cofnęli do dzieciństwa, do młodości i obaj wiedzieli, że to jest ich dom, że go kochają i nigdy nie oddadzą go w obce ręce.



Tak się złożyło, że kilka minut po odejściu Charlesa Agnes wyszła z poczekalni, podeszła do otwartego okna, z którego roztaczał się widok na podjazd. Zobaczyła, jak wjeżdża samochód, wysiadają mężczyzna i kobieta, rozmawiają z pielęgniarką, która akurat schodziła po schodach - wesoła, krótka wymiana zdań. Potem Agnes usłyszała, jak pielęgniarka mówi: - Znacie już państwo drogę. Gdy go ostatnio widziałam, był w świetlicy i oszukiwał Kozła przy kartach.

Odchodząc od okna zagryzła usta. Nieraz słyszała o Koźle. Nie ma nóg, z ręki pozostał mu tylko kikut, ale posługuje się głową i maluje trzymając pędzel w ustach albo popycha karty po stole tym kikutem, i stąd przydomek Kozioł. Słyszała jeszcze o Krwawym Bobie, najwyraźniej barwnym Szkocie, który oddzielał każde słowo przekleństwem. Jest jeszcze Seksowny Max; wszyscy mają jakieś przezwisko. Pielęgniarka powiedziała, że ich krewny, czy ktoś inny, gra w karty z Kozłem. Znowu zagryzła usta; jeśli ta kobieta mogła ich odwiedzać, dlaczego jej nie pozwalano? Gdyby pojawiła się tam przed nim tak ni stąd, ni zowąd, jak to się mówi, co mógłby wtedy zrobić? Nic. Musiałby spojrzeć na nią, a ona na niego. I to byłoby tyle, powiedziała sobie. Wyprostowawszy się, wyszła z poczekalni, jakby ruszała do bitwy.

Na korytarzu spostrzegła kątem oka tę parę odwiedzających, gdy właśnie znikali za zakrętem w samym końcu. Zaczęła biec. Jednak, gdy znalazła się na końcu korytarza, już ich nie widziała, za to dobiegły ją głosy i śmiech. Udała się w tym kierunku. Dźwięki dochodziły zza otwartych drzwi w połowie krótkiego korytarza. Po chwili stała przy wejściu. Stamtąd zobaczyła, że jest to duży pokój ze stoliczkami

porozstawianymi tu i ówdzie, z różnymi krzesłami, przeważnie na kółkach, poustawianymi między nimi. Pokój miał dwa duże okna, a pomiędzy nimi stała długa skórzana kanapa. Od razu rzucał się tutaj w oczy ascetyczny wystrój; podłoga pokryta parkietem nie przydawała przytulności. Nic dziwnego, powiedziała do siebie. Na dodatek pokój sprawiał wrażenie zupełnie bezbarwnego, nie było w nim kwiatów. Rozejrzała się na boki i na jednej ze ścian dostrzegła jakieś malowidło, choć z tej odległości nie widziała, co ono przedstawia.

Agnes przez chwilę miała wrażenie, że nikt na nią nie zwrócił uwagi, dopóki zgarbiona postać na wózkach nie odwróciła się w jej stronę, by krzyknąć przez cały pokój:

- Wchodź, kochaniutka! Oni wszyscy są przywiązani.

Teraz oczy obecnych skierowały się na nią, a pokój zdawał się zatłoczony mężczyznami. Mężczyznami o dziwnych kształtach, dziwnym wyglądem, z wyjątkiem tego mężczyzny, który do niej krzyczał. Gdy podniósł rękę w zapraszającym geście, Agnes powoli podeszła do niego. Idąc, zauważyła trzy grupy od wiedzających, a ci, za którymi szła, uśmiechnęli się do niej, gdy ich mijała.

Gdy stanęła obok niego, zauważyła, że spoczywał w krześle w pozycji półleżącej, bo zapewne nie miał nóg. Miał ręce, ale jedna leżała wyprostowana przy jego boku, a kiedy ruszał głową, przypominało to ruchy marionetki, jakby ktoś pociągał za sznurki.

Uśmiechał się do niej: - Kogo szukasz, moja miła?

Agnes przez chwilę nie mogła wydusić z siebie ani słowa, poruszała tylko ustami, próbując zlikwidować suchość, która nie pozwalała jej mówić.

- Podpułkownika Farriera.

- Aha! Co o tym sądzicie, chłopaki? - Zwrócił się do trzech mężczyzn siedzących przy stole na wózkach inwalidzkich. Dwóch grało w domino, a jeden wpatrywał się w nią. - Szuka naszego Reggiego. One wszystkie tylko za nim.

- Zamknij się, Maksiu! - Agnes usłyszała głos za plecami, odwróciła się i zobaczyła mężczyznę podpierającego się kulami. Miał jedną nogę i rękę, ale na szyi nosił kołnierz, a połowa jego twarzy była niesamowicie wykrzywiona, jakby skurczona. Nie miał oka. Zmusiła się,

by na niego spojrzeć, bo zdawało jej się, że się uśmiecha.

- Gdzieś tu jest, panienko. Powinien być tu lada chwila. Chyba miał spotkać się z bratem. Usiądzie pani? Tutaj.

- Wyciągnął jedną kulę i przysunął jej trzcinowe krzesło z prostym oparciem, dodając: - Jest pani krewną?

- Jestem... jego bratową.

- Bez żartów?

Uśmiechnęła się wreszcie, mówiąc: - Tak, bez żartów.

- No, dasz wiarę, Maksiu? Nie puścił pary z ust.

- „Nie jest gadatliwy. Sama się pani przekona. - Mężczyzna zwany Maksiem, powiedział: - Czyli musi pani być żoną Charliego.

- Tak, jestem żoną Charliego.

- Szczęściarz ten Charlie.

Skwitowała to nikłym uśmiechem, bo w głowie miała kompletny chaos. Takie jest ich życie, dzień za dniem, rok za rokiem, i nic przed nimi. Mimo to wyglądali na wesołych. Nie, to śmieszne: wesołych! A co mieli robić? Płakać? Ten Maksiu, to właśnie Seksowny Max. Muszę wyjść. Nie mogę się z nim spotkać. Jeżeli Reg jest w podobnym stanie jak oni, serce mi pęknie. Co ona mówi? Co ona mówi? Serce jej pęknie. Nie wolno ci się stąd ruszyć. Chciałaś przecież go zobaczyć, czyż nie? Chciałaś go zapewnić, że nie ma znaczenia jego wygląd, że ciągle jest dla ciebie tak samo ważny. Czy tego faktycznie chce? Co się z nią dzieje? Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, musiała napić się wody. Nie bądź takim mięczakiem, nie mdlej tu. Nie bądź taką idiotką, kobieto! To dopiero by pomogło im odbudować wiarę w siebie, gdyby upadła jak kłoda z powodu ich wyglądu!

Zdołała odwrócić się do mężczyzny o kulach i powiedziała: - Czy pan to Bob?

- Nie, dzięki Bogu, nie. - Po raz kolejny pojawił się na jego twarzy grymas, który mógł być uśmiechem; powiedział: - Jestem Andy. Andy Rippon. - Jego zniekształcona twarz zbliżyła się teraz do niej, gdy zapytał: - Słyszała pani o naszym Bobie, Krwawym Bobie? - Słowo „krwawy” wypowiedział miękko, bez akcentowania.

- Tak, także i o Koźle. - Spojrzała na mężczyznę, który stał przed nią i powiedziała, także bez akcentowania. - I o seksownym Maksie.

Rozległ się śmiech, zdrowy, szczerzy śmiech, a Andy Rippon powiedział: - Tam, proszę spojrzeć, ten z tym patykiem w ustach, to Koziół.

- O, tak. Nieźle sobie radzi.

- O tak, chyba najlepiej z nas wszystkich. Widzi pani to malowidło tam na ścianie? To jego.

Odwróciła się i popatrzyła na ścianę, ale ciągle nie wiedziała, co ono przedstawia. Zaintrygowała ją jednak strona techniczna pracy nad czymś podobnym, gdyż obraz sięgał sufitu. Andy, jakby czytając w jej myślach, powiedział: - Podnieśliśmy go na platformie. Teraz pracuje nad kolejnym, w sali gimnastycznej.

Odezwał się jeszcze raz Max: - Niech pani nam coś opowie o tym przeklętym pułkowniku.

- Zanim zdążyła odpowiedzieć, Andy Rippon szybko wyjaśnił: - Widzi pani, litera „p” w słowie „przeklęty” zastępuje przedrostek „pod-” w słowie „podpułkownik”. Rozumie pani?

Kiwnęła głową, ale jakoś nie pasowało jej to do natury pułkownika. Jednak Max domagał się odpowiedzi: - Jaki ma dom? Jaki był przedtem? I tak dalej.

O Boże, jak miała opowiedzieć im o jego domu i o jego życiu. Jak miała powiedzieć im, że był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała? Że miał reputację uwodziciela? Że był taki czarujący i uprzejmy?

O tak, był uprzejmy. - Jakoś bezwiednie powiedziała:

- O, jego dom jest dość duży.

- Ile pokoi?

- O - spojrzała w bok - myślę, że... tak... ze trzydzieści. Głowa Maxa kiwała się jak głowa kukły, kiedy spoglądając po kolegach, mówił: - Co o tym sądzicie? Dom z ponad trzydziestoma pokojami! Ojej! I ogród?

- Nie udawaj tępaka, jeśli mają trzydzieści pokoi, to będzie i jakiś park. Tak, panienko?

- Tak, jest i park.

- A ma też jakąś farmę?

Znowu zwróciła się do Maxa: - Nie, nie ma farmy

- powiedziała. - Teraz mamy tylko dwie krowy, kury i kaczki, kozy...

- Macie świnie? Lubię świnie. Jednym z najbardziej nieprawdopodobnych powiedzonek na świecie jest „brudny jak Świnia”, bo świnie wcale nie są brudne. Hodowaliśmy je z ojcem. One są jak króliki, mają swoje... wie pani... miejsca na swoje potrzeby.

- Max! Skończ z tymi swoimi świniami i królikami, bo tak cię walnę w tę twoją brodę, że wylądujesz w samym środku twojego chlewika.

Znowu rozległ się śmiech, a Maxowi udzieliła się ogólna wesołość.

Agnes miała wrażenie, że ta rozmowa będzie trwać bez końca. Została przedstawiona Krwawemu Bobowi, Kozłowi i jego rodzicom, ale ciągle nie potrafiła pojąć, skąd bierze się u ich rodzin taka radość, a jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy spojrzała w jasne, niebieskie, inteligentne oczy ich syna.

W chwili, gdy opadł ją wielki smutek, do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Charles, a drugim... Na jego widok chciała odruchowo krzyknąć:

O Boże! Nie! Zatrzymał się momentalnie, krok za Charlesem. Potem zobaczyła, jak Charles łapie brata za rękę i dosłownie prowadzi go naprzód. Powiedział dość szorstko: - Rozstaliśmy się w poczekalni. - na co odpowiedziała: - Strasznie... się znudziłam. Przeszłam się trochę. I... i cieszę się, że to zrobiłam, bo ci panowie

- wskazała na milczącą grupkę - byli bardzo uprzejmi.

- A co było robić? - Głos Andy'ego Rippona rozładował napięcie pomiędzy młodą, ładną kobietą a pułkownikiem i jego bratem. - Max starał się jak zwykle... Nie można zawieść porządnego człowieka, pułkowniku.

Znowu zapadła cisza. Agnes przyglądała się teraz otwarciu twarzy tego obcego... tego obcego stworzenia. Jedyne, co rozpoznała, to były oczy. Po prawej stronie twarzy, od oka do kącika ust, skóra była nietknięta. Jednak jeśli chodzi o resztę, wszystko przypominało twarz mężczyzny o kulach, tyle że wyglądało dużo gorzej. Usta tamtego miały jeszcze jakiś kształt, ale ta twarz miała na ich miejscu jedynie jakiś rowek. Górna warga była zupełnie pozbawiona kształtu, a dolna, choć

pełna, miała liczne blizny po oparzeniu, podobnie jak i druga strona jego twarzy. Ponadto lewa strona twarzy wyglądała, jakby odtwarzana po kawałku i nieudolnie pozszywana z małych łątek. Łatki biegły aż do kącików oczu. Skóra z boku brwi wyglądała normalnie, choć miała bardzo blady, prawie trupi odcień. I jego włosy; bujna kępa wykwintnego brązu pozostała jedynie po prawej stronie, a reszta głowy pokryta była ciemnymi, prawie czarnymi włosami, poskręcany tuż przy skórze. Teraz zrozumiała, dlaczego nie chciał się z nią spotkać. Ale, Reg! O, Reg. Biedny Reg. Mój drogi, kochany, co mam powiedzieć? Jak mogę coś powiedzieć?

- Witaj, Reg.

Czy to był jej głos? Teraz przez tę szczelinę w jego twarzy dobiegł ją jego głos: - Chodźmy tędy.

Odwrócił się spieszenie i wyszedł z pokoju. Gdy Charles chciał wziąć ją za rękę, Max powiedział: - Niech się pani nie martwi. Często bywa taki, prawda, Andy?

Andy potwierdził, mówiąc: - Tak, proszę pani. Ale przejdzie mu to. To najprawdopodobniej najlepsza rzecz, jaka mu się mogła przydarzyć. - Zwrócił się do Charlesa:

- A pan jak sądzi, sir? - Na co Charles odparł: - Może ma pan rację. - i poprowadził Agnes na korytarz.

Stali w jego sypialni, Reg, patrząc na nią zapytał:

- Zadowolona?

Wyduśła z siebie odpowiedź: - Tak. Tak, Reg, jestem zadowolona. Jestem zadowolona, że przekonałam się, iż miałam rację. Powinnam była być z tobą od samego początku i źle zrobiłeś, że nie pozwoliłeś mi się ze sobą widywać, bo bez względu na to, co się stało, ciągle jesteś w głębi duszy tym samym człowiekiem.

- Nie jestem! Do cholery, nie jestem!

- Reg. Reg.

Teraz Reg zaczął wrzeszczeć na Charlesa: - A ty mógłbyś się zamknąć! Nie masz o niczym pojęcia. Nikt nie może sobie tego wyobrazić, tylko my tutaj, którzy wszyscy to przeszliśmy. Muszę cię oprowadzić - powiedział z udawaną uprzejmością. - Będziesz zaskoczona. A może nie, po tym, jak mnie już zobaczyłaś. Ale i tak,

zrobmy sobie tę małą wycieczkę.

- Przestań, człowieku!

- No, to posłuchaj, Charlie. Mówiłem ci, żebyś jej tu nie przywoził. Tak? A co ty zrobiłeś?

- Była tu za każdym razem, gdy przyjeżdżałem; siedziała w poczekalni. Pomyśl tylko, trzy i pół roku to całkiem niezły wynik jak na siedzenie w poczekalni.

Reg odwrócił się powoli, spojrzął na Agnes i wymamrotał coś na kształt przeprosin. Potem odwrócił się od nich i podszedł do okna. Powiedział: - Lepiej powiedz jej o naszym spotkaniu.

Agnes spojrzała pytająco na Charlesa, a on po chwili opowiedział jej o... spotkaniu. I ona zareagowała podobnie: - O nie! Nie! - Nie zważając na to, że Reg rozmawia z innym mężczyzną, podeszła do okna, obróciła go twarzą do siebie i znowu powiedziała: - O, nie! To twój dom i kiedyś do niego powrócisz.

- Nie wrócę, Agnes. - Przez to, że dodał jeszcze jej imię, jego decyzja wyglądała na jeszcze bardziej ostateczną. - Jak powiedział Charlie, przyjmuję tu pewną posadę. Tutaj jestem potrzebny.

- W domu jesteś potrzebny. Możesz zabrać Flynna. Masz swoją służbę. Oni ciągle są twoją służbą. Witaliby cię z otwartymi ramionami.

- Jak Charlie mi proponował, mógłbym spacerować za murem po ogrodzie, może mnie nikt nie oglądać. O, Agnes, co to za życie? Może i to niewiele warte, ale tutaj wiem, że jestem w jakimś stopniu użyteczny i ludzie nie odwracają się na mój widok, ale ciągle śmieją się i nie żałują. Zdrowi od razu ci współczują, jak coś z tobą jest nie tak. I to jest najgorsze!

- O, Reg, mój drogi - powoli kręciła głową. - Jeśli... jeśli tylko wróciłbyś do domu, oboje bylibyśmy z tobą, prawda, Charlesie? - Odwróciła się i spojrzała na męża, a on odpowiedział: - O tak. Tak.

- No, i nie jest to jakaś różnica?

- To bardzo miło z twojej strony, ale to już musztarda po obiedzie, jak mówią. Już wszystko podpisane. Dom i cała reszta należy do was, a ten ośrodek będzie moim domem do końca moich dni. Mam tu dobrych przyjaciół, na których mogę polegać. Chodźmy do nich.

Poznała jego przyjaciół. Kapitana Ridleya, kapitana Fitzpatricka,

kapitana Braithwaite'a, majora Raintona. Poznała i Flynną. Kiedy opuścili szpital i wrócili do domu, którego teraz była współwłaścicielką, wiedziała, że nigdy nie czuła się bardziej zasmucona, pusta i zagubiona.



*Część siódma*

*1922*

Był rok 1922 i trzydzieste czwarte urodziny Charlesa. Dzień był słoneczny i nawet ciepły, jak na październik. Ludzie mówili, że to wymarzona pogoda; przy niej inne sprawy schodzą na bok. Czy to nie cudowne, powiedziała Alice, że wszyscy mogą cieszyć się tymi przepięknymi ogrodami i parkiem? Czy widział ktoś kiedyś Betty Alice szczęśliwszą niż dziś? Od rana służba ją wprost rozpieszcza, a pan Williams pokazał jej wszystkie zwierzęta i pozwolił dosiąść kucyka swojej wnuczki, którego pozwolono mu trzymać w obejściu.

Pani Mitcham przygotowała wytworny urodzinowy poczęstunek - ogromne ciasto z napisem z kolorowego lukru: Wszystkiego Najlepszego dla Pana Charlesa.

Wszyscy zasiedli do stołu. Cztery osoby spośród gości były po raz pierwszy w majątku. Były to panny Cardings, na zmianę zabawiające towarzystwo historyjkami o klientach, a także matka Robbiego, Betty Felton. Agnes posadziła ją obok siebie, w nadziei, że nie będzie się czuła skrępowana, ale jeżeli faktycznie nie była skrępowana, to chyba zupełnie osłupiała, bo wydawało się, że może wykrztusić z siebie jedynie: dziękuję. Gdy wszyscy rozmawiali między sobą, ona siedziała i pochłaniała oczami wszystko, co znajdowało się w jadalni.

Alice powiedziała kiedyś Agnes, że Robbie twierdzi, że jego matka czuje się samotna, kiedy dwóch jej synów mieszka w drugim końcu kraju. Dwóch synów straciła na wojnie i teraz mieszkała sama. Robbie najwyraźniej uważał wspólne niedzielne obiady za swój święty obowiązek i, jako że przyjęcie miało się odbyć też w niedzielę, spytał Alice: „Co zrobimy?”, a ona spokojnie odpowiedziała: „Będzie musiała się dobrze zachowywać” i Robbie obiecał, że o to zadba.

I faktycznie, musiał się tym zająć, bo ta porywcza, kłótniwa dama nie mogła się już bardziej wyciszyć. Dopiero na odchodnym odezwała się do Agnes, i to bardzo cichym głosem: - I pomyśleć, że nasz Robbie doszedł do tego. I to wszystko twoja zasługa.

Agnes wiedziała, że jej pierwsze zdanie wskazywało, że osoba, o której mowa, nie mogła niżej upaść, ale wiedziała, co Betty ma na myśli, szczególnie gdy dodała: - A jak powiedział mi wczoraj, że chcesz, by byli twoimi wspólnikami w sklepach, rozpłakałam się. Naprawdę. O tak, tak. Przyznaję się, płakałam, bo widzisz, on jeden z tej całej mojej zgrai był czegoś wart. Ci moi dwaj nie są warci złamanego grosza.

Agnes pogłaskała ją po ramieniu, mówiąc: - Bystry z niego chłopak i dałby sobie radę z każdą pracą.

- I z zadowoleniem patrzyła, jak ta ogromna, zaniedbana, kłótliva kobieta odchodzi szczęśliwa.

Jessie, wychodząc, też jej szepnęła: - Dzięki, Aggie. Wygląda na zahipnotyzowaną, ale to był dla niej wspaniały dzień. Dla nas wszystkich. A te trzy kochane istoty... - zerknęła na panny, które Charles właśnie odprowadzał do jednego z dwóch samochodów na podjeździe. - Jutro całe miasto będzie wiedziało wszystko w szczegółach, łącznie z kolorem serwetek. - Potem ucałowała Agnes i powiedziała na pożegnanie: - Dziękuję ci za wszystko, Aggie.

Agnes odsunęła się bez słowa.

Gdy już wszyscy się pożegnali, Agnes stała obok Charlesa i machała do gości siedzących w dwóch samochodach; jeden prowadził Frankie Watson, który zaczynał jako parobek, a teraz odwoził do domu trzy rozentuzjasmowane damy.

Kiedy kilka minut później weszli oboje do hallu, powiedziała: - Idź, posiedź trochę. - Nie dodała: „Musisz być bardzo zmęczony. Bardzo zmęczony”; lecz powiedziała: - To był cudowny dzień, prawda?

- Cudowny, kochanie, cudowny. Ale jakoś nie chce mi się wierzyć, że mam trzydzieści cztery lata. Ale i tak wyglądam na czterdziestkę.

- Nieprawda. Tylko tak ci się wydaje, bo od tylu lat żyjesz tak spokojnie.

Gdy weszli do salonu, Charles zaczął kaszleć. Agnes powiedziała: - Przyniosę ci syrop - ale Charles, z trudem łapiąc powietrze, odparł: - Nie trzeba. Chodź tu, usiądź...

- To ty usiądź. Przyniosę ci lekarstwo. Nie zażywasz go regularnie, jak ci zalecono. Poczekaaj, niech przyjdzie Skaczący Baker.

Powiem mu.

- Skaczący... Baker. Dlaczego właściwie... tak go nazwałaś?  
- No, zobacz, jak wchodzi do pokoju, mama powiedziała, że wpada jak diabeł przez komin. I zawsze tak głośno mówi.

- On... dobry z niego lekarz. Miałem szczęście, że do niego trafiłem.

- O, niewątpliwie. Ale wołałabym, żeby tak nie krzyczał. Nieważne, posiedź tu spokojnie, a ja za minutkę wracam.

- Zadzwoń po służbę.  
- Nie, teraz chyba wszyscy jedzą, kończą ciasto. Dla mnie to tylko chwila. - Wyszła szybko z pokoju. Gdy wchodziła po schodach, zatrzymała się na moment, zaniepokojona ciężkim, rozrywającym płuca kaszlem Charlesa. To martwiło ją coraz bardziej.

Po kilku minutach była w łazience, wzięła lekarstwo z apteczki i gdy schodziła na dół, ciągle słyszała, jak kaszle, ale gdy znalazła się w hallu, przestał.

McCann szedł z kuchni. - To był cudowny dzień, *madam* - powiedział.

Odwróciła się do niego i odparła: - Tak, McCann, było wspaniale. Poczestunek był wyśmienity. Za jakąś chwilę pójde podziękować pani...

Nie zdążyła wymówić ostatniego słowa, bo oboje odwrócili się do drzwi salonu na dźwięk, który stamtąd dobiegł. Agnes rzuciła się do drzwi, McCann za nią.

Gdy wpadli do pokoju, na moment zamarli, zanim pospieszyli do Charlesa, który leżał skulony na boku, z głową opartą o brzeg kanapy. Wymiotował krwią.



Po raz pierwszy doktor Baker nie mówił głośno. Odwrócił się od łóżka, szepcząc do Agnes: - Przez chwilę musi odpocząć. Wrócę za godzinę lub dwie.

- Wziął swoją torbę i Agnes wyszła z nim z pokoju. Na półpiętrze spojrzała na niego i spytała: - To bardzo ....poważne, prawda?

- Tak, moja droga. To poważne.

- Czy on...?

- Pyta pani, czy umrze? Mogę jedynie powiedzieć, że nie będzie żył długo. Powiedziałem mu, że powinien iść do szpitala, ale nawet tam się tego nie powstrzyma. Odmówił, i tyle. Ma rodzinę, prawda? No cóż, moja droga, sądzę, że powinno się ją powiadomić.

- To będzie raczej trudne. Jego siostra powtórnie wyszła za mąż i właśnie spędza miesiąc miodowy. Jej mąż jest pierwszym oficerem na statku handlowym.

- Na statku handlowym? - Zobaczyła, że się skrzywił, lecz powtórzyła: - Na statku handlowym.

- O, to będzie dość niezwykła przejażdżka jak na miesiąc miodowy.

- Nie sądzę, by miała coś przeciwko temu. Jest bardzo szczęśliwa. Dwa tygodnie temu byliśmy na ślubie.

- Myślałem, że jego siostra była mężatką i miała dzieci.

- Tak, była. Rozwiodła się.

- Rozwiodła się? - unióśł wysoko brwi.

- Tak, rozwiodła się, zanim było za późno. Znalazła niezwykle dobrego człowieka i jestem przekonana, że będzie szczęśliwa. No i teraz jest w drodze na bardzo odległą wyspę. Nazwa wypadła mi z głowy.

- A co z braćmi?

- Jeden jest w zakonie, drugi w szpitalu.

- O tak, o tym słyszałem. Okaleczony na stałe. Zgadza się?

- Tak, zgadza się.

- Może chodzić?

- Tak, podpira się laską.

- No, to nie widzę żadnych przeciwwskazań, żeby przyjechał i zobaczył się z bratem. Na pani miejscu skontaktowałbym się. No, jak powiedziałem, zajrzę później. - Odszedł, a Agnes po chwili wahania otworzyła drzwi sypialni i przekroczyła próg.

Charles patrzył, jak idzie do łóżka, a gdy już dostatecznie się zbliżyła, wyciągnął rękę i powiedział: - Kochanie...

- Agnes odpowiedziała: - Tak, najdroższy, o co chodzi?

- Chcę... Chcę ci podziękować... za to, że... dałaś mi tyle szczęścia.

Nie mogła mu nic odpowiedzieć, bo wiedziała, że jeśli otworzy

usta, zacznie płakać.

- No... nie przeżywaj tego tak. Wiedzieliśmy, że to się w końcu stanie. Jesteś... przecież rozsądna.

- Nie, przestań. - Powiedziała to tak, jakby jego słowa były źródłem bólu i nie chciała, by ją nimi torturował.

- Posłuchaj, najdroższa. Chcę zobaczyć się z Regiem. Poprosisz go, by przyjechał? Skaczący - usiłował się uśmiechnąć - dał mi zastrzyk i zaraz zasną, ale... chciałbym zobaczyć się z Regiem. Poprosisz go?

- Tak, kochanie, zrobię to natychmiast. Jest już McCann - odwróciła się i spojrzała na drzwi, potem, pochylając się, złożyła pocałunek na jego wilgotnym czole i szybko odeszła od łóżka.

W hallu zadzwoniła do szpitala i poprosiła o rozmowę z podpułkownikiem Farrierem. Gdy czekała, patrzyła jak krząta się służba przechodząca przez hall. Miała wrażenie, że chodzą na paluszkach, z szacunku dla tego dawno spodziewanego końca.

Odwróciła głowę, gdy usłyszała w słuchawce głos Reginalda: - To ty, Aggie? Co się stało?

- Chodzi o... Charlesa. Jest ciężko chory.

- Co to znaczy „chory”?

- A co może znaczyć? - Podniosła głos, ale natychmiast ucichła, dodając: - Umiera, Reg.

- Nie! Dopiero wczoraj był tu przecież. Czuł się... dobrze, trochę tylko kaszlał, ale nic mu nie było.

- Nie czuł się dobrze od kilku miesięcy. Miał bardzo ciężki atak. Był doktor i powiedział - zamknęła oczy - że najprawdopodobniej nie pozostało dużo czasu.

Agnes nic przez chwilę nie słyszała, więc zapytała:

- Jesteś tam?

Na to odpowiedział poirytowany: - Pewnie, że jestem.

- Musisz przyjechać.

Gdy znowu zapanowała cisza, Agnes krzyknęła: - Słyszysz mnie? Chce się z tobą widzieć. Zawsze tak wiele dla niego znaczyłeś. Rozumiesz? Chce cię widzieć i musisz przyjechać.

Odpowiedział bardzo cicho: - Dopilnuj, żeby służba była z dala ode mnie.

- Oni wszystko o tobie wiedzą. Tylko się ucieszą, że cię zobaczą.
- Och, Aggie, na litość boską! Pamiętają mnie takim, jakim byłem. Powtarzam ci, niech mnie nie widzą.
- Więc przyjedziesz natychmiast?
- Będę musiał powiedzieć przełożonemu, ale powinienem być na miejscu za jakąś godzinę. A co z Henrym?
- Zadzwoń do niego.
- To dziwne, ja mogę wyjść, ale on może mieć kłopoty z kościelnymi biurokratami.

Gdy usłyszała trzask odkładanej słuchawki, przez moment zapatrzyła się w mikrofon, myśląc: tak, ma rację. On może wyjść, ale odkąd Henry osiemnaście miesięcy temu wstąpił do zakonu, nie widzieli się z nim ani razu. Na Boże Narodzenie dostali od niego bardzo wesoły list i trzy butelki wina mszalnego, w produkcji którego, jak zapewniał, też miał udział, bo mył butelki. Potem dostali jeszcze jeden list, krótki, ale gdy Charles przeczytał go, powiedział: Henry jest szczęśliwy. Widać to czarno na białym.

Zacząła się zastanawiać, czy faktycznie był jakiś sens dzwonić do klasztoru. Jednak zrobiła to. Usłyszała pogodny głos w słuchawce. Gdy wyjaśniła, dlaczego dzwoni, poinformowano ją, że brat Henry jest w tej chwili w kaplicy i pozostanie tam jeszcze godzinę, bo trwa kompleta. *[kompleta - modlitwy podczas ostatniej z godzin kanonicznych - przyp. tłum.]* Poinformuje jednak ojca opata, a ten z kolei da znać bratu Henry'emu. W tym czasie będzie się modlił za duszę jego brata. Bóg z tobą. I tyle.

Nie ruszyła się od telefonu jeszcze przez chwilę, rozglądała się po hallu. Dwa żyrandole podwieszane pod wysokim sklepieniem rozsiewały ciepły blask po całym pomieszczeniu, przytłumiając kolory, stapiając je w pełną harmonii całość. To piękne pomieszczenie. Szerokie schody prowadzą łagodnie w górę. Pokoje też są piękne. Kiedy, zmuszona okolicznościami, przejęła dom, wprowadziła pewne zmiany. Jednakże nigdy nie miała wrażenia, że to jej dom, choć była w połowie jego właścicielką, a wkrótce cały miał stać się jej własnością.

Poderwała się z krzesła. Nie wolno jej tak myśleć. Nie będzie tak myśleć. Nie pozwoli mu umrzeć. On nie może umrzeć. Nie może, bo

nawet będąc tak ciężko chory, zawsze był jej podporą. Dzięki niemu nie dopuszczała do siebie przerażającej prawdy.

Kiedy znalazła się koło sypialni, McCann szepnął do niej: - Jego organizm walczy z zastrzykiem, ale jest dużo spokojniejszy.

Stojąc przy łóżku, spojrzała na jego bladą, wymizero-waną twarz. Jego usta poruszyły się nieznacznie, więc spytała czule: - O co chodzi, kochanie?

- Reg - powiedział.

- Jest w drodze, najdroższy - uspokoiła go. - Wkrótce tu będzie.

Powoli otworzył oczy, uśmiechnął się słabo i powiedział: -  
Dziękuję, kochanie. Teraz mogę zasnąć.



Mary Tyler stała w kuchni i spoglądała to na Rose Pratt, to na kucharkę, kiedy mówiła: - Mało nie umarłam, jak otworzyłam drzwi. No, może nie od razu w tym momencie, bo twarz zakryta była rondem filcowego kapelusza i miał podniesiony kołnierz płaszcza. Dopiero gdy był w hallu, gdy zdjął kapelusz i płaszcz i spojrzał mi prosto w twarz. Och, co za nieszczęście, pomyślałam. Biedaczysko. Ale jak spojrzał na mnie, zobaczyłam, że oczy ma w porządku. Potem odezwał się i pomyślałam, że to jakoś nie miało znaczenia... śmieszne. Potem zachciało mi się śmiać, bo pomyślałam sobie, że widziałam dużo gorszych, a wcale nie byli poparzeni.

- To nic zabawnego, Mary Tyler. - Kucharka rzuciła groźne spojrzenie na dziewczynę. - Nie widziałas go wcześniej. To był najprzystojniejszy facet w hrabstwie, czy w całym kraju. Aż strach pomyśleć, że Bóg na to pozwolił. Ale, w sumie, nie jest aż tak źle, jak się obawiali. Oczywiście, McCann mówi, że wiele razy go operowali i większa część jego twarzy jest nowa. Jego głos jednak pozostał, tak samo figura, ciągle chodzi jak żołnierz, choć nie ma stopy.

- Nieźle chodzi. - Rose Pratt pokiwała głową. - Tylko nieznacznie kuleje. Nie zgadłabym, że ma protezę. Myślę, że ma pani rację. Nie możemy zwracać na to uwagi i musimy zachowywać się normalnie i pamiętać, że to ciągle pan Reginald i patrzeć mu otwarcie w twarz.



- Jak długo już tam jest?  
- Ja wiem. - Mary rozejrzała się. - Właśnie minęło wpół do ósmej, jak go wpuściłam, McCann mówi, że prawie przez całą noc siedział przy łóżku. Powiedział mu, żeby poszedł trochę odpocząć. A pani... Wygląda tak, jakby uszło z niej całe życie. Nie sędzę, żeby w nocy zmrużyła oko. Śniadanie ledwo tknęli. Kawa i tost. Nie pożywią się tym.

- Co będzie, jak pan umrze? Czy ona, to jest pani, utrzyma ten dom? Jak myślicie?

- Wątpię - powiedziała Rose. - Nie, jeśli będzie sama, jak mówi mój Peter. On mówi też, że wzdycha tylko za tymi sklepami w Newcastle. Tam się wychowała, to jej interes.

- O Boże! To będzie dla nas czarny dzień, jak to wszystko się skończy. Pracowałam tutaj całe życie. - Kucharka rozejrzała się po ogromnej, schludnej kuchni, a gdy Mary Tyler spytała: - Chyba będzie jeszcze coś innego do roboty? - wsiadła na nią z krzykiem. - Chyba nie wiesz, na jakim świecie żyjesz, dziewczyno! Niewiele zostało takich domów. Dobra zapłata, dobry wikt i jeszcze jesteście traktowani po ludzku. I tak było od zawsze, nie tylko, jak przyszli młodzi. Za pułkownika i pani było tak samo. Ona była damą z urodzenia. Nie, żebym miała coś przeciwko naszej nowej pani, bo nie mam, ale tamtej przysługiwało to naturalnie, jeśli mnie rozumiecie. No, idźcie już. - I dodała: - Dowiedzcie się, co na górze...

Na górze nic się nie zmieniło od wczorajszego wieczora. Agnes i Reg prawie nie odchodzili od łóżka Charlesa, oboje byli świadomi, że koniec jest bliski. W nocy Charles miał dwa ciężkie ataki i za każdym razem myśleli, że to jego ostatnie chwile. Teraz leżał spokojnie, ale oddychanie wciąż sprawiało mu ogromną trudność. Mimo to ciągle próbował złapać tchu i coś powiedzieć. Agnes trzymała go za rękę, ale Charles patrzył na Rega.

- Jesteś... znowu... w domu. Wszystko... będzie... dobrze. Wszystko... się uda.

- Nie mów, stary. Nie mów.

- Już nie będę... niedługo... nic mówił. - Nawet teraz się uśmiechnął i to Agnes zupełnie załamało, opuściła głowę, lecz usłyszała słaby głos: -

Moja kochana, taki szczęśliwy...byłem... taki szczęśliwy. Musisz być... słyszysz?... być szczęśliwa... Kocham was... oboje... taki szczęściarz... wielki szczęściarz.



Charles umarł o jedenastej i jeszcze raz dom pogrążył się w żałobie.

## 2

- Będę wracała, zanim zrobi się ciemno. Drogi są fatalne. Jeżeli mróz ściśnie, autobusy przestaną jeździć. Dobrze, że teraz zatrzymują się u wylotu drogi, dużo wygodniej. Nie będę fatygowała Robbiego, żeby przyjeżdżał tu samochodem. Tak jak powiedziałam, moje dziecko, musisz się zdecydować. To nie może dłużej tak być; została z ciebie skóra i kości. Możesz sprzedać ten dom i wrócić. Będzie jak dawniej.

Ale jak? - Agnes zadała sobie w duchu pytanie, patrząc na matkę i słuchając, jak mówi dalej: - Ale Robbie powiada, że nie dostałabyś tyle, ile to jest faktycznie warte, przynajmniej nie w dzisiejszych czasach, z tymi strajkami w całym kraju i plotkami o strajkach, ludźmi zabijającymi się o pracę, o pieniądze. Kobiety też są takie, nigdy im dość. Robbie mówi, że nikt nie dotrzymuje obietnic. Obiecano im, bohaterom, że w tym kraju ich ozłocą. Ale ja mówię, że można jedynie polegać na sobie samym i gdyby każdy tak robił, byłoby mniej problemów. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Agnes, mówiąc: - Tak się o ciebie martwię, moja droga. Sama po nocach.

- Nie jestem sama, mam. Ośmioro służby w domu, sześcioro na zewnątrz.

- Tak, ale to co innego. Jak Robbie mówi, karmi się tych

wszystkich,- by dbali o jedną osobę. Powiedziałam mu, że to twoje pieniądze i możesz robić z nimi, co ci się podoba. O, przy okazji, kiedy on wraca?

- Lada dzień.

- Nie wiem, po co to wszystko. Co tym razem będą mu robili?

Agnes przyrzekła sobie, że będzie spokojna, więc powiedziała jedynie: - Przeszczepiają mu znowu górną wargę.

- Że też musi się tak torturować, bo z tego, co mi wiadomo, to diabelnie bolesna sprawa, jak każdy przeszczep. A co to w ogóle może zmienić? Przecież ta jego skóra... zawsze będzie wyglądał jak połatany. Czy będzie chciał powrócić? Wiesz, po śmierci Charlesa... trochę się przyzwyczał, prawda? Robbie kiedyś powiedział, że robił takie wrażenie, jakby żałował, że oddał majątek, to znaczy zrzekł się, bo chyba oswoił się z wychodzeniem. Ale i tak jeszcze, jak mówi Robbie, nigdy nie wychodził za dnia.

- Wygląda na to, że Robbie dość dużo mówi, nie sądzisz, mamó?

- O, nie czepiaj się mnie. Gdyby nie on, nie miałabym do kogo otworzyć ust...

- A Jessie, a Betty Alice, ci na dole, klienci?

- O, chyba coś cię napadło.

- Nie, mamó. Nic mnie nie napadło, jak to nazywasz, ale faktycznie trochę znudziło mnie słuchanie tych złotych myśli Robbiego.

- I mogła też dodać: Kiedyś nie mogłaś go znieść, bo był prostakiem. Jak to się ludzie zmieniają, ale i tak w gruncie rzeczy pozostają tacy sami.

Jej matka w głębi duszy była tą samą osobą, do której Agnes nawykła przez całe życie. Ta część osobowości ciągle była najsilniejsza. Tak, ciągnie wilka do lasu. Może i trochę taki wilk zmieni skórę i może nawet uda mu się oszukać kogoś stojącego z boku, że był w błędzie i skrzywdził biedne zwierzę.

Zacisnęła powieki i odwróciła się. Zastanawiała się, co się z nią dzieje. Często jej się teraz zdarzało, że w myślach szufladkowała różne powiedzonka lub przyporządkowywała je różnym osobom. Kiedy ostatnio była w sklepach, potraktowała tak Jessie. Ona też się zmieniła. Zachowywała się, jakby od zawsze sklepy należały do niej, jakby to ona sama to wszystko stworzyła. Zapomniała, że zawdzięcza to tylko dobroci

Agnes.

Odprowadziła matkę do drzwi i oddała pod opiekę McCanna, który jak zwykle miał ją odprowadzić do wylotu drogi i poczekać z nią na autobus. Pożegnanie było chłodne.

Gdy wróciła do salonu, poczuła, że drży, choć w pokoju było ciepło, a nawet gorąco. Ogień w ogromnym palenisku świecił cudownym blaskiem. Opadła na sofę naprzeciw kominka, oparła się i zagryzła usta. Nie! Nigdy tam nie wrócę.

Wyprostowała się. Dlaczego obwinia matkę, że się zmieniła? Przecież największe zmiany zaszły w niej samej. Za życia Charlesa nigdy nie czuła się tu jak w domu. Bywały nawet chwile, kiedy tęskniła za mieszkaniem nad sklepami i nie mogła znieść myśli, że będzie musiała tu mieszkać. Ale jednocześnie nie mogła pogodzić się z faktem, że reszta jej życia pozbawiona będzie jakiegokolwiek celu: jedynie rozpoczynanie dnia wydaniem poleceń pani Mitcham, potem przechadzka po ogrodzie i oglądanie zwierząt, zmuszanie się do jedzenia, na które nie miała zupełnie ochoty, konieczność bycia uprzejmą cały czas, bez podnoszenia głosu, nawet wtedy, gdy widziała, że coś robione jest nie tak i w dodatku staje się powszechnie akceptowanym nawykiem, tak jak ukradkowe wynoszenie paczek z jedzeniem przez Mary Tyler w dni wolne od pracy.

Kiedyś przypadkowo przyłapała ją na tym, kiedy wychodziła przez zachodnią bramę. Agnes szła przez las i Mary nie mogła jej dostrzec. Agnes pamiętała, żeby pojawić się tam, kiedy następnym razem Mary będzie miała wolne. To samo. No i dlaczego, pytała samą siebie, nic z tym nie zrobiła? Dlatego mianowicie, że jeszcze ktoś ze służby musiał być w to wmieszany i nie chciała robić w domu szumu. W końcu, czy to było wiele? Mogła się pośmiać z tego z Charlesem, ale jego już nie było.

Przez pierwsze tygodnie po śmierci Charlesa Reg spędzał z nią wieczory. Dwa razy podczas burzy został i spał w swoim pokoju. Ale teraz nie widziała się z nim już od miesiąca. Gdyby był jeszcze w szpitalu, mogłaby go odwiedzić, ale tę operację miał gdzieś w okolicy południowego wybrzeża. Powiedziano jej, że jest tam lekarz, który czyni cuda w chirurgii plastycznej.

Jakieś dziesięć minut później McCann zapukał delikatnie do drzwi

salonu i zakomunikował z entuzjazmem:

- Pani złapała autobus, *madam*. Znowu zaczyna padać śnieg. Czy mam zaciągnąć zasłony, *madam*?

- Tak, proszę, McCann. Tak szybko się ściemnia.

Gdy skończył z zasłonami, zajął się kominkiem, dołożył po bokach nowe szczapy, aż ogień buchnął jasnym płomieniem. Powiedział: - Nie ma nic lepszego jak ogień w kominku, prawda, *madam*?

- Tak, bardzo uspokaja.

- Zje pani kolację dziś wieczór w jadalni, czy życzy sobie pani być obsłużona tutaj?

- Tutaj byłoby dobrze, McCann. Dziękuję. Powiedz tylko pani Mitcham, że nie jestem bardzo głodna. Zjadłam dość obfity lunch.

- O, tutaj śmiem się z panią nie zgodzić, *madam*. Jak ona mówi, jada pani jak wróbelek. Ale powtórzę jej.

Gdy została znowu sama, rozejrzała się dokoła. W pokoju panowała cisza, nawet ogień nie trząsał. Kiedy pada śnieg, świat zawsze otula się ciszą, dźwięki stają się przytłumione, oplatając ciemność białą pajęczyną. Noc nigdy nie jest nocą, kiedy pada śnieg.

Śnieg wpełzł także do jej duszy. Paraliżował jej ciało i jej myśli.

Sama się wystraszyła, gdy gwałtownie zerwała się z kanapy. Pójdzie się przebrać. Popadła w nałóg przebierania się przed kolacją. Charles nigdy nie wymagał tego od niej, ale ona wiedziała, że tak właśnie robi się w domach takich jak ten i wiedziała, że był zadowolony, kiedy weszło jej to w nawyk. Ale teraz miała dni, kiedy nie chciało jej się przebierać. Musi coś zrobić. Gdyby tylko miała jakąś bratnią duszę, mówiła sobie, jakąś kobietę, przyjaciółkę. To dziwne, że nie miała żadnej przyjaznej sobie kobiety. Było też dziwne, że prawdopodobnie znalazłaby przyjaciółkę w Elaine, bo gdy się spotykały, szybko znalazły wspólny język. Ale Elaine wiodła teraz nowe życie i była szczęśliwa.

Idąc korytarzem, pomyślała: gdybym tylko mogła pójść do kuchni i porozmawiać z nimi. Ale to by ich krępowało. Jednak Charles czasami to robił. Siadywał na brzegu stołu i próbował firmowe ciasta kucharki. Widziała nawet, jak odganiała go tak, jak zwykła to robić, gdy był chłopcem.

Co założyć? Coś ciepłego. Musi to być coś ciemnego. Ale dlaczego?

Nosiła czerń od trzech miesięcy. Charles nie chciałby, żeby w ogóle chodziła na czarno, ale, jak powiedziała jej matka, jest coś takiego, jak szacunek.

Może tę aksamitną sukienkę w kolorze śliwkowym. Zawsze ją lubiła. Jakość tej sukni dorównywała strojom pani Bretton-Fawcett. Charles doradził jej przy wyborze w sklepie w Harrogate...

McCann wtoczył przed sobą specjalny wózek z kolacją i odszedł. Doniósł najpierw do kuchni, potem pani Mitcham, że pani miała na sobie aksamitną kreację w kolorze śliwkowym, tę z szerokim dołem. Pierwsza reakcja była: - O, to dobrze. - Choć pani Mitcham nie omieszkała dodać: - Kiedyś żałoba trwała cały rok. No, ale wszystko się teraz zmienia. Już nic nie jest takie jak przed wojną.

Agnes zaczęła jeść mus cytrynowy, kiedy usłyszała głosy dobiegające z hallu. Mało nie zadławiła się, połykając pudding, ale rozkazała sobie: - Siedź spokojnie.

Trzymała łyżkę w ręku i patrzyła na drzwi, kiedy otworzył je i powiedział: - Witaj.

Podniosła się i poszła w jego kierunku, ciągle z łyżką w ręku. Powiedziała: - Jak się masz?

- W porządku. A ty? Po co ci ta łyżka?

- Och - spojrzała na łyżkę i zaśmiała się, potem, spojrzawszy na wózek, stwierdziła oczywisty fakt. - Właśnie kończyłam kolację.

Znowu spojrzała na niego. Górna warga stała się pełniejsza, a dolna także się wypełniła i przybrała nowy kształt.

- Usiądź - powiedział. - Jestem ciekaw, czy coś jeszcze zostało.

- O, tak, tak. O, oto McCann - spojrzała w koniec pokoju. -

Pułkownik chciałby coś zjeść, McCann. Postarasz się o to?

- Oczywiście. Oczywiście. Wszystko będzie gotowe za kilka minut, sir.

Gdy drzwi się zamknęły, usiedli na kanapie i Agnes zapytała cicho: - Kiedy wróciłeś?

- Och - wyglądał tak, jakby się przez chwilę zastanawiał. - W środę.

Był piątek.

Jakby czytając w jej myślach, powiedział: - Byłem zajęty

układaniem na nowo mojego życia.

- O, to brzmi ciekawie.

- No cóż, to zależy. Ale opowiem ci wszystko, jak już coś zjem, i to naprawdę porządny posiłek. Wiesz, oni tam, na południu, nie mają pojęcia o gotowaniu. Tutaj, w szpitalu, też nie lepiej sobie radzą. Na następnej radzie muszę to zgłosić. W tej kuchni ludzie naprawdę pozbawieni są wyobraźni, przynajmniej w kwestii gotowania. Zmieniają menu co tydzień, ale wiesz, układają wszystko od końca; co drugi tydzień zaczynają od puddingu!

W tym momencie powinna się zaśmiać, ale nie mogła. Nagle zachciało jej się tylko płakać, ale nie ze smutku... więc z jakiego powodu? Nie wiedziała, czuła jedynie jakąś ulgę. Ale dlaczego?

Mówiła cicho, gdy usłyszała jego pytanie: - A ty, jak się ostatnio czujesz?

Chciała powiedzieć: „Samotnie”, ale powiedziała: -Tęsknię za nim.

Odwrócił się i popatrzył na ogień, pokiwał głową, mówiąc: - Tak, to normalne. Byłaś w mieście, w sklepie? Pomieszkałaś tam trochę?

- Nie.

Znowu odwrócił się do niej. - Więc byłaś tu sama przez ten cały czas?

- Tak. A gdzie indziej miałabym być?

- Ale... kiedy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłaś coś, że przez jakiś czas będziesz mieszkać u matki.

- Tak? Nie pamiętam.

- Nie wygłupiaj się. Doskonale pamiętasz. Byłaś u nich?

- Raz czy dwa.

- A oni?

- Byli tu raz czy dwa.

- Aggie - spojrzał jej w oczy. - Kiedy ludzie mówią raz czy dwa, tak naprawdę nie wiadomo, czy to cztery, czy pięć razy, czy może raz.

- I tak nie chodzi mi o cztery czy pięć razy.

- I byłaś tu całkiem sama?

- Reg. Gdzie, do diabła, miałabym być, jeśli nie byłam w sklepie? Sprzedaliśmy domek, wiesz sam.

Drzwi się otworzyły i McCann wszedł z suto zastawioną tacą.

Kiedy skierował się do bocznego stolika, Reg powiedział: - Przynieś to tu, McCann. Postaw to na wózku. - Wziął nie dokończony przez Agnes pudding, mówiąc: - Pani Farrier z pewnością nie będzie chciała dojeść. - Gdy zdjęte zostały pokrywki z naczyń, powąchał i powiedział: - O, to dobrze pachnie. Podziękuj kucharce w moim imieniu, dobrze McCann?

- Tak, sir. Czego pan się napije, sir?

- O, słabego wina, jeśli macie. - Zerknął na Agnes, a ona spoglądając na McCanna, powiedziała: - Proszę, przynieś też porto, McCann.

Obserwowała go, gdy jadł i zauważyła, co uszło do tej pory jej uwagi, że jego zęby są nadal doskonałe. Spostrzegła też, że połatana skóra na jego twarzy prawie się nie porusza.

Mało rozmawiali, gdy jadł, ale raz po raz jego oczy śmiały się do niej. Kiedy skończył, powiedział: - Byłem świetnie przygotowany, by się z tym uporać. Taka pogoda pobudza apetyt...

Pół godziny później, kiedy sprzątnięto po kolacji, Agnes i Reg z kieliszkiem porto w ręce wspartej na stoliczku z winem, siedzieli spokojnie obok siebie na sofie. Po dość długiej chwili milczenia, stwierdził: - To takie miłe. Przypomina dawne czasy.

- Jeszcze przede mną?

Nie spojrział na nią, gdy odpowiedział: - Tak, Aggie, jeszcze przed tobą. Dawne, dawne dni, w innym świecie. Niektórzy wierzą, że przeszłość nic nie znaczy, liczy się tylko tu i teraz. Jest w tym też krztyna prawdy, bo przeszłość żyje tylko w naszych wspomnieniach. Musimy myśleć o chwili obecnej, o tym dniu, godzinie, minucie. To jest nasza rzeczywistość, ta właśnie minuta... Aggie, czy sądzisz, że możemy stać się przyjaciółmi?

Tak ją to zaskoczyło, że aż się od niego odwróciła. Gdy ich oczy znowu się spotkały, powtórzyła: - Przyjaciółmi? Myślałam... myślałam, że nimi w jakimś sensie jesteście.

- Nieoficjalnie. Chcę mieć pewność, że ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. O tyle tylko proszę, o nic więcej, nigdy o nic więcej. Znasz te słowa Byrona? „Przyjaźń to miłość bez skrzydeł”.

Czuła, jak całe jej ciało oblewa się pąsem. Nie powiedziała ani tak, ani nie. Po chwili mówił dalej: - Jakiś miesiąc temu, zanim jeszcze



dowiedziałem się, że jadę na południe na tę operację. - Dotknął wargi i dodał:

- Lepiej, prawda?

Ciągle milczała, a on podjął: - Wtedy właśnie miałem zapytać, czy nie wynajęłabyś komuś pokoju na trzy dni w tygodniu. Widzisz, zająłem się tą rehabilitacją z innymi w szpitalu. Trzy razy w tygodniu. A co z resztą mojego czasu? Teraz szczególnie jest mi to potrzebne, kiedy w końcu zdobyłem się na wychodzenie na zewnątrz, zachowując ostrożność, tak jak tu. - Wyciągnął rękę.

- Zauważyłem też, jak tu bywałem, małe rozluźnienie w dyscyplinie na zewnątrz. Zdarza się to, wiesz, kiedy brakuje męskiej ręki. Tak więc byłem ciekaw, czy nie chciałabyś, żebym na jakiś czas wrócił, aż znowu staniesz na nogi. Najwyraźniej śmierć Charliego wytrąciła ci wszystko z rąk. Mnie też. Nie martwiłem się o nakazy przyzwoitości, bo, jak sobie powiedziałem, kto by o tym myślał, widząc mnie?

Teraz w końcu się odezwała: - Nie opowiadaj takich rzeczy.

- Dobrze, dobrze, nie denerwuj się. Ale jeszcze raz składam propozycję. Chciałabyś, żebym wrócił? Możesz przez jakiś czas spróbować, zanim podejmiesz decyzję w sprawie swojego życia. Widzisz, nie możesz po prostu siedzieć tu, nic nie robić przez cały dzień i gryźć się. Wystarczy tylko na ciebie spojrzeć i wiadomo, że tak właśnie żyjesz. Chcesz wrócić do miasta?

- Nie! Nie, nie chcę wrócić do sklepu, nigdy.

- Bardzo mnie to cieszy. Myślałem, że twoja matka wolałaby, gdybyś sprzedała dom.

- Ona nie ma nic do powiedzenia, jeśli chodzi o moje życie. Nie mam zamiaru niczego sprzedawać. Powiem ci. Nie traktuję tego domu jak mojej własności, ale choć to dziwne, polubiłam to miejsce. Ciągle myślę, że to wszystko jest twoje i byłabym bardzo zadowolona, gdybym mogła przekazać ci to z powrotem, choćby i dziś.

- Ani mi się śni, nie mam zamiaru przyjąć tego z powrotem. Ale, jak kiedyś powiedziałaś, są już mury wokół ogrodu i reszta parku też może zostać ogrodzona i byłoby to moim światem na połowę tygodnia. Jednak czuję, że nie mogę zrywać kontaktów ze szpitalem.

Rozmawiałem o tym z Willettem. Podoba mu się ten pomysł. Oczywiście, kiedyś znowu będę musiał pojechać, by mnie trochę połatali. To zależy ode mnie. Pomyślę. Nie sądzę, by jeszcze mogli wiele zdziałać. No, a ty jak sądzisz?

Nie odpowiedziała. Wstała z sofy i stanęła tyłem do niego. On również wstał, pochylił się nad nią i położył jej rękę na ramieniu, odwrócił ją do siebie, mówiąc: - Ojej! Na Boga! Nie płacz, Aggie! Proszę. Proszę cię. - Gwałtownie wycofał rękę i podszedł do kominka, mówiąc:

- Na litość Boską! Aggie, nie zniosę, jak będziesz płakała!  
- Przepraszam... przepraszam... widzisz, jestem taka zagubiona, taka samotna. A ty teraz przychodzisz i mówisz, że wrócisz. To... to za dużo, jak na jeden raz. Ale nie martw się... nie będę już więcej płakała.

Odwrócił się do niej, mówiąc: - Nie zrozumiałaś mnie. To nie twój płacz tak na mnie podziałał, to... O, Boże najśłodszy, muszę się napić. - Opadł na sofę i podniósł do ust kieliszek do połowy wypełniony porto, wypił jednym łykiem, nalał sobie jeszcze z karafki i powiedział:

- No, chodź tu, usiądź i porozmawiajmy.  
Usiadła i uśmiechnęła się do niego, gdy powiedział:  
- Chyba się upiję. Tylko, co ty ze mną zrobisz?  
- Położę cię do łóżka.  
- No, tak. Tylko teraz myślę, że powinienem był wziąć Flynna, ale i tak jest McCann. Zajmował się Charlesem, prawda? Ale ja przeważnie radzę sobie sam. Daję sobie radę z Gerrym - wskazał na protezę stopy

- przynajmniej w większości przypadków. To nie do wiary, ile rzeczy można zrobić jedną ręką. Wiesz, wciąż namawiają mnie na protezę, taką z hakiem na końcu, ale odmawiałem. Johnny Knowles, jeden z kolegów, posługuje się nią jak prawdziwą ręką. Co ty o tym sądzisz?

- To byłoby niezłe.  
- W porządku, zainteresuję się tym. - Uniósł znowu kieliszek, tym razem wznosząc toast: - Za ptaka bez skrzydeł.

Nie przyłączyła się do toastu. Przyjaźń to miłość bez skrzydeł.

Nagle zapragnęła znaleźć się sama w swoim łóżku. Mogłaby tam

płakać.



- Tak więc pan Reginald ma wrócić i mieszkać tu znowu przez trzy dni w tygodniu. I co o tym myślicie? - padło pytanie na sejmiku w izbie czeladnej. McCann miał na ten temat swój pogląd, ale zachował go dla siebie.

### 3

Była Wigilia roku 1923. Choinka ustawiona w hallu była bogato udekorowana bombkami i świecidelkami. Pod drzewkiem leżały prezenty dla służby. Nie było jednak pomiędzy paczkami cukrowych myszek, nie wisały też na gałązkach, chociaż Alice przyniosła wczoraj, odwiedzając Agnes, całe pudełko. W czasie tej wizyty nie omieszkała znowu wspomnieć, że to dziwny układ, że on tu z nią mieszka pod jednym dachem przez połowę tygodnia. Oczywiście, wiedziała, że niczego nie trzymają w tajemnicy, ale ludzie i tak gadali, nie można się przed tym ustrzec. Nawet panny Cardings, nie, co prawda nie powiedziały, ale ich oczy wiele mówiły.

- A kto im o tym powiedział? - kilka miesięcy temu Agnes spytała matkę.

- Takie rzeczy łatwo się wydostają na zewnątrz - odpowiedziała Alice.

I znowu ciągnie wilka do lasu...



- Nie sądzisz, że w końcu możesz odpocząć? Usiądź, kobieto.
- Mam jeszcze jedną paczkę do zrobienia, dla wnuczki

Williamsa. Zapomniałam, że ona też tu z nimi jutro będzie.

- Możesz zrobić to rano.

- Nie będę miała kiedy.

- Zostaw to. - Podeszedł do niej. Stała przy stole w bibliotece i owijała pudełko w kolorowy papier. Odciągnął ją od stołu, mówiąc: - No chodź, ślinka mi cieknie na jakiegoś drinka. Już jedenasta, a jeszcze nic nie wypiliśmy po kolacji.

- Biedaczysko. Ale i tak już wypiełeś więcej niż ci przysługuje.

Uzgodniliśmy to, prawda? Dwie whisky, dwa porto albo trzy piwa.

- Po to ustala się prawo, by je łamać. Codziennie się o tym czyta. No, chodź.

Śmiała się, gdy on wyprowadzał ją z biblioteki, prowadził korytarzem do hallu, stamtąd innym krótkim korytarzem do pokoju zwanego gabinetem, który w rzeczywistości był małym salonem. Kanapka dla dwóch osób ustawiona była pod kątem prostym do kominka; były tam też dwa wygodne fotele, biurko i kilka stolików. Agnes usiadła na kanapie, a Reg podeszedł od razu do kominka, wziął z wieszaka miech i próbował rozżarzyć zamierający ogień. Gdy ogień znowu rozbłysł, powiedział: - A teraz siedź i nie ruszaj się, a ja przyniosę tacę.

- Spójrz przez okno. Jaki księżyc! - Wskazała ręką w drugi koniec pokoju, na podwójne przeszklone drzwi oranżerii. Gdy odrzekł: - Zostaw księżyc w spokoju, jeśli ci nie przeszkadza - roześmiała się, bo to ona kiedyś usłyszała taką uwagę od starego klienta w sklepie i opowiadała mu tę historię.

Oparła głowę o boczne oparcie kanapy. Ostatnio czuła się dziwnie podekscytowana. Wiedziała, że nie można tego przypisać świętecznemu nastrojowi. Gromadziło to się w niej od dawna. Kulminacja mogła nastąpić już trzy miesiące temu. Dlaczego nie nastąpiła? Wiedziała dlaczego, on też, jednak nigdy o tym nie rozmawiali. Prowadzili pozornie normalne życie od tego wieczoru, kiedy Reg mówił o przyjaźni. „Przyjaźń to miłość pozbawiona skrzydeł”. Lecz te skrzydła wyrosły. Nie, nie tylko wyrosły. Podrywały ją całą siłą do lotu. Jak długo wytrzyma jeszcze, by ich nie rozwinąć...?

- Zasnąłaś?

- Nie, nie - wyprostowała się.
- Napij się.
- Aż tyle? Nie dam rady wejść po schodach. - Zaczęła saczyć porto, a on, siedząc teraz przy niej, powiedział:
  - Nie wiem, czemu piję whisky. Nie lubię whisky.
  - Wypił jeszcze łyk i odstawił szklaneczkę na stolik, potem odwrócił się i spojrzał na Agnes, mówiąc z wyrzutem: - Przekłęte prawo!

Agnes wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami. Gdy powiedział: - Nie zapytasz, jakie to prawo przeklinam? - odpowiedziała: - Nie muszę. Wiem. Nie można żenić się z wdową po bracie.

- Agnes. - Objął ją obiema rękami. Rękę zakończoną haczykiem położył na jej ramieniu, a zdrową dłonią dotykał jej twarzy, gdy mówił: - O moja droga. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Wiesz o tym? Pokochałem cię od razu, jak tylko cię ujrzałem. Wtedy przed katedrą. Coś mi się wtedy stało. Śmiałem się z tego, ale to nic nie pomagało. Kochałem Charliego, ale zazdrościłem mu. To nie była zawiść. Nie. Ale, mój Boże, jak mu zazdrościłem. Nawet tego dnia przed waszym ślubem, kiedy byłem u ciebie, chciałem ci powiedzieć, żebyś tego nie robiła. „Proszę, nie rób tego.” A ty wiedziałaś o tym, prawda, wiedziałaś?

Nie odpowiedziała. Objęła go jedynie i przycisnęła usta do jego zniekształconych warg.

Czas stanął w miejscu do chwili, gdy Reg uwolnił się z jej objęć, opuścił głowę i złożył ją na jej ramieniu. Drżenie jej ciała złączyło się z jego drżeniem, gdy przycisnął twarz do jej ciała.

Po kilku minutach znowu na nią spojrzał. Jego wzrok był czuły, oczy wilgotne. Powiedział niskim i cichym głosem: - Nie wiem zupełnie, jak możesz mnie kochać takiego, jakim jestem. Jednakże czułem, że zależy ci na mnie. Już wcześniej miałem wrażenie, że w innych okolicznościach mogłaś mnie pokochać.

- O, mój najdroższy, najdroższy. Nie wiem, kiedy cię pokochałam. Bałam się ciebie kochać. Stało się to jeszcze przed ślubem, ale nawet gdyby nie było Charlesa, nie mielibyśmy szans, bo... nie mogliśmy być razem.

- Dlaczego nie? Dlaczego nie?

- Wiesz, że Charles, żeniąc się ze mną, podzielił rodzinę. Jestem

pewna, że Charles nie znaczył dla swoich rodziców tyle, ile ty znaczyłeś. Byłeś ich następcą, miałeś podtrzymywać ciągłość rodu. Charles, w jakimś sensie, był poza tym. Ponadto myślałam, że po ślubie uwolnię się od ciebie, że moje uczucia do ciebie przyblakną.

I jakoś tak się stało, jakoś zdołałam je pogrzebać. Było tak do dnia, kiedy zobaczyłam cię wtedy w szpitalu i tamtego dnia chciałam cię wziąć w ramiona.

- Nawet wtedy, gdy wyglądałem dużo gorzej niż teraz?

- To dziwne, ale widziałam tylko twoje oczy. Były takie same; takie, jakie pamiętałam, wyraziste, szczere.

- Położyła dłoń na jego skroni i pogładziła jego włosy, mówiąc: - Widzę cię takim, jakim byłeś, bo ciągle taki jesteś w głębi duszy - ujęła jego twarz w dłoń. - To ciągle ty. Nie zmieniłeś się. Zawsze cię takim widziałam.

- Naprawdę?

- Tak. Tak, kochany, tak.

- Nigdy nie odstraszały cię te...?

- Nawet tego nie mów. Kocham cię. Wiesz co? Myślę, że Charles będzie się cieszył z naszego szczęścia, bo cię kochał. Kochał nas oboje tak mocno. Jestem już zmęczona i...chcę iść spać - ostatnie słowa powiedziała łagodnie, łagodnie też na niego patrzyła.



Było tuż po północy, gdy McCann pozamykał dom. Gdy już to zrobił, prawie popędził do kuchni, gdzie pani Mitcham i kucharka jakby na niego czekały.

- No i co? - Pani Mitcham wstała z krzesła, a on, patrząc to na jedną, to na drugą i szeroko się śmiejąc, powiedział: - Rozstrzygnęło się. Byłem w drugim końcu korytarza, gdy usłyszałem, jak otwierają się drzwi jej sypialni. Ją zobaczyłem dopiero, gdy była już koło sypialni, jego sypialni. Była w szlafroku, bardzo lekkim i powabnym.

- Poszła do niego?

Odwrócił się do kucharki i powiedział: - No cóż, jemu byłoby trudno pójść do niej, kiedy ma to i owo zdjęte, czyż nie?

- Tak, oczywiście. Tak, masz rację.

McCann wyprostował ramiona i powiedział: - No, już wszystko jasne, póki nie za późno. Kiedy tylko zobaczyłem ich wcześniej przez okno oranżerii, przyssanych do siebie, wiedziałem, co to znaczy. I nie było jeszcze za późno.

- A co się stanie, jak będą z tego dzieci? - zapytała pani Mitcham zapytała.

- No, z panem Charlesem nie było na to jakoś widoków - powiedziała kucharka - a wiecie, co się mówi o suchotnikach: bardziej mają na to ochotę niż inni. Tak więc może ona jest płodna... a może nie.

- Cokolwiek z tego będzie, musimy czekać. Ale jedno jest pewne, będą plotki.

- O tak - McCann pokiwał głową. - Pewne jest i drugie. W domu wszystko będzie po staremu i nie mamy o co się martwić. No, zabierajcie się już do spania.

- Spojrzał na obie panie. - Ja też mam zamiar to zrobić, bo nogi odmawiają mi już posłuszeństwa. Mamy przed sobą jutro. Przyjeżdża ta cała zgraja z Shields. Niespecjalnie palę się do tego. Nowy Rok będzie inny, bo panna Elaine będzie u nas, czy tam teraz pani Stoddart, z dziećmiakami, i może on do tego, jeśli nie jest na morzu. Brakuje tylko pana Henry'ego, prawda? Ale nie ma co na niego liczyć. Po co on, u licha, poszedł do tego cholernego zakonu?

Być może dlatego, że McCann rzadko przeklinał albo jakoś dziwnie powiedział ostatnie słowa, czy też dlatego, że kucharka i gospodyni właśnie pofolgowały sobie z trunkami, ale obie wpadły sobie w ramiona, a z oczu pociekły im łzy, zaś McCann dołączył do nich i śmiali się tak, aż McCann wyjąkał: - Uciszcie się, bo słyhać was po sam strych. Zaraz przyleci Mary. No już, zbierajcie się. Będę gasił światła.

Rozeszli się każde w swoją stronę, ale wiedzieli, że bez względu na to, co stało się tam, na górze, wpłynęło to i na nich, bo, jak tylko sięgnęli pamięcią, nigdy tak się nie zachowywali, nie śmiali się do łez. W jakiś sposób zwiastowało to inne życie, inną epokę.

## Epilog

Zawiadomienie o ślubie ukazało się w gazetach w całym kraju. Mogło umknąć uwagi wielu czytelników, ale niektórzy zainteresowali się jego niecodzienną treścią:

*1 czerwca 1949 roku, w środę, wstąpili w związek -małżeński pani Agnes Farrier, wdowa po śp. panu Charlesie Farrierze, i pan Reginald Farrier, najstarszy syn śp. pułkownika Hugh George'a Bellinghama Farriera i śp. pani Grace Farrier. W ceremonii udział wzięli dwaj synowie młodej pary - pan Charles Farrier i pan Hugh Farrier z synami, oraz trójką wnucząt. Brat pana młodego, który niedawno opuścił mury klasztoru ze względów zdrowotnych i objął parafię w Fellburn, odprawił nabożeństwo.*

*Państwo młodzi miesiąc miodowy spędzą w rejsie po kanale La Manche.*

KONIEC



Catherine Cookson - angielska pisarka współczesnych sag rodzinnych, powieści historycznych i współczesnych której każda książka przez wiele tygodni okupuje pierwsze miejsca na listach bestsellerów. W Polsce znana jest już z kilku powieści, m.in. „Maltański Anioł”, „Czarna świeca”, „Ukochany syn”.

„Ptak bez skrzydeł” to dzieje Agnes, córki sklepikarza, która w głębi duszy pragnie dla siebie innego życia. Jej marzenie spełnia się, gdy poznaje Charlesa, młodego mężczyznę z arystokratycznej rodziny. Czy jednak Charles będzie jedyną wielką miłością jej życia?